

Victoria Holt

Guwernantka

Rozdział 1

Dobrze urodzonej pannie, której los nie obdarzył majątkiem, pozostają dwie drogi — mawiała moja ciotka Adelajda. — Jedna to małżeństwo, a druga to posada stosowna dla osoby o jej pozycji społecznej.

Pociąg mknący przez zalesione wzgórza i zielone łąki przybliżał mnie do tej drugiej drogi. Wybrałam ją przede wszystkim dlatego, że nie było mi dane spróbować pierwszej.

Wyobrażałam sobie, co widzą moi towarzysze podróży, patrząc na mnie. Oczywiście przy założeniu, że w ogóle mnie dostrzegają, co akurat wydawało się mało prawdopodobne. Mieli przed sobą dziewczynę średniego wzrostu, dwudziestoczworoletnią, a zatem już nie pierwszej młodości, ubraną w brązową wełnianą suknię z kołnierzykiem z kremowej koronki i takimiż lamówkami przy mankietach. (Nauczyłam się od ciotki Adelajdy, że wykończenia w kolorze kości słoniowej są znacznie praktyczniejsze niż białe). Ze względu na upał w przedziale rozpięłam pod szyją czarną pelerynę. Mój aksamitny brązowy czepek, zawiązany pod brodą brązową aksamitką wyglądałby cudownie u kobiety obdarzonej subtelną urodą — a należy do nich moja siostra Phillida — do mnie jednak nie pasował. Włosy mam gęste, rudawe, rozdzielone przedziałką na środku. Ściągnęłam je w niewygodny, ciężki węzeł, by zmieściły się pod czepkiem. Gładka fryzura podkreśla moją nieco za długą twarz. Duże miodowobursztynowe oczy stanowiłyby mój największy atut, gdyby nie — jak nieustannie powtarzała ciocia Adelajda — ich nazbyt śmiały wyraz. Oznaczało to, że moje oczy nie nauczyły się bezcennej dla panny sztuki czarowania kobiecym wdziękiem i delikatnością.

Nos mam za krótki, usta zbyt pełne. Ot, zbieranina niepasujących do siebie elementów. Dlatego też muszę pogodzić się z losem i oswoić z myślą, że do końca życia będę skazana na podróże z jednej posady na drugą, gdyż nie posiadam majątku, który zapewniłby mi dostatnie życie, a pierwszego celu — zamążpójścia — nigdy nie osiągnę.

Pożegnaliśmy się z zielonymi polami Somerset, pociąg mknął teraz wśród wrzosowisk i wzgórz Devonu. Upředzono mnie, bym nie przegapiła prawdziwego cudu sztuki inżynieryjnej, zawieszzonego nad wodami Tamar w Saltash mostu pana Brunela. To tam opuszczę Anglię, by znaleźć się na terenie księstwa Konwalii.

Dziwnie podniecona nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie pociąg wtoczy się na most. Wtedy jeszcze nie dopuszczałam do głosu emocji z czasem się zmieniałam; zamieszkałszy w domu takim jak Mount Mellyn każda, nawet najtrzeźwiej myśląca i praktyczna osoba zaczynała dopuszczać do głosu emocje — i mnie samą zdumiewało moje nadzwyczajne podniecenie.

Toż to absurdalne, perswadowałam sobie. Owszem, Mount Mellyn może okazać się imponującą rezydencją, a jego pan, Connan TreMellyn, może być tak romantyczny, jak by na to wskazywało jego imię, ale to w niczym nie zmieni sytuacji. Zamieszkaasz w klitce pod schodami albo na stryżku, a cały twój czas i uwagę będzie pochłaniać opieka nad małą Alvean.

Jakże dziwaczne imiona noszą tutejsi mieszkańcy, zdumiewałam się w duchu, wyglądając przez okno. Nad wrzosowiskami świeciło słońce, lecz majaczące w oddali szare, nagie skatki budziły we mnie dziwny niepokój.

Przywodziły na myśl przerażone, skulone postacie ludzkie.

Ludzie, do których jechałam, byli Kornwalijszymi, między sobą rozmawiali w tutejszym języku. Może moje imię, Martha Leigh, też będzie brzmiało dziwacznie w ich uszach. Martha! Nigdy nie oswoiłam się z tą formą mojego imienia. Tak zwracała się do mnie ciocia Adelajda.

Ani tata, kiedy jeszcze żył, ani Phillida nigdy nie nazywali mnie Martha.

Dla nich zawsze byłam Marty. Nie wiem czemu, ale zawsze wydawało mi się, że Marty jest znacznie miłsza i bardziej lubiana niż Martha. Ze smutkiem i lekkim strachem pomyślałam, że wraz z przekroczeniem wód Tamar na bardzo długo będę musiała się pożegnać z Marty. W moim nowym miejscu pracy zapewne będę występować jako panna Leigh, może sama panna, albo — najbardziej zimna i nieprzyjemna forma — tylko Leigh.

Jedna z licznych przyjaciółek cioci Adelajdy usłyszała o „kłopotach Connana TreMellyna”, który szukał właściwej osoby, aby zajęła się jego ośmioletnią córką. Oczekiwał, że guwernantka będzie mieć dużo cierpliwości, by otoczyć opieką dziewczynkę, a także wystarczającą wiedzę, by mogła ją uczyć, i wreszcie będzie na tyle dobrze urodzona, by dziecko nie ucierpiało w kontakcie z osobą pochodzącą z niższej sfery. Nie ulegało wątpliwości, że Connan TreMellyn potrzebował zubożałej młodej damy. Ciocia Adelajda uznała, że spełniam wszystkie warunki.

Po śmierci naszego ojca, pastom wiejskiej parafii, ciocia Adelajda natychmiast wzięła nas pod swoje skrzydła i porwała do Londynu. Musi oświadczyła nam — wprowadzić w wielki świat dwudziestoletnią Marthę i osiemnastoletnią Phillidę. Phillida znalazła męża już pod koniec pierwszego sezonu towarzyskiego, ale ja, choć spędziłam pod dachem ciotki cztery lata, nie wyszłam za mąż. I oto wreszcie teraz opiekunka wskazała mi dwie drogi.

Wyjrzałam przez okno. Pociąg wjeżdżał na stację w Plymouth. Moi towarzysze podróży wysiedli, ja zaś usadowiłam się wygodniej i obserwowałam, co się dzieje na peronie.

Konduktor zagwizdał i pociąg już ruszył, gdy otworzyły się drzwi i do przedziału wszedł mężczyzna. Spojrzał na mnie z przepraszącym uśmiechem, wyrażając w ten sposób nadzieję, że nie będzie mi przeszkadzać jego towarzystwo, ale tylko odwróciłam wzrok.

Odezwął się dopiero, gdy opuściliśmy Plymouth i zbliżaliśmy się do mostu.

— Podoba się pani nasz most?

Oderwałam oczy od okna i spojrzałam na niego.

Mój towarzysz okazał się dobrze, choć nieco prowincjonalnie ubranym mężczyzną, zbliżającym się do trzydziestki. Miał na sobie ciemnoniebieski surdut i szare spodnie. Kapelusz, który my, londyńczycy, nazywamy nocnikiem, ze względu na jego podobieństwo do tego użytecznego naczynia, położył obok siebie. Sprawiał wrażenie lekkoducha, w jego brązowych oczach malowała się kpina pomieszana z rozbawieniem, jakby doskonale wiedział o ostrzeżeniach przed rozmową z nieznanym mężczyzną, jakich musiała wysłuchiwać każda panna.

— Tak, ogromnie — odparłam. — To wspaniały przykład sztuki inżynierskiej.

Uśmiechnął się. Przejechaliśmy przez most i znaleźliśmy się w Kornwalii.

Mój towarzysz bacznie mi się przyglądał, aż poczułam się niezręcznie, zawstydzona swym skromnym strojem. Interesuje się mną, pomyślałam, bo jestem jedyną osobą w przedziale. Phillida powiedziała kiedyś, że zniechęcam do siebie ludzi, bo z góry odrzucam najmniejszy przejaw zainteresowania, uważając, że zostałam dostrzeżona tylko z braku

ciekawszego obiektu. „Jeśli będziesz uważać siebie za namiastkę — brzmiała dewiza mojej siostry — to się nią staniesz”.

— Daleko pani podróżuje? — przerwał milczenie mężczyzna.

— Jeśli się nie mylę, jestem już u celu. Wsiadam w Liskeard.

— A, w Liskeard. — Wyciągnął nogi i przeniósł spojrzenie ze mnie na czubki butów. — Przyjechała pani z Londynu?

-Tak.

— Będzie pani brakować światowych uciech stolicy.

— Mieszkalam na wsi, więc wiem, czego się spodziewać.

— Zatrzyma się pani w Liskeard?

Nie podobało mi się to przesłuchanie, ale znów przypomniałam sobie naganę Phillidy: „W kontaktach z płcią brzydką jesteś zbyt mrukliwa, Marty. Odstraszasz mężczyzn”.

Uznałam, że stać mnie przynajmniej na zwykłą uprzejmość, więc odrzekłam:

— Nie, nie w Liskeard. Wybieram się do wioski nad samym morzem.

Nazywa się Mełlyn.

— Ach tak.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę milczał, wpatrzony w czubki butów.

Jego następne słowa ogromnie mnie zdumiały.

— Zapewne trzeźwo myśląca osóbką, taka jak pani, nie wierzy we wróżby, w prorocтва, jasnowidzenie... czy inne zjawiska nadprzyrodzone?

— Ależ... — wyjąkałam. — Cóż za zaskakujące pytanie!

— Mogę spojrzeć na pani dłoń?

Zawahałam się i nieufnie zmierzyłam go wzrokiem. Czy mogę tak bezceremonialnie podać rękę nieznanemu? Ciotka Adelajda natychmiast dopatrywałaby się w tej propozycji jakichś niecných zamiarów.

I niewykluczone, że w tym wypadku by się nie pomyliła. W końcu byłam kobietą. Do tego jedyną w przedziale.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Zapewniam, że pragnę wyłącznie zajrzeć w pani przyszłość.

— Aleja nie wierzę w te bajki.

— Mimo wszystko proszę mi pozwolić.

Pochylił się i szybkim ruchem chwycił mnie za rękę. Trzymał ją leciutko, prawie nie dotykając, i z pochyloną głową obserwował linie mojej dłoni — Widzę, że doszła pani w swoim życiu do punktu zwrotnego. Wkracza pani w nowy, obcy świat, diametralnie różniący się od tego, co pani do tej pory znała. Musi się w nim pani poruszać niezwykle ostrożnie...

Tak, z najwyższą ostrożnością.

Uśmiechnęłam się drwiąco.

— Spotkał mnie pan w pociągu, więc pan wie, że podróżuję. A jeśli powiem, że jadę do rodziny, nie mogę zatem wkroczyć w nowy, obcy świat, będący li tylko tworem pańskiej wyobraźni?

— Wtedy będę zmuszony stwierdzić, że do zalet panienki nie należy prawdomówność — uśmiechnął się łobuzersko.

Dziwne, lecz wzbudził we mnie sympatię. Owszem, sprawiał wrażenie nieodpowiedzialnego, ale miał też w sobie pogodę i beztroskę, które okazały się zaraźliwe.

— Nie — mówił dalej. — Jedzie pani w nieznaną, by rozpocząć pracę w nowym, obcym miejscu. To nie ulega wątpliwości. Wcześniej mieszkała pani na głębokiej prowincji, potem przeniosła się do stolicy.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, sama to panu powiedziałam.

— Nie musiała pani. Zresztą, kogóż by interesowała przeszłość? Zajrzyjmy w przyszłość.

— No i? Cóż takiego czeka mnie w przyszłości?

— Zamieszka pani w dziwnym domu, w domu pełnym cieni. Będzie pani musiała ostrożnie w nim się poruszać, panno.. Panno...?

Na próżno czekał, aż podam mu nazwisko.

— Musi pani pracować na chleb. Obok pani widzę dziecko i mężczyznę...

Być może to ojciec dziecka. Oboje ich spowija mrok i cień. Jest tam ktoś jeszcze... Kobieta, ale chyba nie żyje...

Nie tyle słowa, ile jego grobowy głos natychmiast wzbudziły we mnie złość. Wyszarpnęłam dłoń.

— Dość tych bzdur!

Nie zwracając na mnie uwagi, przymknął oczy i mówił dalej.

— Niech pani uważa na małą Alice. Będzie pani musiała otoczyć ją czymś więcej niż opieką guwernantki. Tak, niech pani ma się na baczności przed Alice.

Poczułam na plecach nieprzyjemne mrowienie, dreszcz biegnący od krzyża po kark. Dosłownie przeszły mnie ciarki.

Mała Alice! Zaraz, przecież ona wcale nie ma na imię Alice. Moja podopieczna to Alvean. Dałam się nastraszyć, bo imiona brzmiały podobnie.

Nagle ogarnęło mnie rozdrażnienie, graniczące z gniewem. To naprawdę aż tak widać? Czyżbym już nosiła piętno panny ze zubożałej rodziny, zmuszonej do zarabiania na życie w jedyny dostępny dla niej sposób?

Czyżby mój towarzysz podróży sobie ze mnie drwił? Położył głowę na wysokim oparciu i siedział bez ruchu, nie otwierając oczu. Ja zaś z obojętną miną wyglądałam przez okno, jakby on i jego nonsensowne przepowiednie w ogóle nie zrobiły na mnie wrażenia.

Nagle otworzył oczy i wyjął zegarek. Z namaszczeniem wpatrywał się w cyferblat. Postronny obserwator nawet by się nie domyślił, jak dziwaczną rozmowę przed chwilą odbyliśmy.

— Za cztery minuty — oznajmił rzeško — dojedziemy do Liskeard. Pozwoli pani, że pomogę jej zdjąć bagaże.

Zdjął z półki jeden z moich kufrów. „Panna Martha Leigh”, głosił napis na przyklepionej do wieka kartce, „majątek Mount Mellyn, Mellyn w Kornwalii”.

Mężczyzna nawet nie zerknął na kartkę. Odniosłam wrażenie, że w ogóle przestał się interesować moją osobą.

Kiedy wjechaliśmy na stację, wysiadł, by wystawić na peron moje bagaże. Następnie zdjął kapelusz, który był włożył przed wyjściem z przedziału i pożegnał mnie, nisko się skłoniwszy.

Właśnie mamrotałam podziękowania, gdy podbiegł do nas niewysoki, starszy mężczyzna.

— Panna Leigh? Panno Leigh! Panna Leigh to pani, nieprawdaż?

Słyszając to wołanie, na moment zapomniałam o swoim towarzyszu podróży. Przede mną stał pogodny, opalony człowieczek o pomarszczonej skórze i brązowych, zaczerwienionych oczach. Miał na sobie sztruksowy surdut oraz zsunięty na tył głowy spiczasty kapelusz, o którym najwyraźniej zapomniał. Spod runda wysuwały się włosy, tak samo ogniście rude jak brwi i wąsy.

— No i zem panienkę znalazł — ucieszył się. — To panienki bagaże?

Proszę mi je dać. Ani się panienka obejrzy, jak ja, panienka i poczciwa Szarlotka będziemy na miejscu.

Zabrał moje kufry. Ruszyłam za nim, ale szybko zwolnił kroku i szliśmy obok siebie.

— Daleko stąd do majątku? — spytałam.

— Stara Szarlotka migiem nas tam zawiezie — odrzekł, wrzucając moje bagaże do dwukółki, podczas gdy sadowiłam się na miejscu obok niego.

Wyglądał na gadułę, a ja nie mogłam się oprzeć pokusie dowiedzenia się czegoś więcej o ludziach, wśród których przyjdzie mi żyć.

— Mount Mellyn... — zaczęłam rozmowę. — Wzgórze Mellyn. Dom rzeczywiście stoi na wzgórzu?

— Stoi na szczycie klifu, widać stamtąd morze — odrzekł mężczyzna.

— Ogród schodzi aż do samej wody. Mount Mellyn i Mount Widden są jak bliźniaki. Dwa dumne dwory stoją se na szczycie klifu, rzucając wy zwanie żywiołowi, jakby chciały powiedzieć morzu: „proszę, przyjdź i zabierz mnie”. Ale i jeden, i drugi zbudowano na litej skale.

— Czyli są dwa majątki? — drażyłam. — Mamy sąsiadów?

— Tak jakby. Nansellockowie mieszkają w Mount Widden od dwustu lat. Ich dwór leży jakąś milę od Mount Mellyn, dzieli je zatoka Mellyn.

Między rodzinami dobrze się układało aż do...

— Aż do...? — spytałam, gdy umilkł.

— Jeszcze zdąży panienka się dowiedzieć — uciał.

Uznałam, że ciągnięcie go za język jest poniżej mojej godności, więc zmieniłam temat.

— Państwo trzymają dużo służby? — spytałam.

— Niech policzę... Ja, pani Tapperty i nasze pociechy: Daisy i Kitty.

Mieszkamy nad stajnią. W domu jest pani Polgrey, Tom Polgrey i mała Gilly, choć ją trudno nazwać służącą. Ale mieszka z nimi, więc jakby zalicza się do służby.

— Gilly? — zdziwiłam się. — Cóż za niezwykle imię.

— Gillyflower, inaczej goździk. Jennifer Polgrey nie zrobiła córce przysługi, nadając jej takie imię. Nic dziwnego, że mała wyrosła na dziwadło.

— Jennifer? Czyli pani Polgrey?

— Niii! Jennifer była córką pani Polgrey. Oczy jak dwa węgle i talia cieńsza niż u osy, dumna i wyniosła dziewczyna. Do czasu aż uległa i pokładała się z kimś w sianie. A może w goździkach? Nimeśmy się obejrzeni, jak przyszła na świat mała Gilly. Za to Jennifer... pewnego ranka rzuciła się w morze. Wszyscyśmy też zgadli, kto był ojcem Gilly.

Milczałam, więc rozczarowany moim brakiem zainteresowania, dokończył bez ponaglenia:

— Nie była ci ona pierwsza. Ani ostatnia, tośmy wiedzieli. Geoffry Nansellock wszędzie zostawiał swoje bękarty. — Tapperty roześmiał się i zerknął na mnie z ukosa. — Nie musi panienka robić takiej groźnej minki. On już panience nie zagrozi. Duchy nie mogą popsować młodych panienek, a panicz Geoffry Nansellock to dziś jeno... duch.

— Czyli on też nie żyje? Ale chyba... nie rzucił się w morze, jak Jennifer.

Stangret parsknął śmiechem, ubawiony.

— O, nie. Nie on. Zginął w tym wypadku kolejowym, musiała panienka o nim słyszeć. Pociąg właśnie wyjechał z Plymouth, nagle się wykoleił i runął w dół. Straszna rzeź. Panicz

Geoff podróżował tym pociągiem i pewnikiem znowu planował jakąś niecnotę, bo nicpoń był z niego okrutny. Ale zginął i skończyły się jego swawole.

— Zatem jego już nie poznam, ale poznam Gillyflower. I to cała służba?

— Jest jeszcze trochę najemnych dziewcząt i chłopaków do roboty w ogrodzie, stajni czy domu. Ale to nie to, co dawniej. Od śmierci jaśnie pani wszystko się zmieniło.

— Pan TreMellyn na pewno bardzo przeżył śmierć żony.

Tapperty tylko wzruszył ramionami.

— Dawno zmarła? — drążyłam.

— Będzie rok z kawałkiem.

— I pan dopiero teraz postanowił znaleźć guwernantkę dla córki?

— Panienska Alvean miała już trzy guwernantki. Panienska jest czwarta. Żadna się nie ostała. Panna Bray i panna Garrett odeszły, bo nudziło im się na tym odludziu. Potem nastąpiła panna Jansen, śliczna jak obrazek. Ale ją zwolniono. Przywłaszczyła sobie coś, co do niej nie należało. Szkoda. Lubiliśmy ją. Podobało jej się w Mount Mellyn, mieszkanie we dworze uważała za prawdziwy zaszczyt. Mówiła, że ogromnie interesuje się starymi domami. Jak się okazało, nie tylko nimi, więc musiała odejść.

Jadąc drogą wśród zboczy, rozglądałam się po okolicy. Kończył się sierpień, na polach dojrzewało zboże, gdzieniegdzie kwitły maki i kurzyślady.

Czasem mijaliśmy domostwa z szarego kornwalijskiego granitu.

Wszystkie wydawały mi się ponure i samotne.

Wreszcie góry się rozstały i zobaczyłam morze. Jego widok od razu podniósł mnie na duchu. Zmienił się też krajobraz. Pojawiło się więcej kwiatów, w powietrzu unosił się zapach sosen i woń fuksji, rosnących po obu stronach drogi — znacznie większych i piękniejszych niż te, które hodowałam w ogródku przy plebanii.

Na szczycie zbczyliśmy z głównego traktu i skręciliśmy w stronę morza na biegnącą stromym urwiskiem drogę. Jechaliśmy klifem. Widok zapierał dech w piersi. Wyrastający z morza dumny, rzucający wyzwanie żywiołowi klif porastały trawy i kwiaty. Morze różowych, czerwonych i białych kozłków mieszało się z cudownym, ciemnofioletowym wrzosem.

W oddali zamajaczył cel naszej podróży. Dwór Mount Mellyn przypominał zamek, nie zwykły dom. Jak wiele budowli w tych stronach, wzniesiono go z granitu, ale wszystkie je bił na głowę wielkością i imponującym wyglądem. Wzniesiony na szczycie klifu, od wieków królował nad okolicą i zapewne jeszcze przez wiele stuleci nie ulęknie się żywiołu.

— Wszystkie te ziemie należą do pana — oznajmił Tapperty z dumą.

— Niech panienska patrzy nad zatoką, to zobaczy Mount Widden.

Guwernantko Posłusznie przeniosłam tam wzrok i zobaczyłam drugi dwór, też zbudowany z granitu, ale znacznie mniejszy i chyba nie tak stary jak Mount Mellyn. Nie przyglądałam mu się uważnie, bo Mount Mellyn znacznie bardziej mnie interesował.

Wjechaliśmy na płaskowyż i zatrzymaliśmy się przed bogato zdobioną bramą z kutego żelaza.

— Otwierajcie! — zawołał Tapperty.

Przy bramie stała niewielka stróżówka, w otwartych drzwiach siedziała starsza kobieta, dziergając na drutach.

— Gilly, dziecino — odezwała się — idź, otwórz bramę, żebyśmy nie musiały męczyć starych nóg.

Dopiero wtedy zauważyłam dziewczynkę, która siedziała u stóp kobiety.

Posłusznie wstała i podeszła do bramy. Była śliczna, miała długie, niemal białe włosy i olbrzymie, błękitne oczy.

— Poczciwe z ciebie dziecko, Gilly — podziękował Tapperty, gdy Szarlotka z werwą przebiegła przez bramę. — A to panienka, która z nami zamieszka i będzie się opiekować panią Alvean.

Spojrzałam w przejrzyste, błękitne oczy dziewczynki. Gilly przyglądała mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Do bramy podeszła starsza kobieta.

— A to pani Soady — przedstawił ją Tapperty.

— Witamy — powiedziała. — Oby panienka dobrze się wśród nas czuła.

— Dziękuję — odrzekłam, z trudem odrywając wzrok od dziewczynki.

— Mam nadzieję, że tak będzie.

— Oby. Oby tak było.

Pani Soady pokręciła głową, jakby obawiała się, że jej nadzieje to tylko pobożne życzenia.

Obejrzałam się za dziewczynką, ale już zniknęła. Zastanawiałam się, gdzie mogła się ukryć, i jedyne, co mi przychodziło na myśl, to gęsty szpaler hortensji — pierwszy raz widziałam tak bujne i wielkie krzewy obsypany ciemnoniebieskimi kwiatami w kolorze spokojnego morza.

— Czemu dziewczynka się nie odezwała? — zwróciłam się do Tapperty'ego, gdy dwukółka toczyła się podjazdem.

— Nie lubi mówić. Śpiewać, to co innego. Błąka się samotnie i śpiewa.

Ale żeby mówiła... co to, to nie.

Dwór znajdował się pół mili dalej, wiódł do niego szpaler hortensji, wśród których rosły bujne fuksje. W prześwitach między sosnami połyskiwało morze. Zachwycalam się tym widokiem, gdy nagle zobaczyłam Mount Mellyn. Przed domem rozciągał się wypielęgnowany trawnik, po którym przechadzały się dwa pawie, dumnie rozkładając wielobarwne wachlarze ogonów. Trzeci przysiadł na kamiennym murku. Po obu stronach ganku stały smukłe, proste palmy w donicach.

Dom okazał się jeszcze większy, niż przypuszczałam. Budynek miał tylko dwa piętra, ale był długi, zbudowany na planie litery L. W wąskich szybach gotyckich okien odbijało się słońce. Nie wiem dlaczego, ale nagle zrodziło się we mnie przekonanie, że ktoś bacznie mnie obserwuje.

Koła chrzęściły na zwirowanym podejździe, gdy Tapperty zbliżał się do ganku. Kiedy tylko się zatrzymaliśmy, drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka kobieta z haczykowatym nosem, w białym czepku na siwych włosach. Już na pierwszy rzut oka można było w niej poznać osobę, która lubi i potrafi dyrygować, domyśliłam się więc natychmiast, że stoi przede mną pani Polgrey.

— Spodziewam się, że miała panna udaną podróż, panno Leigh — odezwała się tonem pełnym godności.

— Bardzo udaną, dziękuję — odrzekłam.

— A przy tym z pewnością męczącą — dodała. — Chyba marzy panna o odpoczynku. Proszę do środka, wypijemy u mnie herbatkę. Proszę zostawić bagaże, każę je zanieść do panny pokoju.

Odetchnęłam z ulgą. Gospodyni rozproszyła niepokój, który ogarnął mnie po przepowiedni mężczyzny z pociągu, a przybrał na sile po opowieściach Joego Tapperty'ego o tragicznym wypadku i samobójstwie.

Na szczęście nie ulegało wątpliwości, że pani Polgrey mocno stąpa po ziemi. Jej trzeźwość i zdrowy rozsądek ogromnie mnie w tej chwili cieszyły, może dlatego że byłam znużona po długiej podróży.

Podziękowałam jej i zapewniłam, że z prawdziwą przyjemnością napiję się herbaty. Wprowadziła mnie do środka.

Znalazłyśmy się w olbrzymim, przestronnym holu, który w przeszłości pełnił zapewne funkcję sali bankietowej. Podłoga była wyłożona kamiennymi płytami, drewniany sufit znajdował się hen ponad naszymi głowami, na wysokości bodaj drugiego piętra. Urody pomieszczeniu dodawały bogato rzeźbione belki stropowe. W głębi znajdowało się podwyższenie, do którego przylegał obszerny kominek. Na podwyższeniu stał długi stół, zastawiony błyszczącymi cynowymi talerzami i innymi naczyniami.

— Zachwycające — wyrwało mi się.

Panią Polgrey ucieszyła pochwała.

— Osobiście nadzoruję polerowanie mebli i naczyń — zwierzyła mi się z dumą. — Dzisiejsza służba to już nie to co dawniej... Te sroki Tapperty'ego to nieznośne trzpiotki, mówię pannie. Trzeba mieć oczy dokoła głowy i pilnować przez cały czas. Mieszanka wosku i terpentyny. To najlepsza pasta do drewna, nic się do niej nie umywa. A mieszankę szykuję sama.

— I efekt jest imponujący — przyznałam.

Gospodyni poprowadziła mnie przez salę do drzwi. Zaraz za nimi znajdowały się niskie schody, a obok nich po lewej stronie kolejne drzwi. Pani Polgrey wskazała mi je, a po krótkim wahaniu uchyliła.

— Kaplica — wyjaśniła.

Zauważyłam tylko ciemnoszarą posadzkę, ołtarz i parę ławek. W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny. Gospodyni szybko zamknęła drzwi.

— Nie korzystamy z niej — powiedziała. — Chodzimy do kościoła parafialnego w Mellyn, po drugiej stronie zatoki, zaraz pod Mount Widden.

Weszłyśmy na górę do kolejnego pomieszczenia, jadalni. Sala była obszerna, na ścianach wisiały gobeliny, na błyszczącym wypolerowanym stole i szafkach stały przepiękne szkła i porcelana. Podłogę wyściełał niebieski dywan, a z olbrzymich okien rozciągał się widok na wewnętrzny dziedziniec.

— Nie jest to panny część dworu — zastrzegła od razu pani Polgrey ale pomyślałam, że przeprowadzę pannę tędy do moich pokoi, by z grubsza zapoznała się panna z rozkładem budynku.

Podziękowałam jej. W ten taktowny sposób dała mi do zrozumienia, że jako guwernantka nie powinnam liczyć na bliższe kontakty z rodziną TreMellynów.

Przeprowadziła mnie przez jadalnię do kolejnych schodów, z których przeszłyśmy do bardziej prywatnego, dość przytulnego salonu. Tutaj również ściany przykrywały cudowne gobeliny. Oparcia i siedziska foteli były obite tą samą tkaniną. Meble w większości wyglądały na dość stare, ale wszystkie lśniły dzięki troskliwej opiece pani Polgrey oraz jej paście z wosku i terpentyny.

— To pokój ponczowy — wyjaśniła. — Nazywamy go tak, ponieważ to tu zwykło się podawać poncz. W Mount Mellyn trzymamy się dawnych tradycji.

Na końcu salonu znajdowały się kolejne schody, ale tym razem nie ukryte za drzwiami, lecz za sutą, brokatową zasłoną. Gospodyni odsunęła ją i poprowadziła mnie w górę.

Znalazłyśmy się w galerii, której obie ściany wypełniały portrety rodzinne.

Szybko powiodłam po nich wzrokiem, zastanawiając się, czy zobaczę wizerunek Connana TreMellyna, ale nie dostrzegłam nikogo we współczesnym stroju, więc założyłam, że pan domu jeszcze nie zajął miejsca wśród przodków. Mijałyśmy kolejne drzwi, lecz pani Polgrey nie zwalniała, prowadząc mnie prosto do -jak się okazało — drugiego, mniej reprezentacyjnego skrzydła dworu, gdzie pomieszczenia były mniej okazałe.

— To — oznajmiła — będzie panny część domu. Na końcu korytarza są schody prowadzące do pokoi dzieciennych. Tam będzie panna mieszkała.

Najpierw jednak proszę do mojego saloniku na herbatę. Kiedy tylko usłyszałam, że Joe Tapperty wrócił, poleciłam Daisy, by przygotowała dla nas posiłek, więc pewnie nie będziemy musiały długo czekać.

— Obawiam się, że trochę potrwa, nim zapamiętam układ budynku ^ -powiedziałam.

— Szybciućko się panna nauczy. Ale wychodzić będzie panna inną drogą niż ta, którą pannę przyprowadziłam. Pokażę ją pannie, gdy już się panna rozpakuje i odpocznie.

— Bardzo pani dla mnie miła.

— Cóż, pragnę, by była tu panna z nami szczęśliwa. Nie raz, nie dwa mówiłam, że panienka Alvean potrzebuje opieki i dyscypliny, a ja przy tym nawale zajęć nie mogę się nią zająć. Ładnie by wyglądał dwór, gdybym cały swój czas poświęcała panience. Bo panienka Alvean naprawdę potrzebuje roztropnej guwernantki, a tych ostatnio jest jak na lekarstwo.

Jeśli więc dowiedzie panna, że potrafi zajmować się dzieckiem, może panna liczyć na serdeczne przyjęcie.

— Z tego, co wiem, miałam kilka poprzedniczek. — Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, więc szybko wyjaśniłam. — Przedemną były inne guwernantki.

— O, tak. I każda okazywała się niewypałem. Najlepsza była panna Jansen, ale wyszło na jaw, że ma niepiękne nawyki. To było dla mnie jak grom z jasnego nieba. Nawet mnie oszukała! — Pani Polgrey powiedziała to takim tonem, jakby oszukanie jej wymagało wręcz geniuszu.

— Ale, jak to mówią, pozory mylą. Panna Celestine była w rozpacz, gdy sprawa wyszła na jaw.

— Panna Celestine?

— Młoda dziedziczka Widden, panna Celestine Nansellock. Często nas odwiedza. Cichutka, przemiła. Uwielbia ten zamek. Wystarczy, że przestawię jakiś drobiazg, a natychmiast zauważy. Może dlatego tak polubiła pannę Jansen. Obie interesowały się starymi dworami. To była dla nas taka przykreść, taki szok... Kiedyś ją pani pozna. Właściwie nie ma dnia, by tu nie zajrzała. Niektórzy podejrzewają nawet, że... o, rety!

Rozgadałam się, a panna przecież marzy o herbacie.

Pchnęła drzwi i wkroczyłyśmy do zgoła innego świata. Dostojność i bagaż historii? Nie tutaj. Ten pokój głośił pochwałę terażniejszości.

W doskonały sposób odzwierciedlał charakter swojej właścicielki. Fotele były przykryte pokrowcami, w rogu stała etażerka, a na niej niezliczone bibeloty, łącznie ze szklanym pantofelkiem, złotą świnką i dzbankiem z napisem „Upominek z Weston”. W niewyobrażalnie zagraconym pokoju trzeba było przeciskać się między stoliczkami i stolikami, krzesłami i fotelami. Nawet na półce nad kominkiem porcelanowa pastreczka walczyła o miejsce z marmurowymi aniołkami. Pozłacany zegar z brązu tykał dostojnie. To, co zobaczyłam, potwierdziło moje przypuszczenia:

pani Polgrey była niewiastą o zdecydowanych poglądach i miała w głębokim poszanowaniu to, co właściwe. Czyli, oczywiście, to, co sama uznawała za właściwe.

Mimo to jednak ten pokój, podobnie jak sama pani Polgrey podziałał na mnie uspokajająco właśnie przez swoją normalność.

Gospodyni spojrzała na duży stół, cmoknęła niezadowolona i szarpnęła taśmę dzwonka. Nie minęło parę minut, jak w drzwiach pojawiła się ciemnowłosa pokojówka z wylupiastymi oczami, dźwigając tacę ze srebrnym czajniczką, lampką spirytusową, filiżankami, spodeczkami, mlekiem i cukrem.

— Lepiej późno niż wcale — skarciła ją pani Polgrey. — Postaw to tutaj, Daisy.

Daisy posłała mi znaczące spojrzenie, buskie porozumiewawczemu mrugnięciu. Nie chciałam obrazić pani Polgrey, więc udałam, że nic nie dostrzegłam.

— To jest Daisy — przedstawiła ją gospodyni. — Gdyby cokolwiek pannie nie odpowiadało, proszę jej powiedzieć.

— Dziękuję, pani Polgrey, i dziękuję tobie, Daisy.

Obie wyglądały na zaskoczone, ale Daisy dygnęła niezgrabnie, sama się tego wstydząc, po czym wyszła.

— Nowomodne obyczaje... — mruknęła pani Polgrey.

Zapaliła lampkę, po czym otworzyła szalkę i wyjęła puszkę herbaty.

— Kolację — podjęła —jemy o ósmej. Panna dostanie ją do pokoju. Pomyślałam jednak, że dziś przyda się pannie coś na wzmocnienie po podróży.

Kiedy już panna wypije herbatę i nieco się rozgości, przedstawię pannę panience Alvean.

— A co panienka robi o tej porze?

— Pewnie gdzieś się włóczy. — Pani Polgrey zmarszczyła brwi. — Wciąż gdzieś przepada. Jaśnie pan tego nie lubi. Dlatego tak mu zależało na guwernantce, rozumie pani.

Powoli zaczynałam rozumieć. Bez cienia wątpliwości wiedziałam już, że Alvean okaże się trudną podopieczną.

Pani Polgrey wsypywała herbatę z takim nabożeństwem, jakby odmierzała złoto, po czym zalała ją wrzątkiem.

— Najważniejsze, czy polubi pannę od pierwszego wejrzenia czy nie.

Od tego wszystko zależy — ciągnęła gospodyni. — Jest nieprzewidywalna.

Do niektórych od razu Ignie, a do innych natychmiast się zraża. Ogromnie upodobała sobie pannę Jansen. — Smutno pokręciła głową. — Szkoda, że miała te złe nawyki.

Zamieszała herbatę i przykryła czajniczek watowaną nakrywką.

— Z mlekiem? Słodzoną? — spytała.

— Tak, poproszę.

— Zawsze powiadam — zauważyła, jakby sądziła, że potrzebuję słów pociechy — że nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty.

Do herbaty pani Polgrey podała herbatniki, wyjęte z puszki, którą trzymała w szafce. Z rozmowy wywnioskowałam, że pan Connan Tre— Mellyn znajdował się poza domem.

— Ma włości dalej na zachód, w pobliżu Penzance — tłumaczyła gospodyni, zwyczajem Kornwalijszczyków kładąc akcent na drugą sylabę nazwy miasta. Odprężyła się, więc mniej się pilnowała i coraz częściej posługiwała się kornwalijskim dialektem. — Zagląda tam od czasu do czasu: pańskie oko konia tuczy. Wniosła je w wianie jego żona. Z domu była Pendleton, to ród z okolic Penzance.

— Kiedy się go spodziewacie z powrotem? — spytałam.

Gospodyni spojrzała na mnie zaskoczona. Najwyraźniej popełniłam nietakt, bo gdy odpowiedziała, w jej głosie zabrzmiał chłód.

— Jaśnie pan wróci, kiedy uzna za stosowne.

Zrozumiałam, że jeśli chcę utrzymać z nią dobre stosunki, muszę znać swoje miejsce. Widocznie guwernantka nie miała prawa wypytywać o pana domu. Owszem, pani Polgrey mogła o nim mówić, bo zajmowała uprzywilejowane stanowisko. Pojęłam, że szybko muszę się dostosować do tych wymogów.

Wkrótce potem gospodyni zaprowadziła mnie do mojej sypialni. Pokój okazał się przestronny i jasny, z dużymi oknami, wychodzącymi na trawnik przed domem. Siedząc na wyścielanym parapecie miałam świetny widok na palmy i aleję. Łóżko, choć obszerne, bo małżeńskie, ginęło w tym wielkim pomieszczeniu. Drewniany parkiet przykrywały chodniki.

Podłoga lśniła jak lustro i obawiałam się, że na wyfroterowanych deskach chodniki będą się ślizgać — po raz pierwszy dostrzegłam negatywne strony namiętności pani Polgrey do polerowania wszystkiego, co znalazło się w zasięgu jej wzroku. Bieliźniarka i komódka, stanowiące komplet z łóżkiem, uzupełniały wyposażenie pokoju. Zobaczyłam też drugie drzwi. Pani Polgrey zauważyła moje spojrzenie.

— Pokój szkolny — wyjaśniła. — A za nim sypialnia panienki.

— Rozumiem. Czyli dzieli nas pokój do nauki?

Skinęła głową.

Rozglądając się dalej po sypialni, zauważyłam stojący w głębi parawan.

Zajrzałam tam i zobaczyłam niewielką wannę.

— Jeśli będzie panna chciała się umyć — poinstruowała mnie gospodyni — wystarczy zadzwonić, a Daisy lub Kitty przyniosą gorącą wodę.

— Dziękuję. — Zatrzymałam wzrok na dużym kominku i wyobraziłam sobie ogień płonący w nim w mroźne, zimowe dni. — Już teraz widzę, że będzie mi tu bardzo wygodnie.

— Rzeczywiście, to miłe pomieszczenie. To panna Celestine wpadła na pomysł, by panią tu ulokować. Poprzednie guwernantki mieszkały w pokoju przylegającym do sypialni panienki Alvean. Tak, tak, to rzeczywiście o wiele przyjemniejszy pokój.

— Zatem jestem winna pannie Celestine podziękowanie.

— To niezwykle miła młoda dama. I bardzo kocha panienkę Alvean.

Pani Polgrey znacząco pokiwała głową. Czyżby myślała, że choć od śmierci żony upłynął zaledwie rok, Connan TreMellyn może już myśleć o powtórny ożenku? A któż lepiej nadawałby się na żonę, jeśli nie sąsiadka, przepadająca za małą Alvean? Niewykluczone, że czekają tylko, aż upłynie stosowny okres żałoby.

— Pewnie chce pani się obmyć i rozpakować? Kolację podamy za dwie godziny. A może woli pani obejrzeć pokój szkolny?

— Dziękuję, pani Polgrey — odrzekłam — ale chyba najpierw umyję się i rozpakuję.

— Oczywiście. A może chce pani trochę odpocząć? Podróże ogromnie wyczerpują, coś o tym wiem. Przyślę tu Daisy z ciepłą wodą. Posiłki możemy też przysyłać do szkolnego pokoju. Czy to by pani bardziej odpowiadało?

— Jadłabym z panienką Alvean?

— Od niedawna siada do stołu z ojcem, tu zjada tylko ostatni posiłek przed snem, mleko z kawałkiem placka. Skończywszy osiem lat, dzieci jedzą tu posiłki z rodzicami, a panienska Alvean w maju skończyła osiem lat.

— Są też inne dzieci?

— O, nie, uchowaj Boże! Mówiłam ogólnie. To tutejsza tradycja.

— Rozumiem.

— Cóż, nie przeszkadzam. Jeśli ma panna ochotę na przechadzkę przed kolacją, proszę się nie krępować. Niech panna zadzwoni, a Daisy albo Kitty, zależy, która będzie miała czas, pokaże pannie schody, z których od tej pory będzie panna korzystać. Wyjdzie panna prosto na warzywnik koło domu, a dalej już sama zdecyduje, dokąd chce się wybrać.

Tylko proszę pamiętać, by wrócić na kolację o ósmej.

— W pokoju szkolnym.

— Albo, jeśli to pannie bardziej odpowiada, w tym pokoju.

— Ale — dodałam — w pomieszczeniach guwernantki.

Nie wiedziała, jak rozumieć tę uwagę, a jeśli pani Polgrey czegoś nie rozumiała, udawała, że nie słyszy. Po paru minutach wreszcie mnie zostawiła.

Po jej odejściu wróciło poczucie wyobcowania. W uszach dźwięczała mi cisza. Niesamowita cisza starego zamczyska.

Podeszłam do okna i wyrzałam. Wydawało mi się, że to już tak dawno, jak zajechałam z Tappertym przed dom. Z oddali dobiegł mnie śpiew makolągwy.

Spojrzałam na zegarek przypięty do bluzki: niedawno minęła szósta, prawie dwie godziny do kolacji. Zastanawiałam się, czy nie wezwać Daisy albo Kitty, aby poprosić o ciepłą wodę, ale mój wzrok uparcie zatrzymywał się na drzwiach, wiodących do pokoju szkolnego.

W końcu to przecież będzie moje królestwo, pomyślałam. Mam prawo tam zajrzeć. Otworzyłam drzwi. Pokój okazał się większy niż moja sypialnia, ale były tu identyczne okna i parapety, wyściełane czerwonymi, pluszowymi poduszkami. Na środku stał duży stół. Kiedy podeszłam, zobaczyłam na blacie rysy i ślady atramentu. Zapewne siedziały tutaj i pobierały nauki liczne pokolenia TreMellynów. Próbowałam sobie wyobrazić Connana TreMellyna jako chłopca, uczącego się przy tym stole. Zobaczyłam małego, pilnego chłopca, w niczym nieprzypominającego niesfornej, trudnej dziewczynki, którą miałam okiełznać.

Na stole leżało parę książek. Przejrzałam je. W większości były to czytanki dla dzieci, które zawierały budujące przypowieści i opowiadania z morałem. Znalazłam też kajet z nagryzmołonym podpisem: „Alvean TreMellyn, arytmetyka”. Otworzyłam go i zobaczyłam słupki dodawanych — zwykle błędnie — liczb. Leniwie przerzucając kartki, trafiłam na szkic — portret dziewczynki — i natychmiast rozpoznałam Gilly, dziecko, które otworzyło nam bramę.

— Niezłe — mruknęłam. — Zatem nasza Alvean ma talent do rysowania.

To już coś.

Zamknęłam zeszyt. Znowu ogarnęło mnie to samo dziwaczne uczucie, co w chwili przyjazdu: że ktoś bacznie mnie obserwuje.

— Alvean! — zawołałam. — Alvean, jesteś tam? Gdzie się ukrywasz, Alvean?

Odpowiedziała mi jedynie cisza. Zarumieniłam się z zakłopotania, czując, że się ośmieszyłam. Obróciłam się na pięcie i poszłam do swojego pokoju. Zadzwoiłam, a gdy zjawiła się Daisy, poprosiłam o gorącą wodę.

Przez następne dwie godziny rozpakowywałam i wiesziałam ubrania.

A w chwili gdy zegar na stajni wybił ósmą, w pokoju zjawiła się Daisy z tacą. Na talerzu leżało pieczone udko kurczaka z warzywami, a pod cynową pokrywką — legumina.

— Zje panienka tutaj czy w pokoju szkolnym? — spytała.

Nie uśmiechało mi się jedzenie w pokoju, w którym czułam się podglądana.

— Tutaj, Daisy — odrzekłam. A ponieważ wyglądała na osobkę lubiącą ploteczki, postanowiłam pociągnąć ją za język. — Gdzie zniknęła panienka Alvean? Dziwne, że jeszcze jej nie spotkałam.

— Ach, co za niesforne dziewczuszyko! — zawołała Daisy. — Mnie i Kit niezłe by się dostało, gdybyśmy zachowywały się jak ona! Ojciec złożyłby nam rzemieniem skórę, tak że długo nie mogłybyśmy siedzieć! Zwiedziła się, że przyjeżdża nowa nauczycielka, i tyleśmy ją widzieli. Jaśnie pan wyjechał i zachodziliśmy w głowę, gdzie jej szukać. Na szczęście zjawił się chłopak z Mount Widden, żeby powiedzieć, co panienka jest u nich.

Poszła se w odwiedziny do panny Celestine i panicza Petera.

— Rozumiem. W ten sposób okazała niezadowolone z przyjazdu nowej guwernantki.

Daisy przysunęła się i szturchnęła mnie porozumiewawczo.

— Panna Celestine świata za nią nie wadzi. Rozpieszcza, jakby to była jej własna córka. Ale zaraz...! Czy to nie powóz?

Podskoczyła do okna i przywołała mnie ruchem ręki. Czułam, że nie powinnam sterczeć w oknie wraz ze służącą i podglądać, co się dzieje, ale pokusa okazała się zbyt silna. Stałam więc przy Daisy i patrzyłam, jak wysiadają z powozu... Młoda kobieta, zapewne moja rówieśnica, może trochę starsza, i dziecko. Kobietę obrzuciłam tylko przelotnym spojrzeniem, całą uwagę skupiając na dziewczynce. Wszak to od Alvean zależało, czy utrzymam się tutaj, nic więc dziwnego, że przez parę sekund nie dostrzegałam nikogo poza nią.

Na pierwszy rzut oka wyglądała całkiem przeciętnie. Dość wysoka jak na swój wiek; zaplecione ciemnoblond włosy musiały być bardzo długie, bo warkocz okalał głowę jak korona. Fryzura dodawała jej lat i powagi, pomyślałam więc, że dziewczynka okaże się nad wiek rozwinięta. Alvean miała na sobie brązową sukienkę, białe pończochy i czarne pantofelki z paskiem wokół kostki. Wyglądała jak miniatura dorosłej kobiety, co z niewytłumaczalnego powodu bardzo mnie przygnębiło i sprawiło, że upadłam na duchu.

Jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że jest obserwowana i zerknęła w górę. Mimowolnie cofnęłam się, ale doskonale wiedziałam, że mnie dostrzegła. W ten sposób jeszcze przed bezpośrednim spotkaniem straciłam punkty.

— Założę się, że coś zbroi — mruknęła Daisy.

— Może — perswadowałam, wracając na środek pokoju — trochę się obawia swojej nowej guwernantki.

Służąca wybuchnęła śmiechem.

— Ona?! Panienka daruje, ale to naprawdę śmiechu warte, ot co.

Usiadłam przy stole i zaczęłam jeść. Daisy zbierała się do wyjścia, gdy rozległo się pukanie i do pokoju weszła Kitty. Wykrzywiła się do siostry, a do mnie uśmiechnęła jak do starej znajomej.

— Och, panienko — zwróciła się do mnie — pani Polgrey prosi, żeby, jak już panienka zje, zeszła do pokoju ponczowego. Czeka tam panna Nansellock, która chce panienkę poznać. Panienka Alvean wróciła do domu. Proszą, żeby panienka przyszła jak najszybciej. Najwyższy czas, żeby panienka Alvean kładła się spać, — Zejdę, kiedy zjem — odparłam.

— To niech wtedy panienka zadzwoni, to ja albo Daisy panienkę zaprowadzimy.

Dziękuję.

Usiadłam i bez pośpiechu skończyłam posiłek.

Wstałam i przejrzałam się w lusterku, stojącym na toaletce. Miałam rumieńce, ale było mi z tym do twarzy, moje oczy nabierały złocistego odcienia bursztynu. Minął kwadrans od wyjścia Daisy i Kitty, przypuszczałam więc, że pani Polgrey, Alvean i panna Nansellock niecierpliwą się, kiedy wreszcie zejdę. Ale ja nie zamierzałam upodabniać się do innych guwernantek i być zastraszoną szarą myszką. Jeśli prawidłowo oceniłam charakter mojej podopiecznej, musiałam od pierwszej chwili pokazać jej, że ja tu rządzę i oczekuję szacunku oraz posłuchu.

Zadzwoniłam i pojawiła się Daisy.

— Czekają na panienkę w pokoju ponczowym. Panienka Alvean już dawno powinna była zjeść kolację.

— W takim razie pozostaje tylko żałować, że nie wróciła wcześniej odparłam ze słodyczą.

Daisy parsknęła śmiechem, aż zatrzęsł się jej biust, rozsadzający obcisły stanik bawełnianej sukni. Wyglądała na osóbkę, która lubiła się śmiać. Podejrzewałam, że jest taką samą trzpiotką jak jej siostra.

Poprowadziła mnie do pokoju, przez który wcześniej przeszłam z panią Polgrey. Zamaszyście odgarnęła kotarę i oznajmiła:

— A oto i panienka.

Pani Polgrey siedziała na jednym z tapicerowanych krzeseł, podobnie jak Celestine Nansellock. Alvean stała z dłońmi splecionymi na plecach.

Niepokoiliła mnie jej przesadnie grzeczna minka.

— Ach — odezwała się pani Polgrey, wstając — oto i panna Leigh. Panna Nansellock czekała, by panią poznać.

W głosie gospodyni zabrzmiała lekka wymówka. Wiedziałam, co oznaczała: ja, prosta guwernantka, kazałam czekać jaśnie pani, aż raczę skończyć kolację.

— Miło mi panią poznać — powiedziałam.

Wyglądały na zaskoczone. Zapewne powinnam była dygnąć albo w inny sposób okazać, że znam swoje miejsce w towarzystwie. Czułam wwiercające się we mnie spojrzenie dziewczynki. Tak naprawdę przez pierwszych parę chwil istniała dla mnie tylko Alvean. Jej oczy miały niezwyklej odcień przejrzystego błękitu. Wyrosnie na prawdziwą piękność, pomyślałam.

Byłam ciekawa, czy odziedziczyła urodę po ojcu czy po matce.

Panna Nansellock stanęła obok dziewczynki, kładąc jej dłoń na ramieniu.

— Panienska Alvean przyjechała do nas w odwiedziny. Bardzo się przyjaźnimy. Jestem Celestine Nansellock z Mount Widden — przedstawiła się. — Zapewne widziała pani nasz dom.

— Owszem, w drodze ze stacji.

— Mam nadzieję, że nie będzie się pani gniewać na Alvean.

Dziewczynka poruszyła się, w jej oczach pojawił się błysk. Patrząc prosto w te pełne wyzwania, błękitne oczy, odrzekłam:

— Nie mogę karcić jej za coś, co wydarzyło się przed moim przyjazdem, nieprawdaż?

— Traktuje mnie... nas... niemal jak rodzinę — ciągnęła Celestine Nansellock. — Mieszkamy tak blisko...

— Nie wątpię, że taka przyjaźń to dla niej prawdziwy skarb — odparłam i po raz pierwszy baczniej przyjrzałam się Celestine Nansellock.

Była ode mnie wyższa, ale nie można by jej nazwać pięknnością. Włosy miała mysie, oczy piwne, a cerę bladą. Sprawiała wrażenie wyjątkowo potulnej i cichej, a może po prostu przytłaczały ją sobą krnąbrna Alvean i pełna godności własnej pani Polgrey.

— Mam nadzieję, że jeśli będzie pani potrzebowała rady, nie zawaha się pani do mnie zwrócić, panno Leigh. Jestem bliską sąsiadką i pochlebiam sobie, że traktuje się tu mnie jak członka rodziny.

— Bardzo pani łaskawa — podziękowałam.

Spojrzała mi w oczy.

— Chcemy, by czuła się tu pani szczęśliwa, panno Leigh. Wszyscy szczerze tego pragniemy.

— Dziękuję. A teraz chyba powinnam zająć się Alvean. Zapewne zwykle o tej porze już dawno śpi.

Celestine uśmiechnęła się łagodnie.

— Słusznie pani zgaduje. Zazwyczaj o wpół do ósmej dostaje mleko z plackiem, a teraz jest już dobrze po ósmej. Ale dziś ja się nią zajmę, a pani może już pójść do siebie. Musi pani być zmęczona po długiej podróży.

— Nie, Celestine! — zawołała Alvean, nim zdążyłam odpowiedzieć. — Niech ona mnie położy. Jest przecież moją guwernantką, to jej obowiązek, prawda?

W oczach Celestine błysnęła przykrość, a w oczach dziewczynki triumf. Chyba rozumiałam, co się tu działo, Alvean sprawdzała swoją władzę. Nie zgodziła się, by Celestine położyła ją do łóżka, tylko dlatego że tamta bardzo pragnęła to zrobić.

— Cóż, w takim razie nic tu po mnie — powiedziała panna Nansellock.

Patrzyła na Alvean, jakby liczyła, że dziewczynka będzie nalegać, by została, lecz ona całą uwagę skupiła teraz na mnie.

— Dobranoc — rzuciła tylko młodej kobiecie. — Chodźmy, jestem głodna — rozkazała.

— Zapomniałaś podziękować pannie Nansellock za odwiezienie do domu — skarciłam ją.

— Nie zapomniałam — odparowała. — Nigdy o niczym nie zapominam.

— W takim razie pamięć masz lepszą niż maniery — oświadczyłam.

Były zdumione. Wszystkie trzy. Ja także zaskoczyłam samą siebie.

Wiedziałam jednak, że muszę być zdecydowana, by wzbudzić w mojej podopiecznej respekt.

Alvean spłonęła rumieńcem, jej oczy stwardniały. Już-już miała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co, więc odwróciła się i wypadła z pokoju.

— No, proszę! — zawołała pani Polgrey. — Panno Nansellock, bardzo dziękuję, że zadała sobie pani...

— Nonsens, pani Polgrey — ucięła Celestine. — Toż to oczywiste, że ją przywiozłam.

— Podziękuj pani później — zapewniłam ją.

— Panno Leigh — odrzekła z powagą Celestine — niechże pani postępuje ostrożnie z tym dzieckiem. Niedawno... straciła matkę. — Usta jej zadrżały, ale zmusiła się do uśmiechu. — Uplętnęło tak mało czasu, wciąż żyjemy w cieniu tej tragedii.

— Rozumiem. Nie będę wobec niej surowa, widzę jednak, że potrzebuje dyscypliny.

— Niech pani uważa. — Celestine przysunęła się bliżej i położyła mi rękę na ramieniu. — Dzieci to delikatne istoty.

— Będę myślała wyłącznie o dobru Alvean — zapewniłam ją.

— Życzę pani powodzenia. — Uśmiechnęła się i zwróciła do pani Polgrey.

— Na mnie już czas, chcę wrócić do domu przed zmrokiem.

Gospodyni zadzwoniła na pokojówkę.

— Zaprowadź pannę Leigh do pokoju, Daisy — poleciła, gdy ta się pojawiła.

— Czy panienka Alvean dostała już mleko?

— Tak, psze pani — brzmiała odpowiedź.

Życzyłam dobrej nocy Celestine Nansellock, która w odpowiedzi skinęła mi głową, po czym wyszłam z Daisy.

Poszłam do szkolnego pokoju, gdzie siedziała Alvean, pijąc mleko i jedząc placek. Udawała, że mnie nie widzi, gdy podeszłam do stołu i usiadłam przy niej.

— Alvean — odezwałam się. — Jeśli nasze stosunki mają się dobrze układać, musimy osiągnąć porozumienie. Nie sądzisz, że to roztropne i pożądane?

— Jest mi to całkowicie obojętne — odparła krótko.

— Wcale nie jest ci to obojętne. Jeśli będziemy się dobrze rozumieć, wszyscy tylko na tym zyskają.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

— A jeśli nie, zostaniesz odprawiona. Znajdzie się inna guwernantka.

Nic mnie to nie obchodzi.

Spojrzała na mnie z triumfem. Aż nadto wyraźnie dawała do zrozumienia, że jestem tu na służbie, a mój los spoczywa w jej dłoniach. Prze— Bzedł mnie nieprzyjemny dreszcz. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak się czują ci, których byt zależy od łaskawości innych.

W oczach Alvean płonąła złośliwość i z trudem powstrzymywałam się, by nie wymierzyć jej policzka.

— A powinno bardzo cię obchodzić — odrzekłam spokojnie — bo znacznie przyjemniej jest żyć w harmonii niż w niezgodzie z tymi, którzy nas otaczają.

— Jakież to ma znaczenie, jeśli możemy usunąć ich z otoczenia... jeśli możemy kazać ich odesłać?

— Dobroć znaczy więcej niż wszystko inne na tym świecie.

Uśmiechnęła się ironicznie i dopiła mleko.

— A teraz — oznajmiłam, wstając — do łóżka.

— Sama się kładę. Nie jestem już dzieckiem.

— Może błędnie uznałam cię za dziecko, ale widziałam, jak wiele jeszcze musisz się nauczyć.

To dało jej do myślenia. A potem wzruszyła ramionami, co — jak się wkrótce przekonałam — stanowiło jej najczęstszą odpowiedź.

— Dobranoc — odesłała mnie.

— Zajrzę, by ci życzyć dobrej nocy, gdy już się położysz.

— Nie trzeba.

— Mimo to zajrzę.

Otworzyła drzwi swojego pokoju, a ja odwróciłam się i poszłam do siebie.

Z ciężkim sercem myślałam o czekającym mnie wyzwaniu. Nie miałam doświadczenia w postępowaniu z dziećmi. Do tej pory wyobrażałam sobie, że to słodkie, czułe istotki, a opieka nad nimi to czysta przyjemność. Tymczasem trafiła mi się trudna wychowanka. Co się ze mną stanie, jeśli pan TreMellyn uzna, że nie nadaję się na guwernantkę Alvean? Jaki los spotykał zubożałe panny z dobrego domu, które nie zadowolili chlebodawców?

Mogłam oczywiście zamieszkać u Phillidy i stać się jedną z owych starych ciotek, którymi wszyscy się wysługiwali, a których żałosna egzystencja zależała od łaskawości rodziny. Aleja nie znosiłam zależności.

Musiałabym zatem znaleźć inną posadę.

Ogarnął mnie strach. Aż do konfrontacji z Alvean nie przyszło mi na myśl, że mogę się nie utrzymać na stanowisku. Teraz starałam się nie myśleć o przyszłości, jaka mnie czeka — o latach wędrówki z jednego domu do drugiego i długiej liście niezadowolonych chlebodawców. Co się działo z kobietami takimi jak ja, zmuszonymi do ciągłej walki o byt, a zupełnie do niej nieprzygotowanymi?

Miałam ochotę rzucić się na łóżko i płakać jak dziecko, żaląc się na okrucieństwo losu, który odebrał mi kochających rodziców i rzucił mnie na pożarcie bezwzględnemu światu.

Zaraz jednak wyobraziłam sobie, że zjawiam się w pokoju Alvean zapuchnieta od łez. Jakże by triumfowała! Nie tak muszę rozpocząć wojnę, która — co do tego nie miałam cienia wątpliwości — wybuchnie między nami.

Krażyłam po pokoju, próbując zapanować nad emocjami. Stałam w oknie i zapatrzyłam się na linię wzgórz. Z moich okien nie było widać morza, bo zajmowałam pokój od frontu, a dom stał tyłem do zatoki. Podziwiałam więc rozciągające się przede mną zielone pagórki.

Cóż za piękno! Z pozoru taki spokój, a jaki konflikt kipiący pod powierzchnią.

Wystarczyło trochę się wychylić, by zobaczyć Mount Widden.

Dwa dwory od lat dominujące nad okolicą, pokolenia Nansellocków i pokolenia TreMellynów mieszkające tak blisko, że historia jednego domu zapewne w wielu punktach pokrywała się z historią drugiego.

Odsunęłam się od okna i przez pokój szkolny przeszłam do sypialni Alvean.

— Alvean — odezwałam się cicho.

Leżała w łóżku z mocno, zbyt mocno, zaciśniętymi powiekami. Pochyliłam się nad nią.

— Dobranoc, Alvean. Wiesz, jeszcze się zaprzyjaźnimy — wyszeptałam.

Nie odpowiedziała. Udawała, że śpi.

Mimo zmęczenia źle spałam. Zapadałam w sen i nagle się budziłam.

Powtarzało się to tyle razy, że wreszcie całkowicie się rozbudziłam. Leżałam w łóżku i rozglądałam się po pokoju. W poświacie księżyca widziałam niewyraźne zarysy mebli. Nie opuszczało mnie wrażenie, że nie jestem sama, że słyszę jakieś szepty. Nie dawało mi spokoju przekonanie, że w tym domu wydarzyła się tragedia, która do tej pory kładzie się na nim cieniem.

Pomyślałam, czy to nie wiąże się jakoś ze śmiercią matki Alvean.

Nie żyła zaledwie od roku. Zastanawiałam się, w jaki sposób zmarła.

Myślałam też o Alvean, która okazywała mi taką wrogość. To musiało mieć jakąś przyczynę. Żadne dziecko bez powodu nie odnosiłoby się tak nieprzyjaźnie do obcych. Postanowiłam dotrzeć do przyczyn takiego zachowania dziewczynki. Wyzaczyłam sobie cel: sprawić, by stała się szczęśliwym, normalnym dzieckiem.

Zasnęłam dopiero po świcie. Nadejście dnia przyniosło mi ukojenie, bo w tym domu bałam się ciemności. Dziecinne, ale tak wyglądała prawda.

Zjadłam śniadanie w pokoju szkolnym z Alvean, która z dumną miną oznajmiła, że kiedy wróci do domu ojciec, posiłki będzie spożywać wraz z nim.

Później zabrałyśmy się do pracy. Alvean okazała się inteligentną dziewczynką; przeczytała więcej książek niż inne dzieci w jej wieku, a w czasie lekcji nie mogła ukryć błysku zainteresowania w oczach, choć uparcie starała się utrzymać między nami chłodny dystans. Powoli nabierałam otuchy; uwierzyłam, że z czasem uda mi się osiągnąć cel.

W południe zjadłyśmy gotowaną rybę i pudding z ryżu, a kiedy po posiłku Alvean zaproponowała wspólny spacer, poczułam, że zaczynam zdobywać jej sympatię.

Na terenie majątku znajdował się las i to tam postanowiła zaprowadzić mnie Alvean. Uradowana, że chce mi go pokazać, chętnie z nią poszłam.

— Niech pani spojrzy! — zawołała, zrywając purpurowy kwiatek i pokazując mi go. — Wie pani, co to jest?

— Bukwica, jeśli mnie pamięć nie zawodzi.

Skinęła głową.

— Niech pani sobie nazrywa i wstawi do wazonu. Odstrasza złe duchy.

— Toż to zabobon! — Roześmiałam się. — Czemu miałabym odpędzać złe duchy?

— Każdy powinien to robić. Bukwica rośnie na cmentarzach. Dlatego że leżą tam zmarli. Rośnie, bo ludzie boją się zmarłych.

— I niepotrzebnie. Zmarli nikomu nie robią krzywdy.

Alvean wsunęła mi kwiat w dziurkę od guzika płaszcza. Wzruszyła mnie tym. Jej buzia złagodniała, czułam, że dziewczynka w ten sposób okazuje mi sympatię.

— Dziękuję — powiedziałam łagodnie.

Spojrzała na mnie i w jednej chwili sympatię zastąpiły psotność i wyzwanie.

— Nie złapie mnie pani! — zawołała i uciekła.

Nawet nie próbowałam jej gonić.

— Alvean, wracaj! — krzyknęłam, lecz już zniknęła wśród drzew.

W oddali słyszałam tylko jej drwiący śmiech.

Postanowiłam iść do domu, ale las był gęsty, a nie znałam drogi.

Zawróciłam, ale po pewnym czasie przekonałam się, że jednak to nie z tej strony przyszłyśmy. Ogarnęła mnie panika, ale tłumaczyłam sobie, że przecież słońce stoi wysoko na niebie, a do domu mam najwyżej pół godziny spacerem. Zresztą nie sądziłam, by las był bardzo rozległy.

Nie dam Alvean satysfakcji, że się zgubiłam. Energicznie maszerowałam przed siebie wśród drzew. Ale las z minuty na minutę stawał się coraz gęstszy; wiedziałam już, że nie tędy tu przyszłyśmy. Narastała we mnie złość na Alvean, zwłaszcza że słyszałam za sobą szelest liści, jakby ktoś mnie śledził. Byłam pewna, że dziewczynka ukrywa się w pobliżu i w duchu się ze mnie śmieje.

Ale wtedy usłyszałam czyjś śpiew. Ktoś nieco fałszywie nucił piosenkę, która rozbrzmiewała we wszystkich salonach i salonikach kraju.

A mimo to gdy ją rozpoznałam, przeszedł mnie dreszcz.

Gdzieżeś jest, ma Alice?

Rok jeszcze nie minął,

Gdyś u mego boku

Miłość przysięgała.

Gdzieś odeszła, Alice?

— Kto to? — zawołałam.

Nikt nie odpowiedział, ale w oddali mignęła dziewczęca postać i długie, niemal białe włosy. To mogła być tylko Gilly, która wczoraj obserwowała mnie zza krzewów hortensji przy bramie.

Energicznie maszerowałam dalej, a po pewnym czasie drzewa się przerzedziły i zauważyłam drogę. Wtedy zorientowałam się, że jestem na zboczu, którym można było dojść do bramy wjazdowej.

Kiedy tam dotarłam, pani Soady, tak samo jak dzień wcześniej, siedziała przed domkiem, zajęta robótką.

— A co to, panienko? — zawołała. — Wybrała się panienka na przechadzkę?

— Poszłyśmy z panienką Alvean na spacer i w pewnym momencie zniknęłyśmy sobie z oczu.

— Ta psotnica czmychnęła panience?

Pani Soady pokręciła głową i podeszła do bramy, ciągnąc za sobą nitkę.

— Przypuszczam, że trafi sama do dworu — powiedziałam.

— Jużci, że trafi. Panienka Alvean zna każdą trawkę w tym lesie.

O, widzę, że narwała sobie panienka bukwy? I dobrze, zawsze się przyda.

— Panienka Alvean zerwała ją i uparła się, żebym ją nosiła.

— Proszę, proszę! Już taka przyjaźń?

— Słyszałam w lesie śpiew małej Gilly.

— Wcale się nie dziwię. Ona ciągiem śpiewa w lesie.

— Wołałam, ale nie podeszła.

— Jest nieśmiała, ot co.

— Cóż, na mnie już czas. Do widzenia, pani Soady.

— Miłego dnia panience.

Ruszyłam w stronę domu. Idąc wśród hortensji i fuksji, mimowolnie natężałam słuch, w nadziei że wychwycę odległy śpiew, lecz słyszałam jedynie szelesty przemykających wśród krzaków małych zwierząt.

Zmęczona i spocona dotarłam wreszcie do domu. Poszłam prosto do siebie i poprosiłam o wodę. Umywszy się i uczesawszy, zajrzałam do pokoju szkolnego, gdzie czekał już na mnie podwieczorek.

Alvean z miną aniołka siedziała przy stole. Ani słowem nie wspomniała o naszej popołudniowej wycieczce, a ja też nie poruszyłam tego tematu.

— Nie wiem, jak to ustalały moje poprzedniczki — zwróciłam się do niej po posiłku — ale ja proponuję, by lekcje odbywały się do południa, potem do podwieczorku będziesz miała przerwę, a od piątej do szóstej będziemy wspólnie czytały.

Nie odpowiedziała, tylko bacznie mi się przyglądała.

— Czy podoba się pani moje imię? — spytała nieoczekiwanie. — Zna pani kogoś, kto miałby na imię Alvean?

Odrzekłam, że imię mi się podoba i że spotykam się z nim po raz pierwszy.

— To kornwalyskie imię. Wie pani, co oznacza?

— Nie mam pojęcia.

— To wyjaśnię pani. Mój ojciec zna język kornwalijski i pisze w nim.

Na wzmiankę o ojcu buzia jej posmutniała i pojawił się na niej wyraz tęsknoty. Wreszcie ktoś, kogo podziwia i na czyjej aprobacie jej zależy, pomyślałam.

— Po kornwalijsku — ciągnęła — Alvean oznacza małą Alice.

— Aha — odparłam nieco drżącym głosem.

Podeszła do mnie i położyła mi ręce na kolanach. Potem uniosła głowę i spojrzała na mnie z powagą.

— Moja mama nazywała się Alice. Nie ma jej już wśród nas, ale dostałam imię po niej. Dlatego zostałam małą Alice.

Nie mogłam dłużej znieść baczego spojrzenia dziecka. Wstałam i podeszłam do okna.

— Spójrz! — zawołałam. — Na trawniku są pawie!

Stanęła przy mnie.

— Wyszły, bo zbliża się pora karmienia. Łakome darmozjady! Zaraz Daisy przyniesie im ziarna. Doskonale o tym wiedzą. — Nie widziałam paw, spacerujących przed domem, tylko kpiące oczy nieznanego z pociągu, który ostrzegał mnie przed Alice.

Czwartego dnia mojego pobytu do Mount Mellyn powrócił jego właściciel.

Choć minęło tak niewiele czasu, zdążyłam już wprowadzić pewien porządek dnia. Co rano po śniadaniu siadałyśmy z Alvean do lekcji.

Uczenie jej dawało wielką satysfakcję, choć z lubością zadawała pytania, na które -jak w cichości ducha liczyła — nie będę znała odpowiedzi.

Nie uczyła się, by sprawić mi przyjemność, po prostu jej głód wiedzy wygrywał nawet z niechęcią do mnie. Podejrzewałam wręcz, że Alvean ułożyła chytry plan, by nauczyć się tyle co ja i wtedy stanąć przed ojcem z pytaniem: skoro guwernantka nie może już mnie nauczyć niczego więcej, to jaki sens ma jej dalsza obecność?

Przypominałam sobie budujące opowieści o guwernantkach, które dożywały szczęśliwej starości w domach swoich podopiecznych, otoczone ich czulą opieką. Ja nie mogłam liczyć na taką sielską przyszłość.

W każdym razie nie pod tym dachem.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam imię Alice, przez dłuższą chwilę nie mogłam się uspokoić. A wkrótce potem zapadł zmrok i dom znowu przeszedł pod władanie cieni.

Oczywiście, tłumaczyłam sobie, to jedynie twór mojej wyobraźni. Wszystko przez tamtego nieznanego mężczyznę i jego przepowiednie.

Czasem, gdy w domu zapadała cisza, a ja samotnie siedziałam w pokoju, zastanawiałam się, jak właściwie zmarła Alice. Musiała być dość młoda. Zapewne, tłumaczyłam sobie, tak żywo odczuwałam jej obecność, bo odeszła stosunkowo niedawno — w końcu rok to nie tak wiele.

Parę razy w nocy budziło mnie ni to zawrozczenie, ni szept: „Alice— Alice... Gdzie jest Alice?”.

Podeszłam do okna i wytężyłam słuch. Wiatr przynosił nowe szepty.

Następnego ranka Daisy, która, podobnie jak siostra, mocno stąpała po ziemi, położyła kres moim domysłom.

— Słyszała wczoraj panienska, jak morze gadało w starej zatoce Mellyn?

— zapytała, stawiając dzbanek z wodą. — Szu, szu, szu, aaa, aaa, aaa... I tak przez całą noc. Jakby dwie plotkarki sobie coś szeptały do ucha.

— Tak, rzeczywiście, słyszałam.

— To się czasem zdarza, gdy fale są wysokie, a wiatr powieje z dobrej strony.

Śmiać mi się chciało z siebie. Zagadka sama się rozwiązała.

Rozdział 2

Poznałam bliżej domowników Mount Mellyn. Któregoś dnia pani Tapperty zaprosiła mnie na kieliszeczek wina z pasternaku. Wyraziła nadzieję, że dobrze się czuję w zamku. Zwierzyła mi się z dopustu, jaki ma z panem Tappertym, który nie potrafi oderwać wzroku — ni rąk — od służących. Im młodsze, tym lepsze. Biedaczka obawiała się, że Kitty i Daisy poszły w ojca. Szkoda, że nie w matkę, wedle jej własnego zapewnienia, kobietę bogobojną, która co niedziela uczestniczyła w porannym i wieczornym nabożeństwie. Teraz, gdy córki dorosły, pani Tapperty doszło kolejne zmartwienie: musiała już nie tylko zachodzić w głowę, czy Joe Tapperty nie ogląda się za panią Tully, ale także myśleć o tym, co też Daisy robi w stajni z Billym Trehayera, a Kitty ze służącym z Mount Widden. Prawdziwy krzyż dla uczciwej niewiasty, która w swoim życiu kierowała się przykazaniami i tego samego życzyła innym.

Odwiedziłam też panią Soady, urzędującą w stróżówce. Tam usłyszałam długie opowieści o jej trzech synach i ich przychówku.

— W życiu-m nie widziała, żeby ktoś tak darł pończochy. Człowiek mógłby cerować cały boży dzień, a i tak by nie nadążył.

Gorąco pragnęłam dowiedzieć się więcej o domu, w którym mieszkam, a tajniki cerowania nie wzbudzały we mnie entuzjazmu, nie zaglądałam więc do pani Soady zbyt często.

Staralam się za to znaleźć Gilly i z nią porozmawiać, a choć od cza su do czasu ją widywałam, nie udawało mi się jej dogonić. Wołałam, ale wtedy jeszcze szybciej uciekała. Ilekroć słyszałam dziwny śpiew dziew czynki, ścisnęło mi się serce.

Uważałam, że trzeba coś dla niej zrobić. Z gniewem myślałam o tych prostakach, którzy uważali ją za niespełna rozumu, tylko dlatego że się od nich różniła. Bardzo chciałam porozmawiać z Gilly, dowiedzieć się, co kryje się za jej szklistym spojrzeniem.

Wiedziałam, że budziłam w niej ciekawość, i miałam nadzieję, że jakimś szóstym zmysłem wyczuje moje zainteresowanie. A mimo wszystko się mnie bała. Coś kiedyś musiało ją śmiertelnie przerazić i stąd wzięła się ta chorobliwa nieśmiałość. Gdybym tylko dowiedziała się, co to takiego; gdybym zdołała ją przekonać, że z mojej strony nic jej nie grozi... Wtedy, byłam o tym głęboko przekonana, pomogłabym jej stać aię normalnym dzieckiem.

W tamtym okresie myślałam o Gilly częściej, a na pewno nie rzadziej niż o Alvean. W mojej podopiecznej widziałam niesforne, rozpuszczone dziecko — takie samo jak tysiące innych. W Gillyflower zaś wyczuwałam niezwykłą osobowość.

Nie mogłam rozmawiać o małej z jej myślącą stereotypami babką, panią Polgrey. Dla niej ludzie dzielili się na normalnych i szalonych, z tym że pojęcie normalności określała ona sama, na podstawie własnych kryteriów. A ponieważ Gilly pod żadnym względem nie przypominała babki, nieodwracalnie została uznana za szaloną.

Dlatego gdy próbowałam o niej rozmawiać z panią Poigrey, gospodyni zmieniła temat, jasno dając mi do zrozumienia, że przyjęto mnie, bym zajmowała się panienką Alvean, a Gilly mam się nie interesować.

Tak oto miały się sprawy w dniu, gdy Connan TreMellyn powrócił do Mount Mellyn.

Właściciel TreMellyn od pierwszej chwili budził we mnie silne emocje.

Jeszcze zanim go zobaczyłam, byłam poruszona jego obecnością.

Zjawił się w Mount Mellyn po południu. Alvean gdzieś zniknęła, a ja posłałam po gorącą wodę, by się odświeżyć przed spacerem. Przyniosła mi ją Kitty. Od razu dostrzegłam w niej zmianę: jej ciemne oczy błyszczały, a na ustach błąkał się znaczący uśmiešek.

— Jaśnie pan wrócił — oznajmiła.

Staralam się ukryć niepokój, jaki ta wiadomość we mnie wzbudziła.

W tej samej chwili przez drzwi wsunęła głowę Daisy. Siostry wyglądały teraz niemal identycznie, na ich twarzach malował się wyraz oczekiwania, który budził we mnie obrzydzenie. Nikt nie musiał mi podpowiadać, co on oznacza u tak frywołnych dziewcząt. Podejrzywałam, że obie dawno już straciły dziewictwo. Wystarczyło popatrzeć, w jaki sposób się poruszają; nieraz byłam też świadkiem nazbyt swobodnych szturchańców wymienianych ze stajennym Billym Trehayem czy parobkami, przychodzącymi tu do pracy. Ledwo na horyzoncie pojawiał się jakiś WctoriaHołt mężczyzna, zachowanie dziewcząt się zmieniało. Doskonale wiedziałam, o czym to świadczy. Podniecenie, jakie wzbudził w nich powrót pana, przed którym wszyscy czuli respekt, mogło oznaczać tylko jedno.

Ogarnęło mnie uczucie niesmaku, nie tylko do dziewcząt, ale i do siebie samej, że dopuszczam do siebie takie przypuszczenie.

Czyżby Connan TreMellyn należał do tej kategorii mężczyzn, zastanawiałam się.

— Pr/yjechał pół godziny temu — ciągnęła Kitty.

Patrzyły na mnie z uwagą i znów wydawało mi się, że czytam w ich myślach. Uspokajały się, że nie stanowią dla nich żadnej konkurencji.

Moje zdegustowanie przybrało na sile, odwróciłam się ze wstrętem.

— Cóż, umyję ręce, a wy zabierzcie wodę — poleciłam chłodno. — Idę na przechadzkę.

Nałożyłam kapelusz i zbiegłam schodami dla służby. Wszędzie dostrzegałam zmianę. Pan Polgrey krzątał się w ogrodzie, parobcy uwijali się jak w ukropie. Tapperty sprzątał w stajniach. Był tak pochłonięty pracą, że nawet mnie nie zauważył.

Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy domownicy czuli respekt przed panem.

Spacerując po lesie, pocieszałam się, że nawet jeśli nie przypadnę do gustu Connanowi TreMellynowi, będę mogła zamieszkać u Phillidy, póki nie znajdę następnej posady. Przynajmniej miałam kogoś, u kogo mogłam się zatrzymać. Nie byłam sama jak palec.

Wołałam Alvean, lecz w gęstym lesie głos nie niósł się daleko i nie doczekałam się odpowiedzi.

— Gilly? — zawołałam też. — Gillyflower, jesteś tu? Jeśli tak, pokaż się, to porozmawiamy. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, Znowu cisza.

O wpół do trzeciej wróciłam do domu. Szłam po schodach, gdy dopa dła mnie Daisy.

— Jaśnie pan pyta o panienkę. Chce panienkę zobaczyć. Czeka w pokoju ponczowym.

Skinęłam głowę.

— Przebiorę się i zejdę tam.

— Widział, jak panienka wchodziła, i kazał panience zarutko przyjść.

— Najpierw zdejmę kapelusz — uparłam się.

Serce bilo mi niespokojnie, policzki płonęły. Nie wiedziałam, skąd ten lęk. Byłam przekonana, że jeszcze dziś będę musiała się spakować i wracać do Phillidy. Postanowiłam jednak przyjąć cios z podniesioną głową.

Guwernantko W sypialni zdjęłam kapelusz i przygładziłam włosy. Dziś moje oczy zdecydowanie nabrały bursztynowego odcienia. Dostrzegłam w nich niechęć i wrogość, co było o tyle bezsensowne, że nawet nie znałam tego mężczyzny. Schodząc do salonu, próbowałam przywołać się do porządku — stworzyłam sobie obraz mojego pracodawcy jedynie na podstawie min dwóch frywolnych pokojówek. W tym momencie byłam święcie przekonana, że biedna Alice zmarła z rozpacz, bo odkryła, że poślubiła wiarołomcę i rozpustnika.

Zastukałam do drzwi.

— Proszę!

Głos brzmiał stanowczo. Arogancko, uznałam, jeszcze nim zobaczyłam Connana TreMellyna.

Stał przed kominkiem. Pierwsze, na co zwróciłam uwagę, to wzrost mojego pracodawcy. Mężczyzna mierzył dobrze ponad sześć stóp, a ponieważ był bardzo szczupły — wręcz chudy — wydawał się jeszcze wyższy.

Włosy miał ciemne, ale oczy jasne. Ubrany był w ciemnoniebieski surdut z białym fontaziem. Ręce wbił w kieszenie bryczesów. Całość tworzyła wrażenie nonszalanckiej elegancji, jakby nie przywiązywał wagi do swego stroju, a jednak, niejako wbrew sobie, doskonale się w nim prezentował.

Connan TreMellyn emanował wewnętrzną siłą, ale i pewną bezwzględnością.

Wydawało mi się też, że dostrzegam u niego zmysłowość.

Równocześnie jednak odniosłam wrażenie, że ten mężczyzna znacznie więcej ukrywa przed światem, niż mu pokazirje. Już wtedy, gdy pierwszy raz go ujrzałam, wiedziałam, że mieszka w nim dwóch ludzi: Connan TreMellyn, którego prezentował światu, i Connan TreMellyn, którego nikt nie znał.

— Zatem, panno Leigh, wreszcie się spotykamy.

Nie podszedł, by się przywitać, jakby chciał mi przypomnieć, że jestem tylko guwernantką.

— Nie wiem, czy „wreszcie” — odparłam. — Wszak przebywam pod pańskim dachem zaledwie od paru dni.

— Nie dzielnym włosa na czworo. Dość że zjawiła się pani i że się poznaliśmy.

Przyglądał mi się bacznie. Pod jego drwiącym spojrzeniem czułam się niezręcznie i dotkliwiej niż zwykle uświadamiałam sobie swój brak urody. Zrozumiałam, że stoję przed koneserem, a przecież nawet najbardziej niewyrobiony prowincjusz nie nazwałby mnie pięknnością.

— Pani Polgrey bardzo panią chwali.

— Doceniam jej dobroć.

— Uważa pani, że powodowała nią dobroć serca? Nie, mówiła prawdę, bo tego oczekuję od swoich podwładnych.

— Miałam na myśli, że między innymi za sprawą życzliwego przyjęcia, jakie mi zgotowała, dziś mogła wyrazić się o mnie pochlebnie.

— Widzę, że nie ukrywa pani swoich prawdziwych myśli, tylko mówi to, co czuje.

— Taką mam nadzieję.

— Doskonale. Myślę, że szybko dojdziemy do porozumienia.

Czułam na sobie jego baczne spojrzenie. Zapewne wiedział, że zaliczyłam niejedyn londyński sezon towarzyski i mimo, jak by to ujęta ciotka Adelajda, „jej usilnych starań” nie złapałam męża. Jako znawca kobiecej urody doskonale rozumiał dlaczego.

Przynajmniej nie grozi mi, że będzie mnie emablował, jak każdą w miarę urodziwą pannę, pocieszyłam się w duchu.

— Proszę powiedzieć, jak pani ocenia moją córkę? Niedouczone jak na swój wiek? — zapytał.

— Przeciwnie. Jest niezwykle inteligentna, choć moim zdaniem potrzebuje dyscypliny.

— A jestem przekonany, że pani tę dyscyplinę zaprowadzi.

— W każdym razie chcę spróbować.

— Oczywiście. Po to pani tu jest.

— Proszę mi powiedzieć, jak daleko mogę się posunąć w zaprowadzaniu dyscypliny?

— Chodzi pani o kary cielesne?

— Bynajmniej. To ostatnie, do czego bym się uciekała. Miałam na myśli wprowadzenie pewnych rygorów. Na przykład kary ograniczenia swobody.

— Zgadzam się na wszystko prócz morderstwa. A jeśli pani metody nie zyskają mojej aprobaty, na pewno się pani o tym dowie, panno Leigh.

— Doskonale. Rozumiem.

— Jeśli widzi pani konieczność zmian w programie nauczania, proszę śmiało je wprowadzać.

— Dziękuję.

— Gorąco popieram eksperymenty i poszukiwania. A jeśli pani metody nie przyniosą efektów w ciągu... powiedzmy, pół roku... wtedy zawsze możemy wprowadzić zmiany, czyż nie?

Mierzył mnie beczelnym spojrzeniem. Zamierza szybko się mnie pozbyć, pomyślałam. Liczył, że jestem głupiutką ślicznotką, która będzie z nim romansować, udając, że opiekuje się jego córką. A w takiej sytuacji — Guwernantko tuacji najlepsze, co mogę zrobić, to jak najszybciej wynieść się z tego domu.

— Myślę — ciągnął — że należy wybaczyć Alvean brak manier. Rok temu straciła matkę.

Szukałam na jego twarzy oznak smutku. Daremnie.

— Słyszałam.

— Nie wątpię. Założę się, że wszyscy prześcigali się, by pani o tym powiedzieć. Domyśla się pani, że dziewczynka bardzo przeżyła śmierć matki.

— To musiał być dla niej prawdziwy wstrząs — zgodziłam się.

— Moja żona zmarła nagle. — Przez chwilę milczał. — Alvean, biedactwo, straciła matkę. A ojciec... — Uniósł ramiona i nie dokończył.

— Mimo to innych dotyczą jeszcze większe tragedie. Pańska córka potrzebuje stanowczej ręki.

Nagle pochylił się do mnie i spojrzał na mnie drwiąco.

— A jestem przekonany, że pani ową stanowczą rękę posiada.

Przez chwilę poczułam magnetyzm tego niezwykłego mężczyzny.

Opanowana twarz i chłodne, drwiące oczy — to tylko maska, za którą ukrywał coś, czego nie zamierzał nigdy ujawniać.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Celestine Nansellock.

— Powiedzieli mi, że wróciłeś. Connanie — przywitała go.

Odniosłam wrażenie, że jest stremowana. Czyli nie tylko na podwładnych działał onieśmielająco.

— Jak szybko krążą wieści — mruknął. — Droga Celestine, dziękuję, że przyjechałaś. Właśnie rozmawiałem z naszą nową guwernantką.

Uważa, że Alvean jest inteligentna, ale potrzebuje dyscypliny.

— Oczywiście, że jest inteligentna! — zaperzyła się Celestine. — Ale mam nadzieję, że panna Leigh nie będzie dla niej zbyt surowa. Alvean to kochane dziecko.

Connan TreMellyn spojrział na mnie rozbawiony.

— Wątpię, by panna Leigh do końca się z tobą zgadzała. Ty, droga Celeste, widzisz w naszym brzydkim kaczątku wyłącznie łabędzia.

— Być może zaślepią mnie uczucie...

— Czy mogę już odejść? — spytałam, marząc, by uciec od nich jak najdalej.

— Och, przecież ja wam przeszkodziłam! — zorientowała się Celestine.

— Nie — uspokoiłam ją — właśnie skończyliśmy rozmowę.

Connan TreMellyn spoglądał z rozbawieniem to na mnie, to na nią.

Przyszło mi na myśl, że obie nas uważa za jednakowo niepociągające.

Byłam przekonana, że żadnej nie uznał za godną zachodu.

~ Powiedzmy, że jeszcze do niej wrócimy — rzucił lekko. — Sądzę, panno Leigh, że będziemy musieli ustalić wiele kwestii dotyczących wychowania mej córki, Skłoniłam się i zostawiłam ich samych.

W szkolnym pokoju już czekał na mnie podwieczorek. Byłam za bardzo poruszona, by jeść, a kiedy Alvean się nie pojawiła, założyłam, że została z ojcem.

O piątej nadal nie raczyła się pokazać, więc wezwałam Daisy i wysłałam ją po moją podopieczną, prosząc, by przypomniiała dziewczynce, że między piątą a szóstą ma zajęcia.

Czekałam. Nie byłam zaskoczona, ponieważ przypuszczałam, że Alvean się zbuntuje. Wrócił jej ojciec, to oczywiste, że wołała spędzić czas z nim, a nie na czytaniu.

Zastanawiałam się, jak postąpić, gdy dziewczynka nie zgodzi się przyjść na lekcję. Mam zejść do pokoju ponczowego, bawialni czy innego salonu, w którym właśnie rozmawiają, i zażądać, by ze mną wróciła?

Będzie tam Celestine i na pewno wstawi się za Alvean.

Usłyszałam kroki na schodach. Drzwi pokoju dziewczynki się otworzyły i stanął w nich Connan TreMellyn, trzymając córkę za ramię.

Zdumiał mnie wyraz jej twarzy. Alvean była tak nieszczęśliwa, że zrobiło mi się jej żal. Jej ojciec się uśmiechał, jakby bawiła go sytuacja, która przysparzała dziecku tyle smutku i wstydu. Może dlatego jego uśmiech przywodził mi na myśl satyra? W tle zobaczyłam Celestine.

— Oto i ona — oznajmił Connan TreMellyn. — Obowiązek jest obowiązkiem, córko — zwrócił się do Alvean. — A kiedy guwernantka wzywa cię na lekcję, musisz usłuchać— Ale przecież dopiero co wróciłaś, papo — protestowała dziewczynka, z trudem powstrzymując się od szlochu.

— Panna Leigh powiedziała, że masz teraz lekcje, a ona tu rządzi.

— Dziękuję, panie TreMellyn — powiedziałam. — Usiądź przy stole, Alvean.

Spojrzała na mnie koso. Wyraz jej twarzy się zmienił, Zniknął smutek, a jego miejsce zajęły nieskrywane złość i nienawiść.

— Connanie — odezwała się cicho Celestine — rzeczywiście dopiero co wróciłaś, a Alvean bardzo za tobą tęskniła.

Uśmiechnął się, lecz ja nie dostrzegłam w tym grymasie ani krzty wesołości.

— Dyscyplina, Celeste — odparł. — Oto, czego teraz najbardziej potrzebuje Alvean. Chodźmy, zostawmy ją z guwernantką.

Skłonił mi się lekko. Dziewczynka posłała mu błagalne spojrzenie, na które pozostałam obojętna. Zamknęły się drzwi i zostałam sama ze swoją podopieczną.

Ta scenka wiele mi uświadomiła. Zrozumiałam, że Alvean ubóstwia ojca, podczas gdy on nie czuje do córki nic. Moja niechęć do niego wzrosła, a na dziewczynkę patrzyłam teraz z większym współczuciem. Nic dziwnego, że sprawia kłopoty. Czego innego można oczekiwać od głęboko nieszczęśliwego dziecka? Z jednej strony ignorowana przez uwielbianego ojca, z drugiej rozpieszczana przez Celestine Nansellock. Oboje robili, co w ich mocy, by zniszczyć życie Alvean.

Connan TreMellyn wzbudziłby we mnie większą sympatię, uznałam, gdyby na ten jeden dzień zapomniał o dyscyplinie i poświęcił córce trochę czasu.

Alvean do końca dnia pozostała w buntowniczym nastroju, ale nalegałam, by poszła spać o zwykłej porze. Oświadczyła, że mnie nienawidzi, co było o tyle niepotrzebne, że nawet ślepy by to zauważył.

Kiedy wreszcie się położyła, byłam tak wytrącona z równowagi, że wymknęłam się z domu i pobiegłam do lasu, gdzie usiadłam na zwalonym pniu, oddając się niewesołym rozważaniom. Wokół mnie panowała nienaturalna cisza, jakby po upalnym dniu cały las zapadł w letarg. Za— Btanałowałam się, czy utrzymam tę posadę. Teraz stało to pod znakiem zapytania. Zresztą, na dobrą sprawę sama nie wiedziałam, czy chcę zostać w Mount Mellyn.

Trzymało mnie tu wiele. Choćby zainteresowanie Gillyflower. I chęć uspokojenia zbuntowanej Alvean. Od kiedy jednak poznałam pana tego domu, straciłam połowę zapału.

Odczuwałam dziwny lęk przed tym mężczyzną, choć nie potrafiłam ustalić źródła swoich obaw. Nie ulegało wątpliwości, że Connan TreMellyn nie objawiał najmniejszego zainteresowania moją osobą, a mimo to miał w sobie coś magnetyzującego, coś nieokreślonego, co sprawiało, że nie potrafiłam wyrzucić go z myśli. Więcej też myślałam o zmarłej Alice i zastanawiałam się wciąż, jaką była kobietą.

Miałam wrażenie, że nie wiem czemu bawiłam mojego chlebodawcę.

Może dlatego, że wydawałam mu się tak mało atrakcyjna? A może dlatego że wiedział, iż należę do rzeszy kobiet, zmuszonych do zarabiania na chleb, zdanych na łaskę i niełaskę takich jak on? Czyżby ten człowiek znajdował satysfakcję w dręczeniu innych? Byłam o tym przekonana.

Może nieszczęsna Alice nie mogła tego znieść? Może, podobnie jak matka biednej Gillyflower, rzuciła się w morze, szukając tam wyzwolenia?

Z zadumy wyrwał mnie odgłos kroków. Zawahałam się, nie wiedząc, czy zostać czy wrócić do dworu?

W moją stronę zbliżał się jakiś mężczyzna. Wydał mi się znajomy i serce zaczęło mi bić mocniej.

Drgnął na mój widok, a potem się uśmiechnął i rozpoznałam mojego towarzysza podróży.

— Wreszcie się spotykamy — powiedział. — Czułem, że ta chwila rychło nastąpi. Cóż to? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha. Czyżby pobyt w Mount Mellyn sprawił, że wszędzie widzi pani zjawy i upiory?

Niektórzy powiadają, że istotnie panuje tu nieco upiorna atmosfera, — Kim pan jest? — spytałam.

— Nazywam się Peter Nansellock. Muszę się pani przyznać do niewinnej psoty i oszustwa.

— Jest pan bratem panny Celestine?

Skinął głową.

— Wiedziałem, kim pani jest, gdy spotkaliśmy się w pociągu. Celowo wybrałem tamten przedział. Zauważyłem panią i wydawało mi się, że wygląda pani na guwernantkę. Nazwisko na bagażach potwierdziło moje przypuszczenia, wiedziałem bowiem, że w Mount Mellyn spodziewają się niejakiej panny Marthy Leigh.

— To dla mnie prawdziwa ulga i radość, że mój wygląd odpowiada roli, jaką przyszło mi w życiu odgrywać.

— I znów muszę panią skarcić za brak szczerości, a pamiętam, że już przy pierwszym spotkaniu udzieliłem pani reprimendy. Jest pani dotknięta, że od razu zobaczyłem w pani guwernantkę.

Policzki mnie zapiekły z oburzenia.

— To, że jestem guwernantką, nie oznacza, że muszę znosić obraźliwe uwagi nieznajomych.

Podniosłam się z pnia, ale mężczyzna położył mi dłoń na ramieniu.

— Proszę, porozmawiajmy chwilę. Tyle muszę pani wyjaśnić. Powinna pani wiedzieć o pewnych sprawach.

Ciekawość wzięła górę nad urazą. Usiadłam.

— Tak już lepiej, panno Leigh. Widzi pani? Zapamiętałem pani nazwisko.

— Cóż za wyróżnienie! Jaśnie pan raczył zwrócić uwagę na nazwisko guwernantki i, co więcej, zachował je w pamięci.

— Zachowuje się pani jak jeż. Na samo słowo „guwernantka” stroszy się pani i pokazuje igły. Musi się pani nauczyć pokory w znoszeniu swego losu. Czyż nie wpajano nam, byśmy znajdowali zadowolenie w tym stanie, w którym przyszło nam żyć?

— Skoro przypominam jeża, nie można wymagać ode mnie pokory.

Roześmiał się, ale natychmiast spoważniał.

— Nie posiadam daru przewidywania przyszłości, panno Leigh — powiedział cicho. — Nie znam się też na wróżeniu z dłoni. Oszukałem panią.

— A sądzi pan, że choć przez chwilę panu wierzyłam?

— I to przez wiele długich chwil. Co więcej, aż do tej pory na myśl o mnie ogarniał panią niepokój.

— Bynajmniej. W ogóle o panu nie myślałam.

— Kolejne kłamstwo. Zastanawiam się, czy rzeczywiście osóbką o takich skłonnościach do mijania się z prawdą winna opiekować się naszą drogą Aivean.

— Zatem, jako przyjaciel rodziny, powinien pan natychmiast ostrzec przede mną pana TreMellyna.

— Gdyby jednak Connan panią zwolnił, ponieśliśmy niepowetowaną stratę. Ja na przykład nie mógłbym już się błąkać po tych lasach w nadziei, że panią spotkam.

— Czyżbym dostrzegła u pana skłonność do flirtu?

— I słusznie. — Przybrał wyraz powagi. — Mój brat też lubił uciechy.

Moja siostra jest jedyną cnotliwą istotą w naszej rodzinie.

— Zdażyłam ją poznać.

— Oczywiście. Często zagląda do Mount Mellyn. Uwielbia Alvean.

— Cóż, w końcu mieszka w bezpośrednim sąsiedztwie.

— My również, panno Leigh, staniemy się wkrótce bliskimi sąsiadami.

Co pani o tym myśli?

— Nic szczególnego.

— Panno Leigh, nie dość, że jest pani nieszczerza, to jeszcze okrutna.

Liczyłem, że będzie pani wdzięczna za moje zainteresowanie. Zamierzałem nawet powiedzieć, że gdyby życie w Mount Mellyn stało się nie do zniesienia, wystarczy przyjść do Mount Widden, a ja chętnie otoczę panią opieką. Nie wątpię, że wśród moich licznych znajomych znalazłby się ktoś, kto pilnie potrzebowałby guwernantki.

— Czemuż to życie w Mount Mellyn miałoby się stać nie do zniesienia?

— Toż w grobowcu jest weselej. Connan chodzi z marsem na czole, Alvean zaś wszystkim uprzykrza życie. Wraz ze śmiercią Alice zniknęła stamtąd wszelka wesołość.

Na dźwięk tego imienia obróciłam się gwałtownie.

— Ostrzegał mnie pan przed Alice. Co miał pan na myśli?

— Jednak pani zapamiętała?

— Bo pańskie słowa wydały mi się dziwne.

— Alice nie żyje, a mimo to wciąż jest w tym domu. Ilekroć odwiedzam Mount Mellyn, zawsze czuję jej obecność. Wszystko się zmieniło, od kiedy... odeszła.

— Jak umarła?

— Nie zna pani tej historii?

-Nie.

— Sądziłem, że pani Polgrey albo któraś z pokojówek wszystko już pani wypaplała. A jednak nie? Widocznie czują respekt przed guwernantką.

— Chciałabym ją usłyszeć.

— To prosta historia, stara jak świat, która zdarzyła się w niejednej rodzinie. Zona dochodzi do wniosku, że życie z mężem stało się nie do zniesienia. Odchodzi... z tym drugim. Nic nadzwyczajnego. Tylko że w wypadku Alice koniec był inny niż zwykle.

Utkwił wzrok w czubkach butów, tak samo jak wcześniej w pociągu do Liskeard.

— W tej opowieści „tym drugim” był mój brat — wyjaśnił.

— Geoffry Nansellock! — zawołałam.

— Słyszała pani o nim?

Pomyślałam o Gillyflower, której narodziny sprawiły, że jej matka rzuciła się do morza.

— Tak — powiedziałam. — Słyszałam o Geoffrym Nansellocku. Był kobieciarzem, cynicznym uwodzicielem.

— To chyba zbyt surowe słowa w stosunku do poczciwego Geoffa.

Miał wyjątkowy urok... niektórzy powiadają, że dostał go tyle, że nie starczyło już dla rodzeństwa. — Uśmiechnął się do mnie. — Choć są tacy, co uważają, że jednak zostało też dla reszty. Nie był zły. Lubiłem poczciwego Geoffa. Jego największą słabością były kobiety. Kochał je, nie potrafił im się oprzeć. A kobiety kochają tych, którzy je adorują. To silniejsze od nich. Czyż można żądać większego komplementu? Jedna za drugą padały jego ofiarą.

— A on ochoczo uwodził także cudze żony?

— Cóż za surowość! Niestety, droga panno Leigh, najwyraźniej nie cofał się i przed tym... skoro do jego zdobyczy należała również Alice.

Jest prawdą, że w Mount Mellyn nie wszystko układało się idealnie.

Sądzi pani, że łatwo żyje się z Connanem?

— To niestosowne, by guwernantka oceniała swojego chlebodawcę.

— Niechże się pani zdecyduje, panno Leigh. Kiedy to pani na rękę, wykluwa pani oczy swoim statusem guwernantki, aby za chwilę oburzać się, gdy ktoś przypomina ojej posiadzie. Moim zdaniem, jeśli mieszka się w jakimś domu, ma się prawo znać jego tajemnice.

— Jakie tajemnice?

Przysunął się do mnie.

— Alice bała się Connana. Zanim wyszła za niego za mąż, знаła mojego brata. Ona i Geoffry jechali razem pociągiem... bo porzuciła męża.

— Rozumiem.

Odsunęłam się od Petera Nansellocka. Nie podobało mi się, że wykorzystywał stary skandal, by tak się ze mną spoufalać. Zwłaszcza że ta historia w żaden sposób mnie nie dotyczyła.

— Ciało Geoffry'ego choć zmasakrowane, można było zidentyfikować.

Obok niego znaleziono zwłoki jakiejś kobiety, tak strawione przez ogień, że nie udało się rozpoznać w niej Alice. Ale miała na szyi medalion, który z całą pewnością należał do Alice. Na tej podstawie ustalono jej tożsamość... I, oczywiście, także dlatego że zniknęła bez śladu.

— Cóż za potworna śmierć!

— Surowa guwernantka jest wstrząśnięta, bo biedna Alice zmarła, gdy uciekała od męża, by rozpocząć grzeszne życie z moim czarującym, acz zepsutym bratem.

— Była nieszczęśliwa w Mount Mellyn?

— Zna pani Connana. I trzeba pamiętać, że wiedział o jej wcześniejszym zauroczeniu Geoffem, a ten nadal znajdował się w pobliżu. Przypuszczam, że życie Alice było piekłem.

— Owszem, to prawdziwa tragedia — oświadczyłam — ale też i przeszłość.

Dlaczego kazał mi pan uważać na Alice, jakby nadal tu mieszkała?

— Jest pani przesądna, panno Leigh? Nie, oczywiście, że nie. Jest pani trzeźwą, mocno stąpającą po ziemi guwernantką i nie dałaby się pani zwieść jakimś bajdurzeniom.

— Jakim bajdurzeniem?

Uśmiechnął się szeroko i przysunął jeszcze bliżej. Nagle uświadomiłam sobie, że lada moment zapadnie zmrok. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu i zaczęłam się niecierpliwie.

— Rozpoznano medalion, ale nie same zwłoki. Niektórzy twierdzą, że to nie Alice podróżowała wtedy z Geoffem i nie ona zginęła w katastrofie kolejowej.

— W takim razie gdzie teraz jest?

— To samo pytanie zadają sobie wszyscy. Dlatego właśnie na Mount Mellyn pada tak głęboki cień.

Wstałam.

— Muszę wracać, niedługo zrobi się ciemno.

Stanął tuż obok mnie, a że był niewiele wyższy, nasze oczy się spotkały.

— Uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć — odezwał się niemal przepraszająco. — Moim zdaniem ma pani do tego prawo.

Ruszyłam w kierunku, z którego przyszłam.

— Interesuje mnie wyłącznie dobro mojej podopiecznej — ucięłam.

— Tylko o tym myślę.

— Ale nawet obdarzona wyjątkowym rozsądkiem i trzeźwością guwernantka nie może przewidzieć, jaką rolę wyznaczy jej przeznaczenie.

— Doskonale wiem, czego się ode mnie oczekuje.

Zaniepokoiłam się na dobre, bo mój towarzysz najwyraźniej nie zamierzał mnie pożegnać. Marzyłam, by mu uciec i zostać sam na sam ze swoimi myślami. Ten mężczyzna narażał na szwank moją dumę; bezcenną dumę, której broniłam z determinacją nędzarza, lękającego się, że zostanie mu odebrany jego ostatni skarb. Peter Nansellock zadrwił ze mnie

w pociągu. Byłam przekonana, że teraz czeka tylko na okazję, by powtórnie wystawić mnie na pośmiewisko.

— Nie wątpię, że pani wie.

— Nie musi pan odprowadzać mnie do domu.

— Pozwolę sobie się nie zgodzić. Muszę panią odprowadzić.

— Sądzi pan, że sama nie potrafię o siebie zadbać?

— Uważam, że nikt nie zadba o panią lepiej niż pani sama. Tak się jednak składa, że właśnie szedłem złożyć wizytę Connanowi, a ta ścieżka wiedzie prosto do dworu.

Nie odzywałam się już do końca spaceru. Kiedy zbliżyliśmy się do Mount Mellyn, Connan TreMellyn właśnie wychodził ze stajni.

— Witaj, Con! — zawołał Peter Nansellock.

Mój chlebodawca spojrzał na nas nieco zaskoczony, zapewne dziwiąc się, że przyszliśmy razem.

Szybko okrążyłam budynek i udałam się do wejścia dla służby.

Tej nocy nie spałam dobrze. W głowie kłębiły mi się myśli, przed oczyma przemykały obrazy: ja i Connan TreMellyn, Alvean, Celestine i wreszcie ja w lesie z Peterem Nansellockiem.

Wiatr znowu wiał z odpowiedniej strony i słyszałam fale rozbijające się o skały zatoki Mellyn.

Byłam w takim stanie ducha, że szum fal brzmiał w moich uszach jak chór głosów szepczących: „Alice... Alice... Gdzie jest Alice? Alice, gdzie jesteś?”.

Rozdział 3

Kiedy wstał rano, śmiać mi się chciało z nocnych obaw i szeptów. Zastanawiałam się, dlaczego tyle osób doszukuje się mrocznej tajemnicy w tym, co się wydarzyło w Mount Mellyn. W końcu owa historia była całkiem banalna.

Wreszcie znalazłam wyjaśnienie. Stając przed starym dworem czy zamczyskiem, często myśliły: „gdyby te mury potrafiły mówić...”.

Puszczamy wodze wyobraźni, widzimy pokolenia ludzi, którzy tu żyli i cierpieli, oraz ich niezwykle losy. Dlatego jeśli pani domu ginie w tragicznych okolicznościach, oczywiście dopisujemy ciąg dalszy: jej duch wędruje w ciemności wśród starych murów i choć umarła, co noc wraca do swego zamczyska. Aleja, przynajmniej tak sądziłam, twardo stąpałam po ziemi. Alice zginęła w wypadku kolejowym i na tym koniec.

Śmiać mi się z siebie chciało: że też dałam się wciągnąć w tę grę!

Czyż Daisy i Kitty nie wyjaśniły mi, że owe szepty, które słyszałam nocą, to tylko odgłos fal uderzających w skały zatoki?

Od tej pory koniec fantazjowania i dopatrywania się wszędzie tajemnic.

Do pokoju wpadały jasne promienie słońca, a ja poczułam się jak nigdy przedtem. Rozsadzały mnie radość i energia. Wiedziałam dlaczego.

To za sprawą Connana TreMellyna. Nie żebym go lubiła — wręcz przeciwnie — lecz dlatego, że rzucił mi wyzwanie. Dowiodę mu, że potrafię.

Osiągnę sukces. Sprawię, że Alvean stanie się nie tylko przykładną uczennicą, ale i czarującą, doskonale ułożoną młodą damą.

Zadowolona z siebie i z życia zaczęłam nucić „Come into the garden, Maud”, piosenkę, którą Phillida śpiewała do akompaniamentu taty.

Wctoriatiołt Albowiem prócz wielu innych zalet moja siostra miała także piękny głos. Potem przeszłam do „Sweet and Low” i na chwilę teraźniejszość gdzieś odpłynęła, a ja cofnęłam się w czasie. Zobaczyłam tatę przy for tepianie, jak poprawia spadające okulary i energicznie naciska pedały.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam nucić piosenkę, którą śpiewała w lesie Gilly. „Gdzieżeś jest, ma Alice...”.

O, nie, tylko nie to — ocknęłam się błyskawicznie.

Usłyszałam tętent konia i wyjrzałam przez okno. Nikogo jednak nie zobaczyłam. Na gładkim, zielonym trawniku połyskiwała poranna rosa, smukłe palmy przy ganku wnosiły element egzotyki. Jakież piękny wi dok, zachwyciłam się. Był to jeden z owych rozkosznych poranków, zwiastujących cudowny dzień.

— I zapewne jeden z ostatnich tego lata — powiedziałam na głos.

Otworzyłam okno i wyrżałam. Rude warkocze, związane błękitną wstążką, zsunęły mi się z ramion i kołysały w powietrzu. Znow zaczęłam nucić „Sweet and Low”, gdy ze stajni wyszedł Connan TreMellyn.

Zauważył mnie, nim zdążyłam się cofnąć. Spłonęłam rumieńcem ze wstydu, że zobaczył mnie nieuczesałą, w nocnej koszuli.

— Dzień dobry, panno Leigh! — zawołał pogodnie.

A więc to jego konia słyszałam. Wybrał się na poranną przejażdżkę czy wracał po nocnej hulance? Pewnie to drugie. Wyobrażałam sobie, jak nawiedza okoliczny dom uciech — jeśli takowy w ogóle tu jest. Poczułam złość, że choć to mój chlebodawca powinien się wstydzić, ja zalałam się pąsem — w każdym razie na pewno na twarzy i szyi.

— Dzień dobry — odparłam tonem niezachęcającym do dalszej pogawędki.

Connan TreMellyn żwawym krokiem szedł przez trawnik, na pewno po to, by jeszcze bardziej mnie zawstydzić i z bliska przyjrzeć mi się w moim nocnym stroju.

— Piękny poranek! — zawołał.

— Wyjątkowo — odrzekłam.

Cofnęłam się do pokoju i usłyszałam, jak woła:

— Witaj, Alvean! Ty też już wstałaś?

— Witaj, papo! — zawołała czule, z tą samą nutką tęsknoty, która zwróciła moją uwagę dzień wcześniej, gdy dziewczynka opowiadała o ojcu.

Musiała bardzo się cieszyć, że go widzi. Na pewno nie spała już, gdy usłyszała jego głos, i natychmiast podbiegła do okna. Byłam pewna, że nie posiadałaby się z radości, gdyby ojciec zatrzymał się i chwilę z nią pogawędził.

On jednak tego nie zrobił. Nie zatrzymując się, wszedł do domu. Stałam przed lustrem i przyjrzałam się sobie. Wyjątkowo nietwarzowy strój oraz fryzura. A do tego nielicujący z moim stanowiskiem. Piękny musiałam przedstawiać widok: we flanelowej koszuli nocnej zapiętej pod szyję, z nieuczesanymi włosami i twarzą w kolorze mojej koszuliny.

Narzuciłam szlafrok i pod wpływem impulsu przeszłam przez pokój szkolny do sypialni Alvean. Otworzyłam drzwi. Dziewczynka siedziała okrakiem na krześle i mówiła do siebie:

— Nie ma się czego bać. Naprawdę. Musisz tylko mocno się trzymać i nie możesz się bać... wtedy na pewno nie spadniesz.

Tak była na tym skupiona, że nawet nie usłyszała, jak wchodzę.

Przez chwilę stałam, bezkarnie jej się przyglądając, bo siedziała plecami do drzwi.

Wystarczyła ta chwila, bym znowu dowiedziała się czegoś o swojej podopiecznej. Connan TreMellyn był zwołanym jeźdźcom, oczekiwał, że córka stanie się doskonałą amazonką, lecz Alvean, która nade wszystko marzyła o aprobacie ojca, bała się koni.

W pierwszym odruchu chciałam podejść, porozmawiać z nią i zaproponować, że nauczę ją jeździć konno. W tym akurat byłam dobra, bo na wsi trzymaliśmy konie, a gdy miałam pięć lat, uczestniczyłam z Phillidą w lokalnych zawodach.

Zawahałam się jednak. Powoli zaczynałam rozumieć Alvean. Była nieszczęśliwą dziewczynką, ukrywającą głębokie, niezabliźnione rany.

Straciła matkę, a to największa tragedia, jaka może spotkać dziecko.

Kiedy jednak dziecku zostaje ojciec, którego uwielbia, a który okazuje mu wyłącznie obojętność, wtedy tragedia staje się podwójna.

Wycofałam się bezszelestnie, zamknęłam za sobą drzwi i wróciłam do pokoju. Słońce rzucało złote cętki na dywanik. Odzyskałam wcześniejszy zapach. Osiągnę sukces. Stawię czoło Connanowi TreMellynowi i sprawię, że będzie dumny z córki. Zmuszę, by okazał jej

zainteresowanie, którego tak oczekiwała, bo jej się należało, a którego jedynie pozbawiony serca brutal mógł jej odmówić.

Tego dnia lekcje nie były udane. Alvean spóźniła się, gdyż zgodnie z rodzinną tradycją jadła śniadanie z ojcem. Wyobrażałam sobie, jak siedzą przy dużym stole w pokoju zwanym małą jadalnią — małą, jak na warunki Mount Mellyn — gdzie spożywano posiłki, gdy w domu nie było gości.

Ojciec zapewne siedział z nosem w gazecie albo przeglądał korespondencję, podczas gdy Alvean na drugim końcu stołu czekała na cień zainteresowania, którego ten egoista nie raczył jej okazać.

Musiałam posłać po dziewczynkę, żeby zjawiła się na zajęcia, a tego wyjątkowo nie znosiła.

Starłam się maksymalnie zaciekać ją lekcjami i chyba mi się udało, bo mimo nieskrywanej niechęci do mnie nie potrafiła ukryć zainteresowania historią i geografiami, którymi tego ranka się zajmowałyśmy.

Południowy posiłek także zjadła z ojcem, a ja spożyłam go samotnie w pokoju szkolnym. Podjęłam ostateczną decyzję, że muszę rozmówić się z Connanem TreMellynem.

Zastanawiałam się, gdzie go szukać, gdy zobaczyłam, jak wychodzi z domu i idzie do stajni. Natychmiast również tam pospieszyłam, a gdy dotarłam do wrót, usłyszałam, jak każe, by Billy Trehay osiedlał mu Royal Russeta.

Zauważył mnie. W pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego, ale potem się uśmiechnął. Dałabym głowę, że przypomina sobie nasze ostatnie spotkanie, gdy zobaczył mnie w dezabilu.

— Kogo ja widzę? — odezwał się. — Nasza panna Leigh!

— Chciałabym zamienić z panem kilka słów — oświadczyłam chłodno.

— Ale jeśli przeszkadzam...

— To zależy, ile tych słów chce pani ze mną zamienić. — Wyjął zegarek i sprawdził godzinę. — Mogę poświęcić pani pięć minut, panno Leigh.

Przeszkadzała mi obecność Billy'ego Trehaya. Nie życzyłam sobie, by stajenny słyszał, jak — jeśli do tego dojdzie — Connan TreMellyn daje mi odprawę.

— Przespacerujmy się — zaproponował mój pracodawca. — Billy, za pięć minut masz być gotów.

— Tak jest, psze pana.

Connan ruszył trawnikiem w stronę domu, a ja za nim.

— W młodości niemal każdą wolną chwilę spędzałam w siodle — zaczęłam.

— Sądzę, że Alvean chciałyby się nauczyć jeździć konno. Chętnie bym jej pomogła, jeśli pan wyrazi zgodę.

— Wyrażam. Ma pani moje pozwolenie, niech pani spróbuje ją nauczyć.

— Mówi pan, jakby wątpił, że mi się to uda.

— Bo, niestety, wątpię.

— Dlaczego przesądza pan, że mi się nie powiedzie, nawet nie sprawdzivszy moich umiejętności?

— Krzywdzi mnie pani swoim podejrzeniem, panno Leigh — odparł drwiąco. — To nie pani talenty podaję w wątpliwość, lecz mojej córki.

— Czyżby już ktoś bezskutecznie próbował ją nauczyć?

Guwernantko — Tak, ja.

— Ale...

Przerwał mi ruchem ręki.

— To zdumiewające, jak panicznie boi się koni. Większość dzieci czuje się w siodle jak w swoim żywiole.

Mówił ostro, z kamiennym wyrazem twarzy. Chciałam mu wykrzyczeć: co z pana za ojciec?! Oczyma wyobraźni widziałam te lekcje: brak zrozumienia, oczekiwanie cudów. Nic dziwnego, że Alvean była przerażona.

— Są ludzie, którzy nie potrafią jeździć konno — ciągnął.

— Są ludzie, którzy nie potrafią uczyć — odparowałam, nie zapanowawszy nad językiem.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie zdumiony. Mogłabym pójść o zakład, że nikt w tym domu nigdy nie odważył się tak do niego przemówić.

To już koniec, pomyślałam. Zaraz usłyszę, że nie jestem tu już mile widziana, mam pakować swoje rzeczy i się wynosić.

Connan TreMellyn łatwo wpadał w gniew i widziałam, że z trudem powstrzymuje się od wybuchu. Przyglądał mi się bez słowa, ale nie umiałam nazwać tego, co widziałam w jego oczach. Zapewne była to pogarda.

Potem zerknął przez ramię w stronę stajni.

— Pani daruje, panno Leigh... — powiedział i odszedł.

Udałam się prosto do Alvean. Siedziała w pokoju do nauki. Spojrzała na mnie koso, z nieskrywaną niechęcią. Zapewne widziała, że rozmawiałam z ojcem. Przeszłam od razu do rzeczy.

— Twój ojciec pozwolił, żebym uczyła cię jeździć konno, Alvean.

Chciałabyś spróbować?

Jej twarzyczka natychmiast stężała, a mnie na ten widok ścisnęło się serce. Czy można uczyć dziecko, które aż tak się boi?

— Kiedy byłam mała — podjęłam, nie dając jej czasu na odpowiedź — ja i moja młodsza o dwa lata siostra całe dni spędzałyśmy w siodle — Razem uczestniczyłyśmy w lokalnych pokazach i konkursach. Przepadałyśmy za tym i nie mogłyśmy się doczekać zawodów.

— U nas też je organizują.

— Jazda konna to prawdziwa przyjemność. A gdy już człowiek złapie, w czym rzecz, doskonale czuje się w siodle.

Alvean przez chwilę to analizowała, — Nie mogę — powiedziała wreszcie. — Nie lubię koni.

— Nie lubisz koni? — powtórzyłam ze zdumieniem. — Dlaczego? Przecież są takie łagodne.

— Nieprawda. A one też mnie nie lubią. Jechałam na Siwej i poniosła mnie, wcale nie chciała się zatrzymać. Gdyby Tapperty nie złapał jej za wodze, zabiłaby mnie.

— Bo była dla ciebie za duża. Na początek należało dać ci kuca.

— Potem miałam Macierzankę. Też była nieposłuszna, ale w inny sposób. Nie chciała ruszyć, kiedy jej dosiadałam. Stała przy drodze i skubała krzaki. Ponaglałam ją, szarpałam, ale ani drgnęła. Dopiero gdy Billy Trehay zawołał: „ruszaj, Macierzanka!”, ruszyła grzecznie, jakby to była moja wina, że wcześniej stała w miejscu.

Parsknęłam śmiechem. Alvean spojrzała na mnie z nienawiścią. Pospiesznie zapewniłam, że właśnie tak zachowują się konie, gdy nie rozumieją jeźdźca. Gdy rozumieją, kochają go jak najlepszego przyjaciela.

W oczach dziewczynki pojawiły się tęsknota i żal, co mnie ucieszyło, bo rozumiałam, że przyczyn jej krnąbrności należy dopatrywać się w osamotnieniu i braku uczucia.

— Posłuchaj, Alvean — zaproponowałam. — Chodimy do stajni. Zobaczmy, co uda nam się zdziałać.

Pokręciła głową i zerknęła na mnie podejrzliwie. Pewnie się bała, że chcę ją ukarać za wcześniejsze zachowanie i ośmieszyć. Gorąco pragnęłam objąć i przytulić dziewczynkę, ale wiedziałam, że nic w ten sposób nie zyskam, a tylko sobie zaszkodzę.

— Nim zaczniesz jeździć, musisz nauczyć się jednego — powiedziałam, udając, że nie zauważyłam jej spojrzenia. — Musisz pokochać swojego konia. Wtedy nie będziesz się go bała. A kiedy przestaniesz się bać, koń też zacznie cię kochać. Będzie wiedział, że jesteś jego panią, a on chce mieć pana — ale łagodnego i kochającego.

Słuchała mnie uważnie.

— Kiedy koń ponosi, jak Siwa, oznacza to, że się boi, a okazuje lęk, uciekając.

Klacz była równie przerażona jak ty. Ty zaś, nawet jeśli się boisz, nie możesz tego okazać. Musisz szeptać jej do ucha: Już dobrze, koniku...

jestem przy tobie". A jeśli chodzi o Macierzanekę, to trafiła ci się stara, złośliwa jędra. Jest leniwa, a ponieważ zrozumiała, że nie umiesz nad nią zapanować, nie wykonywała poleceń. Dopiero gdy poczuje twoją władzę, stanie się posłuszna. Widziałas, jak zareagowała na Billy'ego Trehaya!

— Nie wiedziałam, że Siwa się mnie bała — zdziwiła się Alvean.

— Ojciec chciałby, byś jeździła konno.

Nie powinnam była tego mówić. Ożyło wspomnienie dawnego lęku i upokorzeń, w oczach dziewczynki znów pojawił się strach. Ze zdwojoną siłą poczułam gniew na tego bezwzględного człowieka, nie liczącego się z uczuciami dziecka.

— Pomyśl, czy nie miło byłoby zrobić mu niespodziankę? — podjęłam.

— Na przykład... Wyobraź sobie, że w tajemnicy przed nim nauczyłaś się galopować i skakać przez przeszkody... a pewnego dnia pokazałaś mu, co potrafisz.

Serce mi pękało, gdy patrzyłam na jej rozpromienioną twarzyczkę.

Jaki człowiek może być tak gruboskórny i pozbawiony wrażliwości, by odmówić dziecku uczucia?

— Alvean — powiedziałam. — Spróbujmy.

~ Zgoda, spróbujmy — odrzekła. — Pójdę się przebrać.

Z ust wyrwał mi się okrzyk zawodu. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie mam amazonki. Przez te lata, gdy mieszkałam u ciotki Adelajdy, rzadko dosiadałam wierzchowca. Ciotka nie lubiła jeździć konno, dlatego też nikt nie zapraszał jej na polowania, przez co ja nie mogłam się oddawać ulubionej rozrywce, zwłaszcza że nie mogłam sobie pozwolić na przejażdżki po Hyde Parku. Kiedy ostatnio wyjęłam z szafy swój strój do konnej jazdy, okazało się, że mole poczyniły w nim spustoszenia. Pogodziłam się z losem, pomyślałam bowiem, że i tak już nigdy nie będę jeździła.

Alvean spojrzała na mnie, więc wyjaśniłam z żalem:

— Nie mam stroju do konnej jazdy.

Posmutniała, lecz zaraz się rozpromieniła.

— Niech pani pójdzie ze mną — powiedziała konspiracyjnym tonem.

Ucieszyła mnie nowa zażyłość, która, jak liczyłam, może stać się początkiem przyjaźni.

Alvean poprowadziła mnie galerią do tej części dworu, która -jak uprzedzała pani Polgrey -jest dla mnie niedostępna. Dziewczynka zatrzymała się przed drzwiami, wyraźnie zbierając się na odwagę. Wreszcie pchnęła je i odsunęła się, wpuszczając mnie. Odniosłam wrażenie, że wołała, bym to ja weszła tam pierwsza.

Znalazłam się w niewielkim pokoju, prawdopodobnie w garderobie.

Wisiąło w nim duże lustro, stały też szafa, komódka i dębowa skrzynia.

Jak większość pomieszczeń w tym domu, było tu dwoje drzwi. Zdaje się, że pokoje przylegające do galerii zbudowano w układzie amfiladowym.

Dostrzegłam, że drugie drzwi są uchylone. Alvean podeszła do nich i zajrzała do środka. Stałam za nią.

Do garderoby przylegała sypialnia, obszerny, pięknie umeblowany pokój z błękitnym dywanem i takimiż aksamitnymi portierami. Pośrodku stało małżeńskie łóżko. Musiało być duże, choć w przestronnym pokoju wydawało się niewielkie.

Alvean wyraźnie zaniepokoiło mojej zainteresowanie sypialnią.

Domknęła uchylone drzwi.

Victoria Hoit — Jest tu mnóstwo ubrań — powiedziała. — W szafie i skrzyni. Na pewno znajdzie się też strój do konnej jazdy, który będzie na panią pasował.

Otworzyła wieko skrzyni. Po raz pierwszy widziałam dziewczynkę tak podekscytowaną. Uradowana, że znalazłam do niej drogę, dałam się porwać entuzjizmowi mojej podopiecznej.

W skrzyni leżały suknie, halki, kapelusze i buty.

— Na strychu jest jeszcze więcej ubrań. Całe kufry. Ubrania babci, prababci. Na balach goście wyciągali je i wykorzystywali jako przebrania do szarad...

Wyjęłam czarny, wysoki damski kapelusz do konnej jazdy. Włożyłam go, Alvean roześmiała się cichutko, a mnie aż coś ścisnęło w gardle.

Tak śmieje się dziecko, które nie przywykło do śmiechu, które wstydi się, że się śmieje. Przysięgam sobie w duchu, że przy mnie będzie śmiała się często, swobodnie i bez poczucia winy.

Dziewczynka nagle ucichła, jakby sobie przypomniała, gdzie jest.

— Dziwnie pani w nim wygląda — powiedziała.

Wstałam i przejrzałam się w lustrze. Jedno nie ulegało wątpliwości — zupełnie nie przypominałam siebie. Oczy mi błyszczały, na tle czarnego randa moje włosy wydawały się bardziej rude niż zwykle. Wyglądałam mniej niepociągająco niż zwykle i właśnie to miała na myśli Alvean mówiąc „dziwnie”.

— Całkiem nie jak guwernantka — wyjaśniła.

Wyjmowała suknię: pięknie skrojoną, elegancką czarną amazonkę, obszytą pasamonem* z błękitnymi mankietami i kołnierzykiem. Przyłożyłam ją do siebie.

— Zdaje się — powiedziałam — że będzie pasować.

— Niech pani przymierzy. Albo... Nie, nie tutaj. Zabierzemy ją do pokoju i tam pani sprawdzi.

Nagle gorączkowo chciała się wyrwać z tego miejsca. Chwyciła kapelusz i podbiegła do drzwi. Sądziłam, że niecierpliwi się, by zacząć naukę, a zostało niewiele czasu, bo musiałyśmy wrócić na podwieczorek o czwartej.

Wzięłam suknię, zabrałam kapelusz i wróciłam do siebie, Alvean zaś pomknęła do swojego pokoju. Nie tracąc czasu, przymierzyłam amazonkę.

* z wł. taśma, lamówka, wstążka do obszywania sukien, liberii itp. (przyp. wyd.)

Nie leżała idealnie, ale nigdy nie nosiłam drogich, dobrze uszytych ubrań, toteż postanowiłam się nie przejmować, chociaż odrobinę piła w talii, a rękawy okazały się przykuse. I tak odbicie w lustrze rekompensowało mi te drobne niedogodności — zwłaszcza gdy włożyłam kapelusz.

Byłam zachwycona swoim nowym wyglądem.

Podbiegłam do Alvean, która już czekała w stroju do konnej jazdy.

Na mój widok jej oczy pojaśniały — po raz pierwszy patrzyła na mnie z prawdziwym zainteresowaniem.

Poszliśmy razem do stajni. Poleciałam Billy'emu Trehayowi, by osiodłał Macierzankę dla Alvean i jakiegoś wierzchowca dla mnie, bo będę ją uczyła jeździć.

Stajenny przyglądał mi się nieco zdziwiony, ale powiedziałam, że mamy niewiele czasu i bardzo się spieszymy. Kiedy przyprowadził konie, posadziłam Alvean na Macierzance, wzięłam wodze i poprowadziłam ją na padok.

Spędziłyśmy tam prawie godzinę, a pod koniec wiedziałam już, że ta lekcja zapoczątkowała nową erę moich stosunków z Alvean. Oczywiście dziewczynka nie zaakceptowała mnie w pełni — tego nie mogłam oczekiwać — ale chyba ostatecznie uwierzyła, że nie jestem jej wrogiem.

Staralam się przywrócić Alvean pewność siebie. Zależało mi na tym, by oswoiła się z siodłem i nauczyła przemawiać do konia. Kazałam jej kłaść się na grzbiecie klaczy i patrzeć w niebo, a potem zamykać oczy.

Pokazałam jej, jak dosiadać konia i jak z niego zeskakiwać. A choć przez tę godzinę Macierzanka tylko człapała po wybiegu, byłam przekonana, że udało mi się w znacznym stopniu zmniejszyć lęk Alvean do koni, a właśnie taki cel sobie postawiłam.

Zdziwiłam się, kiedy się okazało, że dochodzi już wpół do czwartej; Alvean chyba też.

— Musimy natychmiast wracać do domu — powiedziałam — bo nie zdążymy się przebrać do podwieczorku.

Kiedy opuszczałyśmy padok, ktoś się wynurzył z trawy. Ku mojemu zdumieniu był to Peter Nansellock. Zaczął nam bić brawo.

— I tak zakończyła się pierwsza lekcja! — zawołał. — Znakomicie! Nie wiedziałem, że do długiej listy pani zalet należy dopisać też talent jeździecki.

— Przyglądałeś się nam, wujku? — spytała Alvean.

— Od półgodziny. I jestem pełen podziwu dla waszych zdolności.

Alvean uśmiechnęła się nieśmiało.

— Naprawdę nas podziwiałeś?

— Choć pokusa prawienia komplementów dwóm pięknym damom jest silna — rzekł, kładąc rękę na sercu i nisko się kłaniając — za nic nie zniżyłbym się do kłamstwa.

— Aż do tej pory — odparowałam ostro. Alvean posmutniała — — W nauce konnej jazdy nie ma nic zachwycającego. Co dzień robi to tysiące ludzi.

— Lecz nigdy i nigdzie jeszcze nie widziano tak cierplivej i czarującej nauczycielki i tak pilnej uczennicy.

— Pan Nansellock stroi sobie z nas żarty, Alvean — powiedziałam.

— Tak — odrzekła smutno dziewczynka. — Wiem.

— My zaś musimy się spieszyć na podwieczorek — dodałam.

— Mogę liczyć na zaproszenie do szkolnego pokoju?

— Przyszedł pan z wizytą do pana TreMellyna? — zapytałam.

— Przyszedłem z wizytą do dwóch czarujących dam.

Alvean parsknęła śmiechem. Widziałam, że nie pozostaje całkiem obojętna na urok Petera Nansellocka.

— Pan TreMellyn wczesnym popołudniem wyjechał z Mount Meliyn — oświadczyłam. — Nie mam pojęcia, czy już wrócił czy nie.

— A myszy harcują... — mruknął, wodząc po moim stroju wzrokiem, który mogłam określić jednym słowem: bezczelny.

— Chodźmy, Alvean — odezwałam się chłodno. — Musimy się spieszyć, bo spóźnimy się na podwieczorek.

Popędziłam swojego konia do truchtu i nie wypuszczając z ręki wodzy Macierzanki, skierowałam się w stronę domu.

Peter Nansellock podążył za nami, a gdy dotarliśmy do stajni, skręcił do domu.

Zeskoczyliśmy z koni, zostawiłyśmy je pod opieką stajennych i pobiegłyśmy do siebie.

Przebrałam się we własne rzeczy i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze.

W szarej bawełnianej sukni wyglądałam po prostu okropnie. Niecierpliwie machnęłam ręką, zła na swoją próżność, po czym podniosłam amazonkę, by odwiesić ją do szafy. Postanowiłam, że przy pierwszej okazji spytam panią Polgrey, czy wolno mi nosić ten strój. Powinnam była to uzgodnić, nim włożyłam suknię, ale dziś działałam pod wpływem impulsu— A pchnęła mnie do tego, uświadomiłam sobie, postawa Connana TreMellyna.

Podnosząc amazonkę, zauważyłam nazwisko wyhaftowane na wewnętrznej stronie paska. Przeczytałam je i drgnęłam. Trudno się temu dziwić, bo na czarnej satynie ktoś wyhaftował małymi, równymi literkami „Alice TreMellyn”.

Dopiero wtedy do mnie dotarło: tamten pokój był jej garderobą; to Alice zajmowała przylegającą do niego sypialnię. Zdumiało mnie, że Alvean mnie tam zaprowadziła i dała ubranie swojej matki.

Serce podeszło mi do gardła. I o co właściwie ci chodzi, skarciłam się w duchu. A gdzie miałyśmy szukać jakiegoś nieprzedpotopowego stroju?

Chyba nie w kufrach na strychu. Tamte suknie wykorzystywano do maskarad.

Zachowuję się co najmniej niemądrze. Dlaczego miałabym nie nosić amazonki Alice? Przecież już jej nie potrzebowała. A ja, nie oszukujmy się, nie pierwszy raz donaszałam cudze rzeczy.

Zdecydowanym ruchem strzepnęłam suknię i powiesiłam ją w szafie.

Potem z czystej ciekawości podeszłam do okna i próbowałam ustalić, które okna należą do sypialni Alice. Wydawało mi się, że je odnalazłam.

Nie wiadomo czemu przeszedł mnie dreszcz, ale otrząsnęłam się z tego. Cieszyłaby się, że noszę jej amazonkę, tłumaczyłam sobie. Naturalnie, że by się cieszyła. Czyż nie staram się pomóc jej córce?

Uświadomiłam sobie, że szukam dla siebie usprawiedliwienia, co było zupełnie irracjonalne. Gdzie się podział mój zdrowy rozum? Lecz żadne perswazje i apele do rozsądku nie zmieniały faktu, że wołałabym, aby amazonka należała do każdego — tylko nie do Alice.

Kiedy już się przebrałam, rozległo się pukanie do drzwi. Z ulgą zobaczyłam w nich panią Polgrey.

— Proszę do środka — ucieszyłam się. — Właśnie o pani myślałam.

Wpłynęła do pokoju niczym fregata, a ja, jak nigdy, byłam wdzięczna za wizytę. Gospodyni wniosła ze sobą powiew normalności, skutecznie odpędzając wszelkie urojenia i niemądre obawy.

— Udzielałam panience Alvean lekcji konnej jazdy — powiedziałam szybko, by uporać się z problemem sukni, zanim pani Polgrey wyjaśni, co ją do mnie sprowadza. — A ponieważ nie mam odpowiedniego stroju, znalazła dla mnie amazonkę. Zdaje się, że należała do jej matki.

Podeszłam do szafy i wyjęłam suknię. Pani Polgrey skinęła głową.

— Miałam ją na sobie dzisiaj. Ale może nie powinnam była...?

— Czy jaśnie pan wyraził zgodę na te lekcje?

— O, tak. Poprosiłam go o pozwolenie.

— To nie musi się panna przejmować. Zgodziłby się, by panna pożyczyła sobie ten strój. Może go panna trzymać u siebie, oczywiście pod warunkiem, że będzie go nosić wyłącznie w czasie lekcji z panienką Alvean.

— Dziękuję. Bardzo mnie pani uspokoiła.

Pani Polgrey z zadowoleniem skinęła głową. Wyraźnie była usatysfakcjonowana, że zwróciłam się do niej ze swoimi wątpliwościami.

Yictoria Hoit — Przyszedł pan Peter Nansellock — oświadczyła.

— Tak, widziałyśmy go, wracając z lekcji.

— Pana nie ma w domu, a panicz Peter poprosił, by panna i panienka Alvean dotrzymały mu towarzystwa przy podwieczorku.

— Och, ale czy powinnyśmy... To znaczy, czyja powinnam...?

— No cóż... sądzę, że to wypada. Wydaje mi się, że pan też by sobie tego życzył, zwłaszcza jeśli panicz Peter sam zaproponował. Panna Jftnsen, gdy jeszcze tu pracowała, często pomagała podejmować gości. Co więcej, pamiętam nawet, że raz zasiadła z państwem do koiacji.

— Doprawdy?

Miałam nadzieję, że w moim głosie zabrzmiał wystarczający podziw.

— Sama panna rozumie, że brak pani domu bywa czasem kłopotliwy.

A jeśli dżentelmen sam prosi, by pani dotrzymała mu towarzystwa...

Cóż, ja nie widzę w tym nic zdrożnego. Powiedziałam panu Nansellockowi, że herbatę podamy w pokoju ponczowym i zapewniłam, że panna wraz z panienką dotrzymają mu towarzystwa. Nie ma panna obiekcji?

— Nie, nie. Żadnych.

Gospodyni uśmiechnęła się do mnie łaskawie.

— Zatem zejdzie panna na dół?

-Tak.

Wypłynęła z pokoju równie majestatycznie, jak do niego wpłynęła.

Uśmiechnęłam się, wielce z siebie zadowolona. Zaiste, ten dzień okazał się nadzwyczaj przyjemny.

Kiedy zjawiłam się w pokoju ponczowym, Alvean jeszcze nie było.

Peter Nansellock siedział wygodnie rozparty w fotelu. Zerwał się na mój widok.

— Cóż za radość!

— Pani Polgrey poleciła mi przyjść tu i czynić honory domu pod nieobecność pana TreMellyna.

— Cała pani: już w pierwszym zdaniu przypomina pani, że jest tu tylko guwernantką.

— Uznałam to za konieczne, skoro pan najwyraźniej o tej sprawie zapomniał.

— Jakąż czarującą jest pani gospodynią! Pomyśleć, że gdy dawała pani Alvean lekcje konnej jazdy, ani trochę nie wyglądała pani na guwernantkę.

— To zasługa mojej amazonki. Cudze piórka. Nawet bązant wyglądałby jak paw, gdyby dostał jego ogon.

— Droga panno pawico, pozwolę sobie nie zgodzić się z tym. „To ma— Guwernantko niery czynią z mężczyzny dżentelmena” — w tym wypadku z kobiety damę — a nie pióra. Lecz proszę mi powiedzieć, nim zjawi się tu nasza najdroższa Alvean: co pani sądzi o tym miejscu? Zostanie pani z nami na dłużej?

— Źle pan zaadresował pytanie. O tym, czy zostanę tu dłużej, zadecyduje wyższa instancja.

— A w tym wypadku „wyższa instancja” jest odrobinę nieprzewidywalna, nieprawdaż? Co pani sądzi o starym Connanie?

— Po pierwsze, niezbyt trafnie dobrał pan epitet, a po drugie, nie mnie tu ferować wyroki.

Wybuchnął głośnym śmiechem, odsłaniając białe, idealnie równe zęby.

— Droga panno guwernantko — jęknął. — Chce mnie pani doprowadzić do śmierci?

— Bynajmniej, nigdy nie miałam takiego zamiaru.

— Choć z drugiej strony, często myślałem, że śmierć ze śmiechu może być całkiem przyjemna.

Naszą potyczkę słowną przerwało wejście Alvean.

— A oto i panienska we własnej osobie! — zawołał Peter. — Droga Alvean, jak to poczciwie z twojej strony, że zgodziłaś się razem z panną Leigh dotrzymać mi towarzystwa.

— Ciekawe, dlaczego nas poprosiłaś — odezwała się dziewczynka. — Wcześniej nigdy tego nie robiłaś... Tylko kiedy była tu panna Jansen.

— Ci! Cicho! Nie wydawaj mnie! — skarcił ją cicho.

Zjawiła się pani Polgrey z Kitty. Pokojówka postawiła tacę z herbatą, a gospodyni zajęła się zapalaniem lampki. Kitty rozłożyła obrus na stoliku, po czym wniosła ciastka i kanapki z ogórkiem.

— Zechce panna sama przygotować herbatę? — zwróciła się do mnie pani Polgrey.

Odparłam, że z przyjemnością się tym zajmę, więc dała znak Kitty, która z nieskrywanym zachwytem, niemal uwielbieniem wpatrywała się w Petera Nansellocka. Dziewczyna najwyraźniej nie chciała opuszczać pokoju; odsyłanie jej wydawało się niesprawiedliwością. Odnosiłam wrażenie, że pani Polgrey do pewnego stopnia też jest pod urokiem tego mężczyzny. Być może dlatego że tak diametralnie różnił się od jej pana.

Peter potrafił czarować spojrzeniem, a zauważyłam, że darzy uwielbieniem wszystkie kobiety. I Kitty, i panią Polgrey, i Alvean, i mnie.

Oto, ile są warte jego zalecanki, powiedziałam sobie i poczułam się lekko urażona. Cóż, spotkałam mężczyznę, który posiadał wyjątkową umiejętność: sprawiał, że w jego obecności każda kobieta czuła się pięknie. WctoriaHott Zaparzyłam herbatę, a Alvean podała mi pieczywo i masło.

— Cóż za luksus! — zawołał. — Czuje się jak basza, któremu usługują dwie piękne damy.

— I znowu kłamiesz, wujku! Wcale nie jesteśmy damami. Ja jestem jeszcze za mała, a panna Leigh jest guwernantką.

— Cóż za bluźnierstwo! — mruknął i spojrzał na mnie ciepło, niemal pieszczotliwie.

Poczułam się niezręcznie, to była dla mnie krępująca sytuacja, więc szybko zmieniłam temat.

— Sądzę, że Alvean wyrośnie na znakomitą amazonkę. A pan jak uważa?

Widziałam, jak niecierpliwie dziewczynka czeka na werdykt.

— Zobaczysz pani, jeszcze zdobędzie mistrzostwo Kornwalii.

Nie potrafiła ukryć zadowolenia.

— Ale — pogroził jej palcem — pamiętaj, komu to zawdzięczasz.

Alvean spojrzała na mnie z pełną nieśmiałości wdzięcznością, a ja nagle poczułam się szczęśliwa; ucieszyłam się, że tu jestem. Wreszcie nie miałam żalu do życia i przestałam zazdrościć mojej pięknej siostrze.

W tym momencie z nikim bym się nie zamieniła. Chciałam być tym, kim byłam: Martha Leigh, która siedziała przy herbacie z Peterem Nansellockiem i Alvean TreMellyn.

— Ale to na razie tajemnica — powiedziała dziewczynka.

— Tak, chcemy zrobić jej ojcu niespodziankę.

— Będę milczał jak grób.

— Dlaczego mówi się „milczeć jak grób”? — spytała Alvean.

— Bo — wyjaśnił Peter — zmarli nie mówią.

— Ale duchy czasem mogą coś powiedzieć — zaniepokoiła się, oglądając przez ramię.

— Pan Nansellock miał na myśli — wyjaśniłam pospiesznie — że nie zdradzi naszej tajemnicy. Alvean, nasz gość miałby chyba jeszcze ochotę na kanapki.

Poderwała się, by podać mu talerz. Cieszyłam się, patrząc na jej miłe i przyjazne zachowanie.

— Wciąż jeszcze nie złożyła pani wizyty w Mount Widden, panno Leigh — zwrócił się do mnie Peter. \ — Nie przyszło mi to do głowy.

— Ładnie to tak lekceważyć sąsiadów? Och, wiem, co zaraz usłyszę.

Nie przyjechała tu pani, by składać wizyty; przyjechała tu pani jako guwernantka.

— Zgadza się.

— Nasz dom nie jest młodszy i mniejszy niż ten. Nie wiążą się z nim wprawdzie żadne interesujące historie, ale to miłe miejsce, a moja siostra na pewno by się ucieszyła, gdyby któregoś dnia zajrzała pani do nas razem z Alvean. Zapraszam na podwieczorek.

— Nie jestem pewna... — zaczęłam.

— ...czy to jest stosowne dla guwernantki? — dokończył. — Wiem, jak możemy rozwiązać tę kwestię. Przyprowdzi pani Alvean do Mount Widden na podwieczorek. Każda, nawet najbardziej skrupulatna guwernantka przyzna, że przyprowdzenie z wizytą podopiecznej, a następnie odprowadzenie jej do domu należy do obowiązków nauczycielki.

— Kiedy możemy przyjść? — dopytywała się Alvean.

— Zaproszenie jest otwarte.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, co to znaczy. Peter Nansellock znowu rzucał słowa na wiatr. Nie zamierzał mnie zapraszać do Mount Widden.

Wyobraziłam sobie, jak przyjeżdżał tu i flirtował z panną Jansen, której — co wszyscy podkreślali — nie brakowało urody. Znam ja takich jak ty, powiedziałam w duchu.

Nagle otworzyły się drzwi i ku memu głębokiemu zażenowaniu, które -jak liczyłam — zdołałam ukryć, do pokoju wszedł Connan TreMellyn.

Czułam się, jakby mnie przyłapał na odgrywaniu pod jego nieobecność roli pani domu. Wstałam. Uśmiechnął się do mnie przelotnie.

— Panno Leigh, znajdzie się dla mnie filiżanka herbaty?

— Alvean — poleciłam — zadzwoń, by przyniesiono filiżankę.

Natychmiast poderwała się, by spełnić polecenie, ale jej zachowanie się zmieniło. Była stremowana, bardzo jej zależało, by stanąć na wysokości zadania i zyskać aprobatę ojca. Przez to utraciła naturalną swobodę i wstając z fotela, straciła swoją filiżankę. Spłonęła krwistym rumieńcem.

— Nic się nie stało — powiedziałam. — Zadzwoń na Kitty, uprzątnie to, jak przyjdzie.

Czułam, że pan TreMellyn obserwuje tę scenę z rozbawieniem. Gdybym wiedziała, że wróci, dwa razy bym się zastanowiła, nim zgodziłabym się podejmować Petera Nansellocka w pokoju ponczowym, przekraczając w ten sposób granice, wyznaczone przez moją pozycję w tym domu.

— Panna Leigh łaskawie zgodziła się czynić honory domu — odezwał się Peter. — Prosiłem, by zechciała to zrobić, a ona wreszcie ustąpiła.

— Bardzo to miłe z jej strony — odparł lekko mój pracodawca.

Weszła Kitty; pokazałam jej rozlaną herbatę i kawałki porcelany.

— I zechciej, proszę, przynieść filiżankę dla pana TreMellyna — dodałam.

Wychodząc, Kitty uśmiechała się drwiąco. Sytuacja najwyraźniej ją bawiła. Ja nie znajdowałam w niej nic zabawnego, przeciwnie. Nie potrafiłam z wdziękiem, jak inne panie domu, podawać herbaty, a teraz, gdy pojawił się mój chlebodawca, czułam się skrępowana. Doskonale rozumiałam, co przechodziła Alvean. Ale nie mogłam sobie pozwolić na potknięcie.

— Miałaś pracowity dzień, Connanie? — odezwał się Peter.

Connan TreMellyn wdał się w opowieść o jakichś skomplikowanych kwestiach związanych z majątkiem. Uznałam, że w ten sposób daje do zrozumienia, iż moje obowiązki ograniczają się do podania herbaty.

I żebym sobie nie wyobrażała, że naprawdę odgrywam tu rolę gospodyni.

Jestem tylko nieco lepszą służącą i nikim więcej.

Ogarnęła mnie złość na niego. Jak śmiał zjawić się tu i odebrać mi tę chwilę triumfu? Zastanawiałam się, co powie, gdy pewnego dnia pokażę mu małą, znakomicie trzymającą się w siodle amazonkę, na jaką pod moim okiem wyrośnie Alvean. Pewnie wygłosi jakiś uszczypliwy komentarz i przyjmie to obojętnie, a my obie poczujemy, że tylko traciłyśmy czas.

Biedna dziewczynka, pomyślałam. Próbuje zdobyć serce człowieka pozbawionego serca. Biedna Alvean! Biedna Alice!

W tej samej chwili odniosłam wrażenie, że do pokoju weszła Alice.

Widziałam ją wyraźnie: była mniej więcej mojego wzrostu, może nieco niższa i szczuplejsza w talii — choć z drugiej strony, nigdy nie lubiłam mocno sznurować gorsetu. Bez większego wysiłku wyobraziłam sobie zatem kobiecą postać w czarnej amazonce z niebieskim kołnierzykiem i mankietami. Jedyne, czego mi brakowało, to twarz.

Kitty przyniosła filiżankę i nalałam herbatę dla mojego chlebodawcy.

Obserwował mnie, czekając, aż wstanę i mu ją przyniosę.

— Alvean — odezwałam się. — Zechciej, proszę, podać swojemu ojcu herbatę.

Z chęcią wypełniła polecenie. Ojciec podziękował jej zdawkowo, a Peter skorzystał z przerwy w rozmowie, by wciągnąć mnie do konwersacji.

— Poznaliśmy się z panną Leigh w pociągu, gdy do ciebie jechała.

— Doprawdy?

— Tak, wyobraź sobie. Choć, oczywiście, nie orientowała się wtedy, kim jestem. Dasz wiarę? Nigdy nie słyszała o słynnych Nansellockach!

Nie miała nawet pojęcia o istnieniu Mount Widden. Ale ja oczywiście wiedziałam, kim jest. Dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem do jej przedziału.

Guwernantko — Niezwykle interesujące, doprawdy — odrzekł Connan TreMellyn z miną świadczącą, że śmiertelnie go to nudzi.

— Dlatego — ciągnął Peter — była ogromnie zaskoczona, gdy okazało się, że mieszkamy w bezpośrednim sąsiedztwie.

— Mile zaskoczona, jak sądzę — powiedział mój chlebodawca.

— Oczywiście-odparłam.

— Miło mi to słyszeć, panno Leigh. — Peter się skłonił.

Spojrzałam na zegarek.

— Ja i Alvean musimy panów przeprosić. Dochodzi piąta, a między piątą a szóstą mamy zajęcia.

— Naturalnie — ochoczo przytaknął Connan. — Nie śmielibyśmy burzyć pani porządku dnia.

— Ależ — zaproponował Peter — raz chyba można zrobić wyjątek?

W Alvean wstąpiła nadzieja. W towarzystwie ojca czuła się nieszczęśliwa, ale nie mogła znieść myśli o rozstaniu.

— To byłoby nieroztropne — oznajmiłam, wstając. — Chodźmy, Alvean.

Łypnęła na mnie koso i straciłam całą sympatię, jaką sobie zaskarbiłam tego dnia.

— Proszę, papo... — zaczęła.

Spojrzał na nią surowo.

— Moja droga, słyszałaś, co powiedziała twoja guwernantka.

Alvean zaczerwieniła się i zawahała, ale ja już zegnałam się z Peterem Nansellockiem i szłam w stronę drzwi.

W pokoju do nauki dziewczynka zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem.

— Dlaczego zawsze musi pani wszystko popsuć? — zapytała z pretensją.

— Popsuć? — powtórzyłam. — Wszystko?

— Mogłybyśmy przełożyć czytanie na kiedy indziej... Wszystko jedno kiedy.

— Ale zawsze czytamy od piątej do szóstej, nie „wszystko jedno kiedy” — odpowiedziałam chłodniej, niż zamierzałam, bo bałam się, że dopuszczę do głosu prawdziwe uczucia.

Chciałam jej wytłumaczyć: kochasz ojca i marzysz, by zdobyć jego miłość. Ale, maleńka, nie wiesz, jak to zrobić. Pozwól sobie pomóc.

Oczywiście nie powiedziałam tego na głos. Nigdy nie lubiłam wylewnego okazywania uczuć i nie zamierzałam tego zmieniać.

— Do dzieła — poleciłam. — Mamy tylko godzinę, nie traćmy ani minuty.

Siedziała nadąsana, niechętnie patrząc na książkę, którą czytałyśmy.

Był to „Klub Pickwicka” pana Dickensa. Wybrałam tę lekturę w nadziei, że wniesie radość i pogodę w smutne i poważne życie mojej podopiecznej.

Alvean straciła cały zapał; ani trochę nie uważała, a nagle podniosła wzrok i oświadczyła:

— To dlatego że go pani nienawidzi. Nie chce pani spędzić ani chwili w jego towarzystwie.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, Alvean — odparłam.

— Niech pani nie udaje. Wie pani, że chodzi o mojego ojca.

— Nonsens — burknęłam, ale bałam się, że zdradzi mnie rumieniec.

— Czytajmy, szkoda czasu.

Po czym skupiłam się na książce. Uznałam, że nie możemy czytać opowieści o podstarzałej damie w żółtych papilotach, bo owa historyjka zdecydowanie nie nadaje się dla dziecka w wieku Alvean.

Tego wieczoru, gdy Alvean już się położyła spać, wybrałam się na przechadzkę do lasu. Powoli to miejsce stawało się moim schronieniem, azylem, w którym mogłam spokojnie zastanawiać się nad swoim życiem i nad tym, dokąd prowadzi mnie los.

Miniony dzień obfitował w wydarzenia, w większości przyjemne aż do pojawienia się Connana TreMellyna, który wszystko zepsuł.

Zastanawiałam się, czy mój pracodawca często i na długo wyjeżdżał w interesach. Ale naprawdę na długo, nie tylko na parę dni. Gdyby tak było, zdołałabym uczynić z Alvean znacznie pogodniejsze i szczęśliwsze dziecko.

Zapomnij o nim, skarciłam się w duchu. Unikaj go, gdy tylko to możliwe.

Więcej zrobić nie możesz.

Postanowienie, owszem, bardzo chwalebne, lecz co począć, jeśli Connan TreMellyn uparcie pojawia się w moich myślach?

Siedziałam w lesie do zmierzchu, potem wróciłam do domu. Nie minęło parę minut, gdy zastukała Kitty.

— Tak mi się wydawało, że panienkę słyszałam — powiedziała. — Pan wzywa. Czeka w bibliotece.

— Będziesz musiała mnie zaprowadzić, bo nigdy jeszcze tam nie byłam.

Najchętniej przyczesałabym włosy i nieco się ogarnęła, ale podejrzewałam, że Kitty między każdym mężczyzną i kobietą dopatruje się tylko jednego, a nie chciałam, by pomyślała, że staram się upiększyć przed spotkaniem z panem.

Zaprowadziła mnie do skrzydła, w którym jeszcze nie byłam. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak olbrzymią rezydencją jest Mount Mel— Ta część domu, jeśli dobrze się domyślałam, stanowiła wyłączone ilestwo Connana TreMellyna i była urządzona z prawdziwym prze— Pokojówka otworzyła drzwi i zapowiedziała mnie.

— Dziękuję, Kitty — odezwał się Connan. — Proszę wejść, panno Leigh.

Siedział za biurkiem, na którym piętrzyły się książki oprawione skórę i papiery. Jedyne źródło światła stanowiła lampa na stole.

— Niech pani spocznie — zwrócił się teraz do ranie.

Dowiedział się, że nosiłam amazonkę Alice, pomyślałam. Jest oburzony.

Każe mi pakować kufry.

Wyprostowałam się, dumnie uniosłam głowę i czekałam.

— Z pewnym zaskoczeniem — zaczął — przyjąłem wiadomość, że zdążyła już pani poznać pana Nansellocka.

— Doprawdy? — Zdziwienie w moim głosie nie było udawane.

— Oczywiście — ciągnął — wcześniej czy później musiała go pani poznać, to nieuniknione. On i jego siostra nieustannie nas odwiedzają, Ale...

— Ale nie uważa pan za stosowne, by nawiązywał znajomość z guwernantką pańskiej córki — dokończyłam szybko.

— Ta decyzja akurat — osadził mnie — należy wyłącznie do pani i do niego.

Policzki mnie zapiekły, ale brnęłam dalej.

-. Rozumiem. Sądzi pan, że to nie wypada, bym ja, guwernantka...

zawierała bliższą znajomość z przyjacielem rodziny.

— Panno Leigh, bardzo proszę nie przypisywać mi słów, których nie że pani przyjaźnie to wyłącznie pani sprawa. Lecz umieszczając panią pod moim dachem, pani ciotka w jakimś sensie powierzyła mi opiekę nad panią. Poprosiłem panią do siebie, by udzielić pani rady w pewnej ilości delikatnej kwestii.

Splonęłam rumieńcem. A największym upokorzeniem była świadomość, że Connan z pewnością to widział i w duchu doskonale się bawił.

— Pan Nansellock słynie z... jak by to ująć...? Ma słabość do młodych panien.

— Och! — wyrwało mi się. Żadne słowa nie oddałyby mojego zażenowania.

— Panno Leigh. — Uśmiechnął się i przez moment jego twarz wydała niemal łagodna.
— To tylko życzliwe ostrzeżenie.

Panie TreMellyn — odparłam, z trudem odzyskując panowanie nad sobą. — Nie sądzę, bym potrzebowała takiego ostrzeżenia.

— Peter Nansellock jest bardzo przystojny — ciągną! z lekkim przekąsem.

— I obdarzony niezwykłym urokiem osobistym. Kiedy pracowała tu pani poprzedniczka, panna Jansen, często ją odwiedzał. Panno Leigh, jeszcze raz proszę: niech mnie pani nie zrozumie opacznie.

I chciałbym jeszcze coś dodać: proszę nie traktować poważnie wszystkiego, co mówi pan Nansellock.

— Bardzo dziękuję — odrzekłam zduszonym, piskliwym głosem, którego sama nie poznawałam — że tak się pan o mnie troszczy, panie Tre— Mellyn.

— To naturalne, że się o panią troszczę. Zajmuje się pani moją córką, zatem pani dobro bardzo mi leży na sercu.

Wstał. Zrobiłam to samo. Uznałam to za sygnał, że posłuchanie zakończone.

Obszedł biurko i położył mi rękę na ramieniu.

— Proszę mi wybaczyć — tłumaczył się. — Mówię prawdę w oczy, nie potrafię, jak pan Nansellock, czarować pięknymi słówkami. Chciałem jedynie udzielić pani przyjacielskiej rady i ostrzeżenia.

Patrzyłam w jego chłodne, jasne oczy i przez moment wydawało mi się, że pod maską lodu dostrzegam człowieka— W tej samej chwili otrzeźwiałam i z nagłym bólem uświadomiłam sobie ogrom mojego osamotnienia.

tragedię ludzi, których los nikomu nie leży na sercu. Może po prostu użalałam się nad sobą? Nie wiem. Kłębiło się we mnie wtedy tyle emocji, że do dziś nie potrafię opisać, co naprawdę czułam.

— Dziękuję — powiedziałam i uciekłam z biblioteki, by schronić się w swoim pokoju. Codziennie zabierałam Alvean na łąkę, gdzie przez godzinę uczyła się jeździć konno. Patrząc na dziewczynkę, dosiadającą Macierzanki, zżymałam się w duchu na Connana TreMellyna. Musiał być wyjątkowo niecierpliwym nauczycielem, bo choć jego córki nie można było nazwać zawołaną amazonką, radziła sobie całkiem nieźle i szybko czyniła postępy.

Dowiedziałam się, że rokrocznie w listopadzie odbywają się w Mellyn zawody jeździeckie, i zapewniłam Alvean, że będzie mogła się zgłosić co najmniej do jednej konkurencji.

Z wielką przyjemnością snułam te plany, gdyż jednym z sędziów zawsze był Connan TreMellyn. Obie wyobrażałyśmy sobie jego zdumienie, gdy pewna zawodniczka odniesie miażdżące zwycięstwo, a ową zawodniczką okaże się jego córka. Ta, która, jak twierdził, nigdy nie nauczy się jeździć konno.

Obie z jednakową żarliwością marzyłyśmy o tym triumfie. Pobudki Alvean były szlachetniejsze: do zwycięstwa pchała ją miłość do ojca. Ja zaś chciałam zagrać Connanowi na nosie: „Widzisz, zadufany w sobie mądralo, odniosłam sukces tam, gdzie ty przegrałeś”.

Dlatego więc codziennie po południu wkładałam strój Alice (przestałam się przejmować, do kogo wcześniej należał; traktowałam go jak swój własny) i ruszałam na łąkę razem z Alvean, by uczyć ją jazdy konnej.

Tego dnia, gdy po raz pierwszy udało jej się pogalopować, obie byłyśmy jednakowo szczęśliwe. Po lekcji razem wróciłyśmy do domu, a ponieważ towarzyszyłam mojej wychowance, weszłam frontowymi drzwiami, tak jak pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe.

Ledwo weszłyśmy do domu, Alvean mi czmychnęła, znikając za drzwiami, przez które pierwszego dnia poprowadziła mnie pani Polgrey.

Ruszyłam za nią. W korytarzu poczułam zapach stęchlizny. Zauważyłam, że drzwi kaplicy były uchylone. Przekonana, że tam pobiegła Alvean, zajrzałam do środka. W pomieszczeniu panował chłód— Wzdrygnęłam się. Weszłam dalej i stałam odwrócona plecami do drzwi, gdy nagle usłyszałam, jak ktoś za mną głośno wciąga powietrze.

— Nie! — zawołała ta osoba, tak zmienionym z przerażenia głosem, że go nie rozpoznałam.

Poczułam lodowaty dreszcz. Obejrzałam się gwałtownie — stała za mną Celestine Nansellock. Wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Była biała jak ściana, a może to tylko w mroku kaplicy jej twarz wydawała się taka blada? Sądziłam, że rozumiem powód tej reakcji. Zobaczyła mnie w amazonce Alice i przez chwilę myślała, że to nieboszczka Alice.

— Panno Nansellock — wyjaśniłam szybko, by ją uspokoić — uczyłam Alvean jazdy konnej.

Zachwiała się. Twarz miała wykrzywioną ze strachu.

— Przepraszam, jeśli panią przestraszyłam.

— Zastanawiałam się, kto to może być — odparła szorstko. — Skąd ten pomysł, by tu wejść?

— Przyszłam za Alvean. Uciekła mi i sądziłam, że tu się ukryła.

— Alvean? O, nie... tu nikt nie zagląda. Wyjątkowo ponure miejsce, nieprawdaż? Chodźmy.

— Nie wygląda pani... najlepiej, panno Nansellock. Może zadzwonić po pokojówkę, aby przyniosła coś na wzmocnienie?

— Nie, nie ma potrzeby. Czuję się doskonale.

— Patrzy pani na moje ubranie. — Postanowiłam wziąć byka za rogi.

-Jest... pożyczone. Uczę Alvean jeździć konno, a nie miałam odpowiedniego stroju. Ta amazonka... należała do jej matki.

— Eozumiem.

VictorioHoft — Wyjaśniłam sytuację pani Polgrey, która uważała, że nie ma nic złego w tym, bym nosiła te rzeczy.

— Oczywiście. Cóż w tym złego?

— Obawiam się, że panią przestraszyłam.

— Skądże, proszę tak nie mówić. Nic mi nie jest. To tylko złudzenie, w tej kaplicy każdy wygląda upiornie. Pani też jakby pobladła, panno Leigh. Wszystko przez te witraże. Wyjątkowo niefortunny kolor, nadaje cerze niezdrowy odcień. — Roześmiała się. — Wyjdźmy już stąd.

Wróciłyśmy do holu i wyszłyśmy z domu. Celestine odzyskała kolory.

Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że na mój widok przeżyła szok.

Od razu też znalazłam wytłumaczenie: zobaczyła mnie odwróconą plecami, w stroju Alice, i przez moment sądziła, że to pani TreMellyn tam stoi.

— Alvean chętnie się uczy jazdy konnej? — zapytała panna Nansellock.

— Proszę mi powiedzieć, lepiej już się pani z nią układa? Odniosłam wrażenie, że początkowo traktowała panią z pewną wrogością.

— Dzieci takie jak ona automatycznie reagują wrogością na wszelkie próby narzucenia autorytetu. Ale tak, sądzę, że zawiązuje się między nami przyjaźń, w czym bardzo pomogła nauka jazdy konnej. A przy okazji, ukrywamy te lekcje przed ojcem dziewczynki. — A widząc pełne zdumienia i oburzenia spojrzenie Celestine, szybko wyjaśniłam: — Och, ukrywamy tylko to, jak świetnie sobie radzi Alvean. O samych lekcjach, naturalnie, pan

TreMellyn wie. Mam na to jego zgodę. Nie zdaje jednak sobie sprawy, jakie postępy czyni jego córka. To będzie niespodzianka.

— Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że te lekcje nie stanowią dla niej nadmiernego obciążenia.

— Obciążenia? Czemu? Wszak Alvean to normalne, zdrowe dziecko.

— I bardzo nerwowe. Zastanawiam się, czy przy jej temperamencie powinna jeździć konno.

— Jest młodziutka, możemy ukształtować jej charakter tak, by nauczyła się panować nad swoimi emocjami. Lekcje sprawiają jej olbrzymią przyjemność i bardzo pragnie zrobić ojcu niespodziankę.

— Powiada więc pani, że rodzi się między wami przyjaźń? Bardzo się cieszę, panno Leigh. A teraz muszę już się pożegnać. Właśnie wychodziłam.

Zatrzymałam się koło kaplicy, bo zobaczyłam uchylone drzwi.

Pożegnałam się z nią i schodami dla służby wróciłam do pokoju. Podeszłam do lustra i uważnie obejrzałam swoje odbicie. Ten nawyk zrodził się we mnie, kiedy tu zamieszkałam.

Guwernantko — To rzeczywiście mogłaby być Alice — mruknęłam. — Gdyby nie twarz...

Zmrużyłam oczy, odbicie w lustrze się rozmyło, a ja w miejsce swojej twarzy próbowałam wstawić oblicze zmarłej pani domu.

Bez wątpienia musiał to być prawdziwy szok dla Celestine.

Zastanawiałam się, jak by zareagował Connan TreMellyn, gdyby się dowiedział, że paraduję po pokojach w ubraniu jego zmarłej żony i straszę tak rozsądne osoby jak Celestine Nansellock, pojawiając się w słabo oświetlonych miejscach.

Podejrzewałam, że nie życzyłby sobie, bym dalej wyglądała jak Alice.

Ponieważ jednak potrzebowałam tej sukni, aby udzielać Alvean lekcji, a bardzo mi zależało, by dalej uczyć dziewczynkę — dla satysfakcji zagrania na nosie jej ojcu — postanowiłam nie puszczać pary z ust na temat mojego spotkania w kaplicy z Celestine Nansellock. Zwłaszcza że byłam o tym przekonana — nasza sąsiadka również nie będzie się tym chwaliła.

Minął tydzień i zdażyłam już przywyknąć do mojego rytmu dnia.

Lekcje — te w pokoju szkolnym, jak i te na łące — przebiegały zadowolająco.

Peter Nansellock dwukrotnie składał wizytę w Mount Mellyn, ale szczęśliwie udało mi się go unikać. Wzięłam sobie do serca słowa Connana TreMellyna, zwłaszcza że nie mogłam odmówić mu słuszności.

Sama przed sobą musiałam się przyznać, że nie pozostawałam obojętna na urok Petera Nansellocka, co bardzo szybko mogłoby sprawić, że niecierpliwie wyglądałabym jego wizyt. Nie zamierzałam doprowadzić do takiej sytuacji, gdyż nawet bez ostrzeżenia mojego chlebodawcy wiedziałam, że Peter Nansellock to uwodziciel.

Czasem wyobrażałam sobie jego brata Geoffry'ego i dochodziłam do wniosku, że musieli być do siebie podobni. A gdy myślałam o starszym Nansellocku, od razu przypominała mi się córka pani Polgrey, Jennifer, o której gospodyni nigdy nie wspominała: piękność o „talii cieńszej niż u osy”, która nie uległa żadnemu wielbicielowi, aż pewnego dnia zjawił się czarujący Geoffry i wziął ją na sianie — a może wśród goździków — co zakończyło się samobójczą śmiercią biednej dziewczyny.

Przechodził mnie dreszcz na samą myśl o tragicznym losie, jaki czekał lekkomyślne panny. Te, pozbawione urody jak ja, żyły zdane na łaskę i niełaskę innych. Lecz o wiele gorszy los czekał nieszczęsne istoty, które z powodu swej piękności wpadały w sidła

uwodzicieli i pewnego dnia z przerażeniem odkrywały, że jedynym wyjściem jest odebranie so ię życia.

Guwernantko Tak się skupiłam na uczeniu Alvean jazdy konnej i analizowaniu charakteru jej ojca, że na jakiś czas zapomniałam o małej Gillyflower.

Dziewczynka była lak spokojna, że łatwo się o niej zapominało. Czasem w parku albo w domu słyszałam jej cienki, trochę drżący głosik, gdy śpiewała, w charakterystyczny dla siebie sposób lekko fałszując. Mieszkanie Polgreyów znajdowało się pod moim pokojem, gdy więc Gilly nuciła, docierał do mnie jej śpiew.

Słyszając ją, powtarzałam sobie: skoro potrafi nauczyć się piosenek, czegoś innego też mogłaby się nauczyć.

Najwyraźniej miałam skłonności do fantazjowania, bo w marzeniach widziałam nie tylko Connana TreMellyna, który na listopadowych zawodach konnych wręcza córce puchar za zwycięstwo w skokach i patrzy na mnie przepraszańcąc, a jednocześnie wzrokiem pełnym podziwu i uwielbienia, ale również Gilly siedzącą u boku Alvean w pokoju szkolnym. Za mną zaś ktoś szeptał: „To wszystko zasługa panny Marthy Leigh. Ma cudowne podejście do dzieci Wystarczy spojrzeć, jak niewiarygodne postępy poczyniła Alvean... a teraz i Gilly”.

Na razie jednak rzeczywistość wyglądała tak, że Alvean pozostała uparta, Gillyflower zaś nieuchwytna i, jak powiadały córki Tapperty'ego, była dzieckiem „z oblużowaną klepką”.

Rutynę i względny spokój codzienności zakłóciły dwa wydarzenia.

Pierwsze, choć zupełnie błahe, nie dawało mi spokoju.

Któregoś dnia, gdy Alvean pisała rozprawkę, przeglądałam jej zeszyty, sprawdzając zadania arytmetyczne. W pewnym momencie z kajetu wypadła kartka.

Pokrywały ją rysunki. Już wcześniej zauważyłam, że Alvean ma duży wrodzony talent. Zamierzałam przy najbliższej okazji zwrócić na to uwagę mojemu chlebodawcy, gdyż uważałam, że powinno się ją zachęcić do rysowania. Ja mogłam przekazać jej tylko podstawy, a moim zdaniem zasługiwała na wykwalifikowanego nauczyciela.

Na kartce były same portrety. Na jednym rozpoznałam siebie. Całkiem udany wizerunek. Ale czy naprawdę wyglądałam aż tak surowo?

Miałam nadzieję, że nie zawsze. Dziewczynka naszkicowała także studia ojca... i to kilkanaście. Jego też można było bez trudu rozpoznać.

Odwróciłam kartkę. Na drugiej stronie znajdowały się rysunki dziewczęcych twarzączek. Nie byłam pewna, kogo przedstawiały? Autoportrety?

Nie... To przecież Gilly. A mimo to bardzo przypominała Alvean.

Wpatrywałam się w kartkę z takim natężeniem, że zorientowałam się, iż Alvean oderwała się od pisania, dopiero gdy mi ją wyrwała.

— To moje — oburzyła się.

— A to — odparowałam — był przykład wyjątkowo niegrzecznego zachowania.

— Nie ma pani prawa grzebać w moich rzeczach.

— Ta kartka była w twoim zeszycie do arytmetyki.

— Nie miała prawa się tam znaleźć.

— W takim razie zemścy się na zeszycie — odparłam lekko. — I proszę na przyszłość — dorzuciłam surowszym tonem — abyś nie wrywała nikomu niczego z rąk. To wyjątkowo niegrzeczne.

— Przepraszam — wymamrotała, wciąż zirytowana.

Wróciłam do jej obliczeń. Większość zadań rozwiązała błędnie, matematyka nie była jej mocną stroną. Może dlatego Alvean wołała rysować niż podliczać słupki? Ale co ją tak zdenerwowało? Dlaczego rysowała twarze, w których można było dostrzec i ją, i Gilly?

— Alvean — powiedziała — musisz bardziej się przykładać do rachunków.

Mruknęła coś nadąsana.

— Nie opanowałaś podstawowych działań, nawet najprostszego mnożenia.

Gdybyś liczyła choć w połowie tak dobrze, jak rysujesz, byłabym bardzo zadowolona.

Milczała, — Dlaczego nie chciałaś, żebym oglądała twoje rysunki? Niektóre z tych portretów są całkiem udane.

Nadal żadnej reakcji.

— Zwłaszcza — ciągnęłam — wizerunki twojego ojca.

Nawet w takiej chwili na samą wzmiankę o ojcu jej twarz złagodniała, a na ustach zagościł czuły, tęskny uśmiech.

— I te portrety dziewczynek. Powiedz mi, kogo miały przedstawiać: ciebie czy Gilly?

Uśmiech zamarł na jej ustach.

— A jaką, pani zdaniem? — spytała bez tchu.

— Kogo — poprawiłam łagodnie.

— Kogo?

— Cóż, musiałabym się uważnie przyjrzeć.

Zawahała się, ale podała mi kartkę. Wpatrywała się we mnie z napięciem.

Przyjrzałam się uważnie twarzom.

— To możesz być albo ty, albo Gilly.

— Uważa pani, że jesteśmy podobne?

— N-nie. Aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy.

— Ale teraz tak.

— Jesteście w podobnym wieku, a twarze dzieci często wydają się dość podobne.

— Nie jestem jak ona! — zaperzyła się. — Nie jestem jak ta... idiotka.

— AJvean, nie można tak mówić. Nie zdajesz sobie sprawy, że to wyjątkowo okrutne?

— Kiedy to prawda. A ja wcale nie jestem taka jak ona. Zabraniam pani tak mówić. Jeśli pani powtórzy to jeszcze raz, poproszę ojca, aby panią zwolnił. Zrobi to... jeśli poproszę. Wystarczy jedno moje słowo, a odejdzie pani! — krzyczała.

Zrozumiałam, że próbuje samą siebie przekonać po pierwsze, że nie istnieje najmniejsze podobieństwo między nią i Gilly, a po drugie, że wystarczy jedno słowo, by ojciec spełnił jej prośbę.

Dlaczego, zastanawiałam się. Skąd to zacierzewienie?

Z twarzy dziewczynki niczego nie dawało się wyczytać.

— Masz dokładnie dziesięć minut na zakończenie rozprawki oświadczyłam, spokojnie patrząc na zegarek przypięty do paska sukni.

Przysunęłam do siebie zeszyt z rachunkami i udawałam pochłoniętą sprawdzaniem słupków.

Drugie wydarzenie poruszyło mnie znacznie głębiej.

Dzień minął dość spokojnie, co oznaczało, że lekcje odbyły się bez żadnych zakłóceń. Wracając z wieczornej przechadzki po lesie, zobaczyłam przed domem dwa powozy. W jednym rozpoznałam powóz z Mount Widden, domyśliłam się więc, że Peter albo Celestine przybyli w odwiedziny.

Drugiego nie znałam, a trzeba przyznać, że zasługiwał niemal na miano karocy. Przez chwilę zastanawiałam się, do kogo mógł należeć, po czym przywołałam się do porządku — nic mi do tego — Skierowałam się do wejścia dla służby i szybko wróciłam do pokoju.

Noc była ciepła. Siedząc przy oknie, usłyszałam dobiegającą z dołu muzykę. Domyśliłam się, że pan TreMellyn podejmuje gości.

Wyobraziłam sobie, jak siedzą w jednym z pokoi, w których moja noga nigdy nie powstała. Bo i czemuż miałyby powstać? Wszak jesteś tylko guwernantką, upomniałam się w duchu. Elegancko ubrany Connan TreMellyn zapewne przydykuje przy stoliku karcianym albo siedzi z gośćmi, słuchając muzyki.

Bozpoznałam utwór — „Sen nocy letniej” Mendelssohna — i nagle poczułam dojmujące pragnienie, by znaleźć się wśród nich w salonie.

Zdumiałam się, bo ani *soirées**, ani przyjęcia Phillidy nie budziły we mnie takiej tęsknoty. Ogarnęła mnie taka ciekawość, że pod byle pretekstem zadzwoniłam po Kitty albo Daisy, które zawsze były doskonale o wszystkim poinformowane i ochoczo dzieliły się swoją wiedzą.

* franc. wieczorki (przyp. tłum.)

Ujawiła się Daisy. Wyglądała na podekscytowaną.

— Potrzebuję gorącej wody, Daisy. Mogłabyś mi przynieść?

— Oczywiście, panienko.

— Zdaje się, że pan podejmuje dzisiaj gości?

— O, tak, panienko. Choć to nic w porównaniu z przyjęciami, jakie dawniej wydawał. Ale teraz, gdy upłynął już rok żałoby, pan będzie pewnie częściej przyjmował gości. Tak twierdzi pani Polgrey.

— Przez ten rok musiało tu być wyjątkowo spokojnie.

— Jużci, ale tak się należy... po śmierci w rodzinie.

— Naturalnie. Kogo dziś podejmuje pan TreMellyn?

— Oczywiście są panna Celestine i panicz Peter.

— Widziałam ich powóz.

W moim głosie brzmiała ciekawość. Pomyślałam ze wstydem, że zniżyłam się do poziomu rozplotkowanej służącej.

— Ale powiem panience, kto jeszcze jest.

-Kto?

— Sir Thomas i lady Trestyn.

Zrobiła konspiracyjną minę, jakby chodziło o sprawę o niezwykłym znaczeniu.

— Tak? — powiedziałam zachęcająco.

— Ale — podjęła Daisy — pani Polgrey mówiła, że sir Thomas zamiast jeździć w gości i się zabawiać, powinien leżeć w łóżku.

— Dlaczego? Jest chory?

— Co tu gadać, już dawno stuknął mu siódmy krzyżyk, a do tego serce niedomaga. Pani Polgrey mówi, że z takim sercem człek nie zna dnia ni godziny. Wystarczy byle co, żeby się pożegnać z życiem. A sir Thomas jeszcze...

Urwała i puściła do mnie oko. Język mnie świerzbiał, by błagać o dalsze plotki, ale zwyciężyła duma i nic nie powiedziałam. Rozczarowana Daisy zmieniła nieco temat.

— Za to ona to już inna sprawa.

-Kto?

— Jak to kto? Lady Trestyn. Gdyby ją panienka zobaczyła...! Ma suknię z dekoltem aż dotąd, a na ramionach precudne kwiaty. To prawdziwa piękność. Założę się, że tylko czeka...

— Domyślam się, że ją i męża dzieli duża różnica wieku?

Daisy zachichotała.

— Powiadają, że dzieli ich czterdzieści lat, a ona najchętniej udawałaby, że pięćdziesiąt.

— Wydaje mi się, czyjej nie lubisz?

— Ja? Nawet jeśli ja nie lubię, inni lubią aż nadto!

Zaczęła się histerycznie śmiać. Słuchając jej świszczącego oddechu i patrząc na niestosowny, zbyt obcisły ubiór, nagle zawstydziałam się tego, co robię.

— Chciałabym jednak dostać tę wodę, Daisy — powiedziałam chłodno.

Usłuchała i wyszła, ja zaś zyskałam jaśniejszy obraz tego, co się dzieje w salonie.

Myjąc ręce, szczotkując włosy i szykując się do snu, wciąż myślałam o gościach Connana TreMellyna.

Z salonu dochodziły pierwsze takty walca Chopina. Dźwięki muzyki rzuciły na mnie czar. Na moment wyrwałam się z pokoju guwernantki, marząc o zakazanych, nieosiągalnych przyjemnościach: niezwyklej urodzie, miejscu w salonach takich jak ten, w którym właśnie znajdowali się goście Connana, niezwyklej władzy, dzięki której mogłabym sprawić, by mój wybrany obdarzył mnie uczuciem.

Moje myśli mnie samą zdumiały. Jak mogły się zrodzić w głowie ubogiej, niepozornej guwernantki?

Podeszłam do okna. Ciepła pogoda utrzymywała się od tak dawna, że wątpiłam, by jeszcze długo potrwała. Wkrótce zawitają do nas jesienne mgły, a ponoć w tej okolicy mgły i południowo-zachodnie wiatry potrafią być, jak powiadał Tapperty, „wielce mocarne”.

Czułam zapach morza i słyszałam cichy szum fal. W zatoce Mellyn zaczynały się nocne szepty.

Nagle zobaczyłam, jak w ciemnych oknach drugiego skrzydła zapala się światło i na ramionach poczułam gęsią skórę. Wiedziałam, że to okna pokoju, do którego zaprowadziła mnie Alvean, gdy szukała dla mnie amazonki — garderoby Alice.

Ktoś opuścił roletę. Wcześniej tego nie zauważyłam. Co więcej, mogłam przysiąc, że wcześniej była podniesiona, ponieważ od dnia, gdy dowiedziałam się, że to pokój Alice, nabrałam zwyczaju — którego się wstydziałam i z którego bezskutecznie usiłowałam się wyleczyć — zerkania w tamtą stronę, ilekroć wyglądałam przez okno.

Roleta musiała być z cienkiego materiału, bo wyraźnie dostrzegałam przez nią światło. Słabe, ale wyraźne. Przesunęło się przed moimi zdumionymi oczyma. Stałam nieruchomo, wpatrzona w okna i nagle zobaczyłam cień. Cień kobiety.

— To Alice! — usłyszałam tuż obok siebie i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to ja odezwałam się na głos.

Wymyśliłam to sobie. To złudzenie, tłumaczyłam sobie w duchu.

Ale wtedy znowu zobaczyłam sylwetkę kobiety. Nie odrywałam wzroku od migotliwego płomyka świecy, zaciskając drżące palce na parapecie.

Byłam o krok od wezwania tu Daisy, Kitty albo pani Polgrey, ale się powstrzymałam, rozumiejąc, jak bardzo bym się ośmieszyła. Stałam więc dalej bez ruchu, wpatrzona w tamto okno.

I wreszcie świeca zgasła, Długo jeszcze tkwiłam w oknie, wypatrując, ale nic już nie zobaczyłam.

W salonie grali kolejnego walca Chopina, a ja tkwiłam w oknie tak długo, aż mimo ciepła wrześniowej nocy ogarnął mnie chłód. Wtedy wreszcie się położyłam, ale długo nie mogłam zasnąć.

A gdy w końcu zasnęłam, śniło mi się, że do pokoju weszła kobieta.

Miała na sobie amazonkę z błękitnym kołnierzykiem i mankietami, ozdobioną czarną tasiemką.

— Nie było mnie w tym pociągu, panno Leigh — odezwała się cicho. — Zastanawia się pani, gdzie byłam. Oto pani zadanie: odnaleźć mnie.

Przez sen słyszałam szepty morza w zatoce. Zaraz po przebudzeniu — a obudziłam się o porannej zorzy — podeszłam do okna i spojrzałam na pokój, w którym niewiele ponad rok temu mieszkała Alice.

Roleta była podniesiona. Wryźnie widziałam niebieskie, aksamitne portiery.

Rozdział 4

opiera tydzień później po raz pierwszy zobaczyłam Lindę Treslyn.

Było parę minut po szóstej, odłożyłyśmy z Alvean książki i zajrzałyśmy do Macierzanki, która -jak nam się wydawało — po południu nadwreżyła ścięgno.

Weterynarz już ją zbadał i zrobił jej okład. Alvean bardzo to przeżywała, co mnie cieszyło — jak każdy przejaw wrażliwości i wyższych uczuć u mojej wychowanki.

— Niech się panienka nie martwi — uspokajał ją Joe Tapperty. — Zobacz panienka, nie miną dwa tygodnie, a Macierzanka będzie rześka jak kundle w mroźny poranek. Jim Bond to najlepszy koński dochtór stąd aż po Land's End.

To podniosło Alvean na duchu, a ja powiedziałam, że w takim razie następnego dnia zamiast Macierzanki dosiądzie Czarnego Księcia. Nie mogła się tego doczekać, rozumiejąc, że to będzie jej chrzest bojowy, a ja z radością zauważyłam, że jej zadowolenie tylko w niewielkim stopniu przysłania strach.

Kiedy wychodziłyśmy ze stajni, spjrzałam na zegarek.

— Co byś powiedziała na półgodzinny spacer po ogrodzie? — zaproponowałam.

— Akurat tyle mamy czasu.

Ku mojemu zaskoczeniu zgodziła się i poszłyśmy.

Cypel, na którym stał dwór Mount Mellyn, miał około mili szerokości.

Zejsście po stromym zboczu ułatwiały zygzakowate ścieżki. Ogrodnicy włożyli mnóstwo wysiłku w ten ogród, a efekt ich ciężkiej pracy cieszył oczy: bujne, obsypane kwiatami krzewy, tu i ówdzie altanki porośnięte pnącymi różami, których cudowna woń unosiła się w powietrzu. Można było sięść w altance i spoglądać na morze lub na południową fasadę domu, dumnie królującego na szczycie. Szare granitowe mury przywodziły na myśl fortecę, rzucającą wyzwanie nie tylko morzu, ale i światu.

Wędrowałyśmy alejkami, wdychając słodką woń róż i niemal już minęłyśmy altankę, gdy zauważyłyśmy siedzącą tam parę.

Alvean aż się zachłysnęła. Poszłam za jej spojrzeniem. Siedzieli bardzo blisko. Kobieta była zjawiskowo piękna, miała wyraziste rysy i kruczoczarne włosy, przykryte lekkim jak mgiełka szalem, ozdobionym cekinami.

Przywodziła mi na myśl postać ze „Snu nocy letniej” — może Tytanie...? — choć zawsze wyobrażałam ją sobie jako blondynkę. Nieznajoma odznaczała się tą niezwykłą urodą, która przyciąga wzrok jak magnes — czy chcesz, czy nie chcesz, musisz na nią patrzeć, musisz ją podziwiać. Ubrana była w pastelową, jasnofioletową suknię z mocno przylegającego do ciała materiału — może szyfonu, spiętą pod szyją brylantową broszką.

Pierwszy odezwał się Connan.

— Kogóż ja widzę? Moja córka ze swoją guwernantką. Wybrała się pani z Alvean na przechadzkę?

— Wieczór jest tak piękny — odrzekłam, próbując wziąć dziewczynkę za rękę, ale ostentacyjnie się ode mnie odsunęła.

— Mogę siaść z tobą i lady Treslyn, tato?

— Przyszedłeś tu z panną Leigh — odparł. — Nie sądzisz, że z nią powinnaś kontynuować tę przechadzkę?

— Zgadza się — powiedziałam za nią. — Chodźmy, Alvean.

— Mamy wielkie szczęście, że udało nam się znaleźć pannę Leigh zwrócił się do towarzyszeki mój pracodawca. — Jest doprawdy... wyjątkowa.

— Ze względu na ciebie, Connanie, życzę, by okazało się, że tym razem trafiliście na idealną nauczycielkę — odrzekła lady Treslyn.

Poczułam się niezręcznie, jak koń, stojący między hodowcami, którzy omawiają jego zalety. Byłam przekonana, że TreMellyn doskonale zdawał sobie sprawę z mojego zakłopotania i bawiło go to. Czasem odnosiłam wrażenie, że to wyjątkowo antypatyczny człowiek.

— Najwyższy czas, abyśmy wracały — odezwała się lodowato. — Wyszliśmy tylko na krótką przechadzkę przed snem. Chodź, Alvean zwróciłam się do dziewczynki i mocno chwyciwszy ją za ramię, odciągnęłam od siedzącej pary.

— Aleja chcę zostać! — protestowała oburzona. — Chcę z tobą porozmawiać, papo.

— Nie widzisz, że jestem zajęty? Innym razem, dziecko.

— Nie — upierała się. — To ważne. Teraz.

— Z pewnością sprawa nie jest aż tak ważna, by nie mogła poczekać.

Zajmiemy się tym jutro.

— Nie... nie... Teraz! — W głosie dziewczynki pojawiła się histeria.

Pierwszy raz słyszałam, by aż tak protestowała przeciwko woli ojca.

— Widzę, że Alvean to wyjątkowo zdecydowana osobka — powiedziała na stronie lady Treslyn.

— Panna Leigh się z tym upora — oświadczył chłodno Connan Tre— Mellyn.

— Oczywiście. Idealna guwernantki...

Kpina w głosie kobiety podziałała na mnie jak dźgnięcie ostrogą.

Szarpnęłam Alvean za ramię i niemal powlokłam ją w stronę domu.

Dziewczynka z trudem powstrzymywała szloch, ale odezwała się dopiero, gdy weszliśmy do środka.

— Nienawidzę jej. Pewnie pani wie, że chce zająć miejsce mojej mamusi.

Nic nie powiedziałam. Wolałam milczeć, bo byłam przekonana, że w tym domu łatwo zostać podsłuchanym. Dopiero gdy znalazłyśmy się w pokoju dzieciennym, zamknęłam drzwi i podeszłam do Alvean.

— Dziwi mnie twoja uwaga. Jak może zająć miejsce twojej mamusi, skoro sama jest mężatką?

— Jej mąż niedługo umrze.

— Skąd wiesz?

— Mówi się, że tylko na to czekają.

Byłam wstrząśnięta, że Alvean słyszała takie plotki. Postanowiłam, że muszę o tym wspomnieć pani Polgrey. Niech bardziej uważają, co mówią przy dziewczynce. Czy to robota Daisy i Kitty? A może Joego Tapperty'ego albo jego żony?

— Ciągłe się tu kręci — ciągnęła Alvean. — Nie zajmie miejsca mojej mamy. Nikt go nie zajmie!

— Wpadasz w histerię, choć nie masz po temu najmniejszych podstaw.

Daruj, ale muszę żądać, abyś nigdy więcej nie powtarzała takich bzdur. To uwłaczające dla twojego ojca.

To do niej trafiło. Jak ona go kocha, pomyślałam. Biedna Aivean, biedne, samotne dziecko!

A zaledwie parę minut wcześniej użalałam się nad sobą, gdy stałam w cudownym ogrodzie i musiałam znosić spojrzenie tamtej pięknej kobiety.

To niesprawiedliwe, mówiłam wtedy w duchu. Dlaczego jedni mają tyle, a inni zupełnie nic? Czyż ja nie wyglądałabym pięknie w szyfonie i brylantach? Zapewne nie aż tak zjawiskowo, jak lady Treslyn, ale na pewno lepiej niż w szarej bawełnianej sukni, spiętej turkusową broszką po babce.

Teraz jednak przestałam litować się nad sobą, bo serce mi się ścisnęło na myśl o nieszczęśliwej Alvean.

Położyłam dziewczynkę spać i wróciłam do siebie. Byłam dziwnie przygnębiona. Ciągle myślałam o Connanie TreMellynie siedzącym w altance z lady Treslyn. Zastanawiałam się, czy nadal tam są i o czym rozmawiają.

Zapewne o sobie! Oczywiście, ja i Alvean przerwałyśmy im flirt. Nie mieściło mi się w głowie, że ten człowiek mógł zniżyć się do czegoś takiego.

Uważałam takie postępowanie za co najmniej niegodne, w końcu ta kobieta nada! ma męża, któremu przysięgała wierność i posłuszeństwo.

Podeszłam do okna. Cieszyłam się, że nie wychodzi ono na ogrody i morze. Oparłam się na łokciach i zapatrzyłam w przestrzeń. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, ale słońce już zaszło i zapadał zmierzch. Zatrzymałam wzrok na oknie, za którym dzień wcześniej zauważyłam cień kobiety.

Rolety były podniesione, wyraźnie widziałam niebieskie portiery.

Wpatrywałam się w nie z natężeniem. Nie wiem, czego się spodziewałam.

Bywały chwile, gdy potrafiłam śmiać się z siebie i swoich fantazji, ale zmierzch do nich nie należał.

Wtedy dostrzegłam ruch zasłony. Ktoś był w środku.

Tamtego wieczoru ogarnął mnie dziwny nastrój. Jego źródeł należało szukać w spotkaniu z panem TreMellynem i lady Treslyn, ale wtedy jeszcze nie przeanalizowałam swoich uczuć i nie zdawałam sobie z tego sprawy. Tamto spotkanie naraziło mnie na upokorzenie, a jednak byłam gotowa zaryzykować inne, znacznie bardziej upokarzające. Po ogrodzie bowiem mogłam się przechadzać bez obaw, póki Alice zaś znajdował się w części domu, do której nie miałam wstępu. Jeśli zostanie przyłapana, znajdę się w niezręcznej sytuacji. Teraz jednak o tym nie myślałam. Alice stawała się moją obsesją. Chwilami ogarniało mnie tak silne pragnienie rozwikłania zagadki jej śmierci, że nie cofnęłabym się przed niczym, by to wyjaśnić.

Dlatego, nie zważając na nic, wymknęłam się z pokoju i przeszłam przez galerię do garderoby Alice. Lekko zapukałam i z bijącym sercem otworzyłam drzwi.

Przez moment nikogo nie widziałam, ale potem dostrzegłam ruch za zasłonami. Ktoś się za nimi schował.

— Kto tam jest? — spytałam. Mój głos nie zdradzał niepokoju, który czułam.

Cisza. Temu komuś, kto ukrywał się za portierami, bardzo zależało, by nie odkryto jego obecności. Zdecydowanym krokiem podeszłam do okna, zajrzałam za kotarę i zobaczyłam tam skuloną Gilly.

Oczy miała pełne łęku, a gdy wyciągnęłam do niej rękę odsunęła się do okna.

— Nie bój się, Gilly — odezwałam się łagodnie. — Nie zrobię ci krzywdy.

Nadal wpatrywała się we mnie bez słowa.

— Powiedz, co tu robisz? — zapytałam spokojnie.

Wciąż milczała. Wpatrywała się w jakiś punkt za mną, jakby błagała kogoś o pomoc i przez chwilę ogarnęło mnie nieco makabryczne uczucie, że naprawdę widzi coś — lub kogoś — czego ja nie mogłam dostrzec.

— Gilly — podjęłam — wiesz, że nie powinnaś tu przychodzić, prawda?

Skinęła potakująco głową, ale zaraz potem potrząsnęła nią gwałtownie.

— Zaprowadzę cię do mojego pokoju, tam porozmawiamy.

Objęłam ją ramieniem. Drżała. Pociągnęłam ją w stronę drzwi, ale szła niechętnie, a na progu obejrzała się i nagle zawołała:

— Pani! Pani wróci! Pani...! Teraz!

Wyprowadziłam ją z pokoju i zamknęłam drzwi, a potem niemal siłą zawlokłam do swojej sypialni. Tam zamknęłam za nami drzwi i stanęłam plecami do nich. Usta dziewczynki drżały.

— Gilly — zwróciłam się do niej — uwierz mi, naprawdę nie zrobię ci krzywdy. Chcę się z tobą zaprzyjaźnić.

Teraz też nie doczekałam się żadnej reakcji. Zdesperowana strzeliłam w ciemno.

— Pragnę zostać twoją przyjaciółką, jak pani TreMellyn.

To wreszcie do niej przemówiło. W jej zamglonych oczach pojawił się błysk. W ten sposób dokonałam kolejnego odkrycia: Alice okazywała temu biednemu dziecku serce.

— Poszłaś tam szukać pani TreMellyn, tak?

Skinęła głową.

Wyglądała tak żałośnie, że zdobyłam się na niezwykłą u mnie wylewność.

Przyklękłam i otoczyłam ją ramionami. Nasze twarze znajdowały się na tej samej wysokości.

— Nie znajdziesz jej tam, Gilly. Nie żyje. Nie szukaj, bo nie znajdziesz jej w tym domu.

Dziewczynka skinęła głową. Nie wiedziałam, co to miało oznaczać.

Czy zgadzała się, że nie ma sensu szukać Alice? Czy też może uważała, że odnajdzie tu panią TreMellyn.

— Dlatego — ciągnęłam — musimy o niej zapomnieć. Prawda, Gilly?

Guwernantko Zamknęła oczy, ukrywając swoje prawdziwe uczucia.

— Zostaniemy przyjaciółkami — ciągnęłam. — Bardzo tego pragnę.

Jeśli się zaprzyjaźnimy, nie będziesz już samotna, prawda?

Potrząsnęła głową. Przez moment wydawało mi się, że w jej pustych oczach coś się pojawiło. Już nie drżała, wiedziałam, że przestała się mnie bać.

Nagle wyrwała mi się i pobiegła do drzwi. Nie zatrzymywałam jej.

Stała w progu, obejrzała się na mnie z cieniem uśmiechu na ustach, a potem zniknęła.

Byłam przekonana, że właśnie położyliśmy podwaliny pod naszą przyjaźń. Byłam przekonana, że dziewczynka przestała się mnie bać.

Pomyślałam o Alice, która okazywała temu dziecku serce. Obraz pani TreMellyn coraz wyraźniej rysował się w mojej wyobraźni.

Podeszłam do okna i spojrzałam na okna skrzydła stojącego pod kątem prostym do części budynku, w której mieszkałam. Przypomniłam mi się cień, który widziałam na rolecie.

Dzisiejsza obecność Gilly w garderobie Alice nie wyjaśniała tamtej zagadki. To nie dziecko widziałam wtedy z lampą. Tamta sylwetka niewątpliwie należała do kobiety.

Owszem, Gilly ukrywała się w pokoju Alice, lecz cień, który dostrzegłam tydzień wcześniej, na pewno nie był jej cieniem.

Następnego dnia wybrałam sferę do pani Polgrey na filiżankę herbaty.

Ucieszyła ją moja wizyta.

— Pani Polgrey — od razu przeszłam do rzeczy — pragnęłabym omówić z panią pewną, moim zdaniem, dość ważną kwestię.

Z trudem ukrywała dumę. Nie ulegało wątpliwości, że guwernantka, szukająca u niej rady — to guwernantka doskonała.

— Chętnie ofiaruję pannie godzinę w towarzystwie moim i earl greya.

Kiedy już naląła herbatę, spojrzała na mnie znad filiżanki wzrokiem, w którym dostrzegłam coś bliskiego serdeczności.

— Dobrze, panno Leigh, proszę powiedzieć, cóż to za kwestię pragnie pani ze mną omówić.

— Mój niepokój — zaczęłam, w zadumie mieszając napar — wzbudziła pewna uwaga Alvean. Jestem pewna, że dziewczynka słucha plotek, co u dziecka w jej wieku uważam za wysoce niewskazane.

— To niewskazane u osoby w każdym wieku, co panna jako osoba o nieskazitelnych manierach z pewnością potwierdzi — skorygowała mnie pani Polgrey z pewną hipokryzją.

Wtorek Ho/t Opowiedziałam jej, jak w czasie przechadzki po ogrodzie natknęłyśmy się na pana w towarzystwie lady Treslyn.

— Właśnie po tym Alvean zrobiła niestosowną uwagę. Oświadczyła mianowicie, że lady Treslyn zamierza zająć miejsce jej matki.

Gospodyni pokręciła głową.

— Co panna powie na łyżeczkę whisky do herbaty? To niezawodny sposób na poprawę nastroju.

Nie miałam ochoty na whisky, ale czułam, że pani Polgrey owszem i że byłaby zawiedziona, gdybym odmówiła, dlatego ustąpiłam.

— Ale tylko odrobinę, pani Polgrey — poprosiłam.

Otworzyła szafkę, wyjęła butelkę i równie skrupulatnie jak herbatę, odmierzyła porcję whisky. Zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze trzyma w swojej szafce pani Polgrey.

W ten sposób zawarłyśmy milczące przymierze. Gospodyni najwyraźniej była w swoim żywiole.

— Obawiam się, że może to pannę zgorszyć... — zaczęła.

— Jestem przygotowana na wszystko — zapewniłam.

— Cóż, sir Thomas ma już swoje lata, a niedawno temu ożenił się z tą młodą osobą, londyńską aktoreczką, jak utrzymują niektórzy. Sir Thomas wyjechał raz do stolicy i wrócił do domu z młodą żoną. Cała okolica trzęsła się od plotek.

— W to nie wątpię.

— Niektórzy powiadają, że to najurodziwsza kobieta w kraju.

— W to również nie wątpię.

— Choć tak naprawdę liczy się nie wdzięczne liczko, lecz wdzięczne uczynki.

— A nie wszystko złoto, co się świeci — odpowiedziałam maksymą na maksymę.

— Niestety, mężczyźni bywają ślepi. A jaśnie pan ma swoje słabości — przyznała pani Polgrey.

— Jeśli nawet krążą jakieś plotki, bardzo mi zależy, by nie dotarły do uszu Alvean.

— Wcale się nie dziwię. Ale plotek się nie powstrzyma, a ta mała ma ucho jak nietoperz.

— Sądzi pani, że to Daisy i Kitty za dużo gadają?

Gospodyni przysunęła się do mnie, aż owionął mnie zapach whisky.

Zaskoczyło mnie to i zaniepokoiło. Czy ona też czuje w moim oddechu alkohol?

— Wszyscy gadają.

— Rozumiem.

— Niektórzy nawet podejrzewają, że tych dwoje nie zamierza czekać na błogosławieństwo księdza.

— Cóż, może i nie.

Czułam się obrzydliwie. Jakież to prostackie i ohydne. I potworne dla tak wrażliwej dziewczynki jak Alvean.

— Jaśnie pan z natury jest impulsywny i na swój sposób lubi kobiety.

— Sądzi więc pani...?

Z powagą skinęła głową.

— Po śmierci sir Thomasa nastanie tu nowa pani. Muszą tylko cierpliwie poczekać na jego zgon. Bo pani TreMellyn... ona już przestała być przeszkodą.

Nie chciałam zadawać pytania, które cisnęło mi się na usta, ale jakaś siła mocniejsza ode mnie kazała je postawić.

— Więc to zaczęło się... jeszcze za życia pani TreMellyn?

Gospodyni potaknęła.

— Często ją odwiedzał. Zaczęło się właściwie zaraz po tym, jak tu zamieszkała.

Czasem pan znikał na całą noc i wracał dopiero rano. Cóż, w końcu jest tu dziedzicem i postępuje, jak chce. My jesteśmy od gotowania, sprzątanania, prowadzenia domu, uczenia małej... czy do czego nas tam jaśnie pan zatrudnił. Nic nam do tego.

— Pani zdaniem Alvean tylko powtarza to, co i tak powszechnie wiadomo? Że po śmierci sir Thomasa lady Treslyn zajmie miejsce jej matki?

— Niektórzy z nas sądzą, że to bardziej niż prawdopodobne. Są też tacy, którzy nie będą mieli nic przeciwko temu. Jaśnie pani nie jest z tych, co wtrącają się do prowadzenia domu. Aleja uważam, że takie sprawy trzeba załatwiać po bożemu — oświadczyła świętoszkowato.

— Wolę służyć u pana, który żyje w świętym związku, a nie w grzechu, ot co. Wszyscy by sobie tego życzyli.

— Można by jednak zabronić dziewczętom plotkowania w obecności Alvean.

— A czy zabroni pani kukułce kukania na wiosnę? Mogę je gonić do roboty tak, że ledwo żyją, a i tak znajdują siły, by mleć ozorem. To silniejsze od nich. Mają to we krwi. A nawet gdybym poszukała innych służących, nic by to nie dało. Te dzisiejsze pannice...

Współczująco pokiwałam głową. Myślałam o Alice, która musiała patrzeć na romans męża z lady Treslyn. Nic dziwnego, że była gotowa uciec z Geoffrym Nansellockiem.

Biedna Alice, pomyślałam. Ileż musiałaś wycierpieć jako żona takiego potwora.

Pani Polgrey była dziś tak rozmowna, że odważyłam się poruszyć temat, który wyjątkowo mnie interesował.

— Myślała pani kiedyś, by nauczyć Gilly czytania i pisanie?

— Gilly?! A po co? Strata czasu. Przecież sama panna widzi, że u Gilly nie wszystko jest na swoim miejscu.

Tu znacząco popukała się w czoło.

— Dużo śpiewa. Jakoś się tych piosenek nauczyła. A skoro nauczyła się piosenek, to czego innego też się nauczy.

— Dziwne z niej dziecko. Pewnie to wina tego, jak się urodziła. Niechętnie do tego wracam, ale założę się, że słyszała pani o mojej Jennifer.

-W głosie pani Polgrey zabrzmiało rozrzewnienie. Zastanawiałam się, czy to nie za sprawą whisky, i ile łyżeczek dziś sobie odmierzyła. — Czasem myślę, że Gilly urodziła się pod złą gwiazdą. My żeśmy jej nie chcieli.

Co się dziwić? Była jeszcze maleństwem w kolebce... Dwa miesiące miała... jak Jennifer odeszła. Dwa dni później morze wyrzuciło jej ciało.

Znaleźli ją w zatoce Mellyn.

— Szczerze pani współczuję — powiedziałam miękko.

Gospodyni otrząsnęła się ze wspomnień.

— Jennifer odeszła, ale została Gilly. A jednak od samego początku nie zachowywała się jak inne dzieci.

— Może wyczuwała tragedię — szukałam wyjaśnienia.

Pani Polgrey spojrzała na mnie wyniośle.

— Robiliśmy dla niej, co mogliśmy. I ja, i pan Polgrey. Świata poza nią nie widzi.

— Kiedy pani zauważyła, że Gilly różni się od innych dzieci?

— Kiedy się zastanowić... jak miała cztery latka.

— Czyli ile lat temu?

— Będzie ze cztery.

— Zatem jest rówieśnicą Alvean. A wygląda na znacznie młodszą.

— Urodziła się parę miesięcy po panience. Często razem się bawiły...

w końcu mieszkały pod jednym dachem, a są rówieśnicami. A potem zdarzył się ten wypadek, gdy miała... niech policzę... tuż przed jej czwartymi urodzinami.

— Jak wypadek?

— Bawiła się w krzewach, blisko bramy wjazdowej. Pani wracała z przejażdżki. Była z niej zawołana amazonka. Gilly wyskoczyła z krzaków i wpadła prosto pod końskie kopyta. Przewróciła się na głowę. Cud boski, że nie umarła.

— Biedna Gilly...

— Pani była zrozpaczona. Winiła siebie, choć to nie była jej wina. Gilly Guwernantko... sama była sobie winna. Ile razy powtarzało się jej, żeby nie wybiegała na drogę? Wtedy wyskoczyła za jakimś motylem. Zawsze kochała ptaki, kwiaty, owady i takie tam. Od tamtej pory pani bardzo się nią opiekowała.

Gilly nie odstępowała jej na krok i rozpaczała, ilekroć pani gdzieś wyjechała.

— Rozumiem.

Gospodyni nalała sobie kolejną herbatę i zaproponowała mi drugą filiżankę. Odmówiłam. Zauważyłam, że dodaje do naparu łyżeczkę whisky.

— Gilly — podjęła — poczęła się w grzechu. Nie miała prawa przyjść na świat. I Bóg się teraz na niej mści, bo jak uczy Pismo, grzechy ojców przechodzą na dzieci.

Ogarnął mnie nagły gniew. Nienawidziłam takich bredni. Miałam ochotę dać w twarz kobiecie, która spokojnie popijała sobie whisky i uważała tragedię swojej wnuczki za przejaw boskiej sprawiedliwości.

Zdumiewała mnie też ignorancja tych ludzi, którzy nie połączyli opóźnienia w rozwoju dziewczynki z wypadkiem, tylko wierzyli, że była to słuszna kara, zesłana przez mściwego Boga za grzechy jej rodziców.

Zmilczałam jednak, bo głęboko wierzyłam, że w tym domu zmagam się z dziwnymi mocami, a jeśli zamierzam zwyciężyć, muszę mieć jak najliczniejszych sprzymierzeńców.

Chciałam zrozumieć Gilly. Pragnęłam pomóc Alvean. Odkrywałam w sobie miłość do dzieci, o którą wcześniej nawet się nie podejrzewałam.

Zaiste, od kiedy zamieszkałam w Mount Mellyn, ciągle dostrzegałam u siebie coś nowego.

Między innymi właśnie dlatego postanowiłam się skupić na losie tych dwóch dziewczynek. To odwracało moją uwagę od Connana Tré— Mellyna i lady Treslyn. Na samą myśl o nich, ogarniał mnie gniew; choć wtedy nazywałam to uczucie obrzydzeniem.

Dlatego też siedziałam u pani Polgrey i słuchałam, sama nie mówiąc, co naprawdę myślę.

W całym domu panowało poruszenie, bo miał się odbyć bal — pierwszy od śmierci Alice TreMellyn — i na tydzień przed nim o niczym innym nie mówiono. Miałam kłopoty ze zmuszeniem Alvean do nauki; Kitty i Daisy wpadły w niemal histeryczną euforię. Gdziekolwiek się ruszyłam, trafiałam na nie, jak ćwiczyły razem walca.

Ogrodnicy uwijali się jak w ukropie. Mieli ozdobić salę balową kwiatami z oranżerii, dwoili się więc i troili, by kwiaty przyniosły im chlubę; na bal mieli przyjechać goście z najdalszych okolic.

WctoriaHoit — Nie rozumiem — upominałam Alvean — czemu jesteś taka podniecona.

Wszak ani ty, ani ja nie weźmiemy udziału w balu.

— Kiedy mama żyła, ciągle urządzano u nas bale — powiedziała z roz-

marzeniem dziewczynka — Uwielbiała je. Pięknie tańczyła. Była śliczna.

Zawsze przed balem zaglądała do mnie, żebym zobaczyła jej suknię.

Potem zabierała mnie do ogrodu zimowego, gdzie chowałam się za kotarą i przez zerkadełko mogłam oglądać salę balową.

— Zerkadełko? — powtórzyłam.

— Ach, pani nie wie.

Spojrzała na mnie z triumfem. Musiała mieć nie lada satysfakcję, za guwernantka, która nieustannie zarzucała jej ignorancję, została przy-

łapaną na niewiedzy.

— Wiele o tym domu nie wiem — odparłam ostro. — Nie obejrzałam nawet jednej trzeciej budynku.

— Nie widziała pani ogrodu zimowego — przyznała. — W całym domu jest mnóstwo zerkadełek. Och, nie zetknęła się z tym pani, ale w starych domach często sieje spotyka. Nawet w Mount Widden jest jedno. Mama wyjaśniła mi, że to miejsca, w których zasiadały damy, gdy mężczyźni ucztowali. Kobiety nie mogły uczestniczyć w biesiadach, ale mogły z daleka się im przyglądać. W kaplicy też jest taka duża wnęka... Coś w rodzą-

ju zerkadelka. W naszych stronach nazywamy to Okienkiem Łazarza. Zo-

stało specjalnie zrobione dla trędowatych. Nie mogli wejść do kaplicy, bo chorowali, ale mogli z ukrycia zaglądać do kościoła przez szparę. W noc balu ukryję się w niszy w ogrodzie zimowym i będę patrzeć przez zerk-

dełko. Właściwie pani też może ze mną pójść. Bardzo proszę.

— Zobaczymy — odrzekłam.

W dniu balu jak zwykle zabrałam Alvean na naukę jazdy konnej, tyle że zamiast Macierzanki dosiadła Czarnego Księcia.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam dziewczynkę na jego grzbiecie, ogarnął mnie niepokój, ale go stłumiłam. Tłumaczyłam sobie, że jeśli Alvean ma dobrze jeździć konno, nie może poprzestać na Macierzance.

Jeżdżąc na Czarnym Księciu, nabierze pewności siebie i zapewne już nigdy nie będzie chciała wrócić do starej klaczy.

Przez pierwsze lekcje moja wychowanka nieźle sobie radziła. Koń zachowywał się wzorowo, nabierała więc pewności siebie. Żadna z nas nie wątpiła już, że w listopadzie Alvean będzie mogła wziąć udział przy.

najmniej w jednej konkurencji.

Tego dnia jednak lekcja nie była udana. Przypuszczam, że dziewczynka zamiast o jeździe myślała o balu. Alvean nadal odnosiła się do mnie z pewną rezerwą, która zniknęła jedynie podczas jazdy konnej.

Wtedy stawałyśmy się serdecznymi przyjaciółkami. Ale wystarczyło, że przebrałyśmy się w normalne suknie, a natychmiast powracałyśmy do dawnego stanu. Usiłowałam to zmienić, lecz bez większego skutku.

Gdzieś w połowie zajęć Księżę nagle ruszył galopem. Nie pozwalałam Alvean na galopowanie, jeśli nie trzymałam jej wodzy. Zresztą na wybiegu nie było miejsca na galop. A przed przejściem na wyższy etap chciałam być pewna umiejętności dziewczynki.

Wszystko dobrze by się skończyło, gdyby Alvean zachowała spokój i zrobiła to wszystko, czego ją nauczyłam. Ona jednak, ledwo Księżę puścił się galopem, krzyknęła przerażona. Jej strach udzielił się spłoszonemu wierzchowcowi.

Koń pognął przed siebie. Stukot jego podków obudził we mnie śmiertelną trwogę, zwłaszcza że zobaczyłam, jak Alvean, zapominając o wszystkim, co wbijałam jej do głowy, zsuwa się na bok. W mgnieniu oka dopadłam do niej. Wiedziałam, że muszę ściągnąć wodze, zanim Księżę dobiegnie do żywopłotu, bo zapewne próbowałby tamtędy przeskoczyć, co skończyłoby się paskudnym upadkiem mojej uczennicy. Lęk dodał mi sił. Zdażyłam chwycić lejce i szarpnąć w chwili, gdy wierzchowiec zbliżał się do ogrodzenia. Zatrzymał się, a błada jak ściana, drżąca Alvean bez szwanku zsunęła się na ziemię.

— Nic się nie stało — uspokoiłam ją. — Błądziłaś gdzieś myślami, a nie masz jeszcze dość wprawy, by sobie na to pozwolić.

Wiedziałam, że nie mam innego wyjścia. Kazałam roztrzęsionej Ahrean dotrzeć Czarnego Księcia. Pamiętałam, że jej lęk przed końmi musiał się narodzić po podobnym wypadku. Już raz musiałam przełamać tamten uraz i nie mogłam pozwolić, by powrócił.

Posłuchała, choć niechętnie. Kiedy lekcja dobiegła końca, dziewczynka zdążyła już zapomnieć o strachu i byłam spokojna, że następnego dnia nie będzie się bała wsiąść na konia. Po tym wypadku nabrałam pewności, że jeszcze zrobię z niej prawdziwą amazonkę.

Wracałyśmy z łąki, gdy Alvean nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

— Co się stało? — spytałam, oglądając się, bo jechałam pierwsza.

— Och, proszę pani! Rozdarła się pani!

— Co takiego?

— Suknia rozdarła się pani pod pachą. Och, jaka wielka dziura! I robi się coraz większa!

Dotknęłam ręką pleców i zrozumiałam, co się stało. Amazonka od początku była na mnie za ciasna, a gdy rzuciłam się na pomoc Alvean, szew nie wytrzymał i tkanina pękła.

Na mojej twarzy musiał pojawić się żal, bo Alvean natychmiast mnie pocieszyła.

— Niech się pani nie martwi, znajdę pani inną suknię. Jest ich mnóstwo, wiem o tym.

Kiedy wróciłyśmy do domu, Alvean wyglądała na dziwnie zadowoloną.

Trochę się zaniepokoiłam, że moja nieprzyjemna przygoda tak ją ubawiła, że zapomniała o tym, co ją spotkało wcześniej.

Zjawiali się pierwsi goście. Nie zdołałam się oprzeć pokusie i przyglądałam im się z mojego pokoju. Na podjeździe było pełno karet, a stroje dam budziły we mnie żywiołową zazdrość.

Bal odbywał się w wielkim holu, do którego od dawna nie wchodziłam, bo zawsze korzystałam ze schodów dla służby. Dziś przed południem jednak Kitty namówiła mnie, bym tam zerknęła.

— Musi pani zobaczyć, jak tam pięknie. Pan Polgrey miota się jak w ukropie. Zabiłby nas, gdyby cokolwiek przytrafiło się jego świętym kwiatom.

Musiałam przyznać, że nigdy nie widziałam nic równie cudownego.

Belki stropowe były ozdobione liśćmi.

— To stary kornwalijski zwyczaj — wyjaśniła mi Kitty. — Nasz maik.

I co z tego, że jest wrzesień? Teraz, gdy skończyła się żałoba, pewnie będzie więcej zabaw. I słusznie. W końcu nie można do końca życia być w żałobie. Dla tego domu dzisiejszy bal to prawdziwy maik. Wiosna, przebudzenie do życia. Zegnamy stary rok i zaczynamy nowy.

Podziwiałam przyniesione z oranżerii donice z kwiatami w pełnym rozkwicie i kandelabry pełne woskowych świec. Musiałam przyznać, że pan Polgrey i jego ogrodnicy mogli być z siebie dumni.

Oczyma wyobraźni widziałam ten hol wieczorem, gdy pojawią się goście: płonące świece, tańczące pary, skrzące się blaskiem perły i brylanty.

Marzyłam, by znaleźć się wśród gości. Och, jak bardzo tego pragnęłam!

Kitty puściła się w tany, posyłając promienny uśmiech i kłaniając się wyimaginowanemu partnerowi. Uśmiechnęłam się. Tańczyła z takim zapamiętaniem, taką radością...

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że w ogóle nie miałam prawa tu zaglądać. Takie zachowanie nie przystoi guwernantce. Byłam równie niewychowana jak Kitty.

Odwrociłam się i wyszłam zawstydzona.

Tego wieczoru zjadłam kolację z Alvean, która — co oczywiste — nie mogła usiąść z ojcem, zajętym gośćmi.

Guwernantko — Proszę pani — odezwała się — włożyłam pani do szary nową suknię do jazdy konnej.

— Bardzo dziękuję za troskę i pamięć.

— Przecież w tym nie mogłaby pani jeździć! — prychnęła, mierząc pogardliwym spojrzeniem moją lawendową suknię.

Oczywiście, powinnam była się domyślić, że zadała sobie tyle trudu nie z sympatii do mnie, ale z obawy, by z braku właściwego stroju nie przepadła jej lekcja.

A może przesadzam, pomyślałam. Może oczekuję zbyt wiele? W końcu kim jestem dla Alvean? Nikim. Zaczynałam się liczyć tylko wtedy, gdy mogłam się przydać do osiągnięcia celu. Postanowiłam zapamiętać to sobie na przyszłość.

Zdegustowana popatrzyłam na swoją bawełnianą lawendową suknię.

Z dwóch, które uszyła krawcowa ciotki Adelajdy, kiedy otrzymałam tę posadę, ta bardziej mi się podobała. Druga była szara, w wyjątkowo nietwarzowym odcieniu. Wydawało mi się, że w lawendowej wyglądam mniej surowo i aż tak nie przypominam guwernantki. Ale jakże nie na miejscu byłabym dziś tam, na dole, zapięta pod szyję, z koronkowym kołnierzykiem i mankietami w kolorze kości słoniowej! Uświadomiłam sobie, że porównuję swoje ubiory ze strojami gości Connana TreMellyna.

— Niechże pani się pospieszy — ponagliła mnie Alvean. — Zapomniała pani, że idziemy do ogrodu zimowego?

— Zakładam, że poprosiłaś ojca o zgodę... — zaczęłam.

— Proszę pani, zawsze oglądałam bale, wszyscy o tym wiedzą. Mama często patrzyła na zerkadełko i machała do mnie. A dziś — ciągnęła, jakby zapomniała o mnie i mówiła do

siebie — wyobrazę sobie, że jednak tam jest... że tańczy jak inni. Sądzi pani, że ludzie po śmierci wracają na ziemię?

— Cóż za dziwaczne pytanie! Oczywiście, że nie.

— Czyli nie wierzy pani w duchy. A niektórzy tak. Twierdzą, że je widzieli. Sądzi pani, że kłamią, gdy mówią, że widzieli ducha?

— Sądzę, że ci, którzy tak mówią, to tylko ofiary własnej wybujałej wyobraźni.

— Mimo to... — ciągnęła Alvean z rozmarzeniem. — Mimo to będę sobie wyobrażać, że tam jest... i tańczy. Może jeśli bardzo wyteżę wyobraźnię, zobaczę mamę. Może stanę się ofiarą wybujałej wyobraźni.

Nic nie odpowiedziałam. Poczułam się niezręcznie.

— Gdyby miała wrócić — myślała głośno dziewczynka — zjawiłaby się właśnie na balu, bo najbardziej ze wszystkiego lubiła tańczyć.

Nagle przypomniała sobie o mojej obecności.

— Jeśli pani nie chce iść ze mną do ogrodu zimowego, chętnie pójde sama.

— Będę ci towarzyszyć — odrzekłam.

— To chodźmy!

— Najpierw skończmy kolację.

Kiedy podążałam za Alvean galerią, kamiennymi schodami i przez niezliczone pokoje, po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak olbrzymia jest ta rezydencja— Wreszcie dotarliśmy do ogrodu zimowego, dużego pokoju ze szklanym dachem. Latem musiał tu panować nieznośny upał.

Na ścianach wisiały wyjątkowej urody gobeliny przedstawiające historię rewolucji Cromwellowskiej i restauracji. Na jednym przedstawiono egzekucję Karola I, na innym zaś Karol II po klęsce pod Worcester, ukryty na drzewie dębu, spogląda z góry na „okrągłe głowy”, jak ze względu na charakterystyczną fryzurę nazywano w parlamencie zwolenników purytanów. Kolejne gobeliny przedstawiały powrót Karola do Anglii, koronację i uroczystość w porcie.

— Nie przyszłyśmy tu oglądać gobelinów — odciągnęła mnie Alvean.

— Mama lubiła tu przesiadywać. Mówiła, że to doskonały punkt obserwacyjny.

Są tu dwa zerkadełka. Och, nie chce pani zobaczyć?

Wodziłam wzrokiem po sekretarzyku, kanapie i złożonych krzesłach.

Wyobraziłam sobie Alice, jak siedzi tam i rozmawia z córką — dla mnie z dnia na dzień coraz bardziej wracała do życia.

U szczytów długiego pomieszczenia znajdowały się wysokie okna, zasłonięte ciężkimi brokatowymi kotarami. Identyczne kotary zasłaniały — jak założyłam — czworo drzwi znajdujących się w ogrodzie zimowym.

Te, którymi weszliśmy, drugie na końcu i po jednej parze naprzeciwko siebie. Ale w tym ostatnim wypadku się myliłam.

Alvean zniknęła za jedną z kotar i zawołała mnie zduszonym głosem.

Poszłam tam i ku swemu zaskoczeniu znalazłam się w niszy.

W ścianie znajdował się gwiaździstego kształtu otwór, który, choć spory, był tak sprytnie ozdobiony, że nie rzucał się w oczy.

Wyjrzałam przez niego i zobaczyłam kaplicę. Widziałam prawie całe pomieszczenie: niewielki ołtarz z tryptykiem i ławki.

— Mama wytłumaczyła mi, że kiedy ktoś chorował i nie mógł uczestniczyć w nabożeństwie, obserwował je przez zerkadełko. W tamtych czasach mieli tu na miejscu kapelana. Tego nie dowiedziałam się od mamy.

Nie znała historii Mount Mellyn. To powiedziała mi panna Jansen.

Bardzo dużo wiedziała o naszym domu. Bardzo lubiła tu przychodzić i patrzeć przez zerkadełko. Podobała jej się nasza kaplica.

Guwernantko — Musiało ci być smutno, gdy odeszła.

— Tak, bardzo. Drugie zerkadełko jest naprzeciwko, na tamtej ścianie.

Widać stamtąd tańczących.

Podeszła do drugiej kotary i odsunęła ją. W ścianie znajdował się taki sam otwór.

Spojrzałam na hol. Widok był tak cudowny, że na chwilę zabrakło mi tchu. Na podeście stali muzycy. Goście jeszcze nie tańczyli, stali, rozmawiając.

Było mnóstwo osób, więc szmery rozmów dobiegały nawet tutaj.

Alvean stała przy mnie, z takim napięciem przeszukując wzrokiem tłum, że serce mi się ścisnęło. Czyżby naprawdę wierzyła, że Alice powstanie z grobu, bo kochała taniec?

Nagle gorąco zapragnęłam objąć dziewczynkę i mocno przytulić— Biedne, pozbawione matki dziecko. Biedna, zagubiona istota.

Oczywiście pohamowałam ten odruch. Doskonale wiedziałam, że Alvean nie życzy sobie mojego współczucia.

Zauważyłam Connana TreMellyna pogrążonego w rozmowie z Celestine Nansellock. Obok nich stał Peter. Jeśli Peter był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam, to Connan z pewnością wyglądał najbardziej elegancko, uznałam. Niewielu z obecnych w sali znałam, ale dość szybko wypatrzyłam lady Treslyn. Wyróżniała się nawet pośród tego mnóstwa kosztownych kreacji i olśniewającej biżuterii.

Miała na sobie suknię, na którą musiały pójść niezliczone jardy szyfonu— Suknię barwy płomienia. Przypuszczam, że prócz lady Treslyn mało kto odważyłby się na taki kolor. Jeśli jednak zależało jej na tym, by przyciągać wzrok, lepiej nie mogła wybrać. Na tle soczystej czerwieni szyfonu jej włosy wydawały się niemal czarne, biust i ramiona zaś mlecznobiałe.

We włosach miała brylantowy diadem i cała mieniła się brylantami.

Alvean dostrzegła lady Treslyn równie szybko jak ja. Niezadowolona zmarszczyła brwi.

— A jednak tu jest — mruknęła.

— Czy towarzyszy jej mąż?

— Tak. To ten staruszek, rozmawiający z pułkownikiem Penlandsem.

— A który to pułkownik Penlands?

Pokazała mi go. Obok niego zobaczyłam pochylonego siwiuteńkiego i pomarszczonego mężczyznę. Nie mieściło mi się w głowie, że ten starowinka mógł być mężem owej zjawiskowej istoty.

— Niech pani patrzy! — szepnęła Alvean. — Zaraz tata otworzy bal.

Zwykle tańczył z cicią Celestine, a mama z wujkiem Geoffrym. Ciekawe, z kim otworzy go tą razą.

— Tym razem — poprawiłam automatycznie, bo, podobnie jak Alvean, chłonełam to, co działo się poniżej.

— Muzycy zaraz zagrają — powiedziała. — Zawsze zaczynają od tego samego tańca. Wie pani, jakiego? „Furry Dance”. Nasi przodkowie pochodzili z Helston, gdzie zawsze ósmego maja witano tym tańcem wiosnę.

Przynieśli swoją tradycję i tu, dlatego zaczynamy od niego każdy bal. Niech pani uważnie patrzy! Zawsze rodzice ze swoimi partnerami tańczyli parę taktów, a potem goście przyłączali się i tworzyli korowód.

Muzycy uderzyli w instrumenty. Zobaczyłam, jak Connan bierze Celestine za rękę i prowadzi ją na środek sali. Za nim ruszył Peter Nansel!

ock, który wybrał sobie na partnerkę lady Treslyn.

Kiedy przyglądałam się, jak ta czwórka wykonuje pierwsze figury tradycyjnego kornwalijskiego tańca, zrobiło mi się żal Celestine. Nawet w pięknej sukni z błękitnego atłasu niekorzystnie odbijała się od tamtych trojga. Brakowało jej szyku i swobody Connana, urody lady Treslyn i uroku brata.

Jaka szkoda, że musiał poprosić do pierwszego tańca właśnie Celestine, pomyślałam. Ale tak nakazywała tradycja, a ten dom żył tradycją.

Utrzymywano tu pewne reguły i obyczaje wyłącznie dlatego, że tak zawsze się robiło. Cóż, tak wygląda życie wielkich rodów.

Ani mnie, ani Alvean nie nudziło oglądanie tańczących par. Minęła godzina, a my ciągle stałyśmy przy zerkadelku. Wydawało mi się, że raz czy dwa Connan rzucił okiem w naszą stronę. Czy wiedział o zwyczaju córki? Przypuszczałam, że już dawno minęła godzina, o której Aivean kładła się spać, ale chyba przy takim święcie można nieco rozluźnić dyscyplinę.

Patrzyłam, jak dziewczynka bez znużenia, z napięciem wodzi wzrokiem po tancerzach, jakby była absolutnie pewna, że musi tylko cierpliwie poczekać, a ujrzy twarz, której tak wypatrywała.

Zapał już zmrok, ale wzeszedł księżyc. Oderwałam oczy od gości i przez przeszkłony dach spojrzałam na zbliżający się do pełni złoty krążek, uśmiechający się do nas z wysoka. Nie dla was świece, mówił do nas. Nie dla was beztroska i błysk klejnotów. Ale na pociechę otulę was moją ciepłą, serdeczną poświatą.

Tonący w księżycowej poświacie ogród zimowy zmienił się w salę zupełnie nie z tego świata. Miałam wrażenie, że w takim otoczeniu wszystko może się zdarzyć.

Znowu popatrzyłam przez otwór. Orkiestra grała teraz walca, kołysałam się w rytm muzyki. Pamiętam swoje zdumienie, gdy okazało się, że jestem dobrą tancerką. Dzięki temu nigdy nie podpierałam ściany na Guwernantko, wieczorkach, na które zabierała mnie ciotka Adelajda, gdy jeszcze nie straciła nadziei, że zdoła mnie wydać za męża. Niestety, owe zaproszenia do tańca nie prowadziły do poważniejszych deklaracji.

Słuchałam jak zauroczona, gdy nagle z transu wyrwał mnie dotyk czyjejś ręki. Zachłysnęłam się przestraszona. Spojrzałam w dół. Obok mnie wyrosła jakaś mała figurka. Z ulgą zobaczyłam, że to tylko Gillyflower.

— Przyszłaś popatrzeć na tancerzy? — spytałam.

Skinęła głową.

Była drobniejsza od Alvean i nie sięgała głową do otworu w kształcie gwiazdy. Wzięłam ją na ręce i podniosłam do zerkadelfka. Choć w poświacie księżycy nie widziałam wyraźnie, mogłabym przysiąc, że oczy dziewczynki nie były już szkliste ani puste.

— Przynies stoliczek — zwróciłam się do Alvean. — Niech Gillyflower też popatrzy.

— Niech sama sobie przyniesie — odparowała moja podopieczna.

Gilly kiwnęła głową. Kiedy postawiłam dziewczynkę na podłodze, pobiegła po stoliczek i przyniosła. Skoro rozumie polecenia, pomyślałam, to dlaczego nie mówi, jak my wszyscy?

Od chwili gdy zjawiała się Gilly, Alvean straciła całą chęć do oglądania tancerzy. Odsunęła się od zerkadelfka. Z holu przyplłynęły pierwsze takty mojego ulubionego walca — myślę tu o utworze pana Straussa „Nad pięknym modrym Dunajem”. Alvean zaczęła tańczyć.

Ja też nie zdołałam się oprzeć muzyce. Nie wiem, co we mnie wstąpiło tamtej nocy, ale zupełnie straciłam kontrolę nad sobą. Nogi same poniosły mnie do Alvean. Tańczyłam tak jak kiedyś na balach, na które prowadziła mnie ciotka Adelajda, ale przysięgłabym, że nigdy nie tańczyłam tak jak tamtej nocy w ogrodzie zimowym.

Dziewczynka pisnęła zachwycona. Usłyszałam radosny śmiech Gilly.

— Niech pani tańczy dalej! — zawołała Alvean. — Błagam, niech pani nie przestaje, tak pięknie pani tańczy.

Krażyłam więc dalej w objęciach wymagowanego partnera, wirowałam po pustej sali, czując na sobie serdeczny uśmiech księżycy. Nagle, gdy dopłynęłam do ściany, z mroku wynurzyła się jakaś postać i już nie tańczyłam sama.

— Jest pani zachwycająca — odezwał się mężczyzna.

Dopiero wtedy rozpoznałam Petera Nansellocka, który objął mnie tak, jak tego wymagał walc.

Zmyliłam krok i przystanąłam.

— Nie... — poprosił. — Nie. Słyszysz pani, dziewczynki protestują. Musi pani ze mną zatańczyć, panno Leigh. To było nam pisane.

Tańczyliśmy więc dalej. Raz ruszywszy do walca, moje stopy nie zamierzały już się zatrzymać.

— To co najmniej niestosowne — powiedziałam.

— Ale jakże rozkoszne.

— Powinien pan bawić się z pozostałymi gośćmi.

— Ale wolę z panią.

— Zapomina pan...

— ...że jest pani guwernantką. Chętnie bym zapomniał, gdyby pani przestała mi o tym co chwila przypominać.

— A czy widzi pan choć jeden powód, dla którego powinien pan zapomnieć?

— Choćby taki, że byłaby pani wtedy znacznie szczęśliwsza. Jak wybornie pani tańczy!

— To mój jedyny talent.

— Mogę się założyć, że tylko jeden z wielu, który pani marnuje, ukrywając się w tym pustym pokoju.

— Panie Nansellock, nie znudził pana jeszcze ten żart?

— To nie jest żart.

— Wracam do dziewczynek.

Tańczyliśmy obok nich. Zauważyłam Gilly wpatrującą się w nas jak zauroczona i pełną podziwu Alvean. Gdybym przerwała taniec, spadłabym z piedestału, powróciłabym do swojej dawnej pozycji. Dopóki tańczę, dopóty jestem istotą budzącą zachwyty.

Śmieszyły mnie moje niemądre myśli, ale tej nocy chciałam być nierozsądna, chciałam być niepoważna.

— Tu się ukrył.

Ku swemu przerażeniu zobaczyłam, że do zimowego ogrodu weszła grupka gości. A przerażenie zamieniło się w panikę, gdy dostrzegłam płomienny strój lady Treslyn. Wiedziałam bowiem, że tam, gdzie pojawi się ognista suknia, tam też będzie Connan TreMellyn.

Ktoś zaczął klaskać, inni się przyłączyli. Potem tony „Nad pięknym modrym Dunajem” ucichły. Skrepowana i zawstydzona uniosłam rękę, by poprawić fryzurę i wpiąć wysuwające się szpilki.

Jutro zostanę zwolniona za niestosowne zachowanie, pomyślałam.

I chyba sobie na to zasłużyłam.

— Doskonały pomysł — odezwał się ktoś. — Taniec w księżycowej poświacie.

Cóż może być przyjemniejszego? A muzykę słyszeć tu niemal ląk wyraźniej jak w holu na dole.

— Wymarzona sala balowa, Connanie — orzekł ktoś.

— Zatem wykorzystajmy ją — powiedział gospodarz.

Podszedł do zerkadła i krzyknął do orkiestry.

— Jeszcze raz „Nad pięknym modrym Dunajem”!

Muzycy uderzyli w instrumenty.

Odwróciłam się do Alvean i wzięłam Gilly za rękę. Goście już ruszyli do tańca. Rozmawiali ze sobą, nawet nie próbując zniżyć głosu. Bo i po co? Wszak byłam tylko guwernantką.

— Guwernantka. Uczy Alvean — mówił ktoś.

— Zuchwale stworzenie! Pewnie to kolejna łatwa zdobycz Petera.

— Zal mi tych biedaczek. Jakże nudne wiodą życie.

— Ale żeby tak przy wszystkich, w blasku księżyca! To szczyt zepsucia!

— Jeśli mnie pamięć nie myli, jej poprzedniczkę zwolniono.

— A ta wkrótce podzieli los tamtej.

Policzki mnie piekły. Chciałam stanąć przed nimi i wykrzyknąć im w twarz, że z pewnością jestem o wiele mniej zepsuta niż niektórzy z tu obecnych.

W tym momencie czułam przede wszystkim wściekłość, strach zszedł na drugie miejsce. Zauważyłam niedaleko siebie Connana Tre— Mellyna. Przyglądał mi się, jak sądziłam, z głęboką dezaprobatą.

— Alvean — odezwał się — idź do pokoju i zabierz ze sobą Gillyflower.

Nie ośmieliła się protestować, gdy mówił takim tonem.

— Tak, chodźmy już — zawtórowałam chłodno.

Kiedy jednak odwróciłam się, by wyjść za dziewczynkami, poczułam, jak chwycił mnie za ramię.

— Doskonale pani tańczy, panno Leigh. Nigdy nie potrafiłem oprzeć się pokusie tańca ze znakomitą partnerką. Może dlatego że mnie samemu daleko w tej dziedzinie do ideału.

— Dziękuję — odrzekłam.

On jednak nie puszczał mojego ramienia.

— Jestem pewien, że „Nad pięknym modrym Dunajem” to pani ulubiony walc. Wyglądała pani na... zauroczoną.

To powiedziawszy, chwycił mnie w ramiona i, sama nie wiedząc kiedy, zaczęłam wirować z nim w tłumie gości... Ja, w swojej bawełnianej sukni koloru lawendy, spiętej turkusową broszką, pośród szyfonów i aksamitów, skrzących się od szmaragdów i brylantów.

Cieszyłam się, że pokój oświetla jedynie księżycowa poświata. Płonełam ze wstydu, bo głęboko wierzyłam, że Connan TreMellyn jest na mnie zagniewany i tańczy ze mną tylko po to, by jeszcze bardziej mnie upokorzyć.

Sunęłam w rytm walca. Od tej pory, pomyślałam, „Nad pięknym modrym Dunajem” zawsze będzie mi się kojarzyć z niezwykłym tańcem w ogrodzie zimowym, gdy moim partnerem był sam pan TreMellyn.

— Przepraszam za brak wychowania moich gości — odezwał się łagodnie.

— Takich uwag mogłam się spodziewać i na takie zasłużyłam.

— Brednie — powiedział.

Byłam przekonana, że śnię, bo w głosie szepczącym mi do ucha brzmiała czułość.

Tańcząc, dotarliśmy do drzwi w głębi sali i ku mojemu zdumieniu Connan odsunął kotarę i wyprowadził mnie z ogrodu zimowego. Zatrzymaliśmy się na niewielkim podeście nad kamiennymi schodami w części domu, w której do tej pory nigdy nie byłam.

Przestaliśmy tańczyć, ale Connan nie wypuszczał mnie z ramion.

Na ścianie płonęła niewielka parafinowa lampa z zielonego jadeitu, rzucając światło na tyle mocne, bym widziała twarz mojego chlebobdawcy.

Wydawało mi się, że dostrzegam w niej dziwne napięcie.

— Panno Leigh, wygląda pani czarująco, gdy porzuci pani swą surowość.

Zachłysnęłam się z oburzenia, bo przycisnął mnie do ściany i zaczął całować.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie przeraża: to, co się dzieje, czy moje emocje. Doskonale pojmowałam jednak, co oznacza ten pocałunek:

nie miałas nic przeciwko małemu flirtowi z Peterem Nansellockiem, to czemu mnie miałabyś odmówić?

Poczułam taką wściekłość, że przestałam nad sobą panować. Z całej siły odepchnęłam Connana. Odsunął się zaskoczony, a ja chwyciłam spódnice i co sił w nogach zbiegłam na dół.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Gnałam na oślep, póki wreszcie nie dotarłam do znajomej galerii, a stamtąd już bez kłopotu trafiłam do swojego pokoju.

Rzuciłam się na łóżko i leżałam, dopóki trochę się nie uspokoiliłam.

Nie pozostaje mi nic innego, tylko czym prędzej wynieść się z tego domu. Connan TreMellyn niedwuznacznie okazał, jakie ma względem mnie zamiary. Nie wątpiłam teraz, że panna Jansen została zwolniona, bo odrzuciła jego awanse. Ten człowiek to potwór. Co on sobie wyobraża?

Że każdy, kogo zatrudnia, stanowi jego wyłączną własność? Za kogo się ma? Za sułtana? Jak śmiał mnie tak traktować?

Gardło miałam ściśnięte, z trudem chwytałam powietrze. Nigdy jeszcze nie czułam się aż tak upokorzona. A to wszystko przez niego.

Nawet przed sobą nie chciałam się przyznać, że przede wszystkim i najbardziej dotkliwie zraniło mnie to, jak niskie miał o mnie mniemanie.

To pierwsze niepokojące sygnały, Starłam się przywołać na pomoc cały swój zdrowy rozsądek.

Wstałam z łóżka i przekręciłam klucz w zamku. Muszę dopilnować, by ostatniej nocy, którą spędzę pod tym dachem, drzwi mojej sypialni pozostały zamknięte. Teraz mogłyby się do mnie dostać jedynie przez sypialnię Alvean i pokój do nauki, a wiedziałam, że nie odważyłyby się tamtędy przejść.

Mimo to nie czułam się bezpiecznie.

Nonsens, tłumaczyłam sobie. Potrafisz się obronić. Gdyby ośmielił się tu zjawić, natychmiast pociągnęłabyś za taśmę dzwonka.

Zacznę od napisania listu do Phillidy, postanowiłam. Usiadłam i próbowałam zaraz to zrobić, ale ręce tak mi drżały, że zamiast liter stawiałam nieczytelne bazgroły.

Mogę zacząć się pakować.

I tym się zajęłam.

Otworzyłam szafę. Przez moment wydawało mi się, że w środku ktoś stoi. Krzyknęłam przerażona. To najlepiej świadczyło, w jakim byłam stanie. Wystarczył ułamek sekundy, bym sobie uświadomiła, że to amazonka, którą przyniosła dla mnie Alvean. Widocznie powiesiła ją w szafie. Po wydarzeniach w ogrodzie zimowym na śmierć zapomniałam o popołudniowej przygodzie na pastwisku.

Szybko spakowałam bagaże, bo niewiele miałam rzeczy. Przy tej czynności nieco się uspokoiliłam, więc mogłam potem sięgnąć do listu do Phillidy.

Skończywszy pisanie, usłyszałam z dołu głosy. Podeszłam do okna.

Grupka gości wyszła na trawnik, niektórzy tam tańczyli. Przyłączały się do nich kolejne pary.

— Niebiańska noc — powiedział ktoś. — Ten księżyc jest zbyt piękny, by siedzieć pod dachem.

Odsunęłam się w cień i patrzyłam. Wreszcie zobaczyłam to, na co czekałam. Pojawił się Connan. Tańczył z lady Treslyn z głową tuż przy jej twarzy. Wyobrażałam sobie, co też jej szepce.

Z gniewem odwróciłam się od okna, próbując sobie wmówić, że ból, który czuję, to niesmak i odraza.

Rozebrałam się i położyłam. Długo leżałam, nie mogąc zasnąć, a gdy wreszcie zapadłam w sen, męczyły mnie koszmary, w których pojawiali się Connan TreMellyn, lady Treslyn i ja. Zawsze też w tle czaiła się mroczna sylwetka, która prześladowała mnie od pierwszego dnia pobytu w Mount Mellyn.

Obudziłam się przerażona. Księżyc nadal świecił na niebie. Półprzytomna, zaspana, byłam przekonana, że widzę w pokoju kobiecą postać.

Wiedziałam, że to Alice. Nie odzywała się, a przecież coś do mnie mówiła.

„Nie wolno ci stąd wyjechać. Musisz zostać. Nie mogę zaznać spokoju, a ty jedna zdołałabyś mi pomóc. Możesz pomóc nam wszystkim”.

Drżałam na całym ciele. Usiadłam na łóżku. Teraz wyraźnie zobaczyłam, co mnie tak przeraziło. Pakując się, zostawiłam otwarte drzwi szafy. Ów rzekomy duch Alice to nic innego jak jej amazonka.

Następnego ranka ocknęłam się późno, bo gdy wreszcie udało mi się zapaść w sen, spałam tak mocno, że obudził mnie dopiero łomot do drzwi. To Kitty dobijała się z poranną gorącą wodą. Nie mogła się dostać do środka i zachodziła w głowę, co mogło się stać.

Zerwałam się z łóżka i otworzyłam drzwi.

— Coś się stało, panienko? — zaniepokoiła się.

— Nic — odparłam ostro.

Milczała, czekając, aż wyjaśnię, dlaczego zamknęłam się na klucz.

Nie zamierzałam jej tłumaczyć, ona zaś wciąż myślała o balu, więc sprawa nie wzbudziła w niej zbyt wielkiej ciekawości.

— Prawda, że bal był przepiękny? Patrzyłam z mojego pokoju. Tańczyli na trawniku w blasku księżyca. Klnę się na Boga, nigdy nie widziałam nic równie urodziwego. Zupełnie jak za czasów naszej pani. Wygląda panienka na zmęczoną. Nie dali panience zasnąć?

— Właśnie — odrzekłam. — Nie dali.

— Nic to, już po wszystkim. Pan Polgrey już zabiera kwiaty do oranżerii.

Trzęsie się nad nimi jak nad zgniłymi jajami. A hol wygląda, że pozał się Boże. Doprowadzenie wszystkiego do porządku zajmie mnie i Daisy całutki dzień.

Ziewnęłam. Kitty wlała do wanny wodę i wyszła. Wróciła już po pięciu minutach.

Byłam na wpół rozebrana, więc zasłoniłam się ręcznikiem przed jej wścibskim spojrzeniem.

— To jaśnie pan — oznajmiła. — Wzywa panienkę. Każe, żeby panienka zarutko przyszła. Czeką w pokoju ponczowym. Powiedział: „przekaż pannie Leigh, że to kwestia niecierpiąca zwłoki”.

— Och — brzmiał cały mój komentarz.

— „Niecierpiąca zwłoki” — powtórzyła Kitty i zniknęła.

Dokończyłam mycie i szybko się ubrałam. Domyślałam się, co to za „sprawa”. Zapewne jakaś skarga. Dostanę wymówienie, bo okaże się, że nie spełniłam jakichś wymogów.

Pomyślałam o pannie Jansen. Zastanawiałam się, czy nie znalazła się w podobnej sytuacji. Dziś pracujesz, jutro na bruku. Wyrzucili ją, sprokurowawszy jakieś oskarżenie.

Ciekawe, o co mnie obwinia?

Ten człowiek nie ma za grosz przyzwoitości, oburzałam się w duchu.

Cóż, nie spodziewa się, że go ubiegnę. Sama złożę wymówienie, nim zdąży mnie wyrzucić.

Zesłam do salonu, przygotowana do walki.

Connan TreMellyn siedział w niebieskim surducie do konnej jazdy.

Wcale nie wyglądał jak człowiek, który przetańczył pół nocy.

— Dzień dobry, panno Leigh — przywitał mnie i, ku memu zdumieniu, posłał mi uśmiech.

Nie zrewanżowałam się tym samym.

— Dzień dobry — odrzekłam oficjalnie. — Już spakowałam swoje rzeczy.

Chciałabym wyjechać najszybciej, jak to możliwe.

— Panno Leigh!

Wjego głosie zabrzmiał wyrzut. Poczułam w sercu niepojętą radość.

Mówiłam sobie: nie chce, żebyś wyjechała. Nie każe ci się wynosić. Co więcej, przeprosi cię!

Usłyszałam swój głos — piskliwy i wyniosły; ton, który u kogoś innego uznałabym za obrzydliwie świętoszkowaty i moralizatorski.

— Uważam, że to jedyne wyjście po...

— ...po moim wczorajszym oburzającym zachowaniu — wpadł mi w słowo. — Panno Leigh, błagam, by zechciała puścić je pani w niepamięć.

Dałam się ponieść chwili i nie pamiętałem, z kim tańczę. Błagam, by raczyła pani zapomnieć o moim niegodnym postępku i jako osoba obdarzona wielkim sercem — bo nie wątpię, że tak jest — zechciała pani spuścić zasłonę milczenia na ten pożałowania godny incydent i byśmy zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło.

Podejrzewałam, że się ze mnie naigrawa, ale nagle poczułam taką radość, że wszystko inne przestało się liczyć.

Nie muszę wyjeżdżać. Nie muszę wysłać listu do Phillidy. Nie opuszczę tego miejsca w niełasce.

Skinęłam głową.

— Przyjmuję pańskie przeprosiny. Zapomnijmy o tym nieprzyjemnym i niefortunnym zdarzeniu.

To powiedziawszy, obróciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju.

Wracałam, przeskakując po trzy stopnie. Wydawało mi się, że frunę, stopy niosły mnie lekko, jakbym tańczyła — tak samo jak wczoraj w ogrodzie zimowym.

Problem sam się rozwiązał. Zostanę w Mount Mellyn. Miałam wrażenie, że dom czule mnie obejmuje. Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że gdybym musiała stąd wyjechać, byłabym niepokieszona.

Zawsze starałam się analizować uczucia, dlatego zapytałam siebie:

skąd to uniesienie? Dlaczego byłabyś niepokieszona, gdybyś musiała opuścić Mount Mellyn?

Odpowiedź przyszła natychmiast: bo kryje się tu jakaś tajemnica.

Bo pragnę rozwiązać tę zagadkę. Bo chcę pomóc dwóm nieszczęśliwym, zagubionym dziewczynom, Alvean bowiem jest równie zagubiona jak biedna Gillyflower.

Ale może to nie wszystko. Może pan domu budził we mnie coś więcej niż zwykłe zainteresowanie...

Może, gdybym słuchała rozumu, dostrzegłabym sygnały ostrzegawcze.

Ale ja nie słuchałam rozumu. Jak większość kobiet w mojej sytuacji.

Tego dnia nauka jazdy konnej odbyła się normalnie. Lekcja przebiegła bez zakłóceń, jedynym godnym zapamiętania faktem było to, że po raz pierwszy włożyłam nową amazonkę. Różniła się od poprzedniej, bo składała się z lekkiej, dopasowanej sukni oraz żakietu stylizowanego na męski surdut.

Bardzo się cieszyłam, że mimo wczorajszej przygody Alvean nie okazywała strachu. Obiecałam jej nawet, że za parę dni spróbujemy brać pierwsze przeszkody.

Wróciłyśmy do domu i poszłam do siebie przebrać się do podwieczorku.

Zdejmując żakiet, przypomniałam sobie, jakiego strachu napędził mi w nocy ten strój. A ponieważ byłam w doskonałym humorze, śmiałam się ze swojej historycznej reakcji. Z pewnym trudem zsunęłam suknię (Alice zdecydowanie była szczuplejsza ode mnie), włożyłam swoją szarą suknię (ciotka Adelajda przestrzegła, bym nie nosiła tego samego ubioru dwa dni z rzędu) i już miałam odwiesić amazonkę do szafy, gdy w kieszeni żakietu coś wyczułam.

Zaskoczona, wsunęłam tam dłoń. Byłam pewna, że wcześniej wkładałam ręce do kieszeni i niczego nie znalazłam.

Rzeczywiście, w samej kieszeni nic nie było, ale pod jedwabną podszewką wyraźnie rysował się jakiś kształt. Położyłam żakiet na łóżku, dokładnie go przeszukałam i dopiero wtedy trafiłam na ukrytą kieszeń.

Wystarczyło rozpiąć haftkę i sięgnąć tam ręką, by to coś znaleźć. W kieszeni znajdował się notesik, mały pamiętnik.

Serce biło mi jak młotem, kiedy go wyjmowałam. To musiał być dzienniczek Alice.

Zawahałam się, lecz nie zdołałam opanować pokusy, by zajrzeć do środka. Więcej, byłam wręcz przekonana, że jest to moim obowiązkiem.

Na pierwszej stronie zobaczyłam imię i nazwisko, nakreślone dość dziecinnym pismem: „Alice TreMellyn”. Zerknęłam na datę. Ubiegłoroczna, zatem Alice musiała go pisać w ostatnim okresie życia.

Przerzuciłam kartki. Jeśli spodziewałam się jakichś zwierzeń, to czekał mnie zawód, Alice traktowała ten dzienniczek wyłącznie użytkowo:

notowała w nim terminy spotkań i sprawy do załatwienia. Nie stanowił klucza do jej duszy ani nie pomógł mi jej lepiej zrozumieć.

Przeglądałam wpisy: „Mount Widden, podwieczorek”, „Trelanderowie na kolacji”, „C. w Penzance”, „powrót C.”

Lecz chociaż tak błahy, został sporządzony przez samą Alice i to wystarczyło, bym czytała go z zainteresowaniem.

Dotarłam do ostatniej notatki, zapisanej pod datą dwudziestego sierpnia. Cofnęłam się do lipca. Czternastego Alice zanotowała: „Treslynowie i Trelanderowie, kolacja w M. M.”, „krawcowa, dowiedzieć się co z błękitną atlasową”, „porozmawiać z Polgreyem o kwiatach”, „wysłać Gilly do krawcowej”, „zabrać Alvean do miary”. Szesnastego zaś napisała: „broszka jeszcze nie wróciła, jutro sama muszę tam pojechać, potrzebna mi na przyjęcie u Trelanderów osiemnastego”.

Same codzienne, błahy sprawy. Moje wielkie odkrycie okazało się pozbawione znaczenia. Wsunęłam notesik z powrotem do kieszeni i poszłam do pokoju szkolnego na podwieczorek.

W czasie godzinnej głośnej lektury z Alvean nagle zaświtała mi pewna myśl. Nie znałam dokładnej daty śmierci Alice, ale zapewne zginęła wkrótce po tym, jak zapisała w dzienniczku owe błahostki. Dziwne, że uznała je za warte odnotowania, skoro jednocześnie szykowała się do porzucenia męża oraz córki i ucieczki z kochankiem.

Nagle sprawą nadrzędnej wagi stało się ustalenie daty śmierci Alice TreMellyn.

Alvean zeszła na podwieczorek do ojca, gdyż odwiedzili go uczestnicy wczorajszego balu, aby podziękować za niezwykle udaną zabawę. By.

Ja zaś zatem wolna i mogłam sama wyjść na przechadzkę. Wybrałam się więc do wioski, na przykościelny cmentarz, na którym, jak sądziłam, spoczywały szczątki Alice.

Do tej pory wioskę widywałam tylko w niedziele, przy okazji wyjazdów na nabożeństwo, bo brakowało mi czasu na dłuższe wyprawy.

Tym bardziej więc nie mogłam się doczekać, kiedy dokładniej ją obejrzę.

Na dół niemal sfrunęłam i bardzo szybko znalazłam się w Mellyn.

Wiedziałam, że droga powrotna nie będzie taka łatwa, ponieważ czeka mnie mozolna wspinaczka.

Wioska leżała w dolinie, w centrum znajdował się stary kościół z szarą wieżą obrośniętą bluszczem. Wokół ładnego, zadbanego zieleńca stało parę szarych, kamiennych budynków, a przy drodze wznosił się rząd starych domostw, zapewne z tego samego okresu co kościół.

Obiecałam sobie, że później dokładniej im się przyjrzę. Teraz najbardziej mi zależało na odnalezieniu grobu Alice.

Weszłam przez bramę kościelną na cmentarz. O tej porze panował tam spokój. Otoczył mnie bezruch śmierci. Zaczęłam żałować, że nie wzięłam ze sobą Alvean, ona od razu zaprowadziłaby mnie do grobu matki.

Jakże go znajdę sama, wśród tych rzędów granitowych krzyży i płyt nagrobnych, zastanawiałam się, bezradnie patrząc wokół. Wtedy zaświtała mi myśl: TreMellynowie z pewnością mają grobowiec rodzinny, wystarczy więc rozejrzeć się za jakimś imponującym pomnikiem, a szybko znajdę to, czego szukam.

I rzeczywiście niemal natychmiast zauważyłam masywny, bogato zdobiony złotem grobowiec z czarnego marmuru. Podeszłam tam, ale okazało się, że to grób rodziny Nansellocków.

Na szczęście uświadomiłam sobie, że z pewnością spoczywa tam Geoffry, a przecież zmarł tego samego dnia, co Alice. Czyż nie znaleziono ich ciał razem?

Znalazłam inskrypcję wyrytą w marmurze. W tym grobowcu składano doczesne szczątki Nansellocków od połowy osiemnastego wieku.

Przypomniałam sobie, że ich ród nie mieszkał w Mount Widden tak długo jak TreMellynowie w Mount Mellyn.

Bez trudu znalazłam Geoffry'ego, jego nazwisko naturalnie zamykało listę zmarłych Nansellocków.

A zmarł rok wcześniej, siedemnastego lipca.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do domu i sprawdzę tę datę w dzienniczku Alice.

Odwrociłam się od pomnika i wtedy zauważyłam Celestine Nansellock, podążającą w moją stronę.

— Panna Leigh! — zawołała. — Dobrze mi się wydawało, że to pani.

Splonęłam rumieńcem, bo przypomniałam sobie, że wczoraj znajdowała się w grupie gości, widzących mój taniec z Peterem. Zastanawiałam się, co teraz o mnie myśli.

— Wybrałam się na przechadzkę do wsi i nogi same mnie tu przyniosły — wyjaśniłam.

— Ogląda pani nasz rodzinny grobowiec.

— Tak. Piękny.

— Jeśli grób może być piękny. Często tu zaglądam, przynoszę Alice świeże kwiaty.

— A, tak — wykrztusiłam tylko.

— Zapewne znalazła już pani grobowiec TreMellynów?

— Nie.

— Jest tam. Zaprowadzę panią.

Szłam za nią przez wysoką trawę, aż zatrzymałyśmy się przed pomnikiem, pod każdym względem przyćmiewającym grób rodziny Nansellocków.

Na czarnej płycie stał bukiet pięknych, dorodnych astrów, przypominających fioletochorózkowe gwiazdy.

— Dopiero co je przyniosłam — odezwała się Celestine. — To były ulubione kwiaty Alice.

Usta jej drżały, bałam się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Zerknęłam na datę. Ta sama, co na tablicy Geoffry'ego Nansellocka.

— Muszę już wracać-powiedziałam.

Skinęła głową. Była zbyt poruszona, by mówić.

Kochała Alice, pomyślałam. Musiała ją kochać, jak nikogo na świecie.

Już-już miałam opowiedzieć Celestine o dzienniczku, ale ugryzłam się w język. Wspomnienie ubiegłej nocy było wciąż aż nadto żywe w mojej pamięci. Mogłabym usłyszeć, że jestem nikim, jedynie zwykłą guwerantką. Zresztą, kto mi pozwolił mieszać się w ich sprawy?

Zostawiłam Celestine przy grobie. Odchodząc, widziałam, że osunęła się na kolana. Obejrzałam się jeszcze i zobaczyłam, jak klęczy przygarbiona, z twarzą w dłoniach.

Szybko wróciłam do domu i wyjęłam notesik Alice. Szesnastego lipca ubiegłego roku, w dniu, gdy rzekomo miała uciec z Geoffrym Nansellockiem, zapisała, że jeśli do jutra nie dostanie broszki, będzie musiała sama się pofatygować do złotnika, bo potrzebuje jej na przyjęcie osiemnastego lipca!

Kobieta, zamierzająca porzucić męża, na pewno nie zajmowałaby się takimi błahostkami.

Uważałam, że trzymam w ręku niemal niepodważalny dowód, iż ciało znalezione wraz ze zwłokami Geoffry'ego Nansellocka po tragicznym wypadku kolejowym nie było ciałem Alice TreMeUyn.

Ale w ten sposób powracało dawne pytanie. Co stało się z Alice? Skoro nie spoczywa w czarnym marmurowym grobowcu, to gdzie może być?

Rozdział 5

Czułam, że dokonałam ważnego odkrycia, ale donikąd ono nie prowadziło.

Co rano budziłam się pełna nadziei, dni jednak mijały podobnie, nie przynosząc niczego nowego. Rozważałam różne wyjścia z sytuacji.

Zastanawiałam się, czyby nie pójść do Connana TreMellyna i nie przyznać się do znalezienia dzienniczka, z którego jasno wynikało, że Alice nie zamierzała uciekać z kochankiem.

Odrzuciłam jednak to rozwiązanie, bo nie ufałam Connanowi Tre—Mellynowi. Ciągłe bowiem nękała mnie myśl, której nie chciałam głębiej analizować. Już wcześniej zadawałam sobie pytanie: a gdyby tak założyć, że Alice nie podróżowała tamtym pociągiem i spotkało ją coś innego? Kto, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, najpewniej mógłby o tym wiedzieć? Czy tą osobą mógł być Connan TreMellyn?

Oczywiście mogłam się zwrócić do Petera Nansellocka, ale drażniła mnie jego postawa lekkoducha; każde zdanie stanowiło dlań zachętę do flirtu.

Pozostawała jeszcze jego siostra. Tę możliwość rozpatrywałam najpoważniej.

Wiedziałam, że Celestine bardzo kochała Alice. Musiała je łączyć głęboka przyjaźń. Zdecydowanie panna Nansellock najlepiej nadawała się na powierniczkę. A mimo to się wahałam. Należała do innego świata, którego spokoju — co wielokrotnie i aż nadto wyraźnie mi uświadamiano — nie miałam prawa zakłócać. Zwykła guwernantka nie może przypisywać sobie roli detektywa.

Mogłam również zwierzyć się pani Polgrey, ale na samą myśl o tym przechodziły mnie ciarki. Za dobrze pamiętałam łyżeczki whisky, dodawane do herbaty i stosunek gospodyni do własnej wnuczki, biednej Gilly.

Dlatego postanowiłam na razie zachować wszelkie podejrzenia dla siebie. Nadszedł październik. Jesień w Kornwalii mnie oczarowała.

Ciepły i wilgotny południowo-zachodni wiatr zdawał się przynosić korzenne zapachy Hiszpanii. Po raz pierwszy też widziałam aż tyle nitek babiego lata. Osiadały na żywopełotach niczym najdelikatniejsza koronka, zdobiona brylantami. Kiedy pojawiało się słońce, robiło się gorąco jak w czerwcu. Lato niechętnie opuszcza Kornwalię, jak mawiał Tapperty.

Znad morza nadciągała gęsta mgła, tak szczelnie otulając dom, że często nie było go widać z altanki w ogrodzie. W owe dni rybitwy skrzeczały żałośnie, jakby ostrzegając, że życie przynosi tylko smutek. W tym ciepłym, wilgotnym klimacie mimo nadejścia jesieni hortensje nadał kwitły. Krzewy całe były pokryte niebieskimi, różowymi i żółtymi dorodnymi kwiatami, jakie spodziewałabym się zobaczyć raczej w oranżerii, a nie na otwartej przestrzeni. Dalej kwitły też róże i fuksje.

Kiedy pewnego dnia wybrałam się do wioski, na kościele zauważyłam ogłoszenie: datę zawodów jeździeckich wyznaczono na pierwszy listopada.

Po powrocie do Mount Mellyn natychmiast powiedziałam o tym Alvean. Nie posiadałam się z radości, gdy okazało się, że moja podopieczna nadal z entuzjazmem myśli o występie. Bałam się, że w miarę zbliżania się konkursu ożyją dawne lęki.

— Mamy zaledwie trzy tygodnie — sprowadziłam ją na ziemię. — Trzeba będzie solidnie popracować.

Zgodziła się z ochotą.

Zaproponowałam zmianę planu dnia: mogłybyśmy jeździć konno dwa razy dziennie po godzinie, rano i po południu.

Na to też przystała z radością.

— Zobaczę, co da się zrobić — obiecałam.

Connan TreMellyn wyjechał do Penzance. Dowiedziałam się o tym przypadkowo od Kitty, gdy któregoś wieczoru przyniosła mi wodę.

— Jaśnie pan wyjechał po południu — trąkotła. — Pewnie zabawi tam tydzień albo dłużej.

— Oby tylko wrócił na konkurs — zaniepokoiłam się.

— O, juźci, że wróci. Przecie sędziuje. Zawsze przyjeżdża na zawody.

Zdenerwowało mnie jego zachowanie. Oczywiście nie oczekiwałam, że będzie mi się spowiadał ze swoich planów, ale mógł chociaż pożegnać się z córką.

Często myślałam o Connanie TreMellynie. Zastanawiałam się, czy naprawdę pojechał do Penzance. Byłam ciekawa, czy lady Treslyn prze bywa teraz w domu, czy może odczuła nagłą chęć odwiedzenia jakiejś kuzynki.

Doprawdy, skarciłam się w duchu. Co w ciebie wstąpiło? Jak w ogóle możesz dopuszczać do siebie takie myśli? Przecież nie masz żadnych dowodów.

Postanowiłam, że skoro jaśnie pan zniknął z Mount Mellyn, to może też zniknąć z moich myśli i że to będzie dla mnie prawdziwa ulga.

Niezupełnie mijałam się z prawdą. Czułam się swobodniej, wiedząc, że nie ma go w domu. Dzięki temu nie musiałam zamykać się na klucz.

Co prawda nadal to robiłam, ale wyłącznie ze względu na córki Tapperty'ego.

Nie chciałam, by się domyśliły, że obawiam się ich pana, bo służące, choć proste i niewykształcone, w pewnych sprawach były wyjątkowo bystre i spostrzegawcze.

— Teraz — oznajmiłam Alvean — skoncentrujemy się na przygotowaniach do zawodów.

Zdobyłam listę konkurencji. W grupie wiekowej Alvean zaplanowano dwa konkursy skoków przez przeszkody. Postanowiłam, że dziewczynka wystartuje w grupie początkujących, bo w niej miała duże szanse na zwycięstwo, a wszak tylko to się dla nas liczyło: miała wygrać i zaskoczyć tym ojca, — Niech pani spojrzy — ożywiła się Alvean — na tę konkurencję. Może by pani się zgłosiła?

— Wykluczone, nic takiego nie zrobię.

— Ale dlaczego?

— Kochanie, jestem tu po to, by cię uczyć, a nie uczestniczyć w zawodach.

W jej oczach pojawił się psotny błysk.

— W takim razie ja panią zapiszę. Wygra pani. Pani nikt nie dorówna.

Och, proszę! Musi pani!

Spoglądała na mnie z taką pełną nieśmiałości dumą, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Ucieszyłam się, że jest ze mnie dumna. Chciała, bym wygrała.

Właściwie... czemu nie? W konkursie mógł uczestniczyć każdy, bez względu na pozycję społeczną.

Zbyłam Alvean stałą odpowiedzią, którą kończyłam niezręczne dla mnie dyskusje.

— Zobaczymy — powiedziałam.

Któregoś popołudnia przejeżdżałyśmy w pobliżu Mount Widden i natknęłyśmy się na Petera Nansellocka.

Dosiadał prześlicznej, gniadej klaczy, na której widok oczy mi błysnęły z zazdrości. Popędził wierzchowca do galopu i zatrzymał!

się przy nas, teatralnym gestem zdejmując kapelusz i kłaniając się nisko.

Alvean roześmiała się uradowana.

— Cóż za cudowne zrządzenie opatrności! — zawołał. — Wybrały się panie do nas z wizytą?

— Nie, bynajmniej — ucięłam.

— Chyba nie byłyby panie tak okrutne! A skoro już się spotkaliśmy, muszą panie wstąpić do nas na skromny poczęstunek.

Już miałam odmówić, gdy Alvean pisnęła uradowana.

— Tak, koniecznie! Niech się pani zgodzi! Tak, oczywiście, z przyjemnością wstąpimy.

— Liczyłem, że zajrzą panie same, z własnej woli — powiedział Peter z wyrzutem.

— Nie otrzymałyśmy formalnego zaproszenia — odparłam.

— Szanowne panie zawsze są mile widziane w Mount Widden. Czyżbym zbyt mało dobitnie to podkreślał?

Zawrócił, ustawiając się w jednej linii z nami. Zauważył, że z zachwytem przyglądam się klaczy.

— Podoba się pani?

— Ogromnie. Jest prześliczna.

— Jesteś prześliczna, Hiacynto, słyszałaś?

— Hiacynta? Tak się nazywa?

— Ładnie, prawda? Ładne imię dla ładnego stworzenia. Pędzi jak strzała. Bije na głowę tego ociężałego perszerona, którego pani osiodłała, panno Leigh.

— Ociężałego perszerona? Jak pan może! Dion jest znakomitym wierzchowcem.

— Był, panno Leigh. Był! Nie sądzi pani, że biedak ma już najlepsze lata za sobą? Doprawdy, czy Connan nie mógł dać pani lepszego konia niż stary, poczciwy Dion?

— To nie papa wybiera dla niej konie — żarliwie wystąpiła w obronie ojca Alvean. — Nawet nie wie, na jakich wierzchowcach jeździmy. Prawda, proszę pani? Te konie przygotował dla nas Tapperty.

— Biedna panna Leigh! Powinna dostać godnego jej rumaka. Panno Leigh, nim pani pojedzie, chciałbym, żeby pani wypróbowała naszą Hiacyntę.

Szybko przypomni pani, co znaczy dosiadać konia z prawdziwego zdarzenia.

— Och — zbagatelizowałam — jesteśmy zadowolone z tego, co mamy.

Te wierzchowce doskonale spełniają swoje zadanie, którym jest nauczenie Alvean jazdy konnej.

— Przygotowujemy się do pokazu — pochwaliła się dziewczynka. — Wystąpię w jednej z konkurencji. Tylko nie mów o tym papie, wujku, bo to ma być niespodzianka.

Peter przyłożył palec do ust.

— Zaufaj mi. Nie zdradzę twojej tajemnicy.

— Panna Leigh też wystąpi — Zmusiłam ją.

— Na pewno odniesie zwycięstwo — zawołał. — Gotów jestem się założyć!

— Wcale nie jestem przekonana, czy wystąpię — uciełam chłodno. — To jedynie pomysł Alvean.

— Ale musi pani! — upierała się dziewczynka. — Nalegam!

— Oboje nalegamy — zawtórował jej Peter.

Dotarliśmy do bramy Mount Widden. Nie stała przy niej stróżówka, jak w Mount Mellyn. Ruszyliśmy aleją, wzdłuż której zupełnie jak u nas — w myślach pozwalałam sobie na taką poufałość — rosły bujne hortensje, fuksje, a także wszechobecne w tej części Kornwalii świerki.

Sam dwór, też z granitu, okazał się znacznie mniejszy i nie tak okazały jak Mount Mellyn. Na pierwszy rzut oka zauważyłam też, że jest o wiele mniej zadbany niż „nasz” dom, z dumą właścicielki konstatując, iż Mount Widden nie umywa się do Mount Mellyn.

Peter kazał stajennemu zająć się końmi, po czym weszliśmy do domu.

Gospodarz klasnął w ręce.

— Dick! — zawołał. — Dick, gdzie jesteś?

Po chwili zjawił się chłopak, którego znałam z widzenia, bo przyjeżdżał do Mount Mellyn z listami od Nansellocków.

— Herbata, Dick — polecił mu Peter. — Na jednej nodze, w bibliotece.

Mamy gości.

— Tak jest, paniczu — rzucił Dick i pomknął do kuchni.

Znajdowaliśmy się w holu, znacznie bardziej współczesnym niż ten w Mount Mellyn. Posadzka była w szachownicę, szerokie schody w głębi prowadziły do galerii, w której wisiały rzędy olejnych płócien, zapewne portretów przedstawicieli rodu Nansellocków.

Śmiać mi się z siebie chciało, że patrzę z wyższością na dom znacznie większy i świetniejszy niż plebania, na której się wychowałam. Ale wszystko w Mount Widden nosiło znamiona zaniedbania, może nawet wręcz rozkładu.

Peter zaprowadził nas do biblioteki, olbrzymiego pokoju, którego trzy ściany zasłaniały półki z książkami. Na meblach i ciężkich zasłonach osiadła gruba warstwa kurzu. Oj, przydałaby się tu pani Polgrey ze swoją pastą z wosku i terpentyny, pomyślałam.

— Zechcą łaskawe panie spocząć — zaprosił Peter. — Miejmy nadzieję, że nie przyjdzie nam długo czekać na herbatę, choć muszę ostrzec, że u nas posiłki nie są wydawane co do sekundy, jak u naszego rywala z drugiej strony zatoki.

— Rywala? — powtórzyłam zaskoczona.

— A czyż mogłoby się obyć bez drobnej rywalizacji? Oba dwory dumnie rzucają wyzwanie morzu. Ale przewaga znajduje się po tamtej stronie.

TreMellynowie mają większy dom i służbę, która się nim zajmuje.

Twój ojciec, droga Alvean, posiada znaczny majątek. My, Nansellockowie zaś jesteśmy tylko ubogimi krewnymi.

— Nie jesteście naszymi krewnymi — sprostowała Alvean.

— Właśnie, czyż to nie dziwne? Można by pomyśleć, że skoro oba rody od pokoleń żyją obok siebie, powinno je łączyć coś więcej niż sąsiedzka więź. Założę się, że musiały się tu rodzić uroczce panny TreMellyn i czarujący Nansellockowie. Doprawdy, zdumiewające, że nigdy nie zadzwoniły im weselne dswony. Pewnie dlatego, że możni TreMellynowie zadzierali nosa i patrzyli z góry na biednych Nansellocków, a partnerów dla swoich dzieci szukali gdzieś daleko. Ale teraz rośnie nam tu czarująca Alvean. To okropne, że nie mamy rówieśnika, za którego moglibyśmy cię wydać. W takim razie ja muszę na ciebie poczekać. To jedyne wyjście.

Dziewczynka roześmiała się zachwycona. Nie ulegało wątpliwości, że jest pod urokiem Petera. Może on wcale nie żartuje, pomyślałam.

Może już w subtelny sposób zaczyna starać się o rękę Alvean.

Moja podopieczna rozprawiała o konkursie jeździeckim, a Peter słuchał uważnie. Od czasu do czasu wtrącałam parę zdań i tak upłynął nam czas do herbaty.

— Panno Leigh, zechce pani uczynić mi ten zaszczyt i nalać herbatę?

— zwrócił się do mnie Peter.

Odparłam, że z przyjemnością się tym zajmę i podeszłam do stolika z czajniczkiem.

Peter bacznie mi się przyglądał, co odrobinę mnie krępowało, zwłaszcza że w jego wzroku malował się nie tylko podziw, ale i ukontentowanie.

— Jakże się cieszę, że się spotkaliśmy — oznajmił, gdy Alvean podała mu filiżankę. — Pomyśleć, że gdybym wyjechał pięć minut wcześniej lub pięć minut później, moglibyśmy się minąć. Zaiste, przypadek odgrywa w naszym życiu wyjątkową rolę.

— Zapewne spotkalibyśmy się pr?y innej okazji.

— Może, ale czasu zostało tak niewiele...

— Cóż za żalobny ton. Czyżby obawia! się pan, że komus z nas przytrafi się coś złego?

Spojrzał na mnie z powagą.

— Panno Leigh, wkrótce wyjeżdżam.

— Dokąd, wujku? — dopytywała się Alvean.

— Daleko, skarbie. Na drugi koniec świata.

— Już wkrótce? — spytałam.

— Zapewne tuż po Nowym Roku.

— Ale dokąd? — zawołała Alvean, nie kryjąc żalu.

— Moja droga, czyżby zmartwiła cię wiadomość o moim rychłym wyjeździe?

— Dokąd, wujku? — powtórzyła stanowczo.

— W poszukiwaniu fortuny.

— Żartujesz. Jak zwykle się ze mną przekomarzasz.

— Nie tym razem. Zachęci! mnie do tego kolega z Cambridge. Wyruszył do Australii i zbił tam majątek. Złoto! Tylko pomyśl, Alvean. I pani też, panno Leigh. Cudowne złoto... boskie złoto, które może zrobić z mężczyzny... i z kobiety... krezusa. Trzeba tylko pojechać i wyrwać je ziemi.

— Wielu wyrusza w nadziei na zdobycie fortuny — powiedziałam — ale czy wszystkim się to udaje?

— Oto głos twardo stąpającej po ziemi niewiasty. Nie, panno Leigh, nie wszystkim się udaje. Istnieje jednak coś zwanego nadzieją, owo święte źródło, tryskające w ludzkiej duszy, którego zdroje nigdy nie wyschną.

Może nie każdy zdobędzie złoto, lecz każdy ma prawo do nadziei.

— Cóż jednak po nadziei, jeśli okazuje się płonna?

— To, że dopóki nie okaże się płonna, przynosi nam niewyczerpane pokłady radości.

— Pozostaje mi zatem życzyć panu, by jego nadzieje nie okazały się płonne.

— Dziękuję.

— Aleja nie chcę, żebyś wyjeżdżał, wujku!

— Bardzo ci dziękuję, skarbie. Ale pomyśl, że wrócę. Do tego bogaty.

Wyobrazasz to sobie? Dobuduję wtedy do Mount Widden drugie skrzydło. Mój dom będzie równie wielki, nie, nawet większy niż Mount Mellyn. A wszyscy będą wychwalać Petera Nansellocka, który ocalił rodzinny dwór. Bo, moje drogie panie, ktoś musi go ocalić...

I to szybko.

Potem zaczął opowiadać o swoim przyjacielu, który wyjechał do Australii bez grosza przy duszy, teraz zaś jest milionerem, a na pewno prawie milionerem.

Snuł plany przebudowy dworu, a my dorzucałyśmy swoje pomysły.

To była przyjemna zabawa: budowanie w myślach domu naszych marzeń.

W towarzystwie Petera Nansellocka rozkwitłam i promieniałam. On przynajmniej, pomyślałam, nigdy nie daje mi odczuć mojej niższości.

A przez swoje ubóstwo — lub to, co jemu wydawało się ubóstwem — stał mi się jeszcze bliższy.

To był wyjątkowo przyjemny podwieczorek.

Później Peter zabrał nas do stajni. On i Alvean uparli się, bym dosiadła Hiacynty i dowiodła swoich umiejętności. Stajenny przełożył na nią moje siodło, a potem galopowałam na klaczy i brałam przeszkody. Mądre zwierzę reagowało na mój najmniejszy ruch. To był niezrównany wierzchowiec i z całego serca zazdrościłam go Peterowi.

— Proszę, proszę — oświadczył — widzę, że panią polubiła, panno Leigh. Nawet nie zaprotestowała, że dosiadł jej kto inny.

Czule poklepałam klacz.

— Jest cudowna.

A mądre zwierzę zareagowało, jakby rozumiejąc moje słowa.

Kiedy dosiadłyśmy swoich koni, Peter wskoczył na Hiacyntę i odprowadził nas do Mount Mellyn.

Wróciwszy do pokoju pomyślałam, że popołudnie upłynęło nadzwyczaj przyjemnie. Zajrzała do mnie Alvean i przez chwilę przypatrywała mi się z przechyloną głową.

— Chyba panią lubi — orzekła wreszcie.

— Jest po prostu uprzejmy — zbagatelizowałam.

— Nie. Sądzę, że lubi panią bardziej niż innych... tak samo jak lubił pannę Jansen.

— Panna Jansen chodziła na podwieczorki do Mount Widden?

— O, tak. Nie jeździła ze mną konno, ale często wybierałyśmy się tam na przechadzkę. Któregoś dnia Peter zaprosił nas na podwieczorek, zupełnie jak dziś. Dopiero co kupił klacz i chciał się nią pochwalić.

Powiedział, że musi zmienić jej imię, by czuć, że należy wyłącznie do niego. I oświadczył, że nazwie ją Hiacynta. Tak miała na imię panna Jansen.

Mój dobry nastrój nagle gdzieś się ulotnił, — Musiało być mu bardzo przykro, gdy tak nagle odeszła — powiedziałam po chwili.

Alvean się zamyśliła.

— Tak. Chyba tak. Ale dość szybko o niej zapomniał. W końcu...

— Oczywiście — dokończyłam za nią. — Była tylko guwernantką.

Później tego samego dnia zjawiała się u mnie Kitty z informacją, że jest dla mnie wiadomość z Mount Widden.

— I nie tylko — oznajmiła.

Była wyraźnie podekscytowana, ale nie spytałam, co jeszcze przysłano z Mount Widden, bo wiedziałam, że wkrótce sama się przekonam.

— Gdzie ten list? — spytałam.

— W stajni. — Zachichotała. — Niech panienka pójdzie i zobaczy.

Ruszyłam do stajni, a za mną w pewnej odległości dreptała Kitty.

Tam czekał na mnie Dick, służący z Mount Widden, ku memu zdumieniu trzymając za uzdę Hiacyntę.

Podał mi liścik.

Daisy, jej ojciec i Billy Trehay obserwowali mnie z rozbawieniem i znaczącymi minami.

Otworzyłam list i przeczytałam:

Droga Panno Leigh, widziałem, z jakim zachwytem spoglądała Pani na Hiacyntę, Jestem przekonany, że ona odwzajemnia Pani uczucia. Dlatego też daję ją Pani w prezencie. Sercem pękało, gdy patrzyłem na tak dobrą amazonkę jak Pani, dosiadającą starego, niegodnego Pani Diona. Dlatego proszę, by zechciała Pani przyjąć ten dar.

Pani pełen podziwu sąsiad Peter Nansellock Choć usiłowałam zapanować nad rumieńcem, czułam, jak czerwie nie się po korzonki włosów. Tapperty z trudem powstrzymał pogardli we prychnięcie.

Jak Peter mógł być tak nieroztropny! A może zadrwił sobie ze mnie?

Nie mogłam przyjąć takiego daru, nawet gdybym chciała. Koniom trzeba zapewnić obrok i stajnię. Czyżby Peter zapomniał, że Mount Mellyn nie jest moim domem?

— Czy będzie odpowiedź, psze panienki? — spytał Dick.

— Owszem. Już idę do pokoju odpisać. Czekał tu, zaraz wrócę, to zanieiesz ją panu.

Wyprostowana jak struna, starając się nie przejmować spojrzeniami służby, wróciłam do pokoju. Tam szybko skreśliłam krótką odpowiedź.

Gu wernon tka Ul Szanowny Panie Nansellock, dziękuję za wspaniały dar, którego, oczywiście, nie mogę przyjąć. Nie mogłabym utrzymać konia. Może umknęło to Pańskiej uwagi, alepracuję w Mount Mellyn jako guwernantka. Nie stać mnie na utrzymanie Hiacynty. Dziękuję Panu za dobre chęci, z poważaniem Martha Leigh Wróciłam do stajni. Z daleka słyszałam śmiechy i rozmowy służby.

— Proszę, Dicku. — Wręczyłam mu list. — Zanieś panu tę odpowiedź i zabierz Hiacyntę.

— Ale... — wyjąkał chłopak. — Miałem ją tu zostawić.

Spojrzałam prosto w błyszczące z lubieżności oczka Tapperty'ego.

— Pan Nansellock — odparłam — lubi robić żarty.

Po czym obróciłam się i pomaszero wałam do domu.

Następnego dnia wypadła sobota i Alvean ubłagała mnie, byśmy zrobiły sobie wolne przedpołudnie i pojechały na wrzosowiska. Mieszkała tam jej cioteczna babka Clara, która na pewno ucieszy się na nasz widok.

Zastanowiłam się nad tym. Ja też miałam ochotę wyrwać się z Mount Mellyn na parę godzin. Wiedziałam, że wszyscy wokół plotkują o mnie i Peterze Nansellocku.

Domyślałam się, że wcześniej, dokładnie tak samo jak mnie teraz, wyróżniał pannę Jansen. Ludzi bawiło, że wraz z pojawieniem się drugiej guwernantki historia się powtórzyła.

Próbowałam sobie wyobrazić pannę Jansen. Może była odrobinę lekkomyślna? Oczyma wyobraźni widziałam Jak przywłaszcza sobie jakąś błyskotkę, by móc kupić piękną suknię i oczarować swojego adoratora.

A on nawet się nie przejął jej zwolnieniem. To się nazywa lojalny wielbiciel!

Po śniadaniu wyruszyliśmy z Alvean w drogę. Dzień był wymarzony do jazdy, październikowe słońce nie grzało mocno, wiał łagodny południowo— zachodni wiatr. Alvean dopisywał humor. Pomyślałam, że ta wyprawa stanowi dla niej doskonałą próbę. Jeśli bez zmęczenia pokona długą drogę do babki i z powrotem, będę naprawdę zadowolona.

Już sama ucieczka od wścibskich spojrzeń służby wystarczyła, bym czuła się szczęśliwa, a jazda przez malownicze wrzosowiska sprawiała, że doprawdy niewiele mi brakowało do pełni szczęścia.

Krajobraz wrzosowisk idealnie współgrał z moim nastrojem. Zachwyciły mnie niskie kamienne murki i szmerzące strumyki, płynące po szarych głazach.

Ostrzegałam Alvean przed zdrażliwymi, śliskimi kamieniami, ale siedziała w siodle pewnie, zachowując uwagę, więc nie czułam większego niepokoju.

Przestudiowałyśmy mapę, która miała doprowadzić nas do domu ciotecznej babki Clary, położonego parę mil na południe od Bodmin.

Alvean raz czy dwa jechała tam powozem i sądziła, że pozna drogę. Na wrzosowiskach wyjątkowo łatwo jednak się zgubić, zamierzałam więc skorzystać z okazji i poćwiczyć z dziewczynką umiejętność czytania z mapy.

Udzieliła mi się beztroska jesiennego dnia i razem z moją podopieczną głośno zaśmiewałam się, gdy źle skręciłyśmy i musiałyśmy zawracać.

W końcu jednak dotarliśmy do Dworku na Wrzosowiskach, jak poetycko nazwała swój domek cioteczna babka Clara.

Rzeczywiście, stojący na obrzeżach wioski dworek był naprawdę śliczny. Na całą wioskę składały się kościół, niewielka oberża, parę domów i rezydencja jaśnie pani.

Cioteczna babka Clara żyła skromnie, na uboczu, z trójką służących, więc gdy pojawiłyśmy się u niej z Alvean, w domu zapanowało poruszenie.

Nikt nie spodziewał się naszej wizyty.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Toż to panienka Alvean! — zawołała staruszka-gospodyni. — Kogóż ze sobą przywiozłaś, skarbie?

— To panna Leigh, moja guwernantka — wyjaśniła dziewczynka.

— Proszę, proszę! I przyjechałyście tylko we dwie? Nie towarzyszy ci papa?

— Nie, wyjechał do Penzance.

Ogarnął mnie niepokój. Ghyba źle zrobiłam, zgadzając się na prośbę Alvean. Nie powinnam była narzucać swojej obecności ciotecznej babce Garze, nie poprosiwszy najpierw o pozwolenie.

Zastanawiałam się, czy nie zostanę wyproszona do kuchni, gdzie siądę przy jednym stole ze służącymi. Nie przeszkadzało mi to szczególnie, ale nie miałam też wielkiej ochoty spożywać posiłku w towarzystwie niezadowolonej, wyniosłej gospodyni.

Moje obawy zostały jednak szybko rozwiane. Wprowadzono mnie wraz z Alvean do salonu, gdzie siedziała w fotelu cioteczna babka Gara:

siwiuteńka staruszka o różowych policzkach, błyszczących błękitnych oczach i ciepłym spojrzeniu. Przy fotelu stała mahoniowa laska, więc domyśliłam się, że starsza pani miała kłopoty z chodzeniem.

Alvean podbiegła do niej, a babka serdecznie ją uściskała, po czym spojrzała na mnie.

— A więc to pani jest guwernantką Alvean, moja droga — odezwała się. — Bardzo się cieszę. Jak miło z pani strony, że przywiozła ją pani w odwiedziny. Doskonale się składa, bo właśnie gości u mnie wnuczek i obawiam się, że nudzi mu się bez rówieśników. Kiedy się dowie, że przyjechała Alvean, będzie w siódmym niebie.

Poszłam o zakład, że wnuczek nie ucieszy się nawet w polowie tak bardzo jak cioteczna babka Clara. Przyjęła mnie tak serdecznie, że już po chwili czułam się, jakbym odwiedzała starą przyjaciółkę, zupełnie zapominając, że jestem tylko guwernantką, która przywiozła wychowankę do jej krewnej.

Na stół wjechało wino z mniszka lekarskiego i obie nas zmuszono do wypicia po kieliszku. Podano do niego ciasteczka. Przyznam szczerze, że wino ogromnie mi smakowało. Pozwoliłam Alvean wypić maleńki kieliszek, ale gdy sama go skosztowałam, pożałowałam mojej decyzji, bo wino okazało się niezwykle mocne.

Babka Gara domagała się najświeższych ploteczek z Mount Mellyn.

Okazała się przy tym niezwykle gadatliwa. Zapewne dlatego że czuła się nieco samotna w swoim domu pośród wrzosowisk.

Pojawił się wnuczek — ładny chłopiec, nieco młodszy od Alvean i razem poszli się bawić. Ostrzegłam Alvean, by zbyt nie oddalała, bo przed zmierzchem musimy wrócić do domu.

Ledwo dzieci zniknęły, cioteczna babka Clara na dobre zajęła się plotkowaniem. Nie wiem, czy to za sprawą mocnego wina czy ze względu na bliskie pokrewieństwo staruszki z Alice, fascynowało mnie wszystko, co mówiła.

Opowiadała o Alice jak nikt jeszcze do tej pory — z całkowitą szczerością i otwartością. Szybko uświadomiłam sobie, że ta gadatliwa starsza dama stanowi nieocenione źródło informacji.

— A teraz — odezwała się, gdy dzieci wyszły — niech mi pani powie, jak naprawdę wygląda sytuacja w Mount Mellyn.

Uniosłam brwi, jakbym nie do końca rozumiała, o co jej chodzi.

— Śmierć biednej Alice była prawdziwym szokiem — podjęła. — Cóż za nieoczekiwany, tragiczny i przedwczesny zgon. Przecież była właściwie jeszcze dzieckiem.

— Doprawdy?

— Niech mi pani nie mówi, że nie słyszała, co się wydarzyło.

— Wiem o tym bardzo niewiele.

— Alice i Geoffry Nansellock, rozumie pani. Uciekli razem. Rzuciła męża. A potem... ten okropny wypadek.

— Rzeczywiście, wspominało coś o jakimś wypadku.

— Często nocą, gdy nie mogę zasnąć, myślę o nich... O tych dwojgu młodych ludziach... I winię siebie.

Zaskoczyła mnie. Dlaczego ta delikatna, serdeczna starsza dama miałaby obwiniać siebie o niewierność Alice?

— Nie wolno się wtrącać do cudzego życia. A może właśnie trzeba?

Jak pani sądzi, kochana? Jeśli można w ten sposób pomóc...

— Tak — odrzekłam zdecydowanie. — Jeśli w ten sposób można pomóc drugiemu, należy wybaczyć wtrącanie się w cudze sprawy.

— Ale skąd mamy wiedzieć, czy pomagamy? A może właśnie szkodzimy?

— Każdy postępuje zgodnie z tym, co mu nakazuje sumienie.

— A jeśli się okaże, że postępuje słusznie, a mimo to wcale nie pomaga?

— Rzeczywiście, może się tak zdarzyć.

— Ciągle o niej myślę... Moja biedna siostrzenica... Była taką słodką, kochaną istotą. Ale jak to ująć, nie potrafiła stawić czoła twardej rzeczywistości.

— Och, doprawdy?

— Widzę, że pani, panno Leigh, wspaniale opiekuje się Alvean. Alice byłaby szczęśliwa, gdyby zobaczyła, jak to dziecko rozkwita pod pani ręką. Ostatni raz przyjechała tu ze swoim... z Connanem. Nie była nawet w połowie tak radosna i beztraska jak dziś.

— Bardzo się z tego cieszę. Zachęcam ją do jazdy konnej. Sądzę, że to bardzo dobrze jej robi.

Żałowałam, że muszę przerwać opowieść staruszki. Chciałam wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji o Alice, a bałam się, że lada moment wrócą Alvean i wnuczek Clary, co oznaczałoby koniec zwierzeń.

— Opowiadała mi pani o matce Alvean. Jestem przekonana, że nie powinna pani sobie nic wyrzucać.

— Gdybym i ja mogła tak myśleć... Do tej pory mam wyrzuty sumienia.

Może nie powinnam pani tym zanudzać, ale pani tak dobrze potrafi słuchać, a przy tym mieszka tam pani... Zajmuje się pani małą Alvean jak... jak matka. Nie wiem, jak pani wyrazić swoją wdzięczność, moja droga.

— Cóż, w końcu biorę za to pieniądze. — Nie mogłam się powstrzymać od tej uwagi. Oczyma wyobraźni widziałam uśmiech, jaki wywołałaby ona na twarzy Petera Nansellocka.

— Nie wszystko na tym świecie można kupić. Miłości... oddania... tego nie zdobędziemy za żadne pieniądze. Alice mieszkała u mnie przed ślubem. Tutaj, w tym domu. Tak było poręczniej, rozumie pani.

Z Mount Mellyn można tu dojechać w parę godzin. Dzięki temu młodzi mogli lepiej się poznać.

— Młodzi?

— Narzeczeni.

— To znaczy, że wcześniej się nie znali?

— Małżeństwo zostało zaplanowane przez rodziców, kiedy dzieci były jeszcze w kołyskach. Alice wносиła w wianie znaczny majątek. Pasowali do siebie: oboje bogaci, oboje z dobrych rodzin. Wtedy jeszcze żył ojciec Connana, a ponieważ w chłopaku szumiała krew, uznano, że młodzi powinni jak najszybciej się pobrać.

— Zgodził się na zaaranżowane małżeństwo?

— Oboje uważali to za sprawę przesądzoną. Tak czy owak na parę miesięcy przed ślubem Alice przeniosła się do mnie. Ogromnie ją kochałam.

— Sądzę, że wielu osobom była bardzo bliska — powiedziałam, myśląc o biednej Gilly.

Cioteczna babka (lara skinęła głową. W tej samej chwili do salonu weszli Alvean z kuzynem.

— Chcę pokazać Alvean moje rysunki — oznajmił chłopiec.

— To idź po nie. Przynies tutaj i pokaż jej.

Chyba zdała sobie sprawę, że za dużo powiedziała, i przestraszyła się własnego gadulstwa. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest to ktoś, kto potrafiłby dochować tajemnicy. Najlepszy dowód to że omal nie zdradziła tajemnicy rodzinnej mnie, zupełnie obcej kobiecie.

Zbawił się wnuczek Clary ze swoim szkicownikiem i oboje usiedli przy stole. Podeszłam do nich. Z dumą patrzyłam na próby Alvean i obiecałam sobie w duchu, że przy najbliższej okazji poruszę z jej ojcem kwestię lekcji rysunku.

Jednocześnie czułam narastające rozdrażnienie. Dałabym głowę, że cioteczna babka Clara była o krok od wyznania mi czegoś niezwykle ważnego.

Zaraz po lekkim posiłku wyruszyliśmy do Mount Mellyn. Tym razem już nie zablądziłyśmy i bez najmniejszych kłopotów dotarłyśmy do domu, ale postanowiłam, że musimy — i to jak najrychlej — powtórzyć wyprawę do Dworku na Wrzosowiskach.

Pewnego dnia, przechodząc przez wioskę, zatrzymałam się przed sklepikiem jubilera. Jubiler to właściwie za dużo powiedziane, bo na wystawie nie było cennej biżuterii, tylko parę srebrnych broszek i trochę prostych złotych obrączek. Na niektórych wygrawerowano

słowo „Mispa”, przywołujące fragment ze Starego Testamentu „...niech Pan czuwa nade mną i nad tobą, gdy się rozstaniemy”*. Leżały tam również pierścionki z półszlachetnymi kamieniami: turkusami, topazami i granatami.

Przypuszczałam, że mieszkańcy wioski zaopatrywali się tu w pierścionki zaręczynowe i obrączki, a główny dochód złotnika pochodził z naprawy biżuterii.

Na wystawie zauważyłam srebrną broszkę w kształcie szpicruty, całkiem gustowną, a przy tym niezbyt drogą.

Postanowiłam kupić ją dla Alvean i dać jej na dzień przed zawodami jako podarunek na szczęście.

Otworzyłam drzwi i weszłam po niskich schodkach do środka. Za ladą siedział staruszek w druczianych okularach. Zsunął je na czubek nosa i przyglądał mi się znad szkielec.

— Chciałam zobaczyć broszkę z wystawy — powiedziałam. — Tę srebrną, w kształcie szpicruty.

— Oczywiście, panienko. Już pokazuję.

Zdjął ją z wystawy i podał mi.

— Proszę, niech ją pani sobie przypnie i zobaczy, jak będzie wyglądała.

Ruchem głowy wskazał mi lusterko na kontuarze. Posłuchałam go.

Broszka spełniała wszystkie moje wymagania: była prosta i niekrzykliwa, w dobrym guście.

Przeglądając się w lusterku, zauważyłam tackę z błyskotkami, do których były przyćepione kartoniki. To zapewne biżuteria oddana do naprawy, uznałam. Nagle zaintrygowało mnie, czy to nie tu Alice w ubiegłym roku w lipcu oddała swoją broszkę.

— Panienska jest z Mount Mellyn? — odezwał się staruszek.

— Tak — odrzekłam i uśmiechnęłam się zachęcająco. Ostatnio nauczyłam się zachęcać do rozmowy każdego, kto mógł podzielić się ze mną informacjami na temat stający się powoli moją obsesją. — A tę broszkę zamierzam podarować mojej uczennicy.

Jak większość mieszkańców małych miejscowości, jubiler pilnie śledził losy swoich bliższych i dalszych sąsiadów.

— Ach — wstchnął — ta biedna sierotka bez matki. Jak dobrze wiedzieć, że znalazła w pani czułą i troskliwą opiekunkę.

— Wezmę tę broszkę — zdecydowałam.

* Rdz 31,49 wg Biblii Tysiąclecia (przyp. Tłum.)

— Przyniosę pudełeczko. Nic tak nie dodaje biżuterii urody jak zgrabne, szykowne opakowanie, nieprawdaż?

— Święte słowa.

Pochylił się, wyciągnął spod lady malutkie kartonowe pudełko i zaczął je wyściełać watą.

— Umoszczę tu dla niej gniazdko — powiedział z uśmiechem.

Odniosłam wrażenie, że miał ochotę na dłuższą pogawędkę.

— Teraz rzadko zjawia się u mnie ktoś z Mount Mellyn. Za to pani TreMellyn... O, ona często tu zaglądała.

— Tak, zapewne.

— Zobaczyła jakąś błyskotkę na wystawie i od razu kupowała. Czasem dla siebie, czasem dla kogoś. Nie uwierzy pani, ale zająrzała tu nawet tego dnia, gdy zginęła. — Zniżył głos do szeptu.

Serce mocniej mi zabiło. Przypomniałam sobie notatnik Alice, nadal spoczywający bezpiecznie w kieszeni jej żakietu.

— Naprawdę?

Włożył broszkę do pudełeczka i spojrzał na mnie.

— Wtedy wydało mi się to nawet nieco dziwne. Pamiętam, jakby dziś. Weszła tu i spytała: „Naprawił już pan broszkę, panie Pastern?”

Koniecznie musi pan to szybko zrobić. Najlepiej jeszcze dziś. Jutro wybieram się na przyjęcie do państwa Trelanderów, a broszka była prezentem gwiazdkowym od pani Trelander. Sam więc pan rozumie, że powinnam się pojawić z broszką, by pani Trelander wiedziała, jak bardzo mi się podobał podarunek”. Taka właśnie była pani TreMellyn. Opowiadała, dokąd się wybiera, tłumaczyła, dlaczego coś jest jej potrzebne.

Nie wierzyłem własnym uszom, gdy się dowiedziałem, że wieczorem tego samego dnia opuściła dom. Dlaczego w takim razie mówiła mi o przyjęciu, na które wybierała się następnego dnia?

— Rzeczywiście — przyznałam — to bardzo dziwne.

— Zwłaszcza że wcale nie musiała mi o tym wspominać, prawda?

Gdyby rozmawiała z kimś innym, zrozumiałbym, że próbuje mu zamydlić oczy. Ale dlaczego akurat mnie? Coś tu się nie zgadza. Do dziś czasem wracam pamięcią do jej słów... i wciąż tego nie pojmuję.

— Myślę, że jest wytłumaczenie: może po prostu źle pan coś zrozumiał?

Pokręcił głową. Nie wierzył w to. Ani ja. Widziałam jej notatkę w pamiętniku.

To, co tam przeczytałam, potwierdzało opinię jubilera.

Następnego dnia odwiedziła moją podopieczną Celestine. Waśnie wybierałyśmy się na przejażdżkę i zaproponowała, że się do nas przyłączy.

— A teraz, Alvean — powiedziałam — pora na matą próbę. Zobaczmy, czy potrafisz zrobić pannie Nansellock taką samą niespodziankę, jaką zamierzasz sprawić ojcu. Miałyśmy ćwiczyć skoki, pojechałyśmy więc daleko poza wioskę Mellyn.

Celestine była pod wrażeniem umiejętności Alvean.

— Dokonała pani prawdziwych cudów, panno Leigh.

Obserwowałyśmy dziewczynkę, która cwałowała po łące.

— Mam nadzieję, że jej ojciec będzie zadowolony. Zgłosiła się do jednej z konkurencji w zawodach.

— Nie wątpię, że będzie zachwycony.

— Proszę, niech pani tylko nic mu nie mówi. To ma być niespodzianka.

Celestine uśmiechnęła się do mnie ciepło.

— Może pani być pewna, że ogromnie się ucieszy, panno Leigh.

— Spodziewam się raczej umiarkowanego zadowolenia z jego strony.

Czułam na sobie jej spojrzenie, gdy uśmiechała się do mnie wyrozumiale.

— Och, panno Leigh — odezwała się nagle. — Chodzi o mojego brata, Petera. Możemy szczerze porozmawiać o sprawie Hiacynty?

Zaczerwieniłam się lekko i byłam na siebie zła za tę reakcję.

— Wiem, że подарował pani konia, którego pani nie przyjęła, uznając, że to zbyt cenny upominek.

— Zbyt cenny i zbyt kosztowny w utrzymaniu. Nie stać mnie na niego.

— Oczywiście. Niestety, Peter bywa wyjątkowo bezmyślny. Ale ma naprawdę wielkie serce. Teraz obawia się, że panią obraził.

— Proszę mu powiedzieć, że nie czuję się urażona, ale jeśli chwilę się zastanowi, zrozumie, dlaczego nie mogłam przyjąć takiego daru.

— Tłumaczyłam mu to. Ogromnie panią podziwia, panno Leigh, lecz za jego hojnością kryły się też bardziej przyziemne pobudki. Pragnął znaleźć Hiacyncie dobry dom. Wie pani, że mój brat opuszcza Anglię.

— Wspominał o tym.

— Sądzę, że część koni sprzeda. Zachowam parę dla siebie, ale nie ma sensu utrzymywać kosztownej stajni dla mnie jednej.

— Owszem, to racja.

— Mój brat zobaczył panią na Hiacyncie i dostrzegł w pani godną opiekunkę klaczy. Dlatego ofiarował ją pani. Darzy ją wielkim uczuciem.

— Rozumiem.

— Panno Leigh, chciałyby pani jeździć na takim koniu?

— Kto by nie chciał?

— A gdybym poprosiła Connana, by zgodził się ją trzymać u siebie jako pani wierzchowca? Czy wtedy by ją pani przyjęła?

— To piękny gest z pani strony, panno Nansellock — odparłam z naciskiem.

— Doceniam to, jak bardzo pani i pański brat pragną sprawić mi przyjemność, ale nie oczekuję ani nie chcę szczególnego traktowania. Pan Tre— Mellyn ma wystarczająco dużo koni na potrzeby nas wszystkich. Muszę się sprzeciwić proszeniu go o jakiegokolwiek dodatkowe względy dla mnie.

— Widzę — powiedziała Celestine — że jest pani bardzo stanowcza i niezwykle dumna.

Pochyliła się i po przyjacielsku uściśniła mi dłoń. Jej oczy przesłoniła mgiełka łez. Poruszyła ją moja sytuacja, rozumiała, jak rozpaczliwie, jak kurczowo walczę o zachowanie poczucia godności — mojego największego, jedyne skarbu.

Patrząc na jej dobroć i szlachetność, rozumiałam, dlaczego Alice się z nią zaprzyjaźniła. Pomyślałam, że ja również łatwo mogłabym obdarzyć ją przyjaźnią, bo nigdy w najmniejszym stopniu nie dała mi odczuć, że jestem tu tylko guwernantką.

Pewnego dnia, postanowiłam, podzielę się z nią moimi odkryciami w sprawie Alice.

Ale jeszcze nie teraz. Wciąż, jak to ujął jej brat, wystawiałam kolce jak jeż. Co prawda nie spodziewałam się ze strony Celestine Nansellock odrzucenia, mimo wszystko jednak nie zamierzałam ryzykować.

Zbliżyła się do nas Alvean, Celestine pochwaliła ją za piękną jazdę.

Razem wróciliśmy do domu na podwieczorek, na którym pełniłam ho nory gospodyni, podany w pokoju ponczowym.

Pomyślałam, że dawno nie spędziłam tak przyjemnego popołudnia, Connan TreMellyn wrócił do domu dzień przed konkursem. Cieszyłam się, że nie przyjechał wcześniej, bo obawiałam się, że Alvean nie zdołałaby ukryć podniecenia.

Uczestniczyłam w jednej z pierwszych konkurencji, w której najwięcej punktów zdobywało się dzięki skokom. Był to tak zwany mikst, co oznaczało, że startowali w nim i mężczyźni, i kobiety.

Tapperty, który wiedział, że biorę udział w zawodach, nie chciał na wet słyszeć, bym wzięła Diona.

— No i pięknie, panienko — zrzędził dzień przed zawodami — gdyby panienka wzięła Hiacyntę, jak ją pani dawała, miałyby panienka wygraną w kieszeni. Ta klacz to pewniak; tak samo jak panienka, gdyby na niej pojechała. Ale co by panienka powiedziała na Korsarza?

— A jeśli pan TreMellyn się nie zgodzi?

Tapperty puści! do mnie oko.

— Co by się miał nie zgodzić? Na zawody pojedzie na Majowym Poranku, więc stary Korsarz będzie wolny. Zrobmy tak. Jeśli jaśnie pan każe: „osiodłaj mi Korsarza, Tapperty”, zarutko przygotuję mu Korsarza, a panienska pojedzie na Majowym Poranku. Nic bardziej nie ucieszy jaśnie pana niż wygrana jego konia.

Bardzo chciałam się popisać przed moim chlebodawcą, więc przystałam na tę propozycję. W końcu, uspokajałam się w duchu, uczę jego córkę jazdy konnej, co oznacza, że mam prawo — za zgodą masztalerza — wybrać sobie wierzchowca ze stajni.

Wieczorem, w przeddzień zawodów, dałam Alvean broszkę.

Dziewczynka nie posiadała się z radości.

— Szpicruta! — zawołała.

— Przypniesz nią sobie krawatę, żeby nie fruwała. Mam nadzieję, że przyniesie ci szczęście.

— Na pewno. Wiem o tym.

— Nie polegaj zbyt na amulecie. Pamiętaj, szczęście sprzyja tym, którzy na nie zapracują. — Zacytowałam jej też radę, jakiej często udzielał nam tata. — „Sercem, głową leć wysoko; brodę, pięty wbij głęboko”.

A kiedy skaczesz, pamiętaj... fruń razem z Księciem.

— Zapamiętam.

— Podekscytowana?

— Nie mogę się doczekać, a to jeszcze tyle czasu.

— Ani się obejrzysz, jak będziesz stałą na starcie.

Tego wieczoru, gdy zajrzałam, by życzyć dziewczynce dobrej nocy, usiadłam na jej łóżku i rozmawialiśmy o konkursie.

Trochę się niepokoiłam, bo za bardzo się emocjonowała występem.

Staralam się ją wyciszyć. Tłumaczyłam, że musi już się kłaść, by jutro wstać świeża i wyspana.

— Ale jak można zasnąć — pytała -jeśli sen nie przychodzi?

Uświadomiłam sobie, jak wiele osiągnęłam przez tych parę miesięcy.

Kiedy tu przyjechałam, dziewczynka bała się wsiąść na konia, a dziś nie mogła się doczekać występu w zawodach.

Wszystko to bardzo pięknie, ale wołałabym, żeby jedyną jej motywacją i motorem działania nie był ojciec. Tymczasem wszystko to robiła, by zdobyć jego aprobatę.

Tak więc z jednej strony przepełniał ją zapał, a z drugiej lęk, tak rozpaczliwie pragnęła zyskać podziw ojca.

Zostawiłam ją na chwilę i przyniosłam z pokoju książkę pana Longfellowa.

Siadłam przy Alvean i zaczęłam jej czytać na głos, wiedziałam bowiem, że nic tak skutecznie nie uspokoi jej i nie odwróci myśli jak epos „Pieśń o Hajawacie”.

Często sięgałam po te strofy, gdy nie mogłam zasnąć i nigdy nie zawodził — odwracał moje myśli od wydarzeń otaczającego mnie świata i przenosił w nieprzebyte puszcze Ameryki, gdzie „dudniry wielkie rzeki, a echo niosło ich grzmot”.

Czytałam nieprzerwanie. Widziałam, jak Alvean poddaje się magii słów pana Longfellowa. Zapomniała o jutrzejszym występie... o swoich lękach i nadziejach. Razem z małym Hajawatą siedziała u stóp jego kochającej babki Nokomis i... zasnęła.

Kiedy obudziłam się w dniu zawodów, zobaczyłam, że do mojego pokoju wdarła się mgła. Wyskoczyłam z łóżka i podbiegłam do okna. Białe smużki otulały palmy przed wejściem, na igłach świerków drżały kropelki wody.

Oby tylko podniosła się do popołudnia, westchnęłam w duchu.

Lecz mgła utrzymywała się przez cały ranek. Wszyscy domownicy z niepokojem patrzyli w niebo i szeptali po kątach. Każdy obawiał się, jak to wpłynie na zawody. Niemal cała służba wybierała się na pokaz.

To już tradycja, wyjaśniła mi Kitty, bo pan, jako sędzia, był szczególnie zaangażowany w to święto miłośników jazdy konnej, a Billy Trehay i paru stajennych zgłosiło się do konkursu.

— Jaśnie pan zawsze ma dobry humor, kiedy jego konie wygrywają opowiadała Kitty. — Ale powiadają, że swoich zawsze surowiej ocenia.

W południe zjadłyśmy z Alvean lekki posiłek i ruszyłyśmy do wioski.

Ona dosiadała Czarnego Księcia, ja Korsarza. Nic nie dorównuje przyjemności jazdy na naprawdę dobrym wierzchowcu. Czułam, jak rosną mi skrzydła. Byłam prawie tak samo podekscytowana jak Alvean i równie gorąco jak ona pragnęłam zabłysnąć w obecności Connana TreMellyna.

Zawody odbywały się na dużym placu niedaleko kościoła. Kiedy przyjechałyśmy z Alvean, było już tam gęsto od ludzi i koni. Na miejscu każda ruszyła w swoją stronę. Okazało się, że wyścig, do którego się zgłosiłam, miał się odbyć na początku zawodów.

Rozpoczęcie planowano na kwadrans po drugiej, ale jak zwykle wszystko się opóźniło i dwadzieścia po drugiej nadal czekaliśmy na start.

Mgła nieco się uniosła, ale pogoda wiele się nie poprawiła. Ciężkie, Ołowiane chmury wisiały nad nami niczym szary koc, na wszystkim osiadała wilgoć. W powietrzu czuło się zapach morza, ale ono samo milczało, słychać było tylko bardziej melancholijny niż zwykle skrzek rybitw.

Wreszcie zjawił się mój chlebowdawca z pozostałymi sędziami. Było ich trzech, wszyscy najwięksi okoliczni notable. Connan dosiadał Majowego Poranka, czego się spodziewałam, skoro mnie przypadł w udziale Korsarz.

Miejscowa orkiestra zagrała pierwsze tony tradycyjnej kornwalijskiej pieśni. Natychmiast skończyły się pogawędki, wszyscy się wyprostowali i zaczęli śpiewać. Dumnie i butnie śpiewali nieoficjalny hymn Konwalii, przywołujący wydarzenia z 1688 roku, gdy Jakub II uwięził siedmiu anglikańskich biskupów, w tym biskupa Bristolu, Jonathana TreIawny'ego.

A czy Trelawny będzie żyć?

Czy umrzeć przyjdzie mu?

Niech pozna Londyn, co to jest Kornwalijczyka gniew.

Pieśń niosła się daleko, wszyscy stali wyprostowani, z uniesionymi głowami. W tłumie dostrzegłam też Gillyflower, stojącą obok Daisy i śpiewającą wraz z innymi. Byłam zaskoczona jej obecnością. Miałam nadzieję, że dziewczyna się nią zaopiekuje.

Gilly też mnie zauważyła. Pomachałam jej. Natychmiast spuściła oczy, ale widziałam, że się nieśmiało uśmiecha, co poprawiło mi nastrój.

Zbliżył się do mnie jakiś jeździec.

— Kogóż ja widzę? — usłyszałam męski głos. — Panna Leigh we własnej osobie!

Obejrzałam się. Podjechał do mnie Peter Nansellock na Hiacyncie.

— Dzień dobry — przywitałam go, ale widziałam tylko Hiacyntę.

Na plecach miałam już numer startowy.

— Niech tylko pani nie mówi — przeraził się Peter Nansellock — że oboje startujemy w tym samym wyścigu.

— Zgłosił się pan do konkursu?

Odwrocił się. On też miał na plecach numer startowy.

— Żegnajcie, nadzieje. Teraz już wiem, że nie wygram — powiedziałam.

— Ze mną?

— Z Hiacynta.

— Cóż, panno Leigh, mogła należeć do pani.

— Co panu strzeliło do głowy, by to zrobić? Stajnie trzęsły się od plotek.

— Kto by się przejmował służącymi?

-Ja.

— Pani, tak rozsądna osóbką? To do pani nie pasuje.

— Guwernantka musi się przejmować opinią wszystkich domowników.

— Pani nie jest zwykłą guwernantką.

— Szczerze powiedziawszy, panie Nansellock — odparłam lekko — odnoszę wrażenie, że w pańskim życiu żadna guwernantka nie była zwykłą guwernantką. Bo gdyby nią była, nie zasługiwałaby na pańską uwagę.

Lekko szturchnęłam Korsarza, a koń natychmiast ruszył.

Petera zobaczyłam dopiero w czasie konkursu. Startował przede mną. Obserwowałam, jak pokonuje tor przeszkód. Stopił się w jedno z Hiacynta. Prawdziwy centaur, pomyślałam. Czyż nie były to stworzenia z głową i tułowiem człowieka, a resztą ciała konia?

— Cudownie! — zawołałam, patrząc, jak z gracją pokonuje przeszkody i pięknym, równym klusem biegnie po torze.

Ale na takiej klaczy, pomyślałam z zawiścią, każdy wypadłby cudownie.

Występ Petera nagrodzono burzą oklasków. Ja startowałam nieco później.

— Pomóż mi, Korsarzu — wyszeptałam do wierzchowca, widząc wśród sędziów Connana TreMellyna. — Chcę pokonać Hiacyntę. Pragnę zdobyć tę nagrodę i dowieść mu, że w tej dziedzinie osiągnęłam prawdziwe mistrzostwo. Pomóż mi, Korsarzu.

Mój wrażliwy, mądry koń zastrzygł uszami i z wdziękiem ruszył naprzód, dumnie unosząc łeb. Wiedziałam, że mnie usłyszał i odpowie na moje zaklęcia.

— Zaczynaj, Korsarzu — szepnęłam. — Możemy to zrobić.

Pokonaliśmy tor równie płynnie i pięknie jak Hiacynta — taką przy najmniej miałam nadzieję. Dotarłszy na metę, usłyszałam burzę oklasków. Zeskoczyłam na ziemię i odprowadziłam konia. Czekaliśmy, aż wszyscy zawodnicy przejadą i sędziowie ustalą werdykt.

Cieszyłam się, że ogłaszają zwycięzców zaraz po zakończeniu konkurencji.

Rezultaty interesowały widzów bezpośrednio po konkursie.

Zwyczaj ogłaszania wszystkich zwycięzców dopiero na końcu zawodów uważałam za niefortunny.

— Mamy wynik ex aequo — ogłosił Connan. — Dwoje zawodników uzyskało maksymalną liczbę punktów. Co więcej, taka sytuacja chyba jeszcze się nie przytrafiła, zwycięzcami bowiem są kobieta i mężczyzna:

panna Martha Leigh na Korsarzu i pan Peter Nansellock na Hiacyncie.

Podjechaliśmy po odbiór trofeów.

— Nagrodą jest srebrna waza. Oczywiście nie można jej przełamać ani podzielić, zatem pójdzie w ręce damy.

— Naturalnie — zgodził się Peter.

— Ale ty dostaniesz srebrną łyżkę — zawyrokował Connan. — Nagrodę pocieszenia, za zwycięstwo ex aequo z damą.

Odebraliśmy trofea. Wręczając mi nagrodę, Connan szeroko się uśmiechał, nie ukrywając zadowolenia.

— Doskonały występ, panno Leigh. Nie sądziłem, że na Korsarzu można aż tyle dokonać. Poklepałam konia po karku.

— Nie mogłam dostać lepszego partnera — powiedziałam bardziej do wierzchowca niż do TreMellyna.

Potem odjechaliśmy, ja ze swoją srebrną wazą, Peter z łyżką.

— Gdyby pani jechała na Hiacyncie, zostałaaby pani niekwestionowanym zwycięzcą — odezwał się Nansellock.

— I tak musiałabym się zmierzyć z panem, tyle że dosiadałby pan innego konia.

— Hiacynta wygra każdy wyścig. Wystarczy na nią spojrzeć. Czyż to nie idealny twór natury? Ale i tak to pani wraca z wazą.

— Zawsze będę miała świadomość, że nie stanowi mojej wyłącznej własności.

— Układając w niej kwiaty, będzie pani myśleć: jej część należy do tego... jakże on się zwał? Zawsze traktował mnie z atencją, a ja odwdzięczałam się nadmierną surowością. Teraz żałuję.

— Nigdy nie zapominam nazwisk. I uważam, że jeśli chodzi o mój stosunek do pana, niczego nie mogę sobie zarzucić.

— Możemy znaleźć też inne rozwiązanie kwestii nagrody. Na przykład moglibyśmy razem stworzyć dom. Stanełaby na honorowym miejscu.

„Nasza”, mówilibyśmy o niej i oboje nas by to radowało.

Zdenerwowały mnie jego nonszalancja i bezceremonialność.

— Za to wszystko inne bynajmniej by nas nie radowało — ucięłam i objechałam.

Chciałam znaleźć się blisko stanowiska sędziowskiego, gdy nadejdzie kolej Alvean. Pragnęłam widzieć minę Connana, gdy będzie występowała jego córka. Zamierzałam być blisko, gdy podjedzie, aby odebrać nagrodę. Przez moment nie wątpiłam w jej zwycięstwo: bardzo chciała zatriumfować i ciężko pracowała. Skoki nie powinny stanowić dla niej najmniejszej trudności.

Rozpoczął się konkurs skoków dla początkujących ośmiolatek. Patrzyłam, jak na tor wychodzą kolejne dzieci, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę Alvean. Dziewczynka jednak się nie pojawiła.

Konkurencja dobiegła końca, rozdano nagrody.

Żadne słowa nie oddawały mojego zawodu. Zabrakło jej odwagi. Cały mój wysiłek poszedł na marne. Kiedy nadeszła wielka chwila, wszystkie obawy wróciły.

Podczas dekoracji zwycięzców ruszyłam na poszukiwanie dziewczynki.

Nigdzie jej nie znalazłam. Gdy zaczęły się zawody ośmiolatek z grupy zaawansowanej, przyszło mi na myśl, że Alvean mogła wrócić do domu. Wyobrażałam sobie jej rozpacz, że po tylu rozmowach, po tylu godzinach spędzonych w siodle w decydującej chwili opuściła ją odwaga.

Musiałam odejść z Mellyn. Mój własny triumf nabrał gorzkiego smoka, stracił znaczenie. Myślałam tylko o tym, by jak najszybciej odnaleźć moją podopieczną i -jeśli to okaże się potrzebne, a nie wątpiłam, że tak — pocieszyć Alvean.

Wróciłam do Mount Mellyn, rozkulbaczyłam Korsarza, odwiesiłam siodło, wytarłam konia, napiłam go i zostawiłam w boksie, z zadowoleniem przeżuwanego siano.

Wejście dla służby nie było zamknięte. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Domyśliłam się, że wszyscy prócz pani Polgrey udali się na konkurs hipiczny. Gospodyni zaś najpewniej zażywa w pokoju swej popołudniowej drzemki.

Wbiegłam na górę, nawołując Alvean.

Nikt nie odpowiedział, zajrzałam więc do jej pokoju. Był pusty.

Może jeszcze nie wróciła do domu? Uświadomiłam sobie, że w stajni nie widziałam Czarnego Księcia. Ale też nawet nie zerknęłam do jego boku.

Poszłam do swojego pokoju i stanęłam w oknie, zastanawiając się, co teraz. Postanowiłam wrócić do wioski. Zapewne Alvean została na zawodach.

Kiedy tak stałam w oknie, nagle zdałam sobie sprawę, że w pokojach Alice ktoś jest. Sama nie wiedziałam, skąd wzięła się ta pewność.

Może dostrzegłam cię na szybie? Ale bez najmniejszej wątpliwości wiedziałam, że ktoś tam chodzi.

Nie zastanawiając się, co zrobię, gdy stanę twarzą w twarz z intruzem, pobiegłam przez galerię do garderoby Alice. Stukot moich butów do konnej jazdy musiał się rozchodzić po całym korytarzu. Szarpnięciem otworzyłam drzwi.

— Kto tu jest? — krzyknęłam. — Jest tu kto?

W garderobie nikogo nie zobaczyłam, ale kątem oka dostrzegłam, jak zamykają się drzwi sypialni. Pomyślałam, że to mogła być Alvean, a wiedziałam, że teraz bardzo mnie potrzebuje. Musiałam ją znaleźć.

To przeważyło i wygrało z lękiem. Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je. Rozejrzałam się po sypialni. Dopadłam zasłon, poruszyłam nimi.

Nikt się tam nie ukrył. Wtedy podbiegłam do kolejnych drzwi i też je otworzyłam.

Znalazłam się w drugiej garderobie. Drzwi łączące je z drugim pomieszczeniem — podobne do tych w pokoju Alice — były otwarte. Weszłam tam i natychmiast domyśliłam się, że trafiłam do sypialni pana domu, bo na toalecie zauważyłam fontaż, który Connan nosił dziś rano.

Zobaczyłam też jego szlafrok i kapcie. Spłonęłam rumieńcem. Weszłam do tej części dworu, do której nie miałam wstępu.

Ale w tym pokoju był też ktoś inny, prócz Connana. Pytanie brzmiało tylko kto.

Nie tracąc ani chwili, podbiegłam do drzwi. Otworzyłam je i znalazłam się w galerii.

Nikogo tam nie zobaczyłam, więc z ociąganiem wróciłam do swojej sypialni.

Kto był w tamtym pokoju? Jaki upiór nawiedzał ten dom?

— Alice — powiedziałam na głos. — Czy to ty, Alice?

Potem zeszedłam do stajni. Musiałam jak najszybciej wrócić do wioski i odnaleźć Alvean.

Osiodłałam Korsarza i wyjeżdżałam ze stajni, gdy zobaczyłam Billy'ego Trehaya pędzącego w stronę domu.

— Och, panienko! — zawołał na mój widok. — Nieszczęście! Co za okropny wypadek!

— Jaki? — wykrztusiłam.

— Panienska Alvean! Spadła, biorąc przeszkodę.

— Przecież nie uczestniczyła w zawodach!

— Waśnie, że tak. W grupie ośmiolatek, zaawansowanej. Przeszkody były wysokie. Księżę potknął się i upadł. Oboje runęli i...

Na moment górę wzięły emocje. Zasłoniłam twarz dłońmi i głośno krzyknęłam z przerażenia.

— Szukają panienski — ciągnął Billy.

— Gdzie jest Alvean?

— Tam, gdzie upadła. Bali się ją ruszać. Przykryli ją derką i czekają na doctora Pengelly'ego. Boją się, że mogła sobie coś złamać. Jest przy niej jaśnie pan. Ciągłe powtarza: „gdzie jest panna Leigh?”. Widziałem, jak panienska wyjeżdża z wioski, więc popędziłem za panienską. Chyba powinna panienska tam pojechać... Skoro tak o panią wypytuje.

Odwróciłam się i popędziłam na złamanie karku do wioski. Jadąc, na przemian to się modliłam, to złorzeczyłam.

— Boże, błagam, oby nic jej się nie stało. Och, Alvean, ty niemądre dziecko! Wystarczyłaby nagroda w zawodach dla początkujących. Już to by go uradowało. W konkursie dla zaawansowanych wystąpiłabyś za rok. Alvean, moje biedne, kochane dziecko. — A potem: — To wszystko jego wina. To wszystko przez niego. Gdyby okazał jej choć odrobinę uczucia, jak przystało na ojca, nie doszłoby do tego.

Wreszcie dotarłam na plac. Nigdy nie zapomnę tamtego widoku: nieprzytomna Alvean na ziemi, pochylona nad nią grupka osób i obserwujący to gapię. Odwołano pozostałe konkurencje, zawody się skończyły.

Przez moment bałam się, że dziewczynka nie żyje.

Connan spojrział na mnie z powagą.

— Panno Leigh, dobrze, że pani przyjechała. Zdarzył się wypadek, Alvean...

Nie słuchając go, przypadłam do dziewczynki.

— Alvean... kochanie — szeptałam.

Uniosła powieki. Wcale nie przypominała mojej impertynenckiej i pewnej siebie podopiecznej. Była po prostu zagubionym i przerażonym dzieckiem. A mimo to się uśmiechała.

— Nie odchodź... — poprosiła.

— Nie, zostanę tutaj.

— Ale wcześniej... poszłaś... — wymamrotała. Musiałam nisko się pochylić, by dosłyszeć jej słowa.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że wcale nie zwraca się do mnie, guwernantki, Marthy Leigh. Mówiła do Alice.

Rozdział 6

Na placu pojawił się doktor Pengelly. Zbadawszy Alvean, stwierdził złamanie kości piszczelowej, choć nie wykluczał też innych obrażeń.

Nastawił złamaną kość, przeniósł dziewczynkę do powozu i zawiózł ją do Mount Mellyn, podczas gdy ja i Connan w milczeniu pojechaliśmy za nimi wierzchem.

Alvean zaniesiono do pokoju, a lekarz podał jej lekarstwo uśmierzające ból.

— Na razie nic więcej nie możemy zrobić. Trzeba czekać. Możliwe, że mała jest w stanie głębokiego wstrząsu. Wrócę za parę godzin, a państwo niech w tym czasie pozwolą jej się wyspać i trzymają ją w cieple.

Może spać bardzo długo, dopiero po przebudzeniu dowiemy się, jak poważne są skutki wstrząsu.

Po wyjściu lekarza Connan zwrócił się do mnie.

— Panno Leigh, chcę z panią porozmawiać. Proszę do pokoju ponczowego.

Teraz, jeśli łaska.

Ruszyłam za nim.

— Na razie nic nie możemy zrobić, panno Leigh — odezwał się, gdy weszliśmy do pokoju. — Musimy uzbroić się w cierpliwość i czekać. Musimy zachować spokój.

Uświadomiłam sobie, że nigdy nie widział mnie tak poruszonej i zapewne się nie spodziewał, że jestem zdolna do głębszych uczuć.

— Ja nie potrafię z takim spokojem jak pan patrzeć na to, co się dzieje z Alvean, panie TreMellyn — odparłam bez namysłu.

Byłam tak przerażona i zmartwiona, że musiałam rzucić na kogoś winę za wypadek, więc oskarżyłam jego.

— Ale czemu porwała się na coś takiego? Co ją do tego pchnęło? — dopytywał się Connan.

— Pan! — wypaliłam. — To przez pana!

— Ja? Przecież nawet nie wiedziałem, że potrafi tak dobrze jeździć.

Dopiero później uświadomiłam sobie, że znajdowałam się wtedy o krok od ataku hysterii. Bałam się, że Alvean zrobiła sobie nieodwracalną krzywdę, a znając jej charakter, byłam pewna, że nigdy więcej już nie wsiądzie na konia. Sądziłam, że zastosowałam niewłaściwą metodę.

Nie powinnam była walczyć z jej lękiem przed końmi. Drogę do jej serca znalazłabym, wskazując inny sposób zdobycia miłości ojca.

Nie mogłam pozbyć się straszliwego poczucia winy i robiłam sobie gorzkie wyrzuty. Na tym domu ciąży przekleństwo. Kto ci dał prawo wtrącać się do życia innych ludzi? Co właściwie próbujesz osiągnąć?

Chcesz zmienić Alvean? Zmienić jej ojca? Odkryć prawdę o zniknięciu Alice? Za kogo się masz? Za Pana Boga?

Nie mogłam jednak oskarżać tylko siebie. Potrzebowałam kozła ofiarnego. Mówiłam w duchu: to jego wina. Gdyby był inny, nie doszłoby do tego.

Przestałam panować nad emocjami. A gdy spotyka to kogoś o moim usposobieniu, taka osoba, w przeciwieństwie do ludzi ze skłonnościami do wybuchów hysterii, całkowicie przestaje kontrolować swoje reakcje.

— Nie! — eksplodowałam. — Oczywiście, że pan nie wiedział, jak dobrze nauczyła się jeździć! Skąd miałby pan wiedzieć, skoro nigdy nie okazywał temu dziecku cienia zainteresowania? Pański chłód i obojętność łamały jej serce! To dlatego dziś porwała się na coś, co przerastało jej możliwości!

— Droga panno Leigh — wykrztusił. — Moja droga panno Leigh...

Wpatrywał się we mnie zdumiony. Nie zważałam jednak już na nic.

I tak mnie zwolni, pomyślałam. Ale najgorsze było poczucie klęski.

Próbowałam dokonać niemożliwego, wyrwać tego człowieka ze skorupy egoizmu i obojętności, wzbudzić w nim uczucie do nieszczęśliwej, osamotnionej córki. A tymczasem co osiągnęłam? Wszystko zniszczyłam, do tego jeszcze zapewne na całe życie skrzywdziłam Alvean. I to ja ośmielałam się ganić postępowanie innych?

Mimo to nadal winałam Connana TreMellyna. Zupełnie przestałam się liczyć ze słowami.

— Kiedy tu przyjechałam — rozpoczęłam gorzką tyradę — szybko zrozumiałam, co się dzieje. To biedne, osierocone przez matkę dziecko było wygłodniałe. Och, wiem, że o stałych porach dostawała wielką porcję bulionu, chleba i masła. Lecz głodne bywa nie tylko nasze ciało. Alvean marzyła o okrucieństwie i miała święte prawo spodziewać się go od ojca. A jak sam pan się przekonał, dla tego okrucieństwa gotowa była ryzykować życie.

— Panno Leigh, błagam, niechże pani się uspokoi i mówi rozsądnie.

Twierdzi pani, że Alvean zrobiła to...

— Zrobiła to dla pana — wpadłam mu w słowo. — Sądziła, że w ten sposób zyska pańskie uznanie. Trenowała od tygodni.

— Rozumiem. — Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł mi oczy. — Chyba nie zdaje sobie pani z tego sprawy, panno Leigh — podjął niemal czule — ale ma pani łzy na policzkach.

Wyszarpnęłam mu z gniewem chusteczkę i wytarłam twarz.

— To łzy złości — powiedziałam.

— I smutku. Droga panno Leigh, myślę, że darzy pani Alvean prawdziwym uczuciem.

— To nieszczęśliwe dziecko, a mnie zatrudniono, bym otoczyła ją opieką. Bóg jeden wie, jak nieliczni są ci, którzy okazują jej serce.

— Teraz widzę — oświadczył — że moja postawa zasługuje na najwyższe potępienie.

— Jak pan mógł... Czy jest pan zupełnie pozbawiony uczuć? Przecież to pańska córka! Straciła niedawno matkę! Nie rozumie pan, że skoro straciła matkę, wymagała podwójnej troski i miłości.

Wtedy TreMellyn powiedział coś zaskakującego.

— Panno Leigh, przyjechała tu pani, by uczyć Alvean, tymczasem mnie również wiele pani nauczyła.

Spojrzałam nań zdumiona. Trzymałam jego chusteczkę tuż przy mokrej od łez twarzy, gdy do pokoju weszła Celestine Nansellock. Zerknęła na mnie, a w jej oczach błysnęło zdziwienie.

— Cóż to za straszne wieści do mnie dotarły? — zawołała. — To nie może być prawda!

— Alvean miała wypadek — wyjaśnił Connan. — Spadła z konia.

— O, nie! — przeraziła się. — I co...? Gdzie...?

— Leży teraz w pokoju. Pengelly nastawił jej nogę. Biedne dziecko.

Teraz śpi, bo dał jej coś na uśmierzenie bólu. Lekarz wróci za parę godzin.

— Ale jak poważne...?

— Pengelly nie jest pewien. Ale widywałem podobne wypadki i sędzę, że Alvean wyjdzie z tego bez szwanku.

Nie byłam pewna, czy naprawdę tak sądzi czy też tylko mówi tak, by uspokoić wstrząśniętą Celestine. Doskonale rozumiałam, co czuła. Podejrzywałam, że ją jedną naprawdę obchodził los Alvean.

— Biedna panna Leigh bardzo to przeżyła. Wmówiła sobie, że to jej wina. Próbuję ją uspokoić, że wcale tak nie uważam.

Moja wina?! Czyż można mnie winić, że uczyłam dziecko jazdy konnej?

A gdy już Alvean opanowała podstawy jazdy, co stało na przeszkodzie, by zgłosiła się do konkursu? Nie, to wyłącznie jego wina, chciałam krzyknąć.

Gdyby nie on, zadowoliliby się tym, do czego ją przygotowałam.

— Alvean tak zależało, by zrobić niespodziankę ojcu — odparłam nieco obronnym tonem — że podjęła się zadania ponad siły. Gdyby wierzyła, że ojca ucieszy jej sukces w grupie początkujących, nie zgłosiłaby się do grupy dla zaawansowanych, jestem o tym przekonana.

Celestine usiadła, kryjąc twarz w dłoniach. Przypomniało mi się, jak w takiej samej pozycji klęczała przy grobie Alice.

Ta biedaczka, pomyślałam ze współczuciem, kocha Alvean jak własną córkę, bo sama nie dochowała się dzieci, a może nawet już straciła nadzieję, że kiedyś będzie je miała.

— Pozostaje nam jedynie czekać — odezwał się Connan.

— Zatem nie ma powodu, bym tu została — powiedziałam, wstając. — Pójdę do siebie.

— Nie, niech pani zostanie, panno Leigh — polecił, zatrzymując mnie ruchem ręki. — Niech pani z nami zostanie. Wiem, jak bardzo kocha pani Alvean.

Spojrzałam na swój strój — amazonkę Alice.

— Powinna się przebrać — odrzekłam.

Wydawało mi się, że w tym momencie zobaczył mnie w innym świetle.

Być może Celestine też. Gdyby nie twarz, zapewne wyglądałabym zupełnie jak Alice.

Zależało mi, by się przebrać, bo czułam, że w swojej surowej bawełnianej sukni znowu stanę się guwernantką i lepiej będę panowała nad emocjami.

Connan skinął głową.

— Ale proszę wrócić, gdy tylko pani się przebierze — powiedział. — Musimy wzajemnie podtrzymywać się na duchu. Chcę również, aby pani tu była, kiedy przyjdzie lekarz.

Tak więc poszłam do pokoju i zmieniłam amazonkę Alice na swoją szarą suknię.

Intuicja mnie nie myliła, od razu odzyskałam równowagę. Zapinając gorset, zastanawiałam się nad słowami, które w gniewie rzuciłam mojemu chlebodawcy.

W lustrze widziałam twarz naznaczoną bólem i niepokojem, oczy, w których płonęły gniew i niechęć, usta drżące z obawy.

Posłałam po gorącą wodę. Daisy miała ochotę na plotki, ale zorientowała się, że jestem zbyt poruszona, więc szybko zniknęła.

Oplukałam twarz i dopiero wtedy zesłam do pokoju ponczowego, gdzie wraz z ojcem Alvean i Celestine oczekiwałam na przybycie doktora Pengelly,ego.

Czas do przyjazdu lekarza ciągnął się w nieskończoność. Pani Polgrey przyniosła dzbanek herbaty. Connan, Celestine i ja razem piliśmy mocny napar. Dopiero później uświadomiłam sobie wyjątkowość tej sytuacji.

Wtedy zaś przyjął to jako coś naturalnego, jakby wypadek sprawił, że i Connan, i Celestine zapomnieli, iż siedzi z nimi zwykła guwernantka.

A właściwie to on zapomniał, bo w przeciwieństwie do innych Celestine nigdy nie traktowała mnie wyniośle.

Connan zachowywał się, jakby puścił mój wybuch w niepamięć, traktował mnie z niezwykłą dla niego uwagą i łagodnością. Chyba nie chciał, bym obwiniła siebie, a domyślił się, że zaatakowałam go z taką zajadłością, bo w głębi duszy całą winę za to nieszczęście przypisywałam sobie.

— Wydobrzeje — uspokajał nas — i znowu będzie chciała jeździć. Pamiętam, kiedy byłem odrobinę od niej starszy, miałem jeszcze poważniejszy wypadek. Złamałem obojczyk i przez długie tygodnie nie wolno mi było jeździć konno. Nie mogłem się doczekać, kiedy znowu wrócę na siodło.

Celestine się wzdrygnęła.

— Jeśli po tym wypadku znów zacznie jeździć, nie zaznam ani chwili spokoju.

— Och, Celeste, bo ty tylko chuchałabyś na nią i dmuchała. I co by z tego przyszło? Wyszłoby z domu, złapała zwykle przeziębienie i umarła.

Nie można aż tak chronić dzieci przed wszystkim. W końcu, wcześniej czy później, będą musiały stawić czoło światu. Trzeba je do tego jakoś przygotować. Co o tym sądzi nasza znawczyni tematu?

Patrzył na mnie z niepokojem. Wiedziała, że stara się nas podtrzymać na duchu. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo ja i Celestine przeżywamy wypadek Alvean i próbował na swój sposób nam pomóc.

— Uważam, że nie należy rozpieszczać dzieci. Ale też jeśli są czemuś bardzo przeciwne, nie trzeba ich na siłę zmuszać.

— Przecież jej nikt nie zmuszał do jazdy konnej.

— Robiła to z prawdziwą przyjemnością — zgodziłam się. — Ale nie wiem, czy kierował nią zapał do nauki czy gorące pragnienie przypodobania się panu.

— Cóż — odrzekł Connan lekko — wydaje mi się, że właśnie tego powinno pragnąć każde dziecko: zadowolić rodziców.

— Owszem, ale nie powinno narażać życia dla rodzicielskiego uśmiechu.

Znowu narastał we mnie gniew. Zacisnęłam palce na spódnicy, jakbym w ten sposób przypominała sobie, że nie noszę już amazonki Alice.

Jestem guwernantką w bawełnianej sukni i nie wolno mi wyrażać własnych opinii.

Celestine i Connan wyglądali na zaskoczonych moją uwagą, a ja szybko mówiłam dalej:

— Na przykład prawdziwego talentu Alvean należy szukać gdzie indziej.

Moim zdaniem jest wyjątkowo uzdolniona plastycznie. Narysowała parę bardzo udanych szkiców. Panie TreMellyn, od dłuższego czasu zamierzałam pana spytać, czy nie zgodziłby się pan, by Alvean pobierała lekcje rysunku.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Zastanawiałam się, dlaczego oboje wyglądają na tak oszołomionych.

— Jestem pewna, że Alvean ma wyjątkowy talent — brnęłam dalej. — Szkoda byłoby go zmarnować.

— Ależ, panno Leigh — odrzekł wolno Connan — moja córka już ma nauczycielkę: panią. Czemu widzi pani konieczność zatrudnienia jeszcze kogoś?

— Dlatego że moim zdaniem Alvean jest wyjątkowo utalentowana w tej dziedzinie. Uważam, że gdyby miała lekcje rysunku, jej życie stałoby się pełniejsze i bogatsze. A takie lekcje powinna brać u znawcy tematu.

Zasługuje na to. Ja zaś, panie TreMellyn, jestem tylko guwernantką, nie malarką.

— Cóż, porozmawiamy o tym przy innej okazji — zbył mnie, po czym zmienił temat, a wkrótce potem zjawił się lekarz.

Czekałam na korytarzu z Celestine, podczas gdy Connan z lekarzem weszli do pokoju Alvean.

Wyobrażenia podsuwała mi coraz czarniejsze scenariusze. Wyobrażałam sobie, że moja wychowanka umrze, a ja na zawsze opuszczę Mount Mellyn. Czułam, że gdybym stąd wyjechała, w moim życiu pojawiłaby się pustka nie do wypełnienia. Zrozumiałam, że gdybym musiała pożegnać się z Mount Mellyn, byłabym naprawdę nieszczęśliwa. Wreszcie pomyślałam o Alvean, skazanej na kalectwo, jeszcze trudniejszej niż teraz, załamanej, nieszczęśliwej dziewczynce. I o sobie, poświęcającej całe życie opiece nad nią. Nie była to najradośniejsza perspektywa.

Podeszła do mnie Celestine, — Nie wytrzymam tego oczekiwania — wyznała. — Nie wiem, czy nie powinniśmy sprowadzić innego lekarza. Doktor Pengelly ma sześćdziesiąt lat. Obawiam się, że...

— Wygląda na kogoś, kto wie, co robi.

— Chciałabym zapewnić jej możliwie najlepszą opiekę. Jeśli coś jej się sianie... — Celestine przygryzła wargę.

Zdziwiło mnie, że ona — zawsze taka spokojna — aż tak emocjonalnie podchodzi do wszystkiego, co ma związek z Alice i jej córką.

Chciałam ją objąć i pocieszyć, ale oczywiście, pamiętając o swoim miejscu, nie zrobiłam tego.

Wyszli doktor Pengelly i Connan. Lekarz się uśmiechał.

— Niegroźne potłuczenia — oznajmił — i złamana kość piszczelowa.

Poza tym... prawie żadnych obrażeń.

— Och, dzięki Bogu! — wykrzyknęła radośnie Celestine, a ja jej zawtórowałam.

— Jutro, pojutrze powinna lepiej się poczuć. To tylko kwestia zrośnięcia się kości. U dzieci złamania błyskawicznie się zrastają. Nie ma najmniejszych powodów do niepokoju, szanowne panie.

— Możemy do niej zajrzeć? — przerwała mu niecierpliwie Celestine.

— Ależ oczywiście. Alvean już nie śpi, wypytywała o pannę Leigh.

Za pół godziny podam jej drugą dawkę leku, żeby dobrze się wyspała.

Rano będzie jak nowo narodzona.

Weszliśmy do sypialni. Alvean, biedactwo, wyglądała bardzo mizernie, ale na nasz widok słabiotko się uśmiechnęła.

— Panna Leigh... -powiedziała. — I ciocia Celestine.

Celestine uklękła przy łóżku, chwyciła dziewczynkę za rękę i zaczęła obsypywać ją pocałunkami. Stałam po drugiej stronie łóżka. Alvean patrzyła na mnie ze smutkiem.

— Nie udało się — powiedziała.

— Cóż, grunt, że próbowałaś.

Connan stał w nogach łóżka.

— Twój ojciec był z ciebie bardzo dumny — dodałam.

— Pewnie uznał, że zachowałam się bardzo niemądrze.

— Nie, wcale! — zaprotestowałam gorąco. — Zresztą jest tu, to sama usłyszysz.

Connan obszedł łóżko i stanął obok mnie.

— Jest z ciebie dumny — powtórzyłam. — Sam mi to mówił. Uważa, że nie powinnaś się przejmować upadkiem. Najważniejsze, że próbowałaś.

A następnym razem na pewno ci się uda, to jego słowa.

— Naprawdę? Tak powiedział?

— Tak, tak właśnie powiedział! — krzyknęłam z gniewem, bo Connan nadal milczał, gdy dziecko błagało o potwierdzenie z jego ust.

— Wspaniale się spisałaś, Alvean — odezwał się wreszcie. — Naprawdę byłem z ciebie dumny.

Na białych ustach dziewczynki pojawił się uśmiech.

— Panno Leigh... Och, panno Leigh... — szepnęła. — Niech pani nie odchodzi. Proszę, niech pani ze mną zostanie.

Uklękłam, uścisnęłam jej dłoń i gorąco ją pocałowałam. Na policzkach znowu poczułam łzy.

— Zostanę, Alvean — obiecałam. — Nigdy cię nie opuszczę.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak klęcząca pod drugiej stronie Celestine bacznie mi się przygląda. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że obok mnie stoi Connan. Wtedy obudziła się we mnie guwernantka.

Przywołałam swój rzeczowy ton i poprawiłam się:

— Zostanę tak długo, jak będę tu potrzebna.

Alvean była usatysfakcjonowana.

Kiedy zasnęła, wyszliśmy z pokoju. Już miałam skręcić do swojej sypialni, gdy Connan mnie zatrzymał.

— Zechce pani towarzyszyć nam do biblioteki, panno Leigh? Lekarz chce pomówić z panią o rekonwalescencji Alvean.

Udałam się więc z nimi do biblioteki i rozmawialiśmy o opiece nad dziewczynką.

— Będę ją codziennie odwiedzała — zaoferowała się Celestine. — Właściwie zastanawiam się, Connanie, czy na czas choroby nie powinnam się przenieść tutaj, to znacznie by wszystko uprościło.

— To już muszą panie uzgodnić między sobą — powiedział lekarz. — Proszę pilnować, by dziewczynka się nie nudziła. Nie chcemy, by w oczekiwaniu na powrót do zdrowia wpadła w apatię.

— Będziemy ją zabawiać — obiecałam. — Zaleca pan specjalną dietę?

— Jutro i może pojutrze lekkie potrawy. Ryba duszona, mleczne puddingi, kremy z mleka i jaj. Ale po paru dniach może już jeść, co tylko będzie chciała.

Słuchałam tego z pełną radości ulgą. Ten przeskok od rozpaczyny do szczęścia sprawił, że w głowie mi szumiało.

Słuchałam instrukcji lekarza i zapewnień Connana, że nie ma konieczności, by Celestine się tu przenosiła. Jest przekonany, że panna Leigh sobie poradzi, choć będzie dla niej prawdziwym błogosławieństwem świadomość, że w razie jakichkolwiek trudności może liczyć na pomoc.

— Cóż, Connanie — odparta Celestine. — Może to i dobrze. Gdybym się tu przeniosła... Och, ludziom przychodzą do głowy absurdalne pomysły.

Wszystko, byle znaleźć jakiś temat do plotek.

Doskonale zrozumiałam, co miała na myśli. Gdyby Celestine zamieszkała w Mount Mellyn, ludzie zaczęliby łączyć ją z Connanem.

Tymczasem fakt, że ja — jej rówieśnica, ale guwernantka — mieszkam z nim pod jednym dachem, nie budził najmniejszych podejrzeń. Należałam do zupełnie innej warstwy społecznej.

Connan parsknął śmiechem.

— Jak tu przyjechałaś, Celestine? — spytał.

— Na Błyskawicy.

— Aha. W takim razie pojedę z tobą do Mount Widden.

— Bardzo dziękuję, Connanie. Jak miło z twojej strony. Ale mogę wrócić sama, jeśli wolałbyś...

— Nonsens! Jadę. Pani zaś, panno Leigh — zwrócił się do mnie — wygląda na wyczerpaną. Radziłbym pani się położyć i dobrze wyspać.

Byłam pewna, że nie zasnę. Wyraz twarzy musiał mnie zdradzić, bo lekarz powiedział:

— Dam pani lekarstwo, panno Leigh. Proszę je wypić pięć minut przed położeniem się do łóżka, a rękę, że porządnie się pani wyśpi.

— Dziękuję.

I rzeczywiście doceniałam jego troskę, bo dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem zmęczona. Wierzyłam, że rano obudzę się znowu spokojna i opanowana, gotowa do stawienia czoła nowej sytuacji, jaka powstała po wydarzeniach tego dnia.

Wróciłam do pokoju, gdzie już czekała na mnie taca z kolacją. W innej sytuacji chętnie zjadłabym apetyczne skrzydełko kurczaka na zimno, ale tego wieczoru zupełnie nie miałam apetytu. Chwilę bez przekonania skubałam mięso, a wreszcie się poddałam i zostawiłam jedzenie.

Pomyślałam, że chyba posłucham rady doktora Pengelly'ego, wypiję jego miksturę i położę się spać. Już-już miałam to zrobić, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołałam i pojawiła się pani Polgrey.

Wyglądała na zmartwioną. Nic dziwnego. Kto dziś nie był przygnębiony?

— To straszne... — zaczęła, ale wpadłam jej w słowo.

— Nic jej nie będzie, pani Polgrey. Lekarz zapewnia, że Alvean szybko wydobreeje.

— A tak, słyszałam. Ale to o Gilly się martwię.

-Gilly?

— Nie wróciła z zawodów.

— Och, pewnie jest gdzieś w pobliżu. Zastanawiam się, czy widziała...

— Nie rozumiem tego. Nie wiem, czemu poszła oglądać konkurs.

Okrutnie boi się koni, do żadnego nawet się nie zbliży. Omalżem nie zemdlą, jakim usłyszała, że tam poszła. A teraz... nie wróciła, — Przecież często biega gdzieś z dala od domu.

— Tak, ale zawsze wraca na podwieczorek. Nie wiem, co się mogło stać.

— Sprawdziła pani w domu?

— Tak. Wszędziem jej szukała. Kitty i Daisy mi pomagały. Pan Polgrey też. Gilly nie ma w domu.

— Pomogę pani jej szukać.

I tak zamiast położyć się spać, przyłączyłam się do poszukiwań Gillytlower.

Bardzo się niepokoiłam, bo tego pechowego dnia wszystko mogło się zdarzyć. Co spotkało biedną Gilly? Znowu wyobraźnia podsuwała mi przerażające wizje. A nuż

dziewczynka wypuściła się na plażę, gdzie złapał ją przyływ”? Oczyma wyobraźni widziałam jej małe ciało wyrzucone na brzeg zatoki Mellyn, tak samo jak przed ośmiu laty zwłoki jej matki.

Poczułam zimny dreszcz. Nie, pewnie Gilly spacerowała po okolicy i zmorzył ją sen. Przypomniałam sobie, że często widywałam ją w lesie.

Ale tam by nie zabłądziła. Znała ten teren jak własną kieszeń.

Poszłam jednak do lasu, nawołując Gilly. Mgła, która wraz z nadejściem wieczoru znów zaczęła się podnosić, tłumiła mój głos niczym bawełniana wata.

Przeczesałam las, bo intuicja mówiła mi, że dziewczynka gdzieś tu jest i nie zgubiła się. tylko schowała.

Nie myliłam się. Zauważyłam ją na polance, leżała wśród świerków.

Już wcześniej spotykałam ją w tym miejscu, zapewne urządziła tu sobie kryjówkę.

— Gilly! — zawołałam. — Gilly!

Usłyszawszy mój głos, zerwała się na nogi. Chciała uciekać, ale zawahała się, gdy zaczęłam ją uspokajać.

— Nie bój się, Gilly. Przyszłam tu sama, nie zrobię ci krzywdy.

Wyglądała jak młodzianka leśna wróżka. Wilgotne, niemal białe włosy opadały jej na ramiona.

— Nieładnie, Gilly — skarciłam ją — przeziębisz się, leżąc tak na mokrej trawie. Czemu się ukrywasz, dziecko?

Nie odrywała olbrzymich oczu od mojej twarzy. Domyślałam się, że do leśnej kryjówki przygnał ją strach przed czymś.

Och, gdyby zaczęła mówić! Gdyby coś wyjaśniła!

— Gilly — tłumaczyłam dalej — przecież jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Wiesz o tym. Jestem twoją przyjaciółką, tak jak kiedyś pani TreMellyn.

Skinęła głową i z jej buzi zniknął strach. Uświadomiłam sobie, że po południu zobaczyła mnie w stroju Alice i zapewne w biednej głowinie jakoś nas dwie połączyła.

Objęłam ją. Sukienkę miała wilgotną, na jej jasnych rękach i brwiach widziałam kropelki mgły.

— Gilly, przemarzłaś! — Nie bronila się, gdy ją przytuliłam. — Chodź, wracamy do domu. Babcia ogromnie się martwi. Zastanawia się, co się z tobą stało.

Dała się wyprowadzić z polanki, ale czułam, jak niechętnie stawia kolejne kroki. Nie wypuszczałam jej z objęć.

— Byłaś dziś na konkursie — powiedziałam.

Odwróciła się do mnie i ukryła buzię w fałdach mojej sukni, z całej siły ściskając rączkami materiał. Czułam, jak drży.

Dopiero wtedy mnie olśniło. Dziewczynka, tak samo jak do niedawna Alvean, panicznie bała się koni. I czemu się dziwić? Wszak omal nie zginęła pod kopytami wierzchowca.

Mogłabym się założyć, że podobnie jak Alvean, Gilly przeżyła wstrząs. Lecz jej szok trwał dłużej, a do tego nie miała nikogo, kto by jej pomógł walczyć z mrokiem, który ją otoczył.

W tej samej chwili poczułam, że mam tu do spełnienia misję. Nie odwrócę się od nieszczęśliwego, potrzebującego pomocy dziecka.

W jej pamięci odżyło dawne przerażenie. Dziś po południu zobaczyła Alvean pod kopytami konia — dokładnie tak samo jak ona zaledwie cztery lata wcześniej.

W tej samej chwili usłyszałam tętent konia.

— Tutaj! — zawołałam. — Znalazłam ją!

— Już jadę, panno Leigh!

Rozpoznałam głos i ogarnęła mnie niemal ekstatyczna radość. To był Connan TreMellyn.

Domyśliłam się, że wrócił z Mount Widden, dowiedział się o zniknięciu Gilly i przyłączył do poszukiwań. Może usłyszał, że szukam dziewczynki w lesie, i postanowił mnie odnaleźć.

Zjawił się przed nami. Gilly jeszcze mocniej się we mnie wtuliła, ukrywając twarzyczkę w fałdach mojej sukni.

— Jest tutaj! — zawołałam. Connan podjechał bliżej. — Biedactwo, jest wyczerpana. Niech ją pan weźmie na siodło.

Schylił się po nią, ale zaczęła protestować.

— Nie! Nie!

Był zaskoczony, że dziewczynka mówi, ale ja nie — zdążyłam się przekonać, że robi to w chwilach wielkiego napięcia.

— Gilly — uspokajałam ją. — Pojedź z panem. Będę szła obok i trzymała cię za rękę.

Potrząsnęła głową.

— Spójrz — perswadowałam. — To Majowy Poranek. Chce cię zawieźć do domu, bo wie, jaka jesteś zmęczona.

Gilly z przerażeniem w oczach spojrzała na górującego nad nią wierzchowca.

— Niech pan ją podniesie — ponagliłam Connana.

Pochylił się, chwycił dziewczynkę pod pachy i posadził przed sobą.

Próbowała się opierać, ale przemawiałam do niej kojącym głosem.

— Jesteś bezpieczna. Dzięki temu szybciej wrócimy do domu. Tam zaś czekają na ciebie chleb i mleko, a potem pójdziesz prościutko do ciepłego łóżeczka. Cały czas będę cię trzymać za rękę i iść tuż przy tobie.

Przestała się szamotać, ale kurczowo ścisnęła moją dłoń.

I tak właśnie zakończył się ten pamiętny dzień; razem z Connanem przyprowadziliśmy do domu zabłąkane dziecko.

Kiedy zaszliśmy Gilly z konia i oddaliśmy ją babce, Connan posłał mi uśmiech, który mnie oczarował. Może dlatego, że po raz pierwszy uśmiechnął się bez cienia drwiny?

Wracałam do pokoju spowita w ciepłą chmurkę radości, która otulała mnie równie szczerze, jak mgła Mount Mellyn. Przez tę radość przebijała nutka cichej melancholii, lecz nad wszystkim dominowało uczucie niewysłowionego szczęścia.

Oczywiście doskonale wiedziałam, co się stało. Uświadomiły mi to wydarzenia tego dnia. Zrobiłam coś bardzo niemądrego, popełniłam bodaj największe głupstwo w życiu.

Po raz pierwszy się zakochałam i to w kimś całkowicie dla mnie nieosiągalnym.

Zakochałam się w dziedzicu Mount Mellyn; przy czym nękało mnie niejasne podejrzenie, że Connan zdaje sobie z tego sprawę.

Na szafce nocnej stała mikstura doktora Pengelly'ego.

Zamknęłam drzwi na klucz, rozebrałam się, wypiliśmy lekarstwo i położyłam się spać.

Nim jednak weszłam do łóżka, przyjrzałam się sobie w różowej, flanelowej koszuli, skromnie zapiętej pod samą szyją. Potem roześmiałam się z moich bezsensownych myśli i oświadczyłam surowym tonem guwernantki:

— Rano, kiedy dzięki miksturze doktora Pengelly'ego wstaniesz wyspana i wypoczęta, odzyskasz zdrowy rozsądek.

Następnych parę tygodni należało do najszcześniejszych, jakie spędziłam w Mount Mellyn. Bardzo szybko się okazało, że prócz złamania nogi Alvean właściwie nic nie dolega. Najbardziej cieszyło mnie, że nie straciła zapachu dojazdu konnej i niecierpliwie wypytała, jak goją się niezbyt poważne obrażenia Księcia, z góry zakładając, że wkrótce znów go dosiądzie.

Po tygodniu wróciłyśmy do lekcji, co ją bardzo ucieszyło. Uczyłam ją też gry w szachy i czyniła postępy w zawrotnym tempie, a jeśli osłabiłam swoją pozycję, zdejmując królową, czasem nawet ze mną wygrywała.

Źródłem mojej radości były nie tylko osiągnięcia Alvean, ale również fakt, że Connan został w domu. Najbardziej zaś zdumiał mnie tym, że choć nigdy nie wracał do mojego wybuchu w dniu wypadku, najwyraźniej wziął sobie do serca moje słowa i często zaglądał do córki z książkami oraz układankami.

— Tylko jedno cieszy ją bardziej niż prezenty od pana — powiedziałam mu po którejś z wizyt. — Pańska obecność.

— Cóż za dziwne dziecko — odparł na to. — Przedkłada mnie nad książkę czy grę.

Uśmiechnęłam się, odpowiedział tym samym i po raz kolejny uderzyło mnie, jak bardzo zmienił się jego uśmiech.

Czasem przyglądał się z boku naszej grze, po czym przysiadał się i sprzymierzał z Alvean przeciwko mnie. Protestowałam wtedy głośno i domagałam się wpuszczenia mojej królowej na szachownicę.

Dziewczynka siedziała rozpromieniona, a ojciec udzielał jej rad.

— Spójrz, Alvean. Postawimy tutaj laufra, niech panna Leigh teraz myśli, jak się bronić.

Chichotała radośnie i rzucała mi triumfalne spojrzenie. Ja zaś tak się cieszyłam, mogąc przebywać z nimi obojgiem, że rozpraszałam się, omal nie przegrywając partii. Nie poddawałam się jednak. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że toczę z Connanem inny, ukryty pojedynek, i chciałam mu dowieść, że jestem godną przeciwniczką. Mimo że chodziło o zwykłą partię szachów, musiałam go przekonać, że mu dorównuję.

— Kiedy Alvean wreszcie wstanie z łóżka — powiedział któregoś dnia — zawieziemy ją do Fowey i tam urządzimy sobie piknik.

Guwernantko W — Czemu jechać aż do Fowey — odparłam — skoro możemy urządzić sobie cudowny piknik na własnej plaży?

— Moja droga panno Leigh... — Nabrał zwyczaju nazywania mnie „swoją drogą panną Leigh”. — Nie wie pani, że cudze plaże zawsze są bardziej pociągające niż własne?

— O, tak, papo! — piszczała uradowana Alvean. — Koniecznie zróbmy piknik!

Tak bardzo jej zależało, by wydobrzeć i pojechać na piknik, że jadła wszystko, co jej podawano. Bez ustanku snuła plany owej wymarzonej wyprawy. Doktor Pengelly był zachwycony tym, jak szybko wraca do zdrowia. I my wszyscy też.

— To pan jest najlepszym lekarstwem — powiedziałam do Connana pewnego dnia. — Uszczęśliwi! ją pan, bo wreszcie dostrzegł pan jej istnienie.

Wtedy mój chlebodawca zrobił coś zdumiewającego. Ujął mnie za rękę i delikatnie pocałował w policzek. Ta pieszczota w niczym nie przypominała namiętnego pocałunku w noc balu. Ten pocałunek był lekki, przyjacielski, pozbawiony namiętności, a mimo to czuły.

— Nie — odparł. — Prawdziwym lekarstwem jest pani, moja droga panno Leigh.

Spodziewałam się, że jeszcze coś doda. Ale nic więcej nie powiedział, tylko szybko odwrócił się i wyszedł.

Nie zapomniałam o Gilly. Postanowiłam walczyć o nią równie zawzięcie jak o Alvean. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam o niej z Connanem. W obecnym nastroju —

byłam o tym przekonana pozwoli mi na wszystko, o co tylko poproszę. Nie zdziwiłabym się, gdyby wraz z powrotem do zdrowia Alvean powrócił do dawnych nawyków:

ją traktował obojętnie, a mnie z drwiną. Dlatego zdecydowałam, że będę kuła żelazo, póki gorące.

Pewnego ranka udałam się do pokoju ponczowego w porze, gdy spodziewałam się tam zastać mojego chlebodawcę, i spytałam, czy mogę z nim porozmawiać.

— Ależ oczywiście, panno Leigh — odparł. — Rozmowa z panią to prawdziwa przyjemność.

Od razu przeszłam do rzeczy.

— Chciałabym pomóc jakoś Gilly.

-Tak?

— Moim zdaniem nie jest upośledzona umysłowo. Sądzę raczej, że po prostu nikt do tej pory nie próbował nią się zająć. Słyszałam o jej wy padku. Jeśli dobrze rozumiałam, wcześniej rozwijała się normalnie. Nie uważa pan, że można uczynić z niej normalną, zdrową dziewczynkę?

W jego oczach na moment pojawiła się znajoma drwina.

— Uważam, że tak jak dla Boga, tak i dla panny Leigh nie ma rzeczy niemożliwych.

Zignorowałam jego żartobliwy ton.

— Proszę pana o zgodę na udzielanie lekcji Gilly.

— Droga panno Leigh, czyż opieka nad uczennicą, do której została pani zatrudniona, nie pochłania pani całego dnia?

— Mam trochę wolnego czasu, panie TreMellyn. Nawet guwernantkom on przysługuje. Będę uczyć Gilly w moim wolnym czasie. Oczywiście, pod warunkiem że mi pan tego wyraźnie nie zakaze.

— Nawet gdybym pani zakazał, z pewnością znalazłaby pani sposób, by to robić, więc chyba prościej będzie jeśli powiem: proszę zająć się Gilly.

Życzę pani powodzenia.

— Dziękuję — odrzekłam i odwróciłam się, by wyjść.

— Panno Leigh! — zawołał. Stałam i czekałam. — Wybierzmy się wreszcie na ten piknik. Jeśli będzie trzeba, sam przeniosę Alvean do powozu.

— Doskonały pomysł, panie TreMellyn. Pójdę przekazać jej tę wiadomość.

Na pewno ogromnie się ucieszy.

— A pani, panno Leigh? Czy pani również się cieszy?

Przez moment wydawało mi się, że do mnie podejdzie, i chciałam uciec. Przestraszyłam się, że położy dłonie na moich ramionach, a to wystarczy, bym się zdradziła.

— Cieszy mnie wszystko, co przyczynia się do szybszego powrotu do zdrowia Alvean, panie TreMellyn — odparłam chłodno i czym prędzej pobiegłam do niej, aby podzielić się dobrą nowiną.

Mijały tygodnie, rozkoszne, cudowne tygodnie, jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne.

Sadzałam Gilly w pokoju szkolnym i nawet zdołałam nauczyć ją paru liter. Uwielbiała obrazki, chłonęła je całą sobą. Widziałam, że lekcje sprawiają jej przyjemność, bo codziennie o wyznaczonej porze stawiała się w pokoju.

Od czasu do czasu ktoś słyszał, jak wypowiada pojedyncze słowa.

Wiedziałam, że wszyscy domownicy z rozbawieniem i ciekawością śledzą mój eksperyment.

Zdawałam sobie sprawę, że gdy Alvean wydobrzeje na tyle, by wrócić do pokoju szkolnego, pojawią się tarcia. Moja podopieczna nie ukrywała niechęci do Gilly. Raz przyprowadziłam Gilly z wizytą do Alvean, lecz ta przyjęła ją nadąsana. Kiedy już wróci do zdrowia, będę musiała jakoś ją przekonać do młodszej dziewczynki. Ale tym będę się przejmować później. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wraz z powrotem normalności, skończy się sielanka.

Alvean nie mogła narzekać na brak gości. Codziennie odwiedzała ją Celestine z owocami albo prezentami. Zaglądał też Peter, co zawsze budziło radość rekonwalescentki.

— Przyznasz chyba, że jestem dobrym wujkiem, skoro tak często przybywam do twego łóżka boleści? — spytał pewnego dnia.

— Och, ale ty wcale nie do mnie przychodzisz, wujku, tylko do panny Leigh — odparowała.

— Przychodzę do was obu — udzielił typowej dla siebie odpowiedzi. — Prawdziwy ze mnie wybraniec losu, skoro mam dwie tak czarujące damy, którym mogę składać wizytę.

Zjawiła się także lady Treslyn z drogimi książkami i kwiatami dla Alvean, ale dziewczynka przez całą wizytę była nadąsana i prawie się nie odzywała.

— Wciąż nie czuje się najlepiej — usprawiedliwiałam swoją podopieczną, a lady Treslyn odpowiedziała uśmiechem tak zachwycającym, że niemal zabrakło mi tchu.

— Oczywiście, rozumiem — powiedziała. — Biedactwo! Pan TreMellyn nie może się nachwalić jej odwagi i pani troskliwości. Ma prawdziwe szczęście, że znalazł taki skarb. „Nie tak łatwo dziś o prawdziwy skarb”, tak mu powiedziałam. I przypomniałam, jak moja ostatnia kucharka po prostu sobie poszła w połowie uroczystej kolacji. Też była prawdziwym skarbem.

Skłoniłam głowę, by ukryć nienawiść, która we mnie płonęła. Nienawidziłam tej kobiety. Nie dlatego że zrównała mnie z kucharką, ale dlatego że była piękna. W okolicy wciąż krążyły plotki o niej i Connanie.

Obawiałam się, że może być w nich źdźbło prawdy.

Ilekcio lady Treslyn pojawiała się w Mount Mellyn, mój chlebodawca się zmieniał. Prawie mnie nie dostrzegał. Słyszałam ich śmiech i zastanawiałam się, o czym rozmawiali. Widziałam oboje w ogrodzie i utwierdzałam się w przekonaniu, że to, jak razem spacerowali, nosiło wszelkie znamiona intymności.

Potem wypominałam sobie głupotę. Po co dopuszczałam do głosu emocje, do których nawet po cichu nie odważyłabym się przyznać? Próbowałam wmawiać sobie, że w ogóle ich nie było. Lecz one były i mimo moich wysiłków uparcie wracały.

Bałam się wybiegać myślą w przyszłość.

Pewnego razu Celestine zaproponowała, że na jeden dzień weźmie do siebie dziewczynkę i będzie się nią opiekować.

— Zmiana otoczenia dobrze jej zrobi — oświadczyła. — Connanie, mógłbyś przyjechać na kolację, a potem zabrać Alvean do domu.

Przystał na to. Zrobiło mi się przykro, że mnie nie objęło zaproszenie, co tylko dowodziło, jak bardzo wysokiego mniemania o sobie nabrałam przez tych kilka cudownych tygodni. Widział to kto? Ja, guwernantka, spodziewałam się zaproszenia na kolację do Mount Widden!

Śmiałam się z własnej naiwności, ale mimo wszystko czułam pewną gorycz i smutek. Zupełnie jakbym po tygodniach cudownej, upalnej pogody tak niezmiennej, że uwierzyłam, iż będzie trwać wiecznie, pewnego dnia obudziła się, czując przenikliwy ziąb. Zupełnie jakby na bezchmurnym niebie pojawiały się pierwsze zwiastuny burzy.

Connan odwiózł Alvean do Mount Widden, a ja po raz pierwszy, od kiedy zamieszkałam w Mount Mellyn, zostałam bez żadnych konkretnych obowiązków.

Miałam lekcję z Gilly, ale nie chciałam jej przemęczać, więc nie przedłużyłam zajęć. Kiedy dziewczynka wróciła do babki, zaczęłam się zastanawiać, co by tu zrobić z wolnym czasem. A może wybrałabym się na dłuższą przejażdżkę? Na przykład na wrzosowiska?

Przypomniałam sobie wyprawę z Alvean do jej ciotecznej babki Gary.

Ogarnęło mnie podniecenie. Przez sielskie tygodnie rekonwalescencji mojej wychowanki zapominałam o zagadce Alice, a teraz ta sprawa na nowo zaczęła mnie intrygować. Zastanawiałam się, czy tajemnica Alice nie jest zwykłym pretekstem, sposobem na wypełnienie czasu, który inaczej spędziłabym, użalając się nad sobą.

Pomyślałam, że cioteczna babka Clara z pewnością chciałaby wiedzieć, jak się czuje dziewczynka. A zresztą wtedy przyjęła mnie bardzo serdecznie i jasno dała do zrozumienia, że zawsze będę tam mile widzianym gościem. Oczywiście, bez Alvean wizyta będzie wyglądała nieco inaczej, ale z drugiej strony odniosłam wrażenie, że starsza pani chętniej rozmawiała ze mną niż z cioteczną wnuczką.

Podjąwszy tę decyzję, udałam się do pani Polgrey.

— Alvean wróci dopiero wieczorem, więc chciałabym sobie zrobić wolny dzień.

Od kiedy zajęłam się Gilly, pani Polgrey bardzo mnie polubiła. Na swój sposób kochała dziewczynkę. Pogodziła się z tym, że ma wnuczkę non compos mentis*, uważając jej stan za karę zesłaną na dziecko za grzechy ojców.

— Nikt bardziej nie zasłużył sobie na chwilę oddechu — oświadczyła teraz. — Dokąd się panna wybiera?

— Chyba pojedę na wrzosowiska, zjem posiłek w gospodzie.

— Sądzi panna, że to dobry pomysł? Tak samotnie...?

Uśmiechnęłam się, słysząc te słowa.

— Potrafię się o siebie zatroszczyć, pani Polgrey.

— Juźci, ale na wrzosowiskach to jeno moczary, mgła i, jak powiadają niektórzy, skrzaty.

— Skrzaty, też mi coś!

— Niech się panna nie śmieje. Nie lubię takich, co się z nich śmieją.

Byli tacy, co je widzieli. Malutkie ludziki w spiczastych kapelusikach.

Jeśli kogo nie polubieją, sprowadzą go na manowce swoimi latarenkami i ani się człek obejrzy, jak będzie na środku bagna. A bagno, jak kogo wciągnie, to już nie puści, choćby się człowiek szarpał.

Wzdrygnęłam się, nieco przestraszona tą wizją.

— Będę uważać i za nic nie obrażę żadnego skrzata. Jeśli jakiegoś spotkam, będę uprzedzająco grzeczna.

— Ejże, czuję, że panna się ze mnie naśmiewa.

— Nic mi nie będzie, pani Polgrey. Niech się pani o mnie nie martwi.

Poszłam do stajni i spytałam Tapperty'ego, którego konia mogę wziąć.

— Może panienka pojechać na Majowym Poranku. Pan nie będzie go dziś potrzebował.

Powiedziałam, że wybieram się na wrzosowiska.

— Wspaniała okazja, by lepiej poznać te strony — dodałam.

— Się rozumie, panienko. Nie zdążyła się panienka dobrze napatrzeć.

— Roześmiał się, jakby powiedział coś zabawnego. — Jedzie panienka w towarzystwie? — podpytywał.

Wyjaśniłam, że jadę sama, ale wyraźnie mi nie wierzył. Zezłościło mnie to. Pewnie sądził, że umówiłam się z Peterem Nansellockiem. Od tamtego incydentu z przysłaniem Hiacynty zaczęli mnie z nim kojarzyć.

Byłam ciekawa, czy domownicy zauważyli też moją rosnącą zażyłość z panem domu. Na samą myśl o tym ogarniało mnie przerażenie. To dziwne, ale nie burzyłam się tak na myśl o domysłach, jakie za moimi plecami snują na temat mojej znajomości z Peterem. Gdyby jednak w ten sposób rozmawiali o moim związku z Connanem — to już zupełnie inna sprawa.

* łac. niespełna rozumu (przyp. tłum.)

Ty i Connan? Przecież nie ma o czym plotkować. Jest, odpowiadałam sobie i wróciłam pamięcią do jego dwóch tak różnych pocałunków.

Popatrzyłam na Mount Widden w górze nad zatoką, marząc, jak cudownie byłoby spotkać wracającego Connana. Ale przecież go nie spotkam, zostanie z Alvean u przyjaciół. Co ja sobie wyobrażam? Że wróciłby specjalnie do mnie? Muszę wziąć się w ryzy, bo inaczej z trzeźwej, rozsądnej kobiety stanę się marzycielką.

Mimo to jednak marzyłam o przypadkowym spotkaniu z Connanem, dopóki nie zostawiłam wioski daleko za sobą i nie wjechałam na wrzosowiska.

Był rzeński grudniowy poranek. Na wrzosowiskach złościły się krzewy janowca, czułam zapach torfowej gleby. Lekki wiatr skręcający nieco ku północy cudownie orzeźwiało, sprawiając, że unosiłam się jak na skrzydłach.

Miałam ochotę popędzić galopem, czując na twarzy chłodny powiew, i po chwili tak zrobiłam. Mknęłam z wiatrem w zawody i wyobrażałam sobie, że obok mnie jedzie Connan, który nagle każe mi się zatrzymać i mówi, jak bardzo zmieniłam życie jego i Alvean, a wreszcie wyznaje miłość.

W tym kraju wrzosowisk łatwo było uwierzyć w najbardziej fantastyczne sny. Tak jak jedni wierzyli w to, że mieszkają tu skrzaty, tak ja uwierzyłam, że Connan TreMellyn może mnie pokochać.

W południe dotarłam do Dworku na Wrzosowiskach. Wszystko odbyło się podobnie jak poprzednim razem. Przed dom wyszła podstarzała gospodyni, przywitała mnie i zaprowadziła do salonu ciotecznej babki Gary.

— Witam, panno Leigh. Cóż to, dziś przyjechała pani sama?

Najwyraźniej nie dotarła do niej wiadomość o wypadku Alvean. Byłam zdumiona. Sądziłam, że Connan posłał kogoś z wiadomością, bo nawet ślepy by zauważył, że staruszka bardzo kochała swoją cioteczną wnuczkę.

Opowiedziałam jej, co się stało. Bardzo się zmartwiła, więc czym prędzej ją uspokoiłam, że Alvean szybko wraca do zdrowia i już wkrótce w pełni odzyska siły.

— Ależ pani z pewnością jest spragniona, panno Leigh — zatroszczyła się cioteczna babka Clara. — Wypijmy po kieliszeczku mojego wina z czarnego bzu. A potem zje pani z nami lekki obiad?

Serdecznie podziękowałam za zaproszenie i odpowiedziałam, że jeśli nie sprawię kłopotu, chętnie z niego skorzystam.

Sączyłyśmy wino z czarnego bzu, które okazało się równie mocne jak wino z mniszka lekarskiego. Posiłek składał się ze znakomicie przy— rządzonej i podanej jagnięciny w sosie z kaparów. Wreszcie przeniosłyśmy się do saloniku na, jak to określiła stara dama, ploteczki.

Ważnie na nie liczyłam i nie zawiodłam się.

— Niech mi pani powie — spytała — co słyhać u mojej najdroższej Alvean? Jest teraz szczęśliwsza?

— Cóż... Tak, sądzę, że jest o wiele szczęśliwsza. Zwłaszcza od czasu wypadku. Ojciec troskliwie się nią zajmuje, a ona bardzo go kocha.

— Aaa... — powiedziała starszka. — Ojciec...

Spojrzała na mnie uważnie. W jej błękitnych oczach pojawił się błysk. Wiedziała, że jest nieuleczalną gadułą, a ponieważ całe dni spędzała tylko ze służbą, nowa słuchaczka stanowiła pokusę nie do odparcia.

Ja zaś przybyłam tu, by wieść ją na pokuszenie.

— Wydaje mi się — naciskałam delikatnie — że stosunki między nimi nie są normalne.

Zapadło krótkie milczenie.

— Nie są — przemówiła wreszcie Clara. — Ale trudno się dziwić.

Nic nie odpowiedziałam. Czekałam bez tchu, bojąc się, czy się nie rozmyśli. Była już o krok od zwierzeń. Czułam, że dzięki niej zrozumiem wreszcie, co się dzieje w Mount Mellyn i lepiej poznam historię TreMellynów, która — niechętnie zaczynałam dopuszczać do siebie tę myśl — może stać się również moją historią.

— Czasem myślę, że to moja wina — odezwała się starszka, jakby mówiła do siebie.

I rzeczywiście, patrzyła niewidzącym spojrzeniem, jak gdyby spoglądała w swoją przeszłość; miałam wrażenie, że przestała mnie dostrzegać.

— Pytanie brzmi jednak — ciągnęła — do jakiego stopnia możemy wtrącać się w życie innych?

To samo pytanie nieraz zadawałam sobie. Nie ulegało wątpliwości, że wtrącałam się w życie ludzi, których poznałam w Mount Mellyn.

— Alice zamieszkała u mnie po zaręczynach — opowiadała dalej. — Wtedy jeszcze wszystko można było zmienić. Ale ją przekonałam. Naprawdę sądziłam, że on będzie lepszy.

Mówiła niespójnie, ale bałam się dopytywać o szczegóły, by nie zniszczyć czaru. Mogłaby sobie przypomnieć, że zwierza się obcej osobie, która okazywała zdrożną ciekawość.

— Często myślę, co by się stało, gdyby wtedy postąpiła inaczej. Zdarza się pani bawić w tę grę, panno Leigh? Zdarza się pani zastanawiać:

gdybym w danym momencie ja albo ktoś inny zrobiła tak, zamiast tak...

czy jego życie potoczyłoby się wtedy zupełnie inaczej?

— Tak — odrzekłam. — Każdy tak robi. Sądzi pani, że losy pani siostrzenicy i Alvean ułożyłyby się inaczej?

— O, tak... Zwłaszcza losy Alice. To był punkt zwrotny w jej życiu.

Można powiedzieć, że stanęła na rozdrożu. Pójść tą drogą i mieć takie życie. Albo wybrać inną, a wtedy wszystko by się zmieniło. Czasem myśląc o tym, czuję zimny dreszcz, bo gdyby wtedy skreśliła w prawo, zamiast w lewo... tak jak zrobiła... może dziś by żyła? W końcu, gdyby wyszła za Geoffry'ego, nie musiałyby z nim uciekać.

— Widzę, że darzyła panią zaufaniem.

— To prawda. Niestety, miałam znaczny udział w tym, jak potoczyły się jej losy. Dlatego ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju. Czy dobrze postąpiłam?

— Na pewno wybrała pani to, co wtedy uważała za słuszne. Nic lepszego nie możemy zrobić. Kochała pani siostrzenicę, prawda?

— Ogromnie. Miałam samych chłopców, marzyłam o córce. Alice często przyjeżdżała, bawiła się z moimi synami... Trzech chłopców i żadnej dziewczynki. W pewnym momencie nawet myślałam, że wyjdzie za jednego z nich. Ale za kuzyna...? To chyba nie byłoby najlepsze. Wtedy jeszcze nie mieszkałam tutaj, tylko w Penzance. Rodzice Alice mieli olbrzymi majątek — Teraz oczywiście należy do jej męża. Wniosła w wianie prawdziwą fortunę. Ale tak czy owak, małżeństwo między bliskimi kuzynami nie byłoby chyba najlepszym pomysłem. Zresztą jej rodzice i TreMellynowie już się porozumieli.

— Czyli było to małżeństwo zaaranżowane przez rodziców?

— Tak. Ojciec Alice nie żył, a moja siostra, czyli jej matka, zawsze miała słabość do Connana TreMellyna. Mam na myśli starszego Connana.

W ich rodzinie było wielu Connanów. Tradycyjnie to imię otrzymywał pierworodny syn. Podejrzewam, że moja siostra chętnie by wyszła za ojca obecnego Connana, ale rodzice wybrali jej innego męża, więc postanowiła niejako naprawić to w następnym pokoleniu. Zaręczyny nastąpiły, gdy Connan skończył dwadzieścia lat, a Alice osiemnaście. Ślub miał się odbyć za rok.

— Czyli typowe małżeństwo z rozsądku?

— Jakież to dziwne. Małżeństwa z rozsądku tak często prowadzą do nierozsądnych decyzji. Obie rodziny uznały, że najlepiej będzie, jeśli Alice zamieszka u mnie, parę godzin jazdy od Mount Mellyn, dzięki czemu młodzi mogliby się często spotykać i lepiej poznać. Oczywiście spyta pani, dlaczego matka nie przeniosła się z Alice do Mount Mellyn? Moja siostra była wtedy poważnie chora i nie mogła podróżować. Stało się więc na tym, że Alice zatrzyma się u mnie.

— Rozumiem, że pan TreMellyn często odwiedzał narzeczoną.

— Owszem, ale rzadziej, niż się spodziewałam. Zaczęłam podejrzewać, że związek tych dwojga nie będzie tak udany jak alians ich fortun.

— Niech mi pani opowie więcej o Alice — poprosiłam z ciekawością. — Jaka była?

— Jak ją opisać? Pierwsze określenie, jakie przychodzi na myśl, to trzpiotka. Była beztrocka, trochę lekkomyślna. Ale w kwestiach dotyczących cnoty i moralności z pewnością płocha nie była. Choć po tym, co się wydarzyło... Ale któż ma prawo ferować wyroki? Otóż, on przyjeżdżał tu malować. Namalował kilka przepięknych pejzaży wrzosowisk.

— Kto? Connan TreMellyn?

— Uchowaj Boże! Nie, Geoffry. Geoffry Nansellock. Był dość znanym malarzem. Nie wiedziała pani?

— Nie. Wiem o nim tylko tyle, że zginął razem z Alice w lipcu ubiegłego roku.

— Często tu przyjeżdżał, gdy u mnie mieszkała. Zjawiał się częściej niż Connan. Zaczęłam się domyślać, jak sprawy stoją. Między nimi coś było. Znikali gdzieś razem, on zabierał swoje farby i sztalugi, ona mówiła, że będzie się przyglądać, jak on maluje. Może kiedyś sama zostanie malarką? Ale, oczywiście, to nie malowaniem się zajmowali.

— Byli... zakochani? — spytałam.

— Byłam przerażona, gdy wyznała mi prawdę. Otóż, musi pani wiedzieć, że spodziewała się dziecka.

Aż się zachłysnęłam ze zdumienia. Alvean, pomyślałam. Nic dziwnego, że nie potrafił jej pokochać. Nic dziwnego, że Connanem i Celestine tak wstrząsnęły moje słowa o talencie malarskim Alvean.

— Powiedziała mi o wszystkim na dwa tygodnie przed wyznaczoną datą ślubu. Oświadczyła, że jest prawie pewna. Że raczej się nie myli.

„Co mam robić, ciociu?“, płakała. „Mam wyjść za Geoffa?“. Spytałam wtedy: „A czy Geoffry chce się z tobą ożenić?“. Odparła: „Jeśli mu powiem, będzie musiał, prawda?“. Teraz wiem, że powinna była mu powiedzieć.

To było jedyne wyjście. Ale ona miała już wyznaczoną datę ślubu, a w dodatku była dziedziczką. Zastanawiałam się, czy nie na to właśnie liczył Geoffry. Bo musi pani wiedzieć, że Nansellockowie byli ubodzy i fortuna Alice spadłaby im jak z nieba. Miałam wątpliwości...

każdy by miał. Zwłaszcza że Geoffrey cieszył się określoną reputacją. Nie Alice pierwsza za jego sprawą znalazła się w trudnej sytuacji. Nie sądziłam, by długo mogła być z nim szczęśliwa.

Zapadła cisza. Wreszcie znalazłam brakujące, podstawowe elementy układanki. Wszystko nabierało kształtu i sensu.

— Pamiętam ją... tamtego dnia — opowiadała starsza dama. — Siedziałyśmy w tym samym pokoju, co my teraz. Często wracam pamięcią do tamtych chwil. Alice rozmawiała ze mną szczerze. Zwierzała mi się, jak ja teraz pani. Od roku... od kiedy zmarła, to wszystko nie daje mi spokoju.

Bo zwróciła się wtedy do mnie... Spytała: „Co mam robić, ciociu?”

Poradź mi... Powiedz, co mam zrobić”. A ja jej odpowiedziałam: „Tylko jedno możesz zrobić, kochanie. Wyjść za Connana TreMellyna. Jesteś jego narzeczoną. Zapomnij, co cię łączyło z Geoffrym Nansellockiem”.

„Ale jak, ciociu? — pytała. — Jak mam zapomnieć, skoro zawsze będę miała przy sobie żywą pamiątkę tamtych chwil?”. I wtedy zrobiłam coś strasznego. Powiedziałam jej: „Musisz wyjść za męża. Twoje dziecko będzie wcześniakiem”. Wtedy Alice odrzuciła głowę i zaczęła śmiać się jak szalona. To był histeryczny śmiech. Biedactwo, była na skraju załamania.

Starsza pani wyprostowała się, jakby się ocknęła z transu. Byłam przekonana, że to nie mnie widziała, lecz swoją siostrzenicę.

Teraz trochę się niepokoiła, bo obawiała się, czy nie za dużo mi powiedziała.

Milczałam. Wyobrażałam to sobie: huczny ślub z mnóstwem gości, wkrótce potem śmierć matki Alice, a rok później zgon ojca Connana.

Nawet nie zdążyli się nacieszyć małżeństwem zawartym przede wszystkim z ich woli. Tak oto Alice została z Connanem — moim Connanem i Alvean, córką kochanka, którą próbowała podać za dziecko męża. Co jej się nie udało, tyle zdążyłam już sama zauważyć.

Connan pozornie uznawał Alvean za swoje dziecko, lecz w głębi duszy nigdy jej nie akceptował. Dziewczynka o tym wiedziała. Ogromnie go kochała, lecz wyczuwała, że coś jest nie w porządku, brakowało jej miłości. Marzyła, by widział w niej swoją córkę. Może nawet nigdy do końca się nie dowiedział, czy jest jego dzieckiem czy nie.

Sytuacja jak z greckiej tragedii. Ale, pomyślałam, po co nadal to roztrząsać?

Alice nie żyje; za to Alvean i Connan tak. Powinien zapomnieć o przeszłości. Gdyby był mądry, skupiłby się na przyszłości i w niej szukał szczęścia.

— O Boże! — westchnęła cioteczna babka Clara — ależ ze mnie papla!

Miałam wrażenie, że przeżywam wszystko od początku. Pewnie panią zanudziłam. — W jej głosie zabrzmiał niepokój. — Za dużo powiedziałam, w dodatku o sprawach, które pani nie dotyczą, panno Leigh. Mam nadzieję, że mogę liczyć na pani dyskrecję.

— Może być pani spokojna, że zachowam to wszystko dla siebie.

— Wiedziałam. Inaczej bym pani tego nie opowiedziała. Zresztą, to już stare dzieje. Trochę mi ulżyło, gdy otworzyłam przed panią serce.

Czasem myślę o tym nocą. Może jednak Alice powinna była wyjść za Nansellocka? Może tak sądziła i dlatego z nim uciekła. Kiedy myślę o nich dwojgu w tym pociągu... Zupełnie, jakby ich tam dopadła boska sprawiedliwość, prawda?

— Nie — odparłam ostro. — W tamtym wypadku zginęło mnóstwo innych ludzi. I nie tylko żon, które właśnie uciekały z kochankami.

Clara zaśmiała się piskliwie.

— Święte słowa. Wiedziałam, że rozsądna z pani osóbką. Naprawdę nie uważa pani, że źle zrobiłam? Dręczy mnie świadomość, że gdybym poradziła Alice, by nie wychodziła za Connana, zerwałaby zaręczyny.

To dla mnie największy ciężar. Pchnęłam ją w tym kierunku, przypieczętowanej los.

— Nie może się pani obwiniać. Chciała pani tylko jej dobra. A w ostatecznym rozrachunku każdy sam jest kowalem swego szczęścia. Głęboko w to wierzę.

— Bardzo mnie pani pocieszyła, panno Leigh. Zostanie pani ze mną na podwieczorek?

— Dziękuję za zaproszenie, ale muszę wrócić przed wieczorem do Mount Mellyn.

— Oczywiście, musi pani wrócić przed zmrokiem.

— A o tej porze roku szybko robi się ciemno.

— W takim razie nie mogę myśleć tylko o sobie i zatrzymywać tu paw.

Panno Leigh, kiedy Alvean wydobrzeje, przywiezie ją pani do mnie?

— Obiecuję.

— A gdyby wcześniej miała pani ochotę mnie odwiedzić...

— Może pani być pewna, że przyjadę. Niezwykle przyjemnie i interesująco się z panią gawędziło.

W jej oczach znowu pojawił się niepokój.

— Ale będzie pani pamiętać, że powiedziałam to pani w największej tajemnicy?

Zapewniłam, że tak. Domyślałam się, że największą przyjemnością tej przesympatycznej staruszki było poruszanie tematów, o których powinno się raczej milczeć. Cóż, każdy ma swoje przywary.

Odprowadziła mnie do drzwi i pomachała ręką na pożegnanie.

— Było mi bardzo miło — zapewniła. — I niech pani pamięta...

Przyłożyła palec do ust. Zrobiłam to samo, pomachałam jej na pożegnanie i ruszyłam w drogę powrotną.

Jechałam pogrążona w głębokiej zadumie. Tego dnia wiele się dowiedziałam. Dopiero na wysokości Mellyn coś sobie uświadomiłam.

Gilly i Alvean są siostrami przyrodnimi. Przypomniałam sobie szkice przedstawiające ni to Alvean, ni to Gilly.

Czyli Ataeon wiedziała. A może tylko się tego obawiała? Czyżby próbowała samą siebie przekonać, że jej ojcem nie był Geoffry Nansellock, a zatem Gilly nie jest jej przyrodną siostrą. A może ta walka o aprobatę Connana świadczyła o gorącym pragnieniu, by uznał ją za córkę? Czy mogę im pomóc wydostać się z tego strasznego bagna, w które wepchnęła ich Alice swoim brakiem rozważliwych?

Mogę, powiedziałam sobie w duchu. Potrafiłabym im pomóc. I zrobię to.

Wtedy jednak pomyślałam o Connanie i lady Treslyn. Cała moja pewność siebie zniknęła. Cóż ja tu sobie roję? Jakie szanse mam ja, guwernantka, by wskazać Connanowi TreMellynowi drogę do szczęścia?

Święta Bożego Narodzenia były już za pasem. Nastął czas radosnego podniecenia, które tak dobrze pamiętałam z plebanii taty.

Kitty i Daisy nieustannie coś do siebie szeptały. Pani Polgrey skarżyła się, że doprowadzają ją do szału, lenią się i wszystko robią byle jak, czego osobiście jakoś nie dostrzegałam. Ale gospodyni krążyła po Mount Mellyn, wzdychając: „ta dzisiejsza służba...”, i ponuro kręciła głową.

Mimo to nawet jej udzielił się radosny nastrój.

Pogoda dopisywała, było ciepło, zupełnie jakby zbliżała się wiosna.

a nie zima. W czasie przechadzek po lesie zauważyłam, że kwitną już pierwiosnki.

— To żaden dziw — zbył mnie Tapperty. — Pierwiosnki w grudniu to dla nas żadna nowość. Wiosna rychło zawita do Kornwalii.

Zaczęłam się już zastanawiać nad prezentami świątecznymi, przygotowałam nawet listę. Musiałam kupić coś dla Phillidy i jej rodziny oraz dla ciotki Adelajdy, najwięcej myśli poświęcałam jednak mieszkańcom Mount Mellyn. Miałam trochę pieniędzy, bo niewiele tu wydawałam.

Odłożyłam prawie wszystko, co dotąd zarobiłam.

Pewnego dnia wybrałam się do Plymouth i robiłam tam świąteczne zakupy. Pojechałam na Korsarzu i zostawiłam go w sprawdzonej stajni, gdzie zajęto się nim do czasu mojego powrotu.

Dla Phillidy i jej bliskich kupiłam książki, od razu też wyekspediowałam paczkę. Dla ciotki Adelajdy znalazłam ciepły szal, który również od razu wysłałam. Długo zastanawiałam się nad upominkami dla domowników Mount Mellyn. Wreszcie wybrałam chusteczki dla Kitty i Daisy — zieloną i czerwoną, w twarzowych odcieniach — a błękitną dla Gilly, idealnie w kolorze jej oczu. Pani Polgrey dostanie ode mnie butelkę whisky, która z pewnością ogromnie ją ucieszy, Alvean zaś różnokolorowe chusteczki do nosa z wyhaftowanym „A”.

Byłam zadowolona z zakupów. Zaczęłam wyglądać świąt równie niecierpliwie jak Daisy i Kitty.

Pogoda nadal dopisywała. W Wigilię pomogłam pani Polgrey i dziewczętom przystroić hol i część pokoi.

Mężczyźni dzień wcześniej pojechali do lasu i przywieźli mnóstwo bluszczu, ostrokrzewu, bukszpanu i wawrzynu. Kobiety pokazały mi, jak zapleść girlandy wokół filarów w holu, a potem Daisy i Kitty nauczyły mnie robienia kornwahjskich wieńców świątecznych. Były jednocześnie ubawione i zgorzone, że nie miałam o tym pojęcia! Wzięłyśmy dwa drewniane koła, włożyłyśmy jedno w drugie, oplotyśmy gałązkami ostrokrzewu i janowca, a potem ozdobiłyśmy całość pomarańczami i jabłkami. Przyznam, że końcowy efekt był całkiem zadowalający. Zawiesiłyśmy nasze wieńce w oknach.

Największe polana mężczyźni zataszczyli do kominków. Potem przystroiliśmy pomieszczenia dla służby podobnie jak główny hol. Cały dom rozbrzmiewał śmiechem.

— Kiedy państwo mają bal, my też mamy swoją zabawę — chwaliła się Daisy.

Byłam ciekawa, z którą grupą ja będę świętować. Zapewne z żadną.

Guwernantka znajdowała się gdzieś pomiędzy obiema sferami.

— Rety, rety! — piszczała Daisy. — Nie mogę się doczekać! W ubiegłym roku święta były ciche... Musiały, wiadomo, żałoba. Ale my i tak nieźle sobie dogodziliśmy. Piliśmy nalewki i miód. A nalewka z tarniny pani Polgrey to niebo w gębie! Nie zabrakło też jagnięciny i wołowiny ani świątecznego pasztetu. Bez tego święta się nie liczą, niech panienka spyta, кого chce.

Przez całą Wigilię z kuchni płynęły aromatyczne zapachy. Tapperty, Billy Trehay i stajenni stawali w drzwiach, wciągając błogą woń świątecznego jedzenia. Pani Tapperty objęła we władanie kuchnię, a pani Polgrey — zwykle tak dostojna i opanowana — z ogniem w oczach, zarumieniona z gorąca mieszała, ubijała i z błogością rozprawiała o frykasach szykowanych na świąteczny stół. Nawet ja zostałam wezwana do pomocy.

— Niech panna pilnuje tego sosu, a jakby zawrzał, zarutko panna mnie woła.

Rozgorączkowana coraz częściej przechodziła na kornwalijski dialekt, rzucając mi polecenia, których nie rozumiałam.

Uśmiechnęłam się błogo, gdy z pieca wyjechała partia złocistych, przyrumienionych bułeczek, mocno pachnących mięsem i cebulą. Nagle do kuchni wpadła z wrzaskiem Kitty.

— Rety, kuleńdniki przyszli!

— To na co czekasz? Już ich tu prowadź! — odrzyknęła pani Polgrey, zapominając o swoim dostojństwie i ocierając pot z czoła. — Ale na jednej nodze! Nie wiesz, że trzymanie kuleńdników na dworze przynosi pecha?

Pobiegłam do holu, gdzie zebrała się grupka chłopców i dziewcząt z wioski. Kiedy weszliśmy, już zaczęli śpiewać, i dopiero wtedy zrozumiałam, że owe „kuleńdniki” to po prostu kolędnicy.

Śpiewali „The Seven Joys of Mary”, „The Holly and the Ivy”, „The Twelve Days of Christmas” i „The Firs Noel”, a my nuciliśmy wraz z nimi.

Następnie pierwszy kolędnik wystąpił przed szereg i zaśpiewał:

A przynieście piwa dzban, co na święta schował pan.

Wszystkim życzym na to święto, co by wam się dobrze wiedło.

Pani Polgrey dała znak Daisy i Kitty, które po tej subtelnej aluzji natychmiast popędziły po poczęstunek.

Kolędnicy zostali poczęstowani miodem, winem z jeżyny i czarnego bzu, do rąk wciśnięto im placuszki z mięsem i rybą. Jedli wszystko, aż im się uszy trzęsły. A gdy już się pożywili, podsunęli pani Polgrey koszyk ozdobiony janowcem i czerwoną wstążką, do którego gospodyni z godnością włożyła parę monet.

— Skołatani załatwieni, co teraz? — zwróciła się Daisy do gospodyni.

Omal się nie popłakała ze śmiechu, gdy obnażyłam rozmiary swej ignorancji, pytając o owych „skołatanych”.

— Nie wie panienka? To jak u panienki się świętuje? Skołatani, bo chodzą od kołatki do kołatki, dopraszając się o świąteczny poczęstunek.

Jużci, toż to najmniejsze dziecko wie!

Zrozumiałam, że tutejszy dialekt jest pełen pułapek dla przybyszów spoza Kornwalii. Bo że kornwalijskie Boże Narodzenie różni się od mojego, w tym już zdążyłam się zorientować. Mimo wszystko jednak czułam, że coraz bardziej mi się ono podoba.

— Panienko, na śmierć zapomniałam! — zawołała Daisy. — Zaniósłam do panienki paczkę. Przywieźli ją, zanim przyszli kuleńdniki i zapo— mniałam panience powiedzieć. — Spojrzała na mnie zaskoczona, bo nie pobiegłam od razu na górę. — Paczka, panienko! Nie chce panienka zobaczyć, co dostała? Była taaaka wielka! Pudło, co się zowie!

Aleja zrozumiałam, że przeniosłam się do świata z baśni, w którym chciałam zostać na zawsze, poznać wszystkie jego zwyczaje, uczynić go częścią mego życia.

Przywołałam się do porządku. Powiedz otwarcie, czego naprawdę chcesz, skarciłam się w duchu: bajkowego zakończenia twojej wielkiej miłości. Chcesz zostać panią Mount Mellyn. Czemu od razu się nie przyznasz?

Poszłam do pokoju, gdzie czekała na mnie paczka od Phillidy. Wyjęłam z niej czarny, jedwabny szal, z wyhaftowanym zielono-bursztynowym wzorem. Do tego był bursztynowy grzebyk do włosów w hiszpańskim stylu. Wpięłam grzebyk we włosy, zarzuciłam na ramiona szal i przejrzałam się w lustrze. Sama siebie nie poznałam. Przede mną stała ognista, hiszpańska tancerka, a nie surowa, angielska guwernantka.

W paczce znajdowało się coś jeszcze. Szybko rozwinęłam opakowanie i zobaczyłam suknię — cudowną suknię z zielonego jedwabiu, dokładnie w kolorze haftu na moim szalu, której kiedyś Phillidzie tak zazdrościłam.

Na podłogę sfrunął list.

Najdroższa Marty, jak się czujesz w roli guwernantki ? Z Twojego ostatniego listu wywnioskowałam, że to zajęcie niezwykle Cię zafrapowało. Podejrzewam, że Twoja Aloean to mały potwór. Rozpieszczona pannica, słowo daję.

Dobrze Cię tam traktują ? Z tego, co pisałaś, chyba nie najgorzej. Przyznaj, co właściwie się z Tobą dzieje? Kiedyś pisałaś takie zabawne listy.

Od kiedy jednak zamieszkałaś w Mount Mellyn, stałaś się okropnie tajemnicza.

Są dwa wytłumaczenia: albo się zakochałaś, albo nienawidzisz tego miejsca. Powiedz, trafiłam? Szal i grzebyk to prezenty gwiazdkowe ode mnie. Mam nadzieję, że Ci się spodobają, bo długo ich szukałam. Nie są zbyt frywolne? Może wolałabyś wełnianą bieliznę i trochę poważnych lektur? Na szczęście wiem już, że te ostatnie dostaniesz od cioci Adelajdy. Czy wiesz, że nawet Twoje listy nabrały już mentorskiego Łonu? Roztropna, poważna Marty, która za nic się nie przyzna, co naprawdę czuje. Ciekawa jestem, czy zasiądziesz do świątecznego posiłku z rodziną czy będziesz prezydować przy stole dla służby. Nie wątpię, że to pierwsze. Będą musieli Cię zaprosić.

Bądź co bądź to Boże Narodzenie. Będziesz świętować z jaśnie państwem, nawet jeśli okaże się, że to jedno z tych przyjęć, na którym nie do pisal jakiś gość i państwo decydują: „wezwiście guwernantkę, nie możemy sięść do stołu w trzynaścioro”. Tak więc nasza droga Marty zasiądzie do stołu w mojej starej zielonej sukni, nowym szalu oraz grzebyku i tak oczaruje jakiegoś bogatego sąsiada, że ten natychmiast się oświadczy, a potem będą żyli długo i szczęśliwie.

A poważnie, Marty, pomyślałam, że przyda Ci się coś świątecznego.

Stąd ta zielona suknia. Daję Ci ją. Nie traktuj tego jak jałmużnę czy ochłap z pańskiego stołu. Naprawdę przepadam za tą suknią i ofiarowuję Ci ją nie dlatego, że mi się znudziła, ale dlatego, że Ty zawsze lepiej w niej wyglądałaś niż ja.

Czekam na szczegółową relację z obchodów Bożego Narodzenia.

I, najdroższa siostrzyczko, kiedy zasiądziesz do świątecznego stołu jako czternasty gość, nie mroź wielbicieli swym surowym wzrokiem i nie pogńbiaj ich ciętymi uwagami. Bądź miłą, spokojną panną i dobrą dziewczyną, a wierz mi, szczęście i miłość zapukają do Twoich drzwi.

Wesołych Świąt, kochana Marty, i napisz szybko, co naprawdę u Ciebie słychać. Dzieci i William przesyłają uściski. A ja dorzucam swoje.

Phillida Wzruszyłam się i na chwilę przeniosłam do domu. Kochana Phillida jednak o mnie myśli. Szal i grzebyk były naprawdę śliczne, nawet jeśli nieco za strojne dla guwernantki. I to miło z jej strony, że przysłała rai suknię.

Z zadumy wyrwał mnie okrzyk. Obróciłam się gwałtownie.

W drzwiach pokoju szkolnego stała Alvean.

— Panno Leigh! Więc to pani!

— Oczywiście, a któż by inny?

Nie wyjaśniła, ale i tak rozumiałam jej zaskoczenie.

— Nigdy jeszcze nie widziałam pani takiej...

— Bo nigdy nie widziałas mnie w szalu i z upiętymi włosami.

— Wygląda pani... ładnie.

— Dziękuję, Alvean.

Była wyraźnie poruszona. Domyślałam się, za kogo mnie wzięła, gdy weszła do pokoju. Byłam tego samego wzrostu co Alice, a choć miałam pełniejszą figurę, sza! to ukrywał.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia zapamiętam na całe życie.

Rano obudził mnie rozgardiasz. Pod moim oknem służba śmiała się i gawędziła beztrąsko.

Otworzyłam oczy i pomyślałam: Boże Narodzenie. Moje pierwsze Boże Narodzenie w Mount Mellyn. Niewykluczone, że zarazem i ostatnie.

Musiałam wylać na siebie ten kubek zimnej wody, bo rozsadzała mnie zbyt wielka radość. Aż sama się jej bałam.

Te święta od następnych dzieli cały długi rok. Kto wie, co w tym czasie może się wydarzyć?

Wstałam, kiedy Daisy przyniosła wodę. Wpadła do pokoju zaaferowana i podniecona.

— Spóźniłam się, ale tyle jest jeszcze do zrobienia. Niech się panienka pospieszy, bo nie zdąży na wassail. Zapukają wcześnie, to pewne.

Wiedzą, że rodzina jedzie do kościoła, więc będą się starali złapać nas przed wyjściem.

Nie było czasu na zadawanie pytań, więc szybko się umyłam, ubrałam i wyjęłam prezenty dla domowników. Chusteczki już wczoraj położyłam Alvean przy łóżku.

Podeszłam do okna. Powietrze było ciepłe, pachniało egzotycznymi przyprawami. Głęboko wciągałam je w płuca, słuchając spokojnego szumu fal. Rano morze nie szeptało, tylko mruczało jak gdyby z zadowolenia.

Wszak dziś Boże Narodzenie, a tego dnia znikają wszelkie smutki, urazy i kłopoty.

Do pokoju wsunęła się Alvean, nieśmiało trzymając swoje chusteczki.

— Dziękuję, panno Leigh. Radosnych świąt Bożego Narodzenia!

Objęłam ją i pocałowałam, a choć wyglądała na nieco zawstydzoną taką czułością, odwzajemniła pocałunek.

Przyniosła mi broszkę w kształcie szpicruty, tak podobną do tej, którą jej ofiarowałam, że przez moment sądziłam, że oddaje mój prezent.

— Zamówiłam u pana Pasterna — powiedziała. — Chciałam, żeby była podobna do mojej, ale nie identyczna, by się nie myliły. Na pani są wygrawerowane wzorki. Teraz każda z nas będzie miała swoją, gdy będziemy jeździć konno.

Sprawiła mi ogromną przyjemność. Od wypadku nie siedziała na koniu, a teraz już bez cienia wątpliwości wiedziałam, że pragnie wrócić do naszych lekcji.

— To najwspanialszy upominek, jaki mogłam dostać, Alvean.

Była zachwycona, choć próbowała to ukryć.

— Miło mi, że się pani podoba — mruknęła, udając obojętność i uciekła do siebie.

Przedemną cudowny dzień, pomyślałam. W końcu jest Boże Narodzenie.

Moje prezenty okazały się wyjątkowo trafione. Na widok whisky pani Polgrey zabłyśły oczy; Gilly zachwycała się chusteczką. Przypuszczam, że biedactwo nigdy nie dostało nic równie ładnego, nieustannie gładziła tkaninę i wpatrywała się w nią oczarowana. Daisy i Kitty też były zadowolone ze swoich prezentów; cieszyłam się, że tak dobrze wybrałam.

Gospodyni podarowała mi komplet serwetek pod kieliszki, szepcząc znacząco:

— Trzeba kompletować wyprawę, złociuteńka.

Zapewniłam, że niezwłocznie się tym zajmę, i obie nas to ogromnie ubawiło. Zaofiarowała się, że chętnie zaparzy herbatę, abyśmy mogły skosztować jej whisky, ale nie było teraz czasu.

— Rety, rety, kiedy pomyślę, ile jeszcze jest do zrobienia...!

Wkrótce też zjawili się innego rodzaju kolednicy. Ci chodzili ze świątecznym toastem wassail. Za drzwiami wejściowymi rozległ się ich śpiew:

Jaśnie państwu się poktonim, z życzeniami do was gonim.

Niech nasz wassail, wassail, wassail radość na ten rok przyniesie.

Weszli do środka. Oni też trzymali koszyk, do którego zbierali datki.

W holu zebrała się już cała służba, a gdy pojawił się Connan, kołędnicy zaśpiewali ze zdwojonym zapalem, powtarzając pierwszy wers:

„Jaśnie państwu się pokłonim...”.

Dwa lata temu, pomyślałam, u boku Connana stała Alice. Czy teraz o tym pamiętał? Nawet jeśli tak, to w żaden sposób tego nie okazywał. Śpiewał wraz z innymi, po czym kazał przynieść trunki, szafranowy placek i piernik — poczęstunek przygotowany specjalnie dla chodzących z wassail.

Connan przysunął się do mnie.

— I jak, panno Leigh? — spytał. Jego głos nikał w chóralnym śpiewie.

— Co pani sądzi o kornwalijskim Bożym Narodzeniu?

— Niezwykle interesujące.

— A to dopiero początek.

— Na to liczę, wszak jest dopiero ranek.

— Po południu radzę pani dobrze wypocząć.

— Dlaczego?

— Przed wieczornym świętowaniem.

— Ale...

— Oczywiście, że usiądzie pani razem z nami. Gdzie indziej mogłaby pani spędzić świąteczny wieczór? Z Polgreyami? Z Tappertymi?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Sądziłam, że powinnam znaleźć sobie miejsce gdzieś między państwem a służbą.

— Nie wygląda pani na ucieszoną.

— Bo nie jestem pewna...

— Niechże się pani zlituje, są święta. Po co dzielić włos na czworo, zastanawiać się, czy pani powinna czy nie? Niech pani po prostu przyjdzie.

Właśnie, nie życzyłem jeszcze pani wesołych świąt. Mam coś dla pani... drobny prezent. Dowód mojej wdzięczności, jeśli pani woli. Po wypadku tak troskliwie opiekowała się pani Alvean... Och, oczywiście przed wypadkiem też, w to nie wątpię. Ale ja dostrzegłem to wyraźnie dopiero od czasu...

— Spełniałam tylko swój obowiązek.

— I wiem, że zawsze skrupulatnie będzie się pani wywiązywać ze swoich obowiązków. Umówmy się, że ten drobiazg to po prostu mój sposób, by życzyć pani wesołych świąt.

Wcisnął mi w rękę jakiś mały przedmiot. Nie potrafiłam ukryć radości.

Byłam pewna, że Connan doskonale widział ją w moich oczach. Radość i coś więcej.

— Jest pan dla mnie bardzo dobry. Nie spodziewałam się...

Uśmiechnął się i podszedł do śpiewaków. Zauważyłam, że Tapperty nam się przyglądał. Byłam ciekawa, czy zauważył upominek od pana TreMellyna.

Musiałam zostać sama. Kłębiło się we mnie tyle emocji, że nie potrafiłam nad nimi zapanować. A pudełeczko, które Connan włożył mi do ręki, domagało się, by je otworzyć. Nie mogłam tego zrobić przy wszystkich, wymknęłam się więc i pobiegłam na górę.

Otworzyłam dłoń; spoczywało w niej niebieskie, pluszowe pudełeczko, w jakim zwykle ofiarowuje się biżuterię. Podniosłam wieczko.

W środku na połyskującej satynie leżała broszka w kształcie podkowy ozdobiona migoczącymi kamieniami. Przyjrzałam im się uważniej. To musiały być brylanty.

Nie mogę przyjąć tak cennego upominku. Natychmiast muszę go zwrócić.

Podniosłam broszkę do światła, a kamienie roziskrzyły się czerwienią i zielenią. To cacko musiało kosztować majątek. Nigdy nie miałam brylantów, ale nawet taki laik jak ja wiedział, że muszą być niezwykle cenne.

Dlaczego to zrobił? Gdyby podarował mi prawdziwy drobiazg, byłabym taka szczęśliwa. Chciałam rzucić się na łóżko i płakać.

— Panno Leigh, jedziemy do kościoła! — usłyszałam wołanie Alvean.

— Niech się pani pospieszy, powóz już czeka!

Szybko schowałam broszkę do pudełka. Kiedy dziewczynka weszła do pokoju, właśnie wkładałam pelerynę i wiązałam czepek.

Zobaczyłam go po powrocie z kościoła, gdy szedł do stajni.

— Panie TreMellyn! — zawołałam.

Przystanął, obejrzał się przez ramię i uśmiechnął na mój widok.

— Parne TreMellyn, to był piękny gest z pańskiej strony — zaczęłam, podbiegłszy do niego — ale ten prezent jest bardzo drogi i nie mogę go przyjąć.

Przechylił głowę i przyglądał mi się z dziwnie drwiącym wyrazem twarzy.

— Moja bardzo droga panno Leigh — odparł lekko. — Obnażyła pani moją ignorancję. Nie mam pojęcia, jaką cenę musi mieć prezent, by można było go przyjąć.

Splonęłam rumieńcem.

— To bardzo kosztowny drobiazg — wyjąkałam.

— Sądziłem, że idealnie do pani pasuje. Podkowa przynosi szczęście.

A pani jest również zawołaną amazonką, czyż nie tak?

— Nie miałabym okazji, by nosić tak cenną biżuterię.

— Pomyślałem, że mogłaby się pani pokazać w niej na dzisiejszym balu.

Przez moment wyobraziłam sobie, że z nim tańczę. Miałabym na sobie zieloną suknię, która nie odcinałaby się od strojów pozostałych gości, bo moja siostra znała się na ubraniach. Na ramiona zarzuciłabym mój nowy szal, a wysadzana brylantami broszka dumnie skrzyłaby się na zielonym jedwabiu, by wszyscy widzieli, jak bardzo ją cenię. A najbardziej ceniłabym ją dlatego, że dostałam ją od niego, od Connana.

— Wydaje mi się, że nie powinnam...

— Aha — mruknął. — Zaczynam rozumieć. Obawia się pani, że gdy dawałem pani broszkę, kierowały mną te same pobudki, co Peterem, gdy ofiarował pani Hiacyntę.

— To znaczy — wyjąkałam — że pan o tym wiedział?

— Oczywiście, wiem niemal o wszystkim, co się dzieje pod moim dachem, panno Leigh. Nie przyjęła pani klaczy. Postąpiła pani nad wyraz rozsądnie i stosownie. Ale prezent ode mnie to coś zupełnie innego. Daję pani tę broszkę, gdyż pani na nią zasłużyła. Wspaniale zajęła się pani Alvean. Nie tylko jako guwernantka, ale także jako kobieta. Rozumie pani, co mam na myśli? Opieka nad dzieckiem to coś więcej niż wbijanie mu do głowy rachunków i gramatyki. Pani ofiarowała Alvean znacznie więcej.

Broszka należała do jej matki. Niech pani spojrzy na tę sprawę tak; to wyraz wdzięczności nas obojga. Czy to rozwiewa pani wątpliwości?

Milczałam przez dłuższą chwilę.

— Tak... — odrzekłam wreszcie. — To zmienia postać rzeczy. Przyjmę broszkę. Bardzo dziękuję, panie TreMellyn.

Uśmiechnął się do mnie. Nie do końca wiedziałam, jak zareagować na ten uśmiech, bo krył w sobie zbyt wiele znaczeń. Bałam się myśleć i szukać ich wyjaśnienia.

— Dziękuję — bąknęłam jeszcze raz i uciekłam do domu.

Poszłam do pokoju i wyjęłam błyskotkę. Przypięłam ją do stanika i nagle moja lawendowa suknia nabrała zupełnie innego charakteru.

Dziś wieczorem wystąpię w brylantach. Włożę suknię od Phillidy, na ramiona zarzucę nowy szal, we włosy wepnę grzebień, a na mojej piersi lśnić będzie broszka Alice.

Tak oto w owo dziwne Boże Narodzenie dostałam prezent od Alice.

W południe zjadłam lekki obiad z Connanem i Alvean w małej jadalni.

Podano indyka i świąteczny pudding śliwkowy, a obsługiwały nas Kitty i Daisy. Czuałam, jak za moimi plecami wymieniają znaczące spojrzenia.

— W Boże Narodzenie nie może pani przecież siedzieć sama. Wstyd mi, panno Leigh. Mam wrażenie, że wyjątkowo źle panią potraktowaliśmy.

Powinienem być zaproponować, by na święta wyjechała pani do rodziny. Dlaczego pani mi o tym nie przypomniała?

— Sądziłam, że za krótko tu pracuję, by mieć wakacje — odparłam. — Zresztą...

— ...w związku z rekonwalescencją Alvean czuła pani, że powinna zostać — dokończył. — Doceniam pani postawę.

Rozmowa przy stole była wyjątkowo ożywiona. Porównywaliśmy zwyczaje świąteczne, Connan opowiadał anegdotki z poprzednich lat, na przykład jak pewnego razu kolędnicy spóźnili się z wassail i rodzina pojechała już do kościoła. Czekali pod drzwiami, a wszyscy już z daleka słyszeli ich przyśpiewki.

Wyobraziłam sobie Alice w małej jadalni. Niemal widziałam, jak siedzi na tym samym miejscu, które teraz ja zajmowałam. Zastanawiałam się, jak wtedy wyglądały rozmowy przy stole. Byłam ciekawa, czy patrząc teraz na mnie, Connan myśli o zmarłej żonie.

Powtarzałam sobie, że zostałam tu zaproszona tylko dlatego, że są święta. Kiedy Boże Narodzenie się skończy, wrócę na swoje dawne miejsce w pokoju szkolnym.

Ale nie będę teraz tym się martwić. Dziś idę na bal. Co więcej, stał się cud: mam stosowną suknię, bursztynowy grzebyk i broszkę z brylantami.

Dziś stanę wśród gości jak jedna z nich, pomyślałam. Nie powtórzy się sytuacja z poprzedniego balu, gdy tańczyłam w ogrodzie zimowym.

Posłuchałam rady Connana i położyłam się po południu, by nabrać siły przed całonocną zabawą. Ku memu zdumieniu udało mi się zasnąć.

I, jak często w tym domu, śniła mi się Alice. Sądziłam, że przyszła na bal, lecz przezroczysta zjawa, którą tylko ja widziałam, stanęła przy mnie, kiedy tańczyłam z Connanem. „Właśnie tego pragnę — szepnęła.

— Chcę to widzieć, Marty. Cieszy mnie, gdy przy obiedzie siedzisz za stołem na moim miejscu. Cieszy mnie, gdy wsuwasz dłoń w rękę Connana.

Ty... Marty... ty... nie inna”.

Niechętnie się obudziłam. To był przyjemny sen. Próbowałam przywołać go jeszcze raz, wrócić do tego stanu zawieszenia między jawą a snem, gdy odwiedzają nas zmarli i mówią to, o czym marzymy, co najbardziej pragniemy usłyszeć.

O piątej Daisy przyniosła mi herbatę. Na polecenie pani Polgrey, wyjaśniła.

— Przyniosłam też panience kawałek keksu do herbaty — dodała. — Jeśli chciałaby pani dokładkę, wystarczy zawołać.

— To w zupełności mi wystarczy — zapewniłam.

— Pewnie zaczniesz już panienka szykować się na bal?

— Mam jeszcze mnóstwo czasu.

— Przyniosę gorącą wodę o szóstej, na pewno zdąży panienka się umyć i ubrać. Jaśnie pan zacznie witać gości o ósmej. Zawsze tak było.

I niech panienka pamięta, o dziewiątej podajemy tylko lekkie przekąski, więc długo potrwa, nim panienka zje coś solidnego. Na pewno wystarczy panience ten kawałek keksu?

Wiedziałam, że i tak z trudem przełknę to, co mi przyniosła.

— W zupełności wystarczy, Daisy.

— Jak sobie panienka życzy.

Zatrzymała się jeszcze w drzwiach, przyglądając mi się z przekrzywioną głową. Z namysłem? A może nagle zobaczyła mnie w zupełnie innym świetle?

Wyobraziłam sobie zebraną w drugiej części domu służbę i tokującego Tapperty'ego.

Czy właśnie zastanawiają się, do czego dojdzie — a może już doszło między jaśnie panem a guwernantką?

Na balu wystąpiłam w zielonej sukni Phillidy z dopasowaną, głęboko wyciętą górą i suto marszczoną spódnicą. Uczesałam się inaczej niż zwykle, upinając włosy na czubku głowy, by oddać sprawiedliwość bursztynowemu grzebykowi. Przy staniku połyskiwała brylantowa podkowa.

Byłam szczęśliwa. Mogłam bez wstydu wmieszać się w tłum gości.

Nikt nie poznałby we mnie guwernantki.

Odczekałam, aż sala się zapełni, i dopiero wtedy zesłam na dół. Już po paru minutach u mego boku wyrósł Peter.

— Wygląda pani zjawiskowo — powiedział.

— Dziękuję. Cieszę się, że udało mi się pana zaskoczyć.

— Wcale nie jestem zaskoczony. Zawsze wiedziałem, że wystarczy dać pani szansę, by zajaśniała pani jak klejnot.

— Zawsze pan umiał prawić komplementy.

— Pani mówię zawsze to, co myślę. Ale jednego pani nie powiedziałem: wesołych świąt.

— Dziękuję. Ja również życzę panu wesołych świąt.

— Zatem postarajmy się oboje, by te święta były dla nas radosne. Nie przyniosłem pani żadnego upominku.

— A czemu miałby pan coś mi przynosić?

— Bo jest Boże Narodzenie, czas, gdy przyjaciele obdarowują się prezentami.

— Ale nie...

— Błagam... błagam... Niech dziś nie słyszę z pani ust słowa „guwernantka”.

Ale wie pani, że pewnego dnia podaruję pani Hiacyntę. Jest dla pani przeznaczona. Widzę, że Connan zamierza otworzyć bal. Zechce pani ze mną zatańczyć?

— Dziękuję, chętnie.

— Tradycyjnie zaczynamy od kornwaluskiego tańca ludowego.

— Nie znam go.

— To żadna filozofia, musi pani tylko robić to co ja. — Zaczął nucić melodię. — Nigdy pani nie widziała, jak się go tańczy?

— Raz, przez otwór w ścianie na poprzednim balu.

— Aaa, poprzedni bal...! Tańczyliśmy razem. Ale Connan mi panią odbił.

— To było odrobinę nieszablonowe i nierozważne.

— Ogromnie, zwłaszcza jak na naszą guwernantkę. Jestem zdumiony, że na to pozwoliła.

Orkiestra zaczęła grać. Na środek sali wyszedł Connan, prowadząc Celestine za rękę. Dopiero wtedy ze zgrozą uświadomiłam sobie, że ja i Peter mamy do nich dołączyć i we czwórkę odtańczyć pierwsze takty.

Próbowałam się wycofać, lecz Peter mocno trzymał mnie za rękę.

Celestine była zaskoczona, widząc mnie. Za to Connan, nawet jeśli się zdziwił, w żaden sposób nie okazał zdumienia. Zgadywałam, co teraz myśli Celestine: oczywiście, są święta, można więc wpuścić guwernantkę na bal, ale czy ona natychmiast musi skorzystać z okazji i pchać się na środek?

Wiedziałam jednak, że Celestine jest z natury zbyt dobra i serdeczna, by po pierwszym szoku okazywać zdumienie. Uśmiechnęła się do mnie ciepło.

— Nie powinnam tu się znaleźć — broniłam się. — Nie znam tego tańca.

Nie zdawałam sobie sprawy...

— Niech pani nas naśladuje — powiedział Connan.

— Pomożemy pani — uspokajał mnie Peter.

Po paru minutach pozostali goście przyłączyli się do nas, tworząc długi korowód. My zaś wykonywaliśmy kolejne figury „Furry Dance”.

— Doskonale sobie pani radzi — pochwalił z uśmiechem Connan, gdy nasze dłonie się spotkały.

— Jeszcze zrobimy z pani Kornwalijkę — dorzuciła Celestine.

— A dlaczegoż by nie? — spytał Peter. — Czyż nie jesteśmy solą ziemi?

— Obawiam się, że panna Leigh się z tobą nie zgodzi — odparł Connan.

— Coraz bardziej zaczynają rai się podobać tutejsze zwyczaje — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że mieszkańcy też — szepnął Peter.

Tańczyliśmy dalej. Rzeczywiście, taniec okazał się całkiem łatwy.

Gdy skończyliśmy, znałam już wszystkie figury.

— Kim jest ta piękność, z którą tańczył Peter Nansellock — usłyszałam czyjeś pytanie, gdy przebrzmiały ostatnie takty melodii.

Spodziewałam się odpowiedzi: „Och, to tylko guwernantka”, lecz usłyszałam coś innego:

— Nie mam pojęcia — Z całą pewnością jest... niezwykła.

Poczułam skrzydła u ramion. Chyba nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa, jak w tamtej chwili. Wiedziałam, że każda minuta balu pozostanie w mej pamięci niczym bezcenny skarb, bo nie tylko cudownie się bawiłam, ale także zrobiłam furorę.

Nie brakowało mi partnerów. A nawet gdy w końcu musiałam się przyznać, że jestem guwernantką, nadal otrzymywałam hołdy należne pięknej kobiecie. Co mnie tak odmieniło, zachodziłam w głowę. Dlaczego nie mogłam tak się zachowywać na przyjęciach u ciotki Adelajdy? Z drugiej strony, gdybym mogła, nigdy nie znalazłabym się w Mount Mellyn.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego u ciotki nie potrafiłam zwrócić na siebie uwagi. To nie tylko zasługa zielonej sukni, bursztynowego grzebyka i brylantowej broszki. Teraz byłam zakochana, a nic tak nie dodaje urody jak miłość.

Nieważne, że moja była niemądra i nie miała szans na wzajemność.

Dziś stałam się Kopciuszką i aż do wybicia północy zamierzałam się bawić, zapominając o całym świecie.

W czasie balu spotkała mnie dziwna przygoda. Tańczyłam z sir Thomasem Treslynem, który okazał się czarującym starszym dżentelmenem.

W połowie tańca zaczął poświstywać, więc zaproponowałam, byśmy zeszli na bok i odpoczęli. Był mi ogromnie wdzięczny, a ja myślałam o nim z prawdziwą serdecznością. Zresztą dziś każdego darzyłam ciepłymi uczuciami.

— Robię się już nieco za stary na tańce, panno... hm...

— Leigh — podrzuciłam. — Panna Leigh, jestem tu guwernantką, sir Thomasie.

— Doprawdy? Otóż chciałem powiedzieć, panno Leigh, że to bardzo pięknie z pani strony, iż dla mojej wygody przerwała pani taniec, choć na pewno marzyła pani, by wirować po sali.

— Z przyjemnością na chwilę przysiądę.

— Widzę, że prócz urody ma pani dobre serce.

Przypomniałam sobie wskazówki Phillidy i przyjęłam komplement naturalnie, jakbym przywykła, że mnie nimi zasypywano.

Staruszek wyraźnie był w nastroju do zwierzeń.

— To moja żona lubi chodzić na takie zabawy. Ma w sobie mnóstwo życia.

— O, tak — przyznałam. — Jest niezwykle piękna.

Oczywiście zauważyłam ją, gdy tylko weszłam do sali. Była w szyfonowej sukni składającej się z dwóch warstw: zielonej pod spodem i fiołkoworóżowej na wierzchu. Nie ulegało wątpliwości, że lady Treslyn ma słabość do szyfonu. I trudno się dziwić, skoro ten materiał jak żaden podkreślał jej idealne kształty. Cała aż się skrzyła od brylantów. Fioletoworóżowa tkanina cudownie tłumiła zieleń spodniej warstwy. Zaczęłam nawet się zastanawiać, czy w porównaniu z nią szmaragdowy odcień mojej sukni nie jest zbyt mocny. Lady Treslyn jak zawsze przykuwała wzrok i sprawiała, że inne kobiety przy niej gasły.

Sir Thomas skinął głową, jak mi się wydawało, z pewnym smutkiem.

Siedziałam przy nim, rozmawiając, ale wzrokiem błądziłam po sali.

Nagle zatrzymałam wzrok na zerkadunku wysoko pod sufitem. Gwiazdzisty otwór w ścianie tak idealnie był wkomponowany w zdobienia, że ktoś, kto o nim nie wiedział, nawet by go nie zauważył.

Ktoś przyglądał się gościom, ale nie sposób było zgadnąć kto.

Oczywiście Alvean, pomyślałam. Czyż nie był to jej punkt obserwacyjny podczas każdego balu?

Ale w tej samej chwili dostrzegłam dziewczynkę wśród gości. Zapo mniałam, że to szczególnie dzień i szczególnie bal, w którym mogła uczestniczyć nie tylko guwernantka, ale i jej uczennica.

Dziewczynka miała na sobie białą, muślinową sukienkę z błękitną szarfą. Zauważyłam też, że do stanika przypięła srebrną broszkę w kształcie szpicruty. Wszystko to jednak odnotowałam automatycznie, bo całą uwagę skupiałam na otworze w ścianie. Tajemniczy nieznanym obserwator nadal stał z drugiej strony i patrzył.

Kolację podano w jadalni i pokoju ponczowym. W obu pomieszczeniach urządzono bufet i goście sami nakładali sobie jedzenie, gdyż, zgodnie z tradycją, tego wieczoru służba miała własny bal w swojej części budynku.

Zauważyłam, że jaśnie państwo, przywykli do tego, że wszystko im podawano, doskonale się bawili, sami się obsługując. Na półmiskach leżały paje, idealne na jeden kęs, plastry wołowiny, pokrojony drób i ryby.

Można też było się raczyć gorącym ponczem i grzany winem, nalany do olbrzymich waz, stały też dzbany miodu, whisky i gin z tarniną.

Peter Nansellock, z którym tańczyłam przed kolacją, zaprowadził mnie do pokoju ponczowego. Sir Thomas Treslyn siedział już tam z Celestine i Peter posadził mnie przy ich stoliku.

— Zdajcie się na mnie — powiedział. — Nakarmię was wszystkich.

— Pomogę panu — zaproponowałam.

— Nie trzeba — odparł. — Zostanie tu pani z Celeste. Dziś nie jest pani guwernantką, panno Leigh — upomniał mnie szeptem. — Jest pani damą, jak wszystkie zebrane tu panie. Proszę o tym nie zapominać, to i goście będą pamiętać.

Aleja nie życzyłam sobie, by mnie obsługiwano, i uparłam się, że podejść z nim do bufetu.

— Duma — mruknął, biorąc mnie pod rękę. — Czyż to nie ona stała się przyczyną upadku aniołów?

— Albo ambicja, nie jestem pewna.

— Cóż, tej również pani nie brakuje. Ale dość już o tym. Co pani zje?

Może to i dobrze, że pani ze mną podeszła. Nasze kornwalijskie dania często wydają się dziwne przybyszom zza rzeki Tamar.

Zaczął nakładać jedzenie na jedną z przygotowanych tac.

— Na którą paję się pani skusi? Z gęsih podrobów, bekonową, z wieprzowych podrobów, a może z jagnięcych? O, widzę, że nie zabrakło też smakołyku z młodziutkiego warchlaczka. Polecam bekonową, nadzienie jest z jabłek, bekonu, cebuli, jagnięciny i młodego gołębia. Rozpływa się w ustach.

— Chętnie spróbuję — powiedziałam.

— Panno Leigh... Martho... czy ktoś już mówił pani, że ma pani oczy jak dwa bursztyny?

— Tak — odrzekłam.

— A czy ktoś już mówił pani, że jest pani piękna?

-Nie.

— W takim razie trzeba szybko nadrobić to zaniedbanie, co niniejszym czynię.

Roześmiałam się. W tej samej chwili do salonu wszedł Connan z lady Treslyn. Usiadła przy Celestine, a Connan podszedł do bufetu.

— Wprowadzam pannę Leigh w tajniki kornwahjskiej kuchni. Dasz wiarę, że nie wie, co to „cudne panny”. Czyż to nie dziwne, zwłaszcza że sama nią jest?

Connan promieniał, w jego oczach widziałam ciepły uśmiech.

— „Cudne panny”, panno Leigh, to nic innego jak wędzone sardele podawane z oliwą i cytryną. — Widelcem nałożył kilka porcji na dwa talerze.

— Receptura zapożyczona od Hiszpanów, a, jak powiadamy w naszych stronach, to danie godne hiszpańskiego granda.

— Pamiątka z czasów — wtrącił się Peter — gdy Hiszpanie aż nazbyt często nawiedzali nasze strony, obdarzając swymi względami nie te cudne panny, które widzi pani teraz na stole.

Podeszła do nas Alvean i stanęła przy mnie. Wyglądała na zmęczoną.

— Powinnaś być już w łóżku — powiedziałam.

— Jestem głodna.

— Po kolacji pójdziemy na górę.

Skinęła głową i zaczęła nakładać sobie jedzenie.

Siedzieliśmy przy jednym stole: Alvean, Peter, Celestine, sir Thomas, Connan, lady Treslyn i ja.

Czułam się jak we śnie. Na mojej sukni połyskiwała broszka Alice.

Dwa lata temu pani TreMellyn znajdowała się tu, gdzie ja teraz, pomyślałam.

Alvean nie siedziała przy stole. Była jeszcze za mała, by uczestniczyć w balu. Ale obecność moja i Alvean to zapewne jedyne zmiany.

Poza tym sceneria najprawdopodobniej niewiele się zmieniła. Zastanawiałam się, czy inni pomyśleli o tym samym.

Przypomniałam sobie twarz w zerkadełku i słowa Alvean w czasie poprzedniego balu. Nie pamiętałam dokładnie, ale wspominała, że matka kochała tańczyć i gdyby miała wrócić z zaświatów, wróciłaby właśnie na bal. Potem dziewczynka wypatrywała jej wśród tańczących par...

A jeśli Alice oglądała bal z innego miejsca? Pomyślałam o ogrodzie zimowym, tonącym w chłodnej księżycowej poświacie. Czyją twarz widziałam w otworze, zachodziłam w głowę.

Wtedy przyszło olśnienie: Gilly! A jeśli to Gilly? Oczywiście, to musiała być ona! Któż inny, jeśli nie ona?

Z zamyślenia wyrwa! mnie głos Connana.

— Należę ci whisky, Tom.

Wstał i podszedł do bufetu. Lady Treslyn zerwała się od stolika i ruszyła za nim. Nie mogłam oderwać wzroku od tej pary. Jakże elegancko wyglądali — ona w cudownej, szyfonowej sukni, zjawiskowo piękna królowa balu i on, bez wątpienia najbardziej szykowny z mężczyzn.

— Pomogę ci, Connanie — zaproponowała. Usłyszałam ich śmiech.

— Uważaj — powiedział Connan. — Rozlewasz.

Stali plecami do mnie. Patrząc na tych dwoje, czułam, że wystarczyłoby jedno słowo lub gest, bym wybuchnęła płaczem, bo dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, jak płonne i głupie były moje nadzieje.

Lady Treslyn wsunęła Connanowi rękę pod ramię i wrócili do stolika.

Ten świadczący o zażyłości gest głęboko mnie zranił. Podejrzewałam, że wypłam za dużo miodu. Miód... Jaka słodka i niewinna nazwa.

Lecz miód robiony w Mount Mellyn był mocny i zdradliwy.

Najwyższy czas, byś położyła się spać, chłodno rozkazałam sobie w myślach.

Kiedy Connan podał sir Thomasowi szklanekę — którą ten opróżnił w zaskakującym tempie — zauważyłam, że Alvean ma już głębokie cienie pod oczami.

— Alvean, wyglądasz na zmęczoną — powiedziałam. — Powinnaś już iść spać.

— Biedactwo! — natychmiast zatroszczyła się Celestine. — Po takim ciężkim wypadku...

Wstałam.

— Zaprowadzę ją do łóżka — powiedziałam. — Chodźmy, Alvean.

Słaniała się ze zmęczenia, więc bez słowa protestu wstała.

— Życzę wszystkim państwu dobrej nocy — pożegnałam się.

Peter zerwał się na nogi.

— Przecież jeszcze się spotkamy.

Nie odpowiedziałam. Ze wszystkich sił starałam się nie patrzeć na Connana, bo czułam, że nawet mnie nie zauważył. Kiedy tylko na scenę wkraczała lady Treslyn, cały świat przestawał dla niego istnieć.

— Au reuoir — pożegnał mnie Peter.

Pozostali zawtórowali mu bez przekonania. Wyszłam, prowadząc Alvean za rękę.

Tak samo musiał czuć się Kopciuszek, opuszczając bal, gdy wybiła północ.

Moja chwila szczęścia dobiegła końca. Lady Treslyn uświadomiła mi Jak niemądra byłam, marząc.

Alvean zasnęła, jeszcze zanim wyszłam z jej pokoju. Idąc do siebie, starałam się nie myśleć o Connanie i lady Treslyn. Zapaliłam świece na toaletce. Wyglądałam pociągająco, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Ale w blasku świec każdy wygląda pociągająco, przywołałam się natychmiast do porządku.

Brylanty skrzyły się w mojej broszce, przypominając mi o twarzy, którą dostrzegłam w zerkadełku.

Najwyraźniej zbyt gorliwie raczyłam się miodem, bo nie zastanawiając się, zesłam na podest pod moim piętrem. Z dołu dobiegały głosy służących. Czyli wszyscy nadal jeszcze się bawili. Drzwi pokoju Gilly były uchylone, weszłam do środka. W poświacie księżycy zobaczyłam zarys łóżka i sylwetkę dziewczynki. Nie spała, siedziała wyprostowana.

— Gilly — odezwałam się.

— Pani! — krzyknęła radośnie. — Wiedziałam, że pani dziś do mnie przyjdzie.

— Gilly, wiesz, kim jestem.

Co mnie sprowokowało, by powiedzieć coś tak niemądrego?

Skinęła głową.

— Zapalę świece.

Patrzyła na mnie szklistymi oczyma, zatrzymując wzrok na broszce.

Siadłam na brzegu łóżka. Czułam, że w pierwszej chwili wzięła mnie za kogoś innego. Ale teraz też była zadowolona, co świadczyło, że nabiera do mnie zaufania. Dotknęłam broszki.

— Kiedyś należała do pani TreMellyn — powiedziałam.

Przytaknęła z uśmiechem.

— Kiedy weszłam, odezwałaś się do mnie. Dlaczego teraz milczysz?

Ale ona znowu tylko się uśmiechnęła.

— Gilly, czy byłaś dziś w ogrodzie zimowym na górze? Patrzyłaś na tancerzy?

Skinęła głową.

— Gilly, powiedz „tak”.

— Tak — powtórzyła.

— Poszłaś tam na górę zupełnie sama? Nie bałaś się?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— To znaczy „nie”, zgadza się? Gilly, powiedz „nie”.

— Nie.

— Dlaczego się nie bałaś?

Otworzyła usta i znów się uśmiechnęła.

— Nie bała się, bo... — zaczęła.

— Bo? — ponagliłam.

— Bo — powtórzyła tylko.

— Gilly, byłaś tam sama?

Tylko się uśmiechnęła. Nic więcej z mej nie wyciągnęłam.

Pocałowałam ją na pożegnanie, a ona też serdecznie mnie uściskała.

Wyraźnie mnie polubiła. Podejrzewałam jednak, że myli mnie z kimś innym, i doskonale wiedziałam z kim.

Wróciłam do pokoju, ale nie chciałam jeszcze zdejmować sukni. Wierzyłam, że dopóki będę miała ją na sobie, będę mogła marzyć o tym, co — wiedziałam dobrze — i tak się nie ziści.

Siedziałam więc jeszcze w oknie przez godzinę, może dłużej. Noc była ciepła i mając szal na ramionach, nie odczuwałam chłodu.

Słyszałam głosy gości, którzy wsiadali do powozów, żegnając się z gospodarzem i dziękując za przyjęcie.

W pewnym momencie rozpoznałam głos lady Treslyn. Mówiła cicho i dźwięcznie, z takim żarem, że docierało do mnie każde słowo. Domyślałam się, z kim rozmawia.

— Connanie — oznajmiła — to już niedługo. Już wkrótce.

Następnego ranka Kitty przyniosła mi wodę, ale nie przyszła sama.

Towarzyszyła jej Daisy. Jeszcze nie do końca obudzona, słuchałam ich paplaniny. Ich głosy przywoływały mi na myśl skrzek rybitw.

— Dzień dobry, panienko.

Konieczniewie chciały mnie obudzić. Po ich minach widziałam, że przynoszą jakieś niezwykle wiadomości.

— Wie panienska — mówiły jednocześnie, ścigając się, która pierwsza przekaże mi nowinę dnia — że wczoraj w nocy... a właściwie dziś rano...

Wreszcie Kitty wyprzedziła siostrę.

— W drodze do domu sir Thomas Treslyn źle się poczuł. Zmarł, nim dojechali do Treslyn Hall.

Usiadłam na łóżku i wodziłam wzrokiem od jednej rozgorączkowanej twarzy do drugiej. Byłam wstrząśnięta. Jeden z uczestników balu...

nie żyje! W dodatku taka nagła śmierć. Wszyscy uważają, że to nie był naturalny zgon.

I ja, i Kitty, i Daisy doskonale zdawałyśmy sobie sprawę, co taka wiadomość może oznaczać dla Mount Mellyn.

Rozdział 7

Sir Thomasa Treslyna pochowano w pierwszy dzień nowego roku.

W domu panowała ciężka atmosfera, tym bardziej dotkliwa, że tak wyraźnie kontrastująca z radością pierwszego dnia Bożego Narodzenia.

Pozostawiono jednak świąteczne ozdoby. Wśród służby ścierały się dwie frakcje: co przynosi większego pecha? Czy usunięcie dekoracji przed świętem Trzech Króli czy też pozostawienie ich i w ten sposób okazanie braku szacunku dla zgonu w sąsiedztwie.

Wszyscy domownicy ogromnie przeżywali śmierć sir Thomasa— W końcu zmarł, wracając z Mount Mellyn. To przy naszym stole spożył ostatni posiłek. Te reakcje uświadomiły mi, jak przesądni są Kornwalijczycy.

Wszędzie doszukiwali się znaków, wydawało im się, że za każdym wydarzeniem stoją jakieś potężne, często złe moce.

Connan krążył po domu, nieobecny duchem. Rzadko go widywałam, a nawet gdy się spotykaliśmy, nie dostrzegał mnie. Zapewne myślał, co ta sytuacja dla niego oznacza. Jeśli on i lady Treslyn byli kochankami, zniknęła ostatnia przeszkoda na drodze do małżeństwa. Podejrzywałam, że niemal wszyscy uważali tak samo, ale nikt głośno o tym nie mówił.

Pani Polgrey zapewne oświadczyłaby, że takie przypuszczenia mogłyby ściągnąć nieszczęście na dom i że trzeba z tym poczekać jeszcze parę tygodni.

Gospodyni zaprosiła mnie do siebie i wypiliśmy earl greya doprawionego whisky, którą dostała ode mnie na święta.

— Niepojęte. Wstrząsające. Taka śmierć i to jeszcze w Boże Narodzenie.

Choć właściwie był już drugi dzień świąt — dodała z ulgą, jakby ów fakt ratował sytuację. — I pomyśleć — wróciła do żałobnego tonu — że to w naszym domu gościł przed śmiercią, a moje jedzenie było jego ostatnim posiłkiem.

Chyba trochę się pospieszyli z tym pogrzebem, nie sądzi panna?

Zaczęłam liczyć na palcach.

— Siedem dni — powiedziałam.

— Mogli jeszcze potrzymać ciało, przecież jest zima.

— Pewnie uznali, że im szybciej odbędzie się pogrzeb, tym prędzej otrząsną się z żalu.

Moja uwaga zaszokowała panią Polgrey. Najwyraźniej twierdzenie, że ktoś chciałby szybko otrząsnąć się z bólu po śmierci bliskiej osoby, uważała za brak szacunku. A może sądziła, że to przynosi pecha?

— Boja wiem? — zamyśliła się. — Tyle się słyszy opowieści o ludziach pogrzebanych żywcem. Pamiętam, że jakem była dzieckiem, wybuchła zaraza ospy. Ludzie przerażili się i szybko chowali umarłych. Potem mówiło się, że niektórych pogrzebano żywych.

— Chyba nikt nie ma wątpliwości, że sir Thomas nie żyje.

— Nie każdy, kto wygląda na nieboszczyka, jest martwy — zauważyła sentencjonalnie.
— Ale siedem dni chyba wystarczy, by się upewnić.

Pojedzie panna ze mną na pogrzeb?

-Ja?

— Czemu nie? Trzeba okazać zmarłemu szacunek.

— Nie mam odpowiedniego stroju.

— Racja, racja... Znajdę dla panny czepek i przyszyje sobie panna do ubrania czarną tasiemkę. Pójdziemy tylko na smętarz, jak panna myśli?

Nie przystoi pchać się do kościoła... Bo i nie ma panna ubrania i jest panna jeno guwernantką, a do Mellyn zjedzie się rodzina nieboszczyka i kościół będzie pełny.

Tak więc zostało uzgodnione, że razem z panią Polgrey stawimy się tylko na cmentarzu.

Byłam obecna przy złożeniu ciała sir Thomasa do grobu.

Pogrzeb odbył się z pompą należną osobie tak znacznej i poważanej w księstwie jak sir Thomas Treslyn. Zjawiły się tłumy, ale my z panią Polgrey trzymałyśmy się na uboczu. Mnie to odpowiadało, ale gospodyni była zmartwiona. Wystarczyło mi, że zobaczyłam spowitą w kir wdowę, która mimo to wyglądała zjawiskowo. Wiatr szarpał welonem, odsłaniając jej śliczną twarz. Lady Treslyn poruszała się z gracją, a w żałobnej czerni wyglądała jeszcze smukłej i powabniej niż w barwnych balowych sukniach.

Pojawił się tam również Connan, jak zwykle dystyngowany i elegancki.

Próbowałam przeniknąć wzrokiem jego twarz, lecz przywdział maskę powagi, najwyraźniej postanawiając ukryć przed światem prawdziwe uczucia. Jeśli wziąć pod uwagę sytuację, chyba słusznie.

Podziwiałam karawan i konie przystrojone wielkimi, czarnymi piórami.

Widziałam przykrytą aksamitną fioletowo-czarną kapą trumnę, którą sześciu mężczyzn wyniosło z kościoła. A także niezliczone wieńce i żałobników spowitych w czerń. Jedynym jasnym akcentem były białe chusteczki, które kobiety przykładają do oczu, a i one miały czarną lamówkę.

Zimny wiatr rozproszył mgłę i promienie styczniowego słońca odbijały się w złoceniach, gdy trumnę spuszczano do grobu.

Na cmentarzu panowała cisza, zmałona tylko skrzeczeniem rybitw.

Pogrzeb się zakończył, a żałobnicy, w tym również Connan, Celestine i Peter wrócili do powozów, którymi udali się do Treslyn Hall.

Ja i pani Polgrey zaś wróciłyśmy do Mount Mellyn. Gospodyni nalegała, bym wypita z nią tradycyjną filiżankę herbaty z kroplą czegoś na wzmocnienie.

Piłyśmy w milczeniu. Oczy pani Polgrey błyszczały. Widziałam, jak strasznie świerzbil ją język. Ale nie powiedziała nic, w obawie by ta śmierć nie sprowadziła nieszczęścia na Mount Mellyn. Tak wielki był jej szacunek dla zmarłego.

Sir Thomas nie odszedł w zapomnienie. W ciągu następnych tygodni nieraz słyszałam w domu jego imię. Na każdą wzmiankę o Treslynach pani Polgrey znacząco kręciła głową, spoglądając czujnie na mówiącego.

Daisy i Kitty nie zachowywały już takiej dyskrecji. Przychodząc rano z wodą, szukały pretekstu, by zostać w pokoju i porozmawiać. Ja zaś postępowałam dość chytrze. Marzyłam, by się dowiedzieć, co mówią ludzie, a jednocześnie nie chciałam pytać. Sprytnie wyciągałam z naiwnych dziewcząt informacje tak, by się nie zorientowały, że biorę je na spytki. Fakt faktem, że nie potrzebowały szczególnej zachęty.

— Wczoraj widziałam lady Treslyn — doniosła mi któregoś ranka Daisy. — Ani trochę nie wyglądała na wdowę, choć zachowywała pozory.

— Tak? Jak to możliwe?

— Panienska nie pyta, bo nie wiem. Była blada, poważna, ale w twarzy miała coś takiego... rozumie panienska?

— Obawiam się, że nie.

— Kit była ze mną i mówi to samo. Jakby tamta długo na coś czekała, a teraz się cieszyła, bo już nie musi długo czekać. Choć, bo ja wiem?

Dla mnie rok to długo.

— Rok? Dlaczego? — dopytywałam się, pomimo że doskonale wiedziałam dlaczego.

Daisy spojrzała na mnie i zachichotała.

— Przecie teraz nie mogą się widywać. W końcu starszy pan umarł tutaj... prawie na naszym progu. Jak by to wyglądało? Jakby życzyli mu śmierci — Nonsens, Daisy. Kto by mu życzył śmierci?

— Nigdy nie wiadomo, panienko, nigdy nie wiadomo.

Rozmowa zbaczała na niebezpieczne tory, więc odesłałam pokojówkę.

— Muszę się spieszyć, zrobiło się już późno.

Kiedy Daisy zniknęła, pomyślałam: a jednak krążą o nich plotki.

Mówi się, że życzyli mu śmierci.

Cóż, jeśli plotkarze ograniczą się tylko do tego, Connan i lady Treslyn nie muszą niczego się obawiać. Zastanawiałam się, na ile byli ostrożni. Przypomniało mi się zdanie Phillidy, że zakochani często zachowują się jak strusie. Chowają głowy w piasek, sądząc, że skoro oni nikogo nie widzą, to i ich nikt nie zauważy.

Ale tym dwojgu można by zarzucić wszystko prócz lekkomyślności, braku rozwagi i zaślepienia.

Nie, myślałam gorzko, oboje mają nie lada doświadczenie. Doskonale znają też ludzi, wśród których żyją. Na pewno bardzo uważają.

Mimo to dzień później, gdy spacerowałam po lesie, usłyszałam w pobliżu stukot kopyt końskich i głos lady Treslyn.

— Connanie... Och, Connanie!

Zatem się spotykali... I to tak blisko domu. Cóż za brak rozsądku.

W lesie głos rozchodzi się daleko. Ukryta za drzewami, słyszałam strzępki ich rozmowy.

— Lindo! Nie powinnaś była przyjeżdżać.

— Wiem. Wiem... — Głos jej zadrżał, nie zrozumiałam dalszego ciągu zdania.

— Czemu przysłałaś mi wiadomość? — Słowa Connana docierały do mnie wyraźniej. Może dlatego że tak dobrze znałam jego głos. — Założę się, że ktoś z domowników zauważył twojego służącego. Wiesz, jacy to plotkarze.

— Wiem, ale...

— Kiedy to dostałaś...?

— Dziś rano. Musiałam czym prędzej ci pokazać.

— To pierwszy?

— Nie, pierwszy dostałam dwa dni temu. Dlatego musiałam się z tobą spotkać, Connanie. Bez względu na wszystko... Boję się.

— To tylko ludzka złośliwość — powiedział. — Nie myśl o tym. Zapomnij.

— Przeczytaj! — zawołała. — Sam to przeczytaj!

Zapadło krótkie milczenie. Przerwał je Connan.

— Rozumiem... W takim razie pozostaje tylko jedno...

Konie znów ruszyły. Za moment ci dwoje mogą odkryć moją kryjówkę.

Oddaliłam się stamtąd pospiesznie.

Czułam narastający niepokój.

Tego samego dnia Connan opuścił Mount Mellyn.

— Pilnie wezwano go do Penzance — wyjaśniła pani Polgrey. — Powiedział, że nie wie, jak długo tam zabawi.

Zastanawiałam się, czy ten nagły wyjazd nie ma związku z niepokojącymi wieściami, jakie rano w lesie przekazała mu lady Treslyn.

Mijały dni. Znow rozpocząłam regularne zajęcia z Alvean, a Gilly również przychodziła do pokoju szkolnego.

Dawałam jej jakieś proste zajęcie, na przykład pisanie liter na tacce piasku czy tabliczce albo dodawanie na liczydłach, a sama pracowałam z Alvean. Gilly chętnie robiła, co jej kazałam. Wydawało mi się, że w moim towarzystwie czuła się spokojna i szczęśliwa, co miało swoje źródło w zaufaniu, jakim mnie obdarzyła. Wcześniej ufała Alice, teraz przeniosła to uczucie na mnie.

Początkowo Alvean się buntowała, ale zwróciłam jej uwagę, że należy okazywać życzliwość tym, których los nie obdarzył tak hojnie jak nas. Udało mi się wzbudzić w niej współczucie i wreszcie zaakceptowała obecność tamtej, choć nadal nieco się dąsała. Zauważyłam jednak, że czasem jej się przygląda — z braku innych uczuć Gilly budziła w niej ciekawość.

Connana nie było już od tygodnia, gdy pewnego mroźnego lutowego dnia do pokoju szkolnego wkroczyła pani Polgrey. Zdziwiłam się na jej widok, bo rzadko przerywała nam lekcje. Teraz trzymała dwa listy.

Widziałam, że jest ogromnie podekscytowana.

— Dostałam wiadomość od pana — przeszła od razu do rzeczy. — Chce, by panna natychmiast zabrała Alvean do Penzance. To list do pani.

Z pewnością wszystko w nim wyjaśnił.

Podawała mi Ust; bałam się, by nie dostrzegła, że ręka nieco mi drżała, gdy rozdarłam kopertę i zaczęłam czytać.

Droga Panno Leigh, zostanę tu jeszcze parę tygodni, więc z pewnością zgodzi się Pani, że byłoby dobrze, gdyby Alvean do mnie przyjechała. Nie chcę, by ucierpiała na tym jej nauka, więc proszę, by zechciała Pani przywieźć Alvean i nastawić się na tygodniową, może dłuższą, wizytę w Penzance.

Zdążyłaby Pani przygotować się do jutra? Niech Billy Trehay zawiezie Was na stację na pociąg o 2.30.

Connan TreMellyn Wiedziałam, że płoną mi policzki. Miałam tylko nadzieję, że nie widać, jak wielką radość sprawił mi ten list.

— Alvean — zwróciłam się do niej -jutro mamy pojechać do twojego ojca.

Poderwała się i z radością rzuciła mi się na szyję. Ta nietypowa wylewność najlepiej świadczyła, jak bardzo Alvean kochała ojca, a mnie pomogła zapanować nad własnymi emocjami.

— To dopiero jutro. Teraz wracamy do lekcji.

— Ale, panno Leigh, musimy się spakować.

— Mamy na to całe popołudnie — uciełam kategorycznie. — Wracajmy do pracy.

Odwróciłam się do pani Polgrey.

— Tak — powiedziałam — pan TreMellyn życzy sobie, abym zawiozła do niego Alvean.

Skinęła głową. Widziałam, że wydaje jej się to co najmniej dziwne, ale tylko dlatego, że nigdy przedtem nie wykazywał zainteresowania córką.

— I wyjeżdża panna jutro?

— Tak— Należy powiedzieć Billy'emu Trehayowi, by zawiózł nas na stację na pociąg o drugiej trzydzieści.

Przyjęła to do wiadomości i wyszła, a ja usiadłam oszołomiona. Tak samo jak Alvean nie byłam teraz w stanie się skupić. Dopiero po pewnym czasie przypomniałam sobie o Gilly. Patrzyła na mnie tym szklistym wzrokiem, z którym tak bardzo walczyłam co dzień.

Gilly rozumiała więcej, niż wszystkim się wydawało.

Wiedziała, że wyjeżdżamy, a ona zostanie sama.

Nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę się pakować. Siadłyśmy z Alvean do południowego posiłku, ale żadna z nas nie miała ochoty na jedzenie. Kiedy tylko skończyłyśmy, każda pobiegła do swojego pokoju szykować się do wyjazdu.

Miałam niewiele rzeczy do pakowania. Na szczęście i szara, i lawen dowa sukienka były czyste. Na podróż włożę szarą wełnianą. Nie wyglą dałam w niej najlepiej, ale nie nadawała się do spakowania.

Wyjęłam zieloną jedwabną suknię, w której wystąpiłam na bożonarodzeniowym balu. Wziąć ją? A czemu nie? Tak rzadko dostawałam coś naprawdę ładnego, a, kto wie, może przyda mi się w Penzance?

Wyjęłam szal i grzebyk, zatknęłam grzebyk we włosy, a szal zarzuciłam na ramiona.

Przypomniał mi się bal, ten moment, gdy Peter wziął mnie za rękę i pociągnął do „Furry Dance”. Znow słyszałam tamtą melodię i sama nie wiedziałam, kiedy zaczęłam tańczyć. Na chwilę przeniosłam się do sali balowej, cofając się do tamtego cudownego wieczoru Bożego Narodzenia.

Nie słyszałam, kiedy weszła Gilly. Drgnęłam, gdy zobaczyłam, jak stoi, wpatrując się we mnie. Doprawdy, to dziecko poruszało się bezszelestnie.

Zatrzymałam się i spłonęłam rumieńcem. Cała moja radość się ulotniła, bo uświadomiłam sobie, że Gilly będzie ogromnie nieszczęśliwa, gdy wyjedziemy.

Pochyliłam się, objęłam ją i przyciągnęłam do siebie.

— To tylko na trochę, Gilly.

Zacisnęła powieki i nie chciała na mnie spojrzeć.

— Gilly — tłumaczyłam — posłuchaj. Wierz mi, niedługo wrócimy.

Potrząsnęła głową, spod zaciśniętych powiek wypłynęły łzy.

— A wtedy — ciągnęłam — znowu będziemy mieć lekcje. Będiesz rysować w piasku kolejne litery i już niedługo nauczysz się pisać swoje imię.

Nic jednak nie mogło jej pocieszyć. Wyrwała mi się z ramion, podbiegła do łóżka i zaczęła wyrzucać z kufra moje rzeczy.

— Nie, Gilly, nie.

Usiadłam na krześle i wzięłam ją na kolana. Przez dłuższą chwilę ją kołysałam, a potem spróbowałam jeszcze raz.

— Ja naprawdę wrócę, Gilly. Ani się obejrzysz, jak znow tu będę.

Zupełnie jakbym nie wyjeżdżała.

— Nie wrócisz — odezwała się nagle. — Ona... Ona...

— Tak, Gilly, tak?

— Ona... pojechała.

Na chwilę zapomniałam, że wyjeżdżam do Connana, bo byłam pewna, że Gilly o czymś wie. I to coś mogło rzucić światło na tajemnicę zniknięcia Alice.

— Gilly — spytałam — czy pożegnała się z tobą przed wyjazdem?

Energicznie potrząsnęła głową. Myślałam, że zaraz wybuchnie płaczem.

— Gilly — zaklinałam ją — porozmawiaj ze mną. Spróbuj mi o tym opowiedzieć... Widziałaś, jak wyjeżdżała?

Z całej siły wtuliła się we mnie; na chwilę mocno ją przygarnęłam, a potem nieco się odsunęłam i zajrzałam jej w twarz. Gilly nadal mocno zaciskała powieki. Nagle podbiegła do łóżka i znowu zaczęła wyrzucać rzeczy w kufra.

— Nie! — krzyczała. — Nie... Nie...

Jednym susem znalazłam się przy niej.

— Posłuchaj, Gilly — perswadowałam. — Ja wrócę. Wyjeżdżam naprawdę na bardzo krótko.

— Ona nie wróciła!

I tak znalazłyśmy się w punkcie wyjścia. Nie dało się z niej więcej wydobyć. Uniosła ku mnie oczy, które nie były teraz szkliste ani zamglone, i widziałam w nich paniczny strach.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak wiele znaczyło dla Gilly moje zainteresowanie. Zrozumiałam też, iż w żaden sposób nie wytłumaczę jej, że wyjeżdżam, ale nie na zawsze. Alice była dla niej dobra i nagle zniknęła. Doświadczenie nauczyło ją, że tak właśnie się dzieje.

Parę dni... tydzień w życiu Gilly... to tyle co dla nas rok. Wiedziałam, że nie mogę zostawić dziewczynki.

A potem zadałam sobie pytanie, jak zareaguje Connan, gdy pojawię się z dwiema wychowankami.

Nie byłam przekonana, czy zdołam mu to wyjaśnić, ale nie mogłam zostawić Gilly w Mount Mellyn. Pani Polgrey dam do zrozumienia, że pan oczekuje obu dziewczynek. Ucieszy się. Nie bała się zostawiać wnuczki pod moją opieką; wszem wobec opowiadała też, jakie postępy robiła malutka pod moim kierunkiem.

— Gilly — powiedziałam. — Wyjeżdżamy na parę dni. Pojedziecie ze mną obie.

Pocałowałam jej zadartą główkę. I powtórzyłam, bo wyraźnie nie wierzyła własnym uszom.

— Pojedziesz ze mną. Cieszysz się, prawda?

Potrzebowała następnych paru sekund, by to ogarnąć. Potem mocno zacisnęła powieki i spuściła głowę. Zobaczyłam, że się uśmiecha. To poruszyło mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Świadomość, że sprawiłam temu nieszczęśliwemu dziecku taką radość, na pewno pomoże mi znieść gniew Connana.

Następnego ranka wyruszyliśmy wcześniej. Wszyscy domownicy wylegli, by nas pożegnać. Wsiadłam do powozu, dziewczynki zajęły miejsca Guwernantko .

po obu moich stronach, a Billy Trehay w liberii TreMellynów, usadowiwszy się na koźle, przemawiał do koni.

Pani Polgrey stała z rękami zaplecionymi na piersi, nie odrywając wzroku od Gilly. Widać było, jak bardzo się cieszy, że jej wnuczka wyrusza w podróż ze mną i Alvean.

Tapperty stał z córkami i cała trójka przyglądała nam się z identycznym błyskiem ciekawości w oku. W ich głowach wyraźnie kształtowały się pierwsze podejrzenia.

Nic mnie to nie obchodziło. Rozsadzała mnie taka radość, że z trudem się powstrzymywałam, by nie śpiewać na cały głos.

Poranek był słoneczny, choć mroźny. Srebrzysty szron lśnił na trawie, sadzawki i strumyki ścięta cienka warstwa lodu.

Powóz z turkotem toczył się po wyboistej drodze. Dziewczynki były w siódmym niebie. Alvean trajkotała jak katarynka, za to Gilly siedziała obok mnie w pełnym szczęścia milczeniu. Zacisnęła rączkę na mojej spódnicy i na ten widok serce ścisnęło mi się z czułości. Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo jestem odpowiedzialna za los tego dziecka.

Billy'emu też nie zamykały się usta. Kiedy mijaliśmy grób na rozstajach, zmówił modlitwę za spokój duszy nieszczęśnika.

— Choć głowę dam, że jego dusza i tak nie zazna spokoju. Ten, kto tak skona, nigdy nie spocznie. Jako i ci, co nagłą śmiercią giną. Nie zostaną pod ziemią, o nie. Powracają na ziemię i chodzą.

— Brednie! — uciszyłam go.

— Tylko człek bezrozumny nazywa prawdziwą mądrość brednią odparował urażony chłopak.

— A mnie się wydaje, że niektórych tutaj ponosi fantazja.

Dziewczynki wpatrywały się we mnie z napięciem.

— A to co? — Spróbowałam odwrócić ich uwagę od rozmów o śmierci, pokazując pasiekę, którą właśnie mijaliśmy. — Widzicie te ule? Co znaczą te czarne wstążki na nich?

— To żałoba — wyjaśnił Billy. — Znaczą się, że ktoś w rodzinie zmarł.

Pszczołki by się obraziły, gdyby im nie powiedzieć o śmierci i gdyby nie mogły się przyłączyć do żałoby.

Cieszyłam się, kiedy wreszcie dotarliśmy na stację.

W Penzance czekał na nas powóz, który miał nas zawieźć do Penlandstow.

Zmierzchało się, gdy skręciliśmy w aleję, wiodącą do rezydencji.

Na ganku czekał mężczyzna z latarnią.

— Są! — zawołał na nasz widok. — Lećcie do pana. Kazał, żeby go zawiadomić, gdy tylko się zjawia.

Zesztywniałyśmy po długiej podróży, a dziewczynki słaniały się ze zmęczenia. Pomogłam im wsiąść, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam obok siebie Connana. Choć w zapadającym zmroku nie widziałam wyraźnie jego twarzy, czułam, że ucieszył się na mój widok. Chwycił mnie za rękę, serdecznie ją uściśnił i powiedział coś zdumiewającego:

— Martwiłem się. Prześladowały mnie wizje nieszczęść, jakie mogły was spotkać. Żałuję, że sam po was nie pojechałem.

Oczywiście ma na myśli Alvean, pomyślałam. Nie do mnie to mówi.

Ale stał twarzą do mnie i to do mnie się uśmiechał. Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa.

— Dzieci... — zaczęłam.

Uśmiechnął się do Alvean.

— Witaj, papo — powiedziała. — Tak się cieszę, że tu z tobą jestem.

Położył jej rękę na ramieniu, a dziewczynka niemal błagalnie uniosła ku niemu głowę, jakby prosiła, by ją pocałował. Żądała jednak zbyt wiele.

— Cieszę się, że przyjechałaś, Alvean — powiedział tylko. — Na pewno będziesz się tu wspaniale bawić.

Wtedy wysunęłam przed siebie Gilly.

— A to...-zaczął.

— Nie mogłyśmy zostawić Gilly samej — nie dałam mu dokończyć.

— Sam pan mi pozwolił ją uczyć.

Zawahał się przez chwilę, a potem spojrzął na mnie i wybuchnął śmiechem. Wtedy zrozumiałam, że tak się cieszy na mój widok — mój, niczyj inny — że nie ma znaczenia, kogo przywiozłam. Najważniejsze, że tu jestem.

Czy można się więc dziwić, że przekraczając próg dawnego domu Alice, czułam się, jakbym wchodziła do zaczarowanego pałacu?

Na dwa tygodnie wyrwałam się z bezwzględnej, zimnej, twardej rzeczywistości i wkroczyłam w mój własny świat, w którym spełniało się wszystko, co tylko sobie zamarzyłam.

W Penlandstow Manor od pierwszej chwili traktowano mnie jak gościa.

Po paru dniach ostatecznie zrzuciłam więc z siebie sztywny gorset guwernantki i znów stałam się radosną, beztroską dziewczyną, która z ojcem i Phillidą mieszkała na wiejskiej plebanii, ciesząc się z każdej chwili życia.

Dostałam ładny pokój, przylegający do sypialni Alvean, a gdy poprosiłam, by Gilly umieszczono blisko mnie, moja prośba natychmiast została spełniona.

Penlandstow, piękna rezydencja z czasów elżbietańskich, wielkością dorównywało Mount Mellyn i równie łatwo jak w Mount Mellyn można było się tam zgubić.

Mój pokój był duży, na szerokim parapecie leżała miękka, czerwona poduszka, w oknie wisiały ciemnoczerwone zasłony. Obszerne łoże ozdabiał jedwabny baldachim, a podłogę wyściełał miękki krwistoczerwony dywan, tak że nawet bez ognia wesoło płonącego w kominku w pomieszczeniu panowała atmosfera ciepła.

Służący wniósł moje bagaże, a pokojówka zajęła się ich rozpakowywaniem, podczas gdy ja stałam, zapatrzona w płomienie.

Wyłożywszy rzeczy na łóżko, dziewczyna dygnęła i spytała, czy może je pochować do szafy. Z całą pewnością nie było to przyjęcie, jakiego mogła się spodziewać zwykła guwernantka. Owszem, Kitty i Daisy odnosiły się do mnie przyjaźnie i serdecznie, ale nigdy aż tak uniżenie.

Odrzekłam, że sama poukładani swoje rzeczy. Poprosiłam jedynie o wodę do kąpieli.

— Na końcu korytarza jest łazienka, a w niej wanna. — Zostałam poinformowana.

— Pokazać panience gdzie i przynieść tam gorącą wodę?

Zaprowadziła mnie do pomieszczenia z dużą wanną. Obok stała mniejsza wanienska.

— Tuż przed zamążpójściem panienska kazała urządzić tu pokój kąpielowy — powiedziała służąca i dopiero wtedy z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że znalazłam się w rodzinnym domu Alice.

Umywszy się i przebrawszy — włożyłam lawendową bawełnianą suknię — zajrzałam do Alvean. Spała, więc wyszłam. Zerknęłam do pokoju Gilly, ona też już zasnęła.

Kiedy wróciłam do swojej sypialni, zastukała ta sama pokojówka i powiedziała, że pan TreMellyn prosił, abym, kiedy będę gotowa, zeszła do niego do biblioteki. Odparłam, że już jestem gotowa, więc zaprowadziła mnie na dół.

— Bardzo się cieszę, goszcząc tu panią, panno Leigh — przywitał mnie Connan TreMellyn.

— To dla pana wielka radość, że ma pan przy sobie córkę... — zaczęłam, ale przerwał mi z uśmiechem.

— Powiedziałem, że cieszę się, goszcząc tu panią, panno Leigh, i właśnie to miałem na myśli.

Splonęłam rumieńcem.

— Bardzo pan łaskaw. Przywiozłam sporo lektur dla dziewczynek...

— Zróbmy im wakacje, dobrze? Rozumiem, że muszą się uczyć, ale czy koniecznie cały dzień mają ślęczeć nad zeszytami?

— Sądzę, że możemy zrobić wyjątek i nieco skrócić zajęcia.

Podszedł tuż do mnie.

— Panno Leigh jest pani wprost czarująca. — Cofnęłam się zaskoczona, a on ciągnął: — Cieszę się, że tak szybko pani przyjechała.

— Takie były pańskie rozkazy.

— To nie był rozkaz, panno Leigh, jedynie prośba.

— Ale. — zaczęłam.

Nie wiedziałam, co mówić, bo zachowywał się zupełnie inaczej niż Connan TreMellyn, jakiego znałam. Miałam wrażenie, że rozmawiam z nieznajomym, ale nieznajomym, który fascynował mnie tak samo jak tamten Connan TreMellyn; nieznajomym, którego odrobinę się lękałam, bo teraz nie byłam pewna siebie ani swoich reakcji.

— Cieszyłem się, że się stamtąd wyrwałem — powiedział — i pomyślałem, że pani też będzie chciała uciec.

-Uciec...? Przed czym?

— Raczej: od czego. Od tej nieznośnej, ponurej atmosfery. Nie znoszę śmierci. Działa na mnie przygnębiająco.

— Chodzi panu o sir Thomasa. Przecież...

— Tak, wiem. To tylko sąsiad. Ale i tak jego śmierć mnie przygnębiła.

Chciałem od razu uciec. Tak się cieszę, że pani tu przyjechała...

z Alvean i tą drugą małą.

— Bardzo się pan gniewa, że wzięłam ze sobą Gillyflower? Pękłoby jej serce, gdybym ją zostawiła.

Jego odpowiedź sprawiła, że świat wokół mnie zawirował.

— Aż nadto dobrze rozumiem, co oznacza ból rozstania z panią.

— Dziewczynki powinny chyba coś zjeść — powiedziałam szybko.

— Wprowadźcie teraz zasną, ale wydaje mi się, że zanim na dobre się położą, powinny coś zjeść. Mają za sobą męczący dzień.

Machnął ręką.

— Niech pani zamówi dla nich, co zechce. A gdy już je pani położy spać, siądziemy razem do kolacji.

— Alvean je razem z panem... prawda? — spytałam niepewnie.

— Dziś będzie za bardzo zmęczona. Dziś zjemy tylko we dwoje.

Zamówiłam więc posiłek dla dziewczynek, a sama zjadłam kolację z Connanem. Kolacja sam na sam z mężczyzną, przy blasku świec — to było coś niezwykłego i wyjątkowego. Ciągłe powtarzałam sobie, że to tylko sen.

Jeśli kiedyś mogłam powiedzieć, że śniłam na jawie, to właśnie wtedy.

Tamtego wieczoru zniknął gdzieś małomówny Connan. Dużo opowiadał mi o rezydencji zbudowanej na planie litery E w hołdzie władającej wówczas królowej Elżbiecie. Narysował mi szkic.

— Dwa dziedzińce z trzech stron otoczone murami i oś symetrii:

skrzydło, w którym właśnie się znajdujemy. Jego środek stanowią hol, klatka schodowa i galeria, do której przylegają niewielkie pokoje, jak choćby ten salonik. Przyzna pan, że jest wprost stworzony do pogawędek w małym gronie.

Odparłam, że rezydencja jest zaiste czarująca, a on może mówić o prawdziwym szczęściu, skoro ma do dyspozycji dwa tak zachwycające domy.

— Same mury nie dają radości, panno Leigh. Może ją przynieść dopiero życie, jakie toczy się w tych ścianach.

— Mimo to — obstawałam przy swoim — w pięknym otoczeniu łatwiej znaleźć radość i pociechę.

— Zgadza się. Nawet pani nie wie, jak mnie cieszy, że moje domy znalazły uznanie w pani oczach.

Po posiłku przeszliśmy do biblioteki i zaproponował mi partyjkę szachów.

Zgodziłam się z przyjemnością.

Biblioteka miała wysoki sufit zdobiony sztukaterią, na podłodze leżał mięsisty, gruby dywan, a cały pokój rozjaśniały lampy z kloszami z oryginalnej chińskiej porcelany. Siedząc tam razem z Connanem, czułam się niemal jak w raj.

Ustawił na szachownicy figury z kości słoniowej i graliśmy w skupieniu.

Nie przeszkadzała mi cisza, przeciwnie w naszym milczeniu wyczuwałam spokój i głębokie zadowolenie. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę migotliwego światła lamp, tykania złoconego zegara, który wyglądał na antyk z czasów Ludwika XIV, ani szczupłych, silnych palców mojego przeciwnika przesuwającego figury szachowe.

W pewnym momencie, gdy ze zmarszczonymi brwiami zastanawiałam się nad kolejnym ruchem, poczułam na sobie spojrzenie Connana.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam wpatrzony w siebie jego oczy. Była w nich radość, ale i dziwny namysł. Nie zaprosił mnie tu bez powodu, pomyślałam. Ale jaki mógł mieć cel?

Przeszedł mnie dreszcz niepokoju, ale opanowałam lęk. Nie chciałam psuć tej cudownej chwili.

Zrobiłam ruch.

— Ach — westchnął. — Panno Leigh, moja droga panno Leigh, wesła pani prosto w pułapkę, którą na panią zastawiłem.

— O, nie! — zawołałam.

Przestawił skoczka, który natychmiast zagroził mojemu królowi. Na śmierć zapomniałam o tym skoczku.

— Zdaje się, że... — zaczął. — A, nie. Niezupełnie. Szach, panno Leigh.

Niewystarczająco skupiłam się na grze. Teraz rozpaczliwie próbowałam się ratować, lecz byłam bezradna. Każde posunięcie tylko zbliżało mnie do nieuchronnej klęski. Usłyszałam jego głos, spokojny, pełen rozbawienia.

— Szach i mat, panno Leigh — ogłosił.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w szachownicę.

— Zagrałem nieuczciwie. Wykorzystałem pani zmęczenie po podróży.

— Bynajmniej — odparłam szybko. — Przypuszczam, że po prostu jest pan lepszym graczem niż ja.

— A ja przypuszczam, że idealnie do siebie pasujemy.

Wkrótce potem udałam się na spoczynek.

Położyłam się, jednak nie mogłam zasnąć. Byłam zbyt szczęśliwa.

Rozpamiętywałam jego słowa na powitanie, naszą wspólną kolację i tę ostatnią uwagę: „Idealnie do siebie pasujemy”.

Zapomniałam nawet, że znalazłam się w rodzinnym domu Alice, co jeszcze niedawno wzbudziłoby we mnie żywe zainteresowanie. Zapomniałam o wszystkim prócz jednego: Connan posiał po mnie, a gdy przybyłam, nie posiadał się z radości.

Następny dzień okazał się równie przyjemny i pełen niespodzianek jak pierwszy. Rano popracowałam z dziewczynkami, a po południu Connan zabrał nas na wycieczkę powozem. Jakże inaczej teraz nam się jechało.

W niczym nie przypominało to podskakiwania na wybojach i wpatrywania się w plecy Tapperty'ego czy Billy'ego Trehaya.

Zawiózł nas nad morze, gdzie pokazał nam wyspę St Michaeli Mount i zamek w górze.

— Kiedyś wiosną — obiecał — zabiorę was tam i zobaczycie tron świętego Michała.

— A będziemy mogły na nim usiąść? — dopytywała się Alvean.

— Jeśli nie będziesz się bała. Nie zapominaj, że pod nim rozciąga się siedemdziesięciostopowa otchłań. Mimo to liczne przedstawicielki twojej płci uważają, że warto zaryzykować.

— Ale dlaczego, papo? — nie dawała mu spokoju Alvean, zawsze najszcześliwsza wtedy, gdy zdobyła niepodzielną uwagę ojca.

— Dlatego że, jak głosi przysłowie, kobieta, która przed mężem zasiądzie na tronie świętego Michała, będzie potem rządzić w domu.

Alvean roześmiała się radośnie, a Gilly, którą na moją prośbę też wzięliśmy, też się uśmiechnęła. Connan spojrzał na mnie.

— A pani, panno Leigh? — zapytał. — Uważa pani, że warto zaryzykować?

Zawahałam się przez moment, a potem śmiało spojrzałam mu w oczy.

— Nie, panie TreMellyn. Nie myślę tak.

— Nie chciałyby pani rządzić w domu?

— Moim zdaniem ani mąż, ani żona nie powinni sprawować w domu niepodzielnej władzy. Uważam, że powinni ustalać ze sobą decyzje, a jeśli opinia jednego ze współmałżonków w danej kwestii jest słuszna, druga strona powinna się dostosować.

Zarumieniłam się. Wyobrażałam sobie, jakby się uśmieła Phillida, gdyby to usłyszała.

— Panno Leigh — odparł Connan — przy pani mądrości gasną nasze głupie ludowe przesady.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Zimowe słońce jasno świeciło na niebie, a ja byłam szczęśliwa.

Spędziłam w Penlandstow tydzień i zastanawiałam się, jak długo jeszcze będzie trwać ta sielanka, gdy Connan wreszcie przemówił.

Dziewczynki poszły już spać i zaproponował mi partię szachów w bibliotece.

Kiedy przyszłam, czekał już przy szachownicy, wpatrując się w figury. Okna były zasłonięte, w kominku wesoło trzaskał ogień. Widząc mnie, Connan wstał. Szybko zajęłam miejsce naprzeciwko niego.

Przyglądał mi się uważnie, w sposób, który u kogoś innego wydałby mi się uwłaczający. Właśnie miałam wykonać pierwszy ruch, gdy powiedział:

— Panno Leigh, nie na szachy dziś panią zaprosiłem. Pragnę pani coś wyznać.

— Tak, panie TreMellyn?

— Mam wrażenie, jakbym znał panią od bardzo dawna. Całkowicie odmieniła pani życie moje i Alvean. Gdyby pani wyjechała, obojgu nam ogromnie by pani brakowało. Dlatego też zrobilibyśmy wszystko, by pani nas nie opuściła.

Zerknęłam na niego, ale natychmiast spuściłam wzrok w obawie, by Connan nie zobaczył w moich oczach nadziei i lęku.

— Panno Leigh — ciągnął — zostanie pani z nami... na zawsze?

— N-nie... rozumiem. Czyja...? Chyba...

— Proszę panią o rękę.

— Ale... ale to niemożliwe.

— Czemu, panno Leigh?

— Ponieważ... ponieważ to co najmniej niestosowne.

— Dlaczego? Budzę w pani niechęć? Odrazę? Proszę, niech pani będzie szczerą.

— Ja... Nie, wcale nie budzi pan we mnie odrazy. Ale jestem guwernantką.

— Waśnie. I to najbardziej mnie niepokoi. Guwernantki czasem odchodzą.

Nie zniósłbym, gdyby pani odeszła.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Nie wierzyłam, że to dzieje się naprawdę.

Milczałam, bojąc się odezwać.

— Widzę, że pani się waha, panno Leigh.

— Jestem w szoku.

— Powinienem był lepiej panią przygotować? — Uśmiechnął się lekko.

— Błagam o wybaczenie, panno Leigh. Wydawało mi się, że dość wyraźnie okazuję pani swoje uczucia.

Przez parę sekund usiłowałam ogarnąć to wszystko: powrót do Mount Mellyn w roli przyszłej małżonki jaśnie pana, przejście ze stanowiska guwernantki do roli pani domu. Oczywiście, poradziłabym sobie i po paru miesiącach domownicy zapomnieliby, że kiedyś pracowałam tu jako nauczycielka. Mogłam mieć wiele braków, ale jednego miałam dużo — może wręcz w nadmiarze, jeśli wierzyć Phillidzie — dumy. Spodziewałam się jednak innych oświadczeń. Connan nie wziął mnie za rękę, nawet się do mnie nie przysunął. Po prostu siedział po drugiej stronie stolika i obserwował mnie niemal chłodno, jakby z wyrachowaniem.

— Niechże pani pomyśli — ciągnął — ile dobrego mogłaby pani zdziałać, moja droga panno Leigh. Jestem pod wrażeniem tego, co zrobiła pani dla Alvean. Dziewczynka potrzebuje matki. A pani sprawdziłaby się w tej roli... znakomicie.

— Sądzi pan, że powinno się wstępować w związek małżeński wyłącznie dla dobra dziecka?

— Nie, jestem zbyt wielkim egoistą. Wcale tak nie sędzę. — Pochylił się, a w jego oczach zajaśniał dziwny ogień, którego nie potrafiłam wyjaśnić ani zrozumieć. — Jeślibym się żenił, to tylko dla własnej przyjemności.

— Zatem...

— Przyznaję, że nie kierowałam się wyłącznie dobrem Alvean. Na tym związku skorzystałyby trzy osoby, panno Leigh. Alvean pani potrzebuje.

I ja... ja również pani potrzebuję. A czy pani potrzebuje nas?

Może jest pani bardziej samowystarczalna niż my, ale jaki los czeka panią, jeśli nie wyjdzie pani za mąż? Będzie pani wędrować z posady na posadę, a nie jest to szczególnie przyjemne życie. Dopóki ma się młodość, urodę i zapał, los guwernantki jeszcze jest do zniesienia, ale rześka, pełna życia młoda kobieta pewnego dnia staje się podstarzałą nauczycielką.

— Sugeruje pan, że powinnam zgodzić się na małżeństwo tylko po to, by zapewnić sobie spokojną starość? — spytałam lodowato.

— Mogę pani poradzić tylko jedno: niech pani kieruje się wyłącznie własnymi pragnieniami.

Zapadła krótka cisza. Z trudem powstrzymywałam się od łez. Marzyłam o oświadczeniach, ale nie o takich. O rękę powinno się prosić z uczuciem, z żarem, tymczasem odnosiłam nieprzyjemne wrażenie, że Connanem kierowało coś innego niż miłość. Podawał mi całą listę powodów, dla których powinnam za niego wyjść, jakby chciał ukryć ten jedyny, prawdziwy.

— Przedstawia to pan tak chłodno i rzeczowo-wyjąkałam.-A ja nie tak myślałam o małżeństwie.

Uniósł brwi i nagle wybuchnął radosnym śmiechem.

— Nie wyobraża sobie pani, jak się cieszę. Uważam panią za niezwykle praktyczną osobkę, dlatego próbowałem oświadczyć się w sposób, który, jak sądziłem, najbardziej przypadnie pani do gustu.

— Naprawdę chce pan się ze mną ożenić? Mówi pan poważnie?

— Chyba nigdy w życiu nie mówiłem tak poważnie jak teraz. Jak brzmi pani odpowiedź? Proszę, niechże pani nie trzyma mnie w niepewności.

Odrzekłam, że potrzebuję czasu do namysłu.

— Zgoda. Odpowie mi pani jutro?

— Tak. Rano udzielę panu odpowiedzi.

Wstałam i ruszyłam do drzwi, jednak dopadł do nich przede mną i położył dłoń na klamce. Czekałam, aż mi otworzy, ale najwyraźniej miał inny zamiar. Zasłonił sobą drzwi i chwycił mnie w ramiona.

Całował mnie tak, jak nikt do tej pory. W najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie takich pocałunków. To oznaczało, że był jednak zdolny do uczuć, których istnienia nawet się nie domyślałam. Obsypywał pocałunkami moje powieki, czoło, policzki, usta, szyję, poki i jemu, i mnie nie zabrakło tchu.

A potem głośno się roześmiał.

— Czekać do rana? Czy ja wyglądam na mężczyznę, który czekałby do rana? Czyja wyglądam na mężczyznę, który wybrałby żonę, kierując się wyłącznie dobrem córki? Nie, panno Leigh. — W jego głosie zabrzmiał czuły ton. — Nie, moja droga, najdroższa panno Leigh... Chcę się z panią ożenić, by panią u siebie uwięzić. Nie pozwolę pani uciec, bo od kiedy weszła pani w moje życie, nie potrafię myśleć o nikim innym.

I wiem, że już zawsze będę myślał tylko o pani, wyłącznie o pani.

— Czy to możliwe? — szepnęłam. — A może to sen?

— Martho! Cóż za surowe imię dla tak czarującej, słodkiej istoty.

A jednak doskonale do pani pasuje.

— Siostra mówi na mnie Marty. Tak samo nazywał mnie tata.

— Marty... To brzmi miękko, bezbronne... kobieco. Czasem bywasz Marty. Dla mnie będziesz tymi trzema: Marty, Marthą i panną Leigh, moją najdroższą panną Leigh. Są w tobie te trzy kobiety, a moja najukochańsza Marty zawsze wygrywa z panną Leigh. To dzięki niej wiedziałem, że jesteś mną zainteresowana. I to znacznie bardziej, niżby surowa panna Leigh uważała za stosowne. Czyż to nie cudowne? Ożenię się nie z jedną kobietą, ale z trzema!

— Aż tak wyraźnie to okazywałam?

— Niezwykle wyraźnie... Rozkosznie wyraźnie.

Wiedziałam, że nie ma sensu dłużej udawać. Poddałam się jego pieścizocie i przeniósł mnie do cudownego świata, którego istnienia nawet się nie domyślałam.

— Najbardziej boję się — odezwałam się po dłuższej chwili — że zaraz obudzę się w swoim tóżku w Mount Mellyn i okaże się, że wszystko tylko mi się śniło.

— Naprawdę? — odezwał się poważnie. — Boję się tego samego.

— Ale dla ciebie to co innego. Ty możesz robić, co chcesz... iść, dokąd chcesz... od nikogo nie jesteś zależny.

— Już nie. Straciłem swoją niezależność. Jestem zależny od Marty, Marthy, mojej drogiej panny Leigh.

Mówił z takim przekonaniem, że do oczu napłynęły mi łzy wzruszenia.

Ta huśtawka emocji stawiała się nie do zniesienia.

To właśnie miłość, zrozumiałam. Uczucie, które wznosi nas na niebosiężne szczyty. Lecz im wyżej nas unosi, tym większe ryzyko upadku.

I o tym nie wolno ani na chwilę zapomnieć: im wyższy lot, tym boleśniejszy upadek.

Lecz to nie chwila, by myśleć o tragedii i upadku. Kochałam i za sprawą niepojętego cudu byłam też kochana. Wtedy, w bibliotece Penlandstow, nie wątpiłam, że jestem kochana.

A dla takiej miłości można poświęcić wszystko.

Connan położył dłonie na moich ramionach i długo patrzył mi w oczy.

— Będziemy szczęśliwi, najdroższa. Będziemy szczęśliwsi, niżbyśmy to sobie wymarzyli w najśmielszych snach.

Wiedziałam, że to prawda. Wszystko, co do tej pory przeszliśmy, sprawiło, że oboje będziemy bardziej doceniać radość i szczęście, które możemy sobie dać.

— Ale trzeba myśleć praktycznie — powiedział. — Trzeba wszystko zaplanować.

Kiedy się pobierzemy? Nie chcę zwlekać. Tam, gdzie w grę wchodzi moje przyjemności, jestem wyjątkowo niecierpliwy. Jutro wrócimy do domu i ogłosimy nasze zaręczyny. Nie, nie jutro... Pojutrze. Jutro mam tu parę drobiazgów do załatwienia. Zaraz po powrocie wydamy bal dla uczczenia naszych zaręczyn. Ajakiś miesiąc później będziemy już w podróży poślubnej. Proponuję Włochy, chyba że wolisz inne miejsce?

Siedziałam ze złożonymi rękami. Musiałam wyglądać jak zachwycona uczennica.

— Ciekawe, co pomyślą w Mount Mellyn.

— Kto, służba? Bądź spokojna, pewnie już dawno wyczuli pismo nosem.

Domownicy to najlepsi detektywi. Wypatrzą każdy, najdrobniejszy ślad. Ty drzysz. Zimno ci?

— Nie, to z podniecenia. Wciąż się boję, że zaraz się obudzę.

— A co sądzisz o Włoszech?

— W towarzystwie pewnej osoby zachwyciłby mnie nawet biegun północny.

— Spodziewam się, że mówiąc o „pewnej osobie”, masz na myśli mnie.

— Taka była moja intencja.

— Moja droga panno Leigh, jakże ja lubię ten pani cięty dowcip.

Dzięki niemu rozmowa z panią nigdy nie jest nudna.

Przypuszczałam, że porównywał mnie z Alice, i znów poczułam dreszcz, tak samo jak na wzmiankę o detektywach.

— Obawiasz się reakcji na nasze zaręczyny — ciągnął. — Służby... sąsiedztwa...

A kto by na to zważał? Ty? Przecież wiem, że nie. Panna Leigh jest zbyt rozsądną osobą, by się tym przejmować. Nie mogę się doczekać, by powiedzieć Peterowi Nansellockowi, że zostaniesz moją żoną. Szczerze mówiąc, byłem odrobinę zazdrosny o naszego sąsiada.

— I niepotrzebnie.

— Zawsze jednak czułem lekki niepokój. Obawiałem się, że cię namówi, abyś wyjechała z nim do Australii. Przed niczym bym się nie cofnął, byle do tego nie dopuścić.

— A w desperacji byłbyś nawet gotów mi się oświadczyć?

— Więcej. Gdyby zaszła potrzeba, uprowadziłbym cię i trzymał w lochu, dopóki ten lekkoduch nie znalazłby się na drugim końcu świata.

— Nie miałeś najmniejszych powodów do obaw.

— Jesteś pewna? Powiadają, że to wyjątkowo przystojny młodzieniec.

— Być może. Nie zauważyłam.

— Omal go nie zabiłem, gdy ośmielił się podarować ci Hiacyntę.

— Och, sądzę, że po prostu lubi szokować otoczenie. Domyśla! się, że nie przyjmę takiego prezentu.

— I nie muszę się obawiać w nim rywala?

— Nie musisz się obawiać żadnego rywala.

Znów chwycił mnie w ramiona, a ja zapomniałam o całym świecie.

Liczyło się tylko jedno: znalazłam miłość. I, zapewne jak tysiące zakochanych przede mną, byłam gotowa przysiąc, że nikt nigdy nie kochał się tak bardzo jak my.

— Zatem pojutrze wracamy do domu — odezwał się Connan po dłuższej chwili. — Od razu zaczniemy przygotowania, a za miesiąc o tej porze będziemy już małżeństwem. Zaraz po powrocie damy na zapowiedzi.

Musimy urządzić bal, na którym ogłosimy nasze zaręczyny, i potem zaprosić na ślub wszystkich sąsiadów.

— Nie da się tego uniknąć?

— Tradycja, najmilsza. Wszechpotężna władczyni, przed którą każdy musi się ugiąć. A ja wiem, że będziesz zachwycająca. Nie boisz się?

— Sąsiadów? Nie.

— Tym razem my dwoje otworzymy bal, najdroższa panno Leigh.

— Tak-powiedziałam.

W myślach zobaczyłam siebie w zielonej sukni i bursztynowym grzebyku we włosach, z brylantową broszką wpiętą przy dekolcie. Nie, nie obawiałam się wejścia w ten świat.

Wtedy Connan zaczął mówić o Alice.

— Nigdy ci nie opowiadałem o moim małżeństwie.

— To prawda.

— Nie było udane.

— Współczuję.

— To było małżeństwo z rozsądku, zaplanowane przez naszych rodziców.

Dlatego za drugim razem sam wybrałem sobie żonę. Tylko ten, kto doświadczył tego pierwszego, potrafi docenić radość drugiego. Najdroższa, wybaczone, ale nie żyłem jak mnich.

— Domyśliłam się.

— Jestem okropnym grzesznikiem.

— Jestem gotowa na najgorsze.

— Alice... moja żona... i ja wyjątkowo do siebie nie pasowaliśmy.

— Opowiedz mi o niej.

— Niewiele jest do powiedzenia. Była łagodną, cichą dziewczynką.

Może trochę przygaszoną. Domyślałem się dlaczego. Wychodząc za mnie, kochała innego.

— Mężczyznę, z którym uciekła?

Skinał głowę.

— Biedna Alice — powiedział. — Miała wyjątkowego pecha. Źle wybrała nie tylko męża, ale i kochanka. Jeden był wart drugiego. Kiedyś w tych stronach obowiązywało prawo pierwszej nocy. Ja i Geoffry robiliśmy, co w naszej mocy, by ta chlubna tradycja nie zaginęła.

— W ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że miałeś wiele miłosnych przygód?

— Jestem zepsutym do szpiku rozpustnikiem i uwodzicielem. A właściwie byłem. Od tej chwili bowiem do końca życia dochowam wierności jednej kobiecie. Nie patrzysz na mnie z pogardą ani z niedowierzaniem.

Bóg ci za to zapłaci. Mówię szczerze, najśodsza Marty. Przysięgam, mówię szczerze. Dzięki doświadczeniom z przeszłości potrafię odróżnić prawdziwe uczucie od zadrzenia. To, co czuję do ciebie, to miłość.

— Tak — powiedziałam z namysłem. — Dochowamy sobie wiary, bo tylko w ten sposób możemy dowieść głębi i prawdziwości naszego uczucia.

Chwyił mnie za rękę i całował je z przejęciem.

— Kocham cię — powiedział z głębi serca. — Pamiętaj... Zawsze o tym pamiętaj.

— Taki mam zamiar.

— Mogą dochodzić do ciebie różne plotki.

— Nieustannie słyszy się różne plotki.

— Pewnie słyszałaś o Alice i o tym, że Alvean nie jest moją córką?

Och, kochanie, ktoś się wygadał, a ty nie chcesz go zdradzić. To bez znaczenia.

A więc wiesz. Tak, to prawda, Nie umiałem wzbudzić w sobie miłości do tego dziecka. Unikałem jej, jak mogłem. Nieustannie przypominała mi o tym, o czym wolałem zapomnieć. Dopiero gdy ty się zjawiłaś, spojrzałem na Alvean inaczej. Dzięki tobie zobaczyłem w niej samotne dziecko, cierpiące za winy dorosłych. Sama widzisz, że mnie zmieniłaś, najdroższa Marty. Zmieniłaś całe Mount Mellyn. To utwierdza mnie w przekonaniu, że życie z tobą w niczym nie będzie przypominać mojego dawnego życia.

— Connanie, chcę, by to dziecko było szczęśliwe. Pragnę, by zapomniła, że nie wiadomo, kto naprawdę jest jej ojcem. Niech widzi ciebie w tej roli. Tego najbardziej potrzebuje.

— Ty będziesz dla niej matką. Zatem ja muszę być dla niej ojcem.

— Będziemy niewiarygodnie szczęśliwi, Connanie.

— Potrafisz zajrzeć w przyszłość?

— Potrafię zajrzeć w naszą przyszłość, bo sami ją stworzymy. A ja postanowiłam nadać jej kształt czystego, niezmaconego szczęścia.

— A skoro panna Leigh tak mówi, to tak będzie. Obiecujesz, że nie będziesz się przejmować, gdy dotrą do ciebie jakieś plotki?

— Wiem, myślisz o lady Treslyn. Jest twoją kochanką.

Te słowa wyrwały mi się same, bez udziału woli. Byłam zdumiona, że potrafię mówić o takich sprawach. Ale musiałam poznać prawdę, a moje pragnienie okazało się tak silne, że wzięło górę nad tym, co wypada, a co nie.

Connan skinął głową.

— Od tej chwili to przeszłość. To już skończone. — Pocałował mnie w rękę. — Czyż nie przysiągłem ci dozgonnej wierności?

— Ale, Connanie, jest tak piękna. I będziesz ją widywał.

— Ale ja jestem zakochany, po raz pierwszy w życiu naprawdę kocham.

— A jej nie kochałeś?

— Żądza, namiętność — odparł — czasem przybierają postać miłości, lecz kiedy spotykamy prawdziwe uczucie, uświadamiamy sobie, że tamto było tylko nędzną namiastką. Najdroższa, pogrzebiemy przeszłość, by zacząć od nowa. Ty i ja, na dobre i na złe... — Znów chwycił mnie w ramiona.

— Connanie, ja nie śnię, prawda? Powiedz, że to nie sen.

Było późno, gdy go zostawiłam. Wróciłam do pokoju oszałamiająco szczęśliwa. Bałam się zasnąć, żeby po przebudzeniu nie okazało się, że to wszystko tylko sobie wyśniłam.

Rano poszłam do Alvean i podzieliłam się z nią nowinami. Przez parę sekund na jej buzi widziałam uśmiech zadowolenia, potem zrobiła obojętną minę, ale nie dałam się oszukać. Wiedziałam, że się cieszy.

— Teraz już zawsze będzie pani z nami.

— Tak — zapewniłam.

— Ciekawe, czy nauczę się jeździć konno równie dobrze jak pani?

— Zapewne nawet lepiej. Będziesz mogła ćwiczyć częściej niż ja.

Znów przelotnie się uśmiechnęła, ale zaraz spoważniała.

— Panno Leigh, jak mam się teraz do pani zwracać? Będzie pani moją macochą, prawda?

— Tak, ale możesz zwracać się do mnie, jak zechcesz.

— Na pewno nie „panno Leigh”.

— Raczej nie, bo już nie będę panną ani nie będę się nazywać Leigh.

— Chyba będę musiała nazywać panią mamusią. — Zacisnęła usta.

— Jeśli chcesz, kiedy będziemy same, możesz mówić do mnie po imieniu: Martha. Albo Marty. Tak nazywali mnie mój ojciec i siostra.

— Marty — powtórzyła. — Podoba mi się. Dobre imię dla konia.

— To rzeczywiście największa pochwała! — przyznałam, a dziewczynka z poważną miną patrzyła na moje rozbawienie.

Przeszłam do pokoju Gilly.

— Gilly — powiedziałam — zostanę panią TreMetlyn.

Z jej oczu zniknęła pustka, uśmiechnęła się promiennie. Podbiegła do mnie i wtuliła się w moją suknię. Czułam, jak trzęsie się ze śmiechu.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć ścieżek, jakimi chadzały myśli Gilly, lecz tym razem bez cienia wątpliwości wiedziałam, że jest szczęśliwa.

W swojej małej główce połączyła mnie z Alice, dlatego ta wiadomość zaskoczyła ją mniej niż Alvean czy wszystkich, którzy o tym usłyszeli.

Gilly bowiem uważała za całkowicie naturalne, że zajmę miejsce Alice.

Podejrzewam, że od tamtej chwili stałam się dla niej Alice TreMellyn.

Podróż do domu upłynęła nam radośnie. W drodze do stacji śpiewaliśmy kornwalyskie pieśni. Nigdy jeszcze nie widziałam Connana tak szczęśliwego. I tak już będzie zawsze, pomyślałam.

Alvean przyłączyła się do śpiewu, Gilly też. Zdumiewało mnie, gdy słyszałam, jak to dziecko, które właściwie nie mówiło, nuciło cichutko, tylko dla siebie.

Śpiewaliśmy wyliczankę o dwunastu dniach świąt Bożego Narodzenia.

Connan miał głęboki, przyjemny dla ucha baryton i kiedy zanucił pierwszą zwrotkę, moje szczęście sięgnęło zenitu.

Pierwszego dnia Bożego Narodzenia mój najmilszy przysłał mi przepiórkę na drzewku gruszy.

Zatrzymałam się na piątym dniu i pięciu złotych pierścieniach, bo nie mogłam spamiętać następnych prezentów. Ze śmiechem przekomarzaliśmy się, ile właściwie było ślicznych mleczarek i gęsi niosek.

— Jakie niemądre prezenty — dziwiła się Alvean. — Oczywiście oprócz pięciu złotych pierścieni. On chyba udawał, że ją tak bardzo kocha.

— Nie, kochał ją szczerze — zaprotestowałam.

— Skąd miała wiedzieć? — drażyła Alvean.

— Bo jej to wyznał — odrzekł Connan.

— To mógł jej dać coś lepszego niż przepiórkę i gruszę. Założę się, że przepiórka uciekła, a grusza rodziła twarde owoce, które nadawały się tylko do pieczenia.

— Nie wolno tak surowo traktować zakochanych — oburzył się Connan.

— Cały świat ich uwielbia, nie możesz się wyłamywać!

I tak, śmiejąc się i przekomarzając, dojechaliśmy na stację.

Na miejscu czekał na nas Billy Trehay z powozem. Dopiero gdy dotarliśmy do Mount Mellyn uświadomiłam sobie, że Connan wcześniej musiał wysłać umyślnego. Pragnął zgotować mi królewskie przyjęcie i tak też uczynił, a ja byłam kompletnie nieprzygotowana na to, co mnie spotkało przy wejściu do domu.

Zebrała się tam cała służba: Polgreyowie, rodzina Tappertych, ogrodnicy i stajenni, nawet parobcy i dziewczyny ze wsi, najmowani do prac sezonowych. Stali w rzędzie jak na przeglądzie wojsk. Connan wziął mnie pod rękę i wprowadził do holu.

— Jak wam wiadomo — oznajmił — panna Leigh zgodziła się mnie poślubić.

Za parę tygodni zostanie panią na Mount Mellyn.

Mężczyźni skłonili się, a kobiety dygnęły, ale w niektórych oczach widziałam pewną podejrzliwość. Tak jak się spodziewałam, nie potrafili zaakceptować mnie jako swojej pani. Na razie.

Ogień w kominku w moim pokoju palił się jasno, sypialnia wyglądała swojsko i przytulnie. Zjawiła się Daisy z ciepłą wodą. Wyczułam u niej teraz pewien dystans. Nie zatrzymała się na pogaduszki, jak to wcześniej miała w zwyczaju.

Jeszcze odzyskam ich zaufanie, pomyślałam. Ale musiałam też pamiętać, że przyszła pani Mount Mellyn nie może plotkować z pokojówkami jak dawniej.

Kolację zjadłam z Connanem i Alvean, a potem wróciłam na górę z dziewczynką. Położyłam ją spać i zeszłam do biblioteki, gdzie czekał na mnie mój narzeczony.

Przed nami było tyle przygotowań, tyle spraw należało zaplanować.

Patrzyłam jednak w przyszłość z niczym niezmacną radością.

Connan spytał, czy już zawiadomiłam rodzinę. Odrzekłam, że nie. Ciągle jeszcze nie do końca wierzyłam, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— Może ten drobiazg pomoże ci uwierzyć — powiedział.

Z szuflady sekretarzyka wyjął puzderko i pokazał mi pierścionek z przepięknym szmaragdem, otoczonym wianuszkami brylantów.

— Jest... — zabrakło mi tchu — przepiękny. O wiele za piękny dla mnie.

— Nie ma rzeczy zbyt pięknej dla Marthy TreMellyn — oświadczył, biorąc moją lewą dłoń i wsuwając mi pierścionek na palec serdeczny.

Uniosłam rękę, podziwiając kamienie.

— Nie sądziłam, że kiedykolwiek dostanę coś równie zachwycającego.

— To dopiero początek. Zasypię cię takimi cudownościami. To zaledwie przepiórka na gruszy, najmilsza — obiecał, podnosząc moją dłoń do ust.

Teraz, ilekroć będę się zastanawiała, czy to nie sen, wystarczy, że spojrzę na rękę, a mój pierścionek ze szmaragdem powie mi, że nie śnię.

Następnego ranka, gdy zesłam na dół, okazało się, że Connan wyjechał gdzieś w interesach. Wróciłam na górę, a po lekcjach z Alvean i Gilly — bardzo dbałam, by nie zmieniać dotychczasowego porządku dnia — zaszyłam się u siebie. Nie minęło parę minut, gdy usłyszałam delikatne pukanie.

— Proszę! — zawołałam i do pokoju weszła pani Polgrey.

Miała nieco tajemniczą minę, natychmiast domyśliłam się więc, że chodzi o coś ważnego.

— Panno Leigh, muszę z panią omówić parę spraw. Zechciałaby pani do mnie zajrzeć? Wstawiłam już wodę. Skusi się pani na filiżankę herbaty?

Odrzekłam, że chętnie. Bardzo mi zależało, by nasze stosunki się nie zmieniły, bo zawsze uważałam je za co najmniej poprawne, by nie rzec przyjacielskie.

Siedziałyśmy w jej pokoju, pijąc herbatę. Tym razem gospodyni ani słówkiem nie wspomniała o whisky, co mnie rozbawiło, choć tego nie skomentowałam. Zostanę jej panią, a o ile guwernantka mogła wiedzieć o wzmacnianiu herbaty, o tyle jaśnie pani raczej nie powinna.

Po raz kolejny życzyła mi szczęścia i zapewniła o swojej radości.

— Nie tylko ja — dodała — ale wszyscy domownicy są zachwyceni.

Spytała, czy zamierzam wprowadzić jakieś zmiany, ale uspokoiłam ją, że pod tak czujnym okiem dom jest prowadzony wręcz wzorowo i nie widzę potrzeby, by cokolwiek zmieniać. Widziałam, że kamień spadł jej z serca. Usadowiła się wygodniej i przeszła do rzeczy.

— Kiedy pani nie było, wiele się tu działo.

— Tak? — powiedziałam, czując, że wreszcie dochodzimy do prawdziwego powodu zaproszenia.

— To w związku z nagłą śmiercią sir Thomasa Treslyna.

Serce zaczęło mi niespokojnie bić.

— Przecież został pochowany. Byłyśmy na jego pogrzebie.

— Tak, tak. Ale możliwe, że to jeszcze nie koniec.

— Nie rozumiem, pani Polgrey.

— Cóż... Pojawiiy się pogłoski... paskudne plotki. Do tego jeszcze anonimy.

— Kto... kto je dostawał?

— Ona, panno Leigh. Wdowa. I inni też... Tak czy owak, zamierzają go wykopać. Będzie ekshumacja, panno Leigh.

— To znaczy... Podejrzewają, że ktoś go otrui?

— Cóż... Wszystko przez te anonimy. I rzeczywiście, sir Thomas umarł dość nieoczekiwanie. A najbardziej nie podoba mi się, że umarł, wracając od nas... Nikt nie lubi, by jego dom kojarzono z takimi wydarzeniami...

Patrzyła na mnie dziwnie i wydawało mi się, że w jej oczach widzę podejrzliwość.

Próbowałam nie dopuszczać do siebie nieprzyjemnych obrazów, które ożywały w mojej pamięci. Mimo to jednak znowu zobaczyłam Connana i lady Treslyn w pokoju ponczowym. Stali razem, odwróceny do mnie plecami, śmiejąc się. Czy Connan już wtedy mnie kochał? Nie wyglądało na to. Przypomniały mi się słowa, które wypowiedziała po balu lady Treslyn: „To już niedługo. Już wkrótce”. Tak powiedziała... i to do niego.

A potem jeszcze rozmowa, której fragmenty podsłuchałam w lesie.

Co to oznaczało?

To pytanie kołatało mi w głowie, ale nie chciałam szukać odpowiedzi.

Bałam się. Nie zniósłabym, gdyby moje nadzieje i marzenia legły w gruzach. Muszę wierzyć Connanowi, dlatego nie będę nawet zadawać sobie tego pytania.

Spojrzałam na panią Polgrey z absolutną obojętnością.

— Myślałam, że będzie pani chciała o tym wiedzieć — bąknęła.

Rozdział 8

Dałam się. Od czasu gdy zamieszkałam w tym domu, nigdy jeszcze tak się nie bałam.

Zapadła decyzja o ekshumacji ciała sir Thomasa Treslyna, który zmarł po kolacji w Mount Mellyn. Ludzie uważali jego śmierć za podejrzaną, ktoś zaczął rozsyłać po okolicy anonimy. Skąd brały się te podejrzenia?

Bo żona chciała się pozbyć sir Thomasa; wszyscy wiedzieli o romansie lady Treslyn i Connana. Małżeństwo uniemożliwiały im dwie przeszkody: Alice i sir Thomas. Oboje zmarli nagle.

Ale Connan nie zamierzał ożenić się z lady Treslyn. Kochał mnie.

Nagle zaświtała mi przerażająca myśl. A może wiedział o planowanej ekshumacji? Czyżbym dała się oszukać? Czyżby mój cudowny, ziszczony sen miał się okazać koszmarem?

Czyżbym została wykorzystana przez cynicznego uwodziciela? Dlaczego nie użyć właściwego słowa? Czyżbym została wykorzystana przez mordercę?

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie uwierzę w to nigdy! Kocham Connana, przysięgłam mu dogonną wierność. Złożyłam uroczystą przysięgę i co? Ledwo pojawiły się jakieś głupie plotki, ja już dopuszczam do siebie najgorsze podejrzenia.

Próbowałam przemówić sobie do rozsądku. Jesteś doprawdy szalona, Martho Leigh. Naprawdę wierzysz, że człowiek taki jak Connan TreMellyn mógł cię pokochać?

Tak, wierzę. Wierzę, odpowiadałam z żarem.

A mimo to byłam śmiertelnie przerażona.

W pomieszczeniach dla służby w Mount Mellyn rozmowy obracały się wokół dwóch tematów: ekshumacji zwłok sir Thomasa oraz zaręczyn pana z guwernantką.

Bałam się patrzeć w surowe oczy pani Polgrey, lubieżne ślepka Tapperty'ego oraz pełne podniecenia oczka jego córek.

Czyżby oni również, tak jak ja, łączyli te dwa wydarzenia?

Spytałam Connana, co sądzi o sprawie Treslyna.

— Czcze plotki, burza w szklance wody. Sekcja zwłok potwierdzi, że sir Thomas umarł śmiercią naturalną. Przecież nawet jego lekarz, który zajmował się nim od lat, ostrzegał, że właśnie tak może się stać.

— Nie zazdrozczę lady Treslyn tej sytuacji.

— Linda nie lubi zamartwiać się bzdurami. Ale te anonimy tak dały jej się we znaki, że pewnie nawet się ucieszy, gdy sprawa ostatecznie się wyjaśni.

Pomyślałam o lekarzach, dokonujących sekcji. Z pewnością będą to ludzie, którzy znają Treslynów i Connana. A skoro Connan zamierzał się ze mną ożenić — co rozgłaszał na lewo i prawo — może podejść do sprawy inaczej, niż gdyby sądzili, że lady Treslyn spieszo do powtórnego zamążpójścia? Kto wie?

Muszę odpędzić te straszne myśli. Będę wierzyć w Connana. Muszę.

Bo inaczej musiałabym stawić czoło świadomości, że zakochałam się w mordercy.

Zaproszenia na zaręczynowy bal rozesłano szybko — dla mnie wręcz za szybko. Oczywiście nie zaprosiliśmy lady Treslyn — w końcu dopiero co owdowiała, a teraz jeszcze wisiła nad nią sprawa sekcji zwłok jej męża. Bal miał odbyć się już czwartego dnia po naszym powrocie z Penlandstow.

Dzień przed uroczystością do Mount Mellyn przyjechali Celestine i Peter Nansellockowie. Celestine serdecznie mnie uściskała i ucałowała.

— Jakże się cieszę, moja droga. Widziałam, jak cudownie opiekowała się pani Alvean, i wiem, że to będzie dla niej wielka radość. — W jej oczach zalśniły łzy. — Alice nie posiadałaby się ze szczęścia.

Podziękowałam jej i dodałam:

— Zawsze okazywała mi pani wiele serca.

— Cieszyłam się, że Alvean wreszcie znalazła guwernantkę, która naprawdę ją rozumiała.

— Sądziłam, że panna Jansen też ją rozumiała.

— Panna Jansen... Owszem. My też tak sądziliśmy. Wielka szkoda, że okazała się nieuczciwa. Cóż, może po prostu ten jeden raz uległa pokusie.

Zrobiłam, co w mojej mocy, by jej pomóc.

— Cieszę się, że ktoś się o nią zatroszczył.

Podszedł do nas Peter. Uniósł moją rękę do ust i lekko musnął. Connan patrzył na to z nieukrywaniem rozdrażnieniem. Serce mocniej zabito mi z radości i zawstydziłam się swoich podejrzeń.

— Szczęściarz z tego Connana! — zawołał Peter. — Chyba nie muszę dodawać, jak strasznie mu zazdroszczę. Zdaje się, że wystarczająco dobitnie dałem temu wyraz. Przyproceedziłem Hiacyntę. Wszak obiecywałem, że jeszcze ją pani ode mnie dostanie, czyż nie? Otóż, to mój prezent ślubny. Nie może go pani odrzucić.

Zerknęłam na Connana.

— Prezent dla nas obojga — powiedziałam.

— O, nie! — zaprotestował Nansellock. — Hiacynta jest dla pani. Dla Connana wymyślę coś innego.

— Dziękuję, to wspaniały dar.

Potrząsnął głową.

— Nie mogłem znieść myśli, że miałby jej dosiadać kto inny. Mam do tej klaczy wyjątkowy sentyment, pragnąłem jej znaleźć dobry dom.

A wie pani, że wyjeżdżam pod koniec przyszłego tygodnia?

-Już?

— Sprawy nabrały tempa, a nic mnie tu nie trzyma... — Spojrzał na mnie znacząco. -Już nie.

Zauważyłam, że Kitty, która podawała wino, zamienia się w słuch.

Celestine była pogrążona w rozmowie z Connanem.

— Czyli Connan w końcu wybrał panią — podjął Peter. — Cóż, jedno jest pewne, będzie go pani krótko trzymać.

— Może się pan zdziwi, ale nie chcę być jego guwernantką.

— Boja wiem? Guwernantka zawsze pozostanie guwernantką. Alvean nie wygląda na pogrążoną w żalu.

— Sądzę, że mnie zaakceptuje.

— A ja sędzę, że lubi panią nawet bardziej niż pannę Jansen.

— Biedna panna Jansen! Ciekawe, co się z nią stało?

— Celeste znalazła jej posadę. Żal jej chyba było tej biedulki.

— Och, bardzo się cieszę.

— Umieściła ją u naszych znajomych. U Merrivale'ów. Mieszkają w jakiejś głuszy, na drugim końcu Dartmoor. Ciekaw jestem, jak naszej wesołej pannie Jansen żyje się w Hoodfield Manor. Pewnie się nudzi, do Tavistock, najbliższego miasta, jest dobre sześć mil.

— To miło ze strony Celestine, że się o nią zatroszczyła.

— Już taka jest ta moja siostrzyczka. — Uniósł kieliszek. — Za pani szczęście, panno Leigh. A ilekroć będzie pani dosiadała Hiacynty, proszę o mnie pomyśleć.

— Obiecuję. O panu... i ojej imienniczce, pannie Jansen.

Peter się roześmiał.

— A gdyby kiedyś zmieniła pani zdanie... -uniósł brwi — ...i postanowiła jednak nie wychodzić za Connana, gdzieś na drugim końcu świata będzie czekał na panią przytulny kącik. Dochowam pani wierności aż po grób, panno Leigh.

Parsknęłam śmiechem i dopiłam wino.

Następnego dnia dosiadłam Hiacynty i wybrałam się z Alvean na przejażdżkę. Jazda na tak cudownym wierzchowcu była prawdziwą przyjemnością. Pomyślałam, że los zasypuje mnie wspaniałymi darami.

Teraz miałam nawet własnego konia.

Bal udał się nadzwyczajnie. Ku memu zdumieniu szybko zostałam zaakceptowana przez okoliczne ziemiaństwo. Wszyscy puścili w niepamięć fakt, że byłam guwernantką Alvean. Sąsiedzi Connana woleli podkreślać moje wykształcenie i przyzwoite pochodzenie. A tym, którzy go lubili, może i spadł kamień z serca, bo skoro Connan żeni się ze mną, nie zaszkodzi mu skandal Treslynów.

Następnego dnia po balu Connan znów wyjechał w interesach.

— W czasie pobytu w Penlandstow zaniedbałem wiele spraw — wyjaśnił.

— A o niektórych po prostu zapomniałem, co łatwo zrozumieć, bo myślałem o czym innym. Nie będzie mnie jakiś tydzień, a kiedy wrócę, do ślubu pozostaną tylko dwa tygodnie. Ty będziesz się już szykować... Właśnie, skarbie, gdybyś chciała coś zrobić w domu, może coś zmienić, mów śmiało. Warto też zasięgnąć rady Celestine, zna się na starych budowlach jak nikt.

Obiecałam, że tak zrobię. Wiedziałam, że to sprawi jej przyjemność, a mnie zależało na jej sympatii.

— Od samego początku okazywała mi serce. Zawsze będę czuła wobec niej wdzięczność.

Connan pożegnał się ze mną i ruszył w drogę. Pomachałam mu z okna. Nie chciałam robić tego z ganku, bo krępowalam się służby.

Kiedy wyszłam z pokoju, zobaczyłam przy drzwiach Gully. Od kiedy jej powiedziałam, że zostanę panią TreMellyn, nie odstępowała mnie na krok. Powoli zaczynałam rozumieć, co dzieje się w jej głowce. Kochała mnie równie gorąco jak Alice, a z każdym dniem my obie stapiałyśmy się w jej myślach w nierozłączną całość. Alice zniknęła z jej życia. Musiała dopilnować, by ze mną nie stało się to samo.

— Witaj, Gilly — powiedziałam.

W charakterystyczny dla siebie sposób spuściła głowę i roześmiała się do siebie. Potem wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do pokoju.

— Dasz wiarę, Gilly? Za trzy tygodnie wyjdę za mąż. Jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Tak naprawdę w ten sposób próbowałam dodać sobie pewności, bo czasem, rozmawiając z Gilly, czułam się, jakbym rozmawiała ze sobą.

Przypomniało mi się, co Connan powiedział o wprowadzaniu zmian w domu, i uświadomiłam sobie, że do niektórych pomieszczeń nawet jeszcze nie zajrzałam.

Nieoczekiwanie pomyślałam o pannie Jansen i o tym, czego dowiedziałam się zaraz po przyjeździe — że zajmowała inny pokój. Nigdy przedtem nie zaglądałam do jej sypialni i postanowiłam dziś to zrobić.

Teraz już nie powstrzymywały mnie żadne skrupuły, śmiało mogłam chodzić, gdzie chciałam. Przecież niedługo będę panią tego domu.

— Chodź, Gilly — powiedziałam. — Zajrzemy do pokoju panny Jansen.

Zadowolona dreptała u mego boku. Po raz kolejny przekonałam się, że jest o wiele mądrzejsza, niż wszystkim się wydawało, bo to ona zaprowadziła mnie do pokoju dawnej guwernantki.

Nie zauważyłam w nim niczego nadzwyczajnego. Był mniejszy od mojego, za to miał wyjątkowo piękne freski. Przyglądałam im się, gdy Gilly pociągnęła mnie za rękę i podprowadziła do ściany. Przyniosła krzesło i wdrapała się na nie. Wtedy zrozumiałam. Na ścianie było, wkomponowane w rysunek, kolejne zerkadełko. Wyjrzałam przez nie i zobaczyłam kaplicę. Oczywiście z innego miejsca niż wtedy, gdy patrzyłam przez zerkadełko w ogrodzie zimowym, bo pokój panny Jansen znajdował się po przeciwnej stronie.

Gilly spojrzała na mnie, dumna, że pokazała mi zerkadełko. Wróciłyśmy do pokoju. Wyraźnie nie chciała mnie opuścić.

Widziałam, że czegoś się boi. Domyśliłam się czego. Biedactwo, uro iła sobie, że jestem drugą Alice i bała się, że zniknę jak ona. Dlatego po stanowiła mnie pilnować, by się upewnić, że nie podzielę losu tamtej.

Przez całą noc szalał południowo-zachodni wiatr, przynosząc ze sobą ulewny, zacinający deszcz. Żywioł był tak potężny, że zagrażał nawet solidnym murom zamku. Od początku mojego pobytu w Mount Mellyn nie pamiętałam równie gwałtownej ulewy.

Następnego dnia też lalo. Wszystko w moim pokoju — lustro, tka niny, meble — pokryła warstwa wilgoci. To się zdarzało, wyjaśniła mi pani Polgrey, gdy południowo-zachodni wiatr przynosił deszcz. A często przynosił.

Tego dnia nie było więc mowy o przejażdżce z Alvean, za to następnego ranka nieco się przetańczyło i padała tylko mżawka. Przyjechała lady Treslyn, ale się z nią nie spotkałam. Nie pytała o mnie. To pani Polgrey przekazała mi, że zjawiła się wdowa i chciała rozmawiać z Connanem.

— Wyglądała na bardzo przygnębioną — dodała. — Nie zazna spokoju, póki ta sprawa wreszcie się nie skończy.

Mogłam się założyć, że lady Treslyn zamierzała porozmawiać z Connanem o jego zaręczynach, a przygnębiona była dlatego, że nie zastała go w domu.

Zajrzała także Celestine Nanselock. Gawędziłyśmy o domu. Cieszyła się, że tak się interesuję Mount Mellyn.

— Nie tylko jako domem, ale i zabytkową budowlą — powiedziała. — Mam stare dokumenty dotyczące Mount Mellyn i Mount Widden, pokażę je pani któregoś dnia.

— Liczę na pani pomoc. Przyjemnie mieć kogoś, z kim można o tym porozmawiać.

— Zamierza pani wprowadzać jakieś zmiany? — spytała.

— Nawet jeśli, to najpierw będę szukała rady u pani.

Pożegnała się przed południem. Po obiedzie razem z Alvean poszłyśmy do stajni. Stałyśmy, czekając, aż Billy Trehay przywodzi nam konie.

— Hiacynta jest dziś niespokojna.

— To dlatego że od przedwczoraj nie miała ruchu.

Pogładziłam ją po chrapach, a ona odwzajemniła się, szturchając moją dłoń.

Pojechaliśmy tą samą trasą co zawsze: w dół zbrocza, wzdłuż zatoki, obok Mount Widden, a potem po klifie. Rozciągał się stamtąd zapierający dech w piersi widok na skaliste wybrzeże i cypel Ramę Head, zasłaniający Plymouth i Sound.

Czasem droga zwężała się do wąskiej ścieżynki, nieraz głęboko wrzynając się w klif. Podążaliśmy to w górę, to w dół, czasem schodziliśmy niemal do plaży, czasem wspinałyśmy się na sam szczyt klifu.

Nie jechało się najlepiej, gdyż kopyta wierzchowców grzęzły w błocie.

Zacęłam się niepokoić o Alvean. Siedziała w siodle pewnie — wszak nie była już nowicjuską — ale czułam podenerwowanie Hiacynty i podejrzewałam, że Czarny Książę, choć o wiele łagodniejszy i mniej kapryśny niż moja klacz, też może mieć dziś humory. Hiacynta rwała się do galopu i nieraz musiałam mocno ścigać jej cugle. Śliskie, grzaskie ścieżki były dziś o wiele bardziej niebezpieczne niż zwykle.

Zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie ścieżka zamieniała się w wąski przesmyk. Po jednej stronie wznosiła się stroma ściana klifu, porośnięta janowcem i jeżynami, po drugiej zionęła przepaść. Zwykle nie bałam się tego miejsca, ale dziś byłam trochę niespokojna, jak sobie poradzi Alvean.

Zauważyłam, że miejscami część klifu się osunęła. To często się tu zdarzało. Tapperty mawiał, że zazdrosne morze zabiera ziemi jej własność i że jeszcze za czasów jego dziadka w miejscu, gdzie teraz jest morze, prowadziła droga.

Przez chwilę zastanawiałam się, czyby nie zawrócić, ale wtedy musiałabym przyznać się Alvean do niepokoju, a nie chciałam tego robić, gdy siedziała na koniu.

Nie, zdecydowałam, pojedziemy tą ścieżką aż do miejsca, gdzie łączy się z głównym traktem i wrócimy do domu okrężną, ale bezpieczną drogą.

Dotarliśmy do najgorszego miejsca. Ścieżka była niebezpiecznie śliska i jeszcze węższa niż parę dni temu, bo woda podmyła grunt i morze wykradło lądowi kolejny kawał klifu. Ściągnęłam wodze Hiacynty i powoli poprowadziłam ją przed Alvean na Czarnym Księciu, bo oczywiście ten odcinek musiałyśmy pokonać gęsiego. Zatrzymałam się i obejrzałam przez ramię.

— Tu musimy jechać bardzo wolno — uprzedziłam dziewczynkę. — Rób to, co ja.

I wtedy go usłyszałam. Błyskawicznie odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak ze szczytu odrywa się głaz i leci w dół, ciągnąc za sobą lawinę kamyków, rozorując trawę, miażdżąc krzaki. Zaledwie o parę cali minął Hiacyntę i runął do morza. Przyglądałam się temu osłupiała. Klacz wierzgnęła. Była przerażona, gotowa skoczyć gdziekolwiek... w dół... do morza... byleby uciec przed tym, co ją spłoszyło.

Uratowało nas moje doświadczenie oraz to, że tak dobrze się z Hiacyntą rozumialiśmy. W ciągu paru sekund opanowałam sytuację i odzyskałam kontrolę nad klaczą. Uspokoila się, gdy zaczęłam do niej szeptać pieszczotliwe słowa, choć głos mi nieco drżał.

— Panno Leigh! Co się stało? — odezwała się zaniepokojona Alvean.

— Już po wszystkim — odrzekłam, starając się mówić beztrosko. Świetnie sobie poradziłaś.

— Bałam się, że Czarny Książę przestraszy się i poniesie.

I poniósłby, pomyślałam, gdyby Hiacynta się spłoszyła.

Byłam śmiertelnie przerażona i wstrząśnięta, lecz ani dziewczynka, ani klacz nie mogły się o tym dowiedzieć.

Marzyłam, by znaleźć się jak najdalej od tej niebezpiecznej dróżki.

Niespokojnie popatrzyłam w górę.

— Jazda po tych drogach nie jest najbezpieczniejsza... teraz, po tej ulewie.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, ale przeczesałam wzrokiem najgęstsze krzewy. Naprawdę dostrzegłam za nimi jakiś ruch czy tylko poniosła mnie wyobraźnia? To była idealna kryjówka. A jeśli deszcze podmyły kamień? Znakomita okazja dla kogoś, kto chciałby się mnie pozbyć. Wystarczyło ukryć się i pchnąć głaz, gdy znajdowałam się pod nim. Stanowiłam łatwy cel. A ostatnio regularnie, o stałej porze przejeżdżałam tędy z Alvean. Przeszedł mnie dreszcz.

— W drogę — zwróciłam się do dziewczynki. — Pojedziemy na szczyt, do głównego traktu i tamtędy wrócimy do domu.

Alvean milczała. A kiedy po kilku minutach dotarliśmy na główną drogę, dziwnie na mnie popatrzyła. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę, jakiej tragedii uniknęłyśmy.

Dopiero w zaciszu sypialni uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam przerażona. Za dużo tych nieszczęśliwych wypadków. Najpierw śmierć Alice. Potem śmierć sir Thomasa— A teraz ja, która wkrótce miałam zostać żoną Connana, omal nie zginęłam na kamienistej ścieżce.

Marzyłam, by zwierzyć mu się z moich lęków.

Ale przecież jestem rozsądną, trzeźwo myślącą kobietą. Chyba nie zamknę oczu i nie będę ślepa na prawdę tylko dlatego, że boję się, co może mi przynieść?

Załóżmy, że mój narzeczony wcale nie wyjechał. Załóżmy, że — gdy wszyscy sądzili, że zajmuje się interesami — czekał w pobliżu, aż spotka mnie tragiczny wypadek. Przed oczami stanęła mi lady Treslyn. Piękna, zmysłowa, ponętna. Przyznał, że była jego kochanką. Była? Czy ktoś, kto znalazł lady Treslyn, mógł potem pokochać mnie?

Oświadczyły Connana spadły na mnie jak grom z jasnego nieba.

A zbiegły się w czasie z decyzją o ekshumacji ciała męża jego kochanki.

Nic dziwnego, że rozsądna, trzeźwo myśląca guwernantka poczuła paniczny lęk.

U kogo szukać pomocy?

Peter albo Celestine... Tylko oni dwoje. Nie, nie mogłam zwierzyć im się z tych strasznych podejrzeń. Wystarczy, że sama o tym pomyślałam.

— Nie panikuj — skarciłam się na głos. — Zachowaj spokój. Zastanów się, co możesz zrobić.

Pomyślałam o tym wielkim, pełnym tajemnic domu; domu, gdzie z pewnych pomieszczeń można obserwować, co dzieje się w innych.

A nuż są zerkadelfka, których jeszcze nie odkryłam. Kto wie? Może w tym momencie ktoś mnie obserwuje?

Przypomniałam sobie o zerkadelfku w pokoju panny Jansen, a potem o niej samej i jej nieoczekiwanym zwolnieniu. A wreszcie powtórzyłam na głos: „Hoodfield Manor niedaleko Tavistock”.

Byłam ciekawa, czy panna Jansen nadal tam pracuje. Całkiem niewykluczone, bo zapewne pojechała tam mniej więcej w tym czasie, gdy ja zamieszkałam w Mount Mellyn.

Czemu by się z nią nie spotkać? Może pomogłaby mi wyjaśnić niektóre zagadki tego domu?

Paraliżował mnie strach, a najskuteczniejszym lekarstwem na obawy jest działanie.

Kiedy napisałam list, od razu poczułam się lepiej.

Droga Panno Jansen, jestem guwernantką w Mount Mellyn i wiele o Pani słyszałam. Bardzo chciałabym Panią poznać. Czy to możliwe? Jeśli tak, to chętnie spotkałabym się z Panią w jak najbliższym terminie.

Łączę wyrazy szacunku Martha Leigh Szybko wysłałam list, nie dając sobie czasu na zmianę decyzji. A potem próbowałam o nim zapomnieć.

Czekałam na wiadomość od Connana. Milczał. Co dzień wyglądałam jego powrotu. Kiedy wróci do domu, myślałam, podzielę się z nim swoimi lękami i obawami. Muszę to zrobić. Opowiem mu o wypadku na klifie.

Zażądam, by wyznał mi prawdę. Zapytam: Connanie, dlaczego mi się oświadczyłeś? Dlatego że mnie kochasz i pragniesz, bym została twoją żoną? Czy dlatego, by odwrócić podejrzenia od siebie i lady Treslyn?

Szatański plan, którego zarys widziałam oczami wyobraźni, z minuty na minutę wydawał się coraz bardziej prawdopodobny.

Może Alice zginęła przypadkowo i w ten sposób zrodził się pomysł!

usunięcia sir Thomasa, jedynej przeszkody na drodze do małżeństwa?

Czy dodali coś do jego whisky? Czemu nie? A to, że głąz runął właśnie w chwili, gdy przejeżdżałam ścieżką poniżej, nie mogło być przypadkiem.

Zarządzono ekshumację zwłok sir Thomasa, a że cała okolica wiedziała o romansie pana TreMellyna z lady Treslyn, Connan zaręczył się z guwernantką, w ten sposób odwracając od siebie podejrzenia. Teraz więc przeszkodą stała się guwernantka, tak jak wcześniej Alice i sir Thomas. Zatem guwernantkę musiał spotkać nieszczęśliwy wypadek, gdy jechała na kłaczy, którą dopiero co dostała, i jeszcze nie zdążyła do niej przywyknąć.

Wreszcie nic nie stoi na przeszkodzie sprytnym kochankom. Muszą tylko poczekać, aż przycichną plotki.

Jak mogłam podejrzewać mężczyznę, którego kocham, o takie zamiary?

Jak można kogoś kochać, a jednocześnie w ten sposób o nim myśleć?

Kocham go, powtarzałam w myślach z żarem. Kocham tak bardzo, że wolę zginąć z jego ręki niż wyjechać stąd i skazać się na życie bez niego.

Trzy dni później przyszedł list od panny Jansen, która chętnie zgodziła się na spotkanie. Następnego dnia wybiera się do Plymouth, możemy więc umówić się w południe w zajezdzie White Hart i zjeść razem obiad.

Oświadczyłam pani Polgrey, że jadę do Plymouth na zakupy. Nie wzbudziło to żadnych podejrzeń, w końcu za trzy tygodnie mój ślub.

Pojechałam prosto do zajazdu. Panna Jansen — śliczna, jasnowłosa dziewczyna — już czekała. Przywitała mnie serdecznie i powiedziała, że pani Płint, żona właściciela zajazdu, zgodziła się, abyśmy zjadły obiad we dwie w małym pokoiku.

Gospodyni zaprowadziła nas do pokoju, gdzie wreszcie uważnie się sobie przyjrzałyśmy. Kobieta rozplęwała się w zachwytach nad przepyszną kaczką z groszkiem oraz pieczenia wołową, ale my nie wykazywałyśmy zainteresowania jedzeniem. Zamówiłyśmy coś dla świętego spokoju — chyba była to pieczeń.

— Co pani sądzi o Mount Mellyn? — spytała panna Jansen, ledwo za gospodynią zamknęły się drzwi.

— To cudowne miejsce. I bardzo stare.

— Jedna z najciekawszych rezydencji, jakie widziałam — odrzekła.

— Rzeczywiście, pani Polgrey wspominała chyba, że interesuje się pani starymi budowlami.

— To prawda. Wychowałam się w takim dworze. Niestety, nasz majątek przepadł i jak wiele panien w podobnej sytuacji musiałam szukać pracy jako guwernantka. Trudno mi było wyjechać z Mount Mellyn.

Wie pani, dlaczego odeszłam?

— T-tak — przyznałam z wahaniem.

— Wyjątkowo nieprzyjemna historia. Nie da się opisać mojego gniewu, gdy zwolniono mnie z powodu fałszywego oskarżenia.

Mówiła tak szczerze i wyglądała tak uczciwie, że uwierzyłam jej i zapewniłam ją o tym. To wyraźnie ją ucieszyło.

Wniesiono pieczęć. Jadłyśmy, a panna Jansen opowiadała, co się wydarzyło.

— Treslynowie i Nansellockowie przyjechali na podwieczorek. Oczywiście zna pani jednych i drugich?

— Naturalnie.

— Na pewno sporo pani o nich wie. To bliscy przyjaciele rodziny.

— O, tak.

— Okazywali mi wiele serdeczności. — Zaczerwieniła się nagle.

Tak, jesteś śliczna, pomyślałam. Connan by się ze mną zgodził. Poczułam ukłucie nie tyle zazdrości, ile niepokoju. Zastanawiałam się, czy w przyszłości będę nieustannie zazdrosna o względy, jakimi będzie darzył przedstawicielki płci pięknej.

— Zaprosili mnie na dół — ciągnęła — bo panna Nansellock chciała ze mną porozmawiać o Alvean. Uwielbiała ją. Nadal tak jest?

— Tak. Bardzo ją kocha.

— To wyjątkowa kobieta. Nie wiem, jakbym sobie bez niej poradziła.

— Cieszę się, że ktoś się o panią zatroszczył.

— Wydaje mi się, że traktuje Alvean jak własną córkę. Krążyły plotki, że ojcem małej był brat panny Nansellock, co oznaczałoby, że dziewczynka jest jej bratanicą. Może dlatego...

— Niewątpliwie panna Nansellock darzy Alvean głębokim uczuciem — ucięłam jej domysły.

— Wracając do tamtego podwieczorku. Wezwali mnie na dół, bym z nią porozmawiała. Poczęstowali mnie herbatą i gawędziłam z nimi, jakbym była gościem, nie guwernantką. Lady Treslyn bardzo się to nie podobało. Zdaje się, że nie życzyła sobie mojej obecności w salonie.

Może dlatego, że panowie, to znaczy pan Peter Nansellock i pan Tre— Mellyn, poświęcali mi za dużo uwagi, a lady Treslyn łatwo rozgniewać.

Podejrzewam, że ona to wszystko ukartowała.

— Nie byłaby aż tak podła!

— Przeciwnie. Po niej wszystkiego można się spodziewać. Otóż tego dnia miała wysadzaną brylantami bransoletkę. Zepsuł jej się zamek, chyba zahaczyła nim o obicie fotela. Powiedziała: „zdejmę ją i w drodze powrotnej zaniosę do starego Pasterna, niech to naprawi”. I rzeczywiście, zdjęła bransoletkę i położyła na stoliku. Zostawiłam gości i wróciłam na górę, aby zająć się Alvean. Upłynęło trochę czasu, aż tu nagle drzwi się otwierają i wpada całe towarzystwo, patrząc na mnie oskarżycielsko.

Lady Treslyn oświadczyła ze złością, że zamierzają przeszukać mój pokój, bo zginęła jej bransoletka. Zachowywała się tak, że ktoś mógłby pomyśleć, iż jest panią tego domu. Pan TreMellyn wyjaśnił uprzejmie, że lady Treslyn grzecznie pyta, czy można przeszukać moją sypialnię, i wyraził nadzieję, że się nie obrażę. Dotknęli mnie tym do żywego. Powiedziałam: „Proszę, niech państwo szukają. Nalegam”. Weszliśmy do mojego pokoju, a tam, w

szufladzie, ukryta pod moimi drobiazgami, leżała brylantowa bransoletka. Lady Treslyn oświadczyła, że przyłapali mnie na gorącym uczynku i że wyśle mnie do więzienia.

Tamci błagali, by nie robiła skandalu. Wreszcie zostało uzgodnione, że jeśli natychmiast opuszczę Mount Mellyn, zapomnę o tej sprawie. Byłam wściekła. Chciałam zażądać dochodzenia. Ale co mogłam powiedzieć?

Znaleźli bransoletkę w moim pokoju i żadne tłumaczenia na nic by się nie zdary.

— To musiało być dla pani straszne.

Przeszedł mnie dreszcz. Panna Jansen pochyliła się i uśmiechnęła ze zrozumieniem.

— Boi się pani, że to samo może spotkać i panią. Lady Treslyn postawiła sobie za cel małżeństwo z Connanem TreMellynem.

— Tak pani sądzi?

— Wiem o tym. Jestem przekonana, że coś ich łączyło. W końcu owdowiał, a należy do tych mężczyzn, którzy nie potrafią żyć bez kobiet.

To się czuje.

— Pani też czynił awanse? — spytałam.

Wzruszyła ramionami.

— Wystarczy, że lady Treslyn uważała mnie za zagrożenie. I znalazła sposób, by usunąć mnie z drogi.

— Cóż za podła istota! Za to panna Nansellock ma wielkie serce.

— O, tak. Oczywiście, była przy tym, jak znaleziono bransoletkę.

Kiedy się pakowałam, weszła do mnie do pokoju i powiedziała: „Jest mi ogromnie przykro, że tak się stało. Wiem, że znaleźli w pani szufladzie bransoletkę, ale to nie pani ją tam włożyła, prawda?”. Mogłam tylko wykrztusić: „Panno Nansellock, przysięgam, że to nie ja”. Proszę mi wierzyć, byłam na skraju hysterii. To wszystko się zdarzyło tak nagle.

Bałam się, co ze mną będzie. Zaoszczędziłam niewiele, a musiałabym zamieszkać w jakiejś gospodzie, dopóki nie znajdę nowej posady. Zdawałam sobie sprawę, że to nie takie proste, bo przecież nie dostanę referencji.

Nigdy nie zapomnę dobroci panny Celestine. Spytała, dokąd się wybieram, więc podałam jej ten adres w Plymouth. Powiedziała:

„Wiem, że za miesiąc Merrivale'owie będą szukali guwernantki. Postaram się, by panią przyjęli”. Pożyczyła mi drobną sumę, którą już jej zwróciłam, choć się wzbraniała, i żyłam jakoś, dopóki nie pojechałam do Merrivale'ów. Oczywiście, napisałam do panny Nansellock z podziękowaniem, ale czyż można podziękować słowami za tak ogromną dobroć i wielkie serce?

— Chwała Bogu, że znalazł się ktoś, kto pani pomógł w potrzebie.

— Bóg jeden wie, co by się ze mną stało, gdyby nie ona. Pracujemy w niewdzięcznym zawodzie, zdane na łaskę i niełaskę naszych chlebodawców.

Nic więc dziwnego, że tyle jest wśród nas słabych i zahukanych istot. — Rozpogodziła się. — Ale staram się o tym zapomnieć. Wychodzę za mąż. Mój narzeczony jest lekarzem Merrivale'ów. Za pół roku skończę z tym zajęciem.

— Winszuję! A skoro o tym mowa, to ja również się zaręczyłam.

— Cudownie!

— Z Connanem TreMellynem — dodałam.

Wpatrywała się we mnie oszołomiona.

— Cóż... — wykrztusiła. — Życzę pani wiele szczęścia.

Była wyraźnie zażenowana, pewnie gwałtownie usiłowała sobie przypomnieć, co mówiła o Connanie. I wyglądała, jakby sądziła, że zaiste będę potrzebowała wiele szczęścia.

Nie potrafiłam jej wyjaśnić, że wolę jeden burzliwy rok z moim ukochanym niż całe życie w spokojnej przystani z kimś innym.

— Zastanawiam się — odezwała się po chwili — czemu właściwie chciała się pani ze mną spotkać.

— Dlatego że wiele o pani słyszałam; często wspomniano o pani w rozmowach, Alvean bardzo panią lubiła. I dlatego że o wielu sprawach nie wiem.

— Ale wkrótce wejdzie pani do rodziny i będzie pani wiedziała znacznie więcej niż ja.

— Co pani sądzi o Gilly? GHlyflower?

— Biedna mała. Ma w sobie coś z Ofelii. Ilekroć na nią patrzyłam, myślałam, że pewnego dnia znajdą ją w strumieniu, z zaciśniętym w dłoni rozmarynem.

— Dziewczynka przeżyła poważny wypadek.

— Wiem, omal jej nie stratował koń pani TreMellyn.

— Zamieszkała pani w Mount Mellyn wkrótce po śmierci Alice TreMellyn?

— Przede mną były jeszcze dwie guwernantki. Podobno odeszły, bo uważały, że Mount Mellyn to nawiedzony dom. W sam raz coś dla mnie, uwielbiam domy z charakterem.

— Rzeczywiście, podobno jest pani znawczynią zabytkowej architektury.

— Znawczynią! To gruba przesada. Ale rzeczywiście kocham stare budowle. Widziałam wiele starych rezydencji i sporo na ten temat czytałam.

— W pani pokoju było zerkadełko. Gilly mi je pokazała.

— Wie pani, że odkryłam je dopiero po trzech tygodniach?

— Nie dziwię się — odrzekłam. — Są sprytnie wkomponowane we freski.

— To najlepszy sposób. Widziała pani zerkadełka w ogrodzie zimowym?

-O, tak.

— Z jednej niszy można obserwować, co się dzieje w holu, z drugiej kaplicę. To łatwo można wytłumaczyć: w czasach, gdy budowano Mount Mellyn, hol i kaplica stanowiły najważniejsze części domostwa.

— Jestem przekonana, że na pierwszy rzut oka potrafi pani określić styl i czas powstania budynku. Z jakiego okresu pochodzi Mount Mellyn?

— Końcówka rządów Elżbiety I. W tym okresie nikt głośno się nie przyznawał, że ma w swojej rezydencji księdza. Sądzę, że między innymi dlatego robiono zerkadełka czy tajne przejścia albo kryjówki.

— Niezwykle frapujące.

— Panna Nansellock jest prawdziwą znawczynią dawnej architektury.

To była nasza wspólna pasja. Wie, że pani się ze mną umówiła?

— Nikt nie wie o naszym spotkaniu.

— Przyjechała tu pani w tajemnicy nawet przed narzeczoną?

Byłam o krok od wyrzucenia z siebie całej prawdy. Ale czy mogę zwierzyć się tej obcej kobiecie? Jakże mi brakowało Phillidy! Przed nią mogłabym otworzyć serce, poradziłyby mi, co zrobić, i na pewno pora dziłyby mi dobrze.

A choć w Mount Mellyn często słyszałam o pannie Jansen, nie znałam jej. Jak jej powiedzieć: podejrzywam, że mój narzeczony próbuje mnie zgładzić?

Nie! To niemożliwe.

Ale, tłumaczyłam sobie, została niesłusznie oskarżona i zwolniona.

To tworzyło między nami pewną więź.

Jak daleko mogą posunąć się niewolnicy zmysłów, by zaspokoić swe żądze, zastanawiałam się w duchu.

Nie, nie mogę jej się zwierzyć.

— Wyjechał w interesach — wyjaśniłam. — Pobieramy się za trzy tygodnie.

— Życzę pani wiele szczęścia. To musiało stać się bardzo szybko.

— Zamieszkałam w Mount Mellyn w sierpniu.

— A wcześniej państwo się nie znali?

— Jeśli mieszka się z kimś pod jednym dachem, dość szybko dobrze się go poznaje.

— Tak, to prawda.

— A pani zaręczyła się po zbliżonym do mojego okresie znajomości.

— Owszem, ale...

Wiedziałam, co myśli. Jej pocziwy wiejski lekarz to nie to samo co pan na Mount Mellyn.

— Chciałam panią poznać — szybko zmieniłam temat — bo byłam pewna, że została pani niesłusznie posądzona. Nie wątpię, że wielu mieszkańców Mount Mellyn podziela moje zdanie.

— Cieszę się.

— Kiedy pan TreMellyn wróci, opowiem mu o naszym spotkaniu i spytam, czy mógłby jakoś pani wynagrodzić tamtą krzywdę.

— To już bez znaczenia. Doktor Luscombe wie, co mnie spotkało. Nie posiadał się z oburzenia, ale przekonałam go, że nie ma sensu odgrzebywać tej sprawy. Gdyby lady Treslyn próbowała znowu kogoś skrzywdzić, wtedy może byłoby warto. Ale nie zrobi tego. Chciała się mnie pozbyć i osiągnęła swój cel... bez większego wysiłku.

— Cóż za podła kobieta! Nawet nie pomyślała, jakie to będzie miało dla pani konsekwencje. Gdyby nie dobre serce panny Nansellock...

— Wiem. Ale nie wracajmy już do tego. Powie pani pannie Nansellock, że się spotkałyśmy?

-Tak.

— To proszę jej wspomnieć, że zaręczyłam się z doktorem Luscombe'em.

Na pewno bardzo się ucieszy. I chciałabym przekazać jej coś jeszcze.

Może panią też to zainteresuje. Chodzi o Mount Mellyn. Przecież wkrótce stanie się również pani domem, prawda? Zazdroszczę pani tego. Jeden z najciekawszych dworów, jakie w życiu widziałam.

— Ale co mam przekazać pannie Nansellock?

— Sporo czytałam o architekturze okresu elżbietańskiego, a narzeczony zawiózł mnie do Cotehele, siedziby rodu Mount Edgcumbe. Właściciele z przyjemnością mnie po nim oprowadzili, bo są niezwykle dumni ze swego gniazda. I mają z czego. Otóż Cotehele jest niezwykle podobne do Mount Mellyn. Mają niemal identyczną kaplicę, nawet z Okienkiem Łazarza, tyle że w Mount Mellyn pomieszczenie dla trędowatych jest o wiele większe, a układ ścian nieco inny. Przyznam szczerze, że nigdy nie widziałam takiego dużego Okienka Łazarza, jak w Mount Mellyn. Zechce to pani przekazać pannie Nansellock? Jestem przekonana, że to ją niezwykle zainteresuje.

— Oczywiście, powiem jej, choć sądzę, że znacznie bardziej ucieszy ją wiadomość, że jest pani szczęśliwa i wychodzi za mąż.

— I proszę dodać, że pamiętam, ile jej zawdzięczam. Proszę serdecznie ją pozdrowić i podziękować w moim imieniu.

— Nie omieszkam.

Rozstałyśmy się, a w drodze powrotnej analizowałam to, co usłyszałam od panny Jansen. Dzięki niej zyskałam nowe spojrzenie na sprawę.

Nie ulegało wątpliwości, że to lady Treslyn doprowadziła do zwolnienia guwernantki. Panna Jansen była wyjątkowo ładna, pan domu się nią zachwycił, a Alvean za nią przepadała. Connan na pewno zamierzał powtórnie się ożenić, by zapewnić sobie spadkobiercę majątku i nazwiska, a zaborcza lady Treslyn nie mogła dopuścić, by wybrał inną kobietę niż ona.

Miałam już niemal pewność, że lady Treslyn zamierzała mnie usunąć, tak jak usunęła pannę Jansen. Ale ponieważ byłam już zaręczona z Connanem, musiała sięgnąć po bardziej drastyczne środki.

On sam natomiast nic nie wiedział o próbie odebrania mi życia.

Nie przyjmowałam do wiadomości, że mógł w tym uczestniczyć. Wykluczwszy jego udział, od razu poczułam się szczęśliwsza.

Co więcej, podjęłam ostateczną decyzję. Kiedy wróci Connan, o wszystkim mu powiem — o tym, co odkryłam, i o swoich obawach.

To postanowienie przyniosło mi prawdziwy wewnętrzny spokój.

Minęły dwa dni, a mojego narzeczonego wciąż nie było.

Przyjechał Peter Nansellock, by się pożegnać. Późnym wieczorem wyruszał do Londynu, gdzie miał wsiąść na statek, by popłynąć do Australii.

Peterowi towarzyszyła Celestine. Oboje byli zaskoczeni, że Connan jeszcze nie wrócił. Na pociechę w czasie ich wizyty przyjechał posłaniec z listem od niego. Prawdopodobnie wróci jeszcze tego wieczoru, a jeśli mu się nie uda, to jutro — najwcześniej jak to możliwe.

Byłam taka szczęśliwa.

Podaliśmy gościom herbatę i w trakcie pogawędki wspomniałam o pannie Jansen. Uważałam, że mogę to zrobić w obecności Petera, bo przecież to on mi powiedział, że Celestine znalazła jej posadę u Merrivale'ów.

— Parę dni temu spotkałam cię z panną Jansen — zaczęłam.

I Celestine, i Peter nie ukrywali zdumienia.

— Alejak?

— Napisałam do niej i poprosiłam o spotkanie.

— Dlaczego? — zdziwiła się Celestine.

— Cóż, mieszkała tu i była z nią związana jakaś tajemnica. Intrygowało mnie to, a że i tak wybierałam się do Plymouth...

— Czarująca istota — rozmarzył się Peter.

— To prawda. Na pewno ucieszy państwa wiadomość, że się zaręczyła — Doprawdy? — zawołała Celestine, a jej policzki poczerwieniały. — Tak się cieszę!

— Z tamtejszym doktorem — dodałam.

— Zona lekarza! To dla niej wymarzona rola — powiedziała.

— Wszyscy pacjenci męża będą się w niej kochać — wtrącił Peter.

— To może być kłopotliwe — zauważyłam.

— Ale niezwykle korzystne finansowo — odparł. — Przesłała nam pozdrowienia?

— Szczególnie serdecznie kazała pozdrowić pańską siostrę. Uśmiechnęłam się do Celestine. — Jest pani niezwykle wdzięczna, nigdy nie zapomni, ile pani dla niej zrobiła.

— Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego. Nie mogłam pozwolić, by tamta kobieta zrujnowała jej życie.

— Sądzi pani, że to lady Treslyn podrzuciła do jej szuflady bransoletkę?

Panna Jansen tak uważa.

— Jestem o tym święcie przekonana — oświadczyła Celestine dobitnie.

— Cóż za bezwzględna kobieta!

— Też tak uważam — zgodził się Peter.

— Cóż, najważniejsze, że panna Jansen jest teraz szczęśliwa. Jednak nie ma tego złego...
Przy okazji, prosiła, abym jeszcze coś pani przekazała.

Chodzi o budynek.

— Jaki budynek? — spytała z ciekawością.

— Ten. Panna Jansen zwiedzała Cotehele i porównywała tamtejsze Okienko Łazarza w kaplicy z naszym. Twierdzi, że to w Mount Mellyn jest wyjątkowe.

— Doprawdy? Interesujące.

— Twierdzi, że jest większe. To u nas. I wspomniała coś o układzie ścian.

— Celestine najchętniej już by się poderwała i poszła sprawdzić droczył się z nią brat.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Musimy kiedyś zajrzeć tam razem. To wkrótce będzie pani dom, powinna go pani dobrze poznać.

— Rzeczywiście, Mount Mellyn coraz bardziej mnie intryguje. Musi mi pani wszystko o nim opowiedzieć.

— Z przyjemnością — zapewniła mnie serdecznie.

Spytałam Petera, którym pociągiem wyjeżdża. Odrzekł, że o dziesiątej z St. Germans.

— Pojadę wierzchem na stację i zostawię tam konia. Bagaże wysłałem już wcześniej—
Pojadę sam. Nie chcę żadnych czułych pożegnań na peronie. Zresztą wszak wrócę już za rok.
Zbiwszy majątek. Au revoir, panno Leigh — ciągnął. — Pewnego dnia wrócę. A jeśli ma pani ochotę wyruszyć razem ze mną... jeszcze nie jest za późno.

Mówił to lekko, z figlarnym błyskiem w oku. Zastanawiałam się, jak by zareagował, gdybym nieoczekiwanie się zgodziła; gdybym powiedziała, że mam wątpliwości co do prawdziwych intencji mojego narzeczonego.

Wysłałam na podjazd, by ich pożegnać. Zebrała się już tam służba.

Peter był ich ulubieńcem. Nie wątpię, że nieraz skradł całusa Daisy i Kitty, które teraz ze smutkiem go żegnały.

Wskoczy! na siodło. Celestine zupełnie gasła przy swoim przystojnym bracie.

Staliśmy, machając im na pożegnanie. Peter jeszcze raz odwrócił się i zawołał:

— Niech pani pamięta, panno Leigh! Gdyby pani zmieniła zdanie...!

Wszyscy się roześmiali, a ja wraz z nimi. Zrobiło nam się nieco smutno, że Peter nas zostawia.

— Panno Leigh, mogę zamienić z panią słówko? — spytała pani Polgrey w drodze powrotnej.

— Oczywiście. Pójdziemy do pani pokoju?

Ruszyła przodem.

— Właśnie otrzymałam wiadomość. Są już wyniki sekcji zwłok. Zgon z przyczyn naturalnych.

Żadne słowa nie oddałyby należycie mojej ulgi.

— Och, ogromnie się cieszę.

— Jak my wszyscy. Powiadam pani, nie podobały mi się te plotki...

I do tego jeszcze umarł po posiłku u nas.

— Czyli to wszystko była tylko burza w szklance wody.

— Na to wygląda, panno Leigh. Ale tak już jest, ludzie gadają i trzeba coś zrobić.

— Cóż, to z pewnością prawdziwa ulga dla lady Treslyn.

Pani Polgrey miała strapioną minę. Pewnie zastanawiała się, co w przeszłości opowiadała mi o Connanie i lady Treslyn. Po moich zaręczynach z panem domu znalazła się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Postanowiłam na zawsze wyzwolić ją z tego wiecznego zażenowania.

— Liczyłam, że poczęstuje mnie pani filiżanką swego wybornego sari greya.

Ucieszona zadzwoniła po Kitty.

Czekając, aż woda się zagotuje, gawędziłyśmy o sprawach domowych.

A kiedy herbata się zaparzyła, gospodyni nieśmiało wyjęła whisky.

Skinęłam głową i odmierzyła po łyżeczce do każdej filiżanki. Dopiero wtedy poczułam, że powróciła nasza dawna przyjaźń.

Cieszyłam się, bo widziałam, że to ją uszczęśliwiło, a chciałam, by wszyscy wokół mnie byli tak szczęśliwi jak ja.

Powtarzałam sobie: nawet jeśli lady Treslyn rzeczywiście próbowała mnie zabić, stracając tamten głaz, gdy przejeżdżałam dołem, Connan nic o tym nie wiedział. Sir Thomas zmarł śmiercią naturalną, więc Connan niczego nie musiał ukrywać, a jedynym powodem jego oświadczeń, był ten, który mi podał: kocha mnie.

Zbliżała się dziewiąta, dziewczynki leżały już w łóżkach. Po ciepłym i słonecznym dniu w powietrzu unosił się zapach nadchodzącej wiosny.

Dziś wieczorem albo jutro w ciągu dnia Connan wróci do domu, pomyślałam z radością.

Zastanawiałam się, o której może wrócić. Może o północy? Wyszłam na ganek, by go przywitać, bo wydawało mi się, że słyszę tętent konia.

Czekałam. Otaczał mnie bezruch nocy. O tej porze dom zawsze był wyjątkowo cichy, bo domownicy już się rozchodzili do swoich pokoi.

Peter pewnie jedzie na stację, pomyślałam. Dziwnie się czułam ze świadomością, że być może nigdy go nie zobaczę. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie w pociągu. Już wtedy bawiło go płatanie mi figli.

Wtem zobaczyłam, że ktoś się zbliża w moją stronę. To była Celestine.

Przyszła od strony lasu, a nie jak zazwyczaj aleją.

— Jak dobrze, że panią widzę — powiedziała zadyszana. — Właśnie do pani szłam. Doskwierała mi samotność. Peter wyjechał. Robi mi się smutno, gdy myślę, że długo go nie zobaczę.

— Rzeczywiście, to przygnębiające.

— Naturalnie nieraz dawał mi się we znaki, ale bardzo go kocham.

I tak... straciłam obu braci.

— Niech pani wejdzie do środka.

— Connan jeszcze nie wrócił?

— Nie. Nie spodziewam się go przed północą. Pisał, że musi jeszcze załatwić jakieś sprawy. Przypuszczam, że będzie tu dopiero jutro. Nie wstąpi pani na chwilę?

— Szczerze powiedziawszy, liczyłam, że zastanę panią samą.

— Doprawdy?

— Chciałam wejść do kaplicy... Przyjrzeć się temu Okienku Łazarza.

Od kiedy przekazała mi pani informację od panny Jansen, marzyłam, by na nie zerknąć. Nie przyznawałam się do tego przy Peterze, bo on wyśmiewa mój zapal.

— Chciałaby pani teraz zajrzeć do kaplicy?

— Jeśli mogę...? Mam swoją teorię. Przypuszczam, że w ścianie jest ukryte przejście do drugiego skrzydła budynku. Prawda, jak cudownie by było, gdybyśmy je znalazły i mogły się tym pochwalić Connanowi, gdy wróci?

— Rzeczywiście — zgodziłam się — cudownie.

— W takim razie chodźmy.

Weszłyśmy do środka. Przechodząc przez hol, zerknęłam w górę, bo miałam dziwne uczucie, że ktoś nas obserwuje. Wydawało mi się, że dostrzegłam jakiś ruch, ale nie byłam pewna, więc milczałam. Dotarłyśmy na drugi koniec sali, otworzyłyśmy drzwi, zeszyłyśmy po kamiennych stopniach i już byłyśmy w kaplicy.

Unosił się tam zapach stęchlizny.

— Pachnie, jakby od lat nikt tu nie wchodził — powiedziałam, a mój głos niósł się dziwnym echem po całym wnętrzu.

Celestine milczała. Zapaliła świecę na ołtarzu. Patrzyłam na długi cień, jaki rzucał na ścianę migotliwy płomień.

— Chodźmy do Okienka Łazarza — odezwała się. — Tutaj, to te drzwi.

A przez te drugie można wyjść na wewnętrzny dziedziniec. Tędy wchodzili trędowaci.

Uniosła świecę wysoko i zobaczyłam, że jesteśmy w niewielkiej izdebce.

— To pomieszczenie jest większe niż inne tego rodzaju? — spytałam.

Nie odpowiedziała. Długimi palcami wodziła po ścianie, jakby czegoś tam szukała. Nagle odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Zawsze podejrzewałam, że gdzieś w tym domu jest Księża Cela.

Rozumie pani, kryjówka dla księdza, w której mógł się schronić, gdyby wpadli ludzie królowej. Wiem, że jeden z TreMellynów nosił się z zamiarem przejścia na katolicyzm. Dam sobie głowę uciąć, że gdzieś tu jest taka ukryta izdebka. Connan byłby zachwycony, gdybyśmy ją znalazły.

Kocha Mount Mellyn niemal tak samo jak ja... i tak jak pani wkrótce je pokocha. Gdybym znalazła kryjówkę... to byłby najlepszy prezent ślubny, jaki mogłabym mu ofiarować, prawda? Bo cóż można dać człowiekowi, który ma wszystko, czego dusza zapragnie. — Znieruchomiła.

— Zaraz... — powiedziała piskliwym z podniecenia głosem. — Tam coś jest.

Podeszłam do niej i aż się zachłysnęłam ze zdumienia, bo ściana się przesunęła, odsłaniając wąskie drzwi. Celestine odwróciła się do mnie.

Nie poznawałam jej, wyglądała-inaczej niż zwykle, oczy jej błyszczały.

Wysunęła głowę w otwór i już chciała wejść, gdy nagle się cofnęła.

— Nie, pani pierwsza. Przecież to będzie pani dom. Pani pierwsza powinna tam zajrzeć.

Udzieliło mi się jej podniecenie. Wiedziałam, że Connan będzie zachwycony.

Weszłam do środka, w nozdrza uderzył mnie dziwny, ostry zapach.

— Niech pani szybko się rozejrzy — zachęcała. — Pewnie trochę tam cuchnie. Ostrożnie, prawdopodobnie będą tam jakieś schodki.

Poświeciła mi i rzeczywiście zobaczyłam dwa stopnie. Zeszłam po nich, a w tym momencie drzwi się za mną zatrzasnęły.

— Celestine! — krzyknęłam przerażona, ale nikt nie odpowiedział. — Niech pani otworzy! — wrzeszczałam.

Lecz mój głos ginął w ciemnościach, stając się ich więźniem. Tak jak ja stałam się jej więźniem, więźniem Celestine.

Zewsząd otoczył mnie mrok. Zimny, upiorny... Podstępny i zły. Poczułam narastającą panikę. Jak opisać taki strach i grozę? Tych uczuć nie oddadzą żadne słowa. Zrozumieją je tylko ci, którzy ich doświadczyli.

W głowie tłukły mi się straszne, przerażające myśli. Byłam taka głupia.

Wpadłam w pułapkę. Dałam się zwieść pozorom. Bez słowa protestu poszłam tam, gdzie kazała mi iść ta, która chciała się mnie pozbyć.

Szłam jak ślepiec, o nic nawet nie pytając.

Strach paraliżował nie tylko moje ciało, ale i mózg.

Byłam na granicy hysterii.

Weszłam na stopnie i waliłam pięściami w coś, co teraz wydawało się ścianą.

— Wypuść mnie! Uwolnij! — krzyczałam.

Wiedziałam jednak, że mój głos dociera tylko do Okienka Łazarza.

A jak często ktoś zaglądał do kaplicy?

Bezszelестnie wymknie się z domu... Nikt nawet nie zauważy, że tu była.

Śmiertelnie przerażona, nie wiedziałam, co robić. Nagle włosy mi się zjeżyły. Usłyszałam czyjś rozpaczliwy szloch. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to mój własny głos, tak zmieniony z trwogi.

Opuściły mnie siły. Wiedziałam, że nikt długo nie przeżyje w tym mrocznym, wilgotnym miejscu. Rzuciłam się na ścianę i rozpaczliwie drapałam ją paznokciami, dopóki nie poczułam na dłoniach krwi.

Rozejrzałam się po celi, bo moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. I wtedy zobaczyłam, że nie jestem tu sama.

Ktoś już wszedł do kryjówki przede mną. Na posadzce leżały szczątki, szczątki Alice. Wreszcie ją odnalazłam.

— Alice! — zawołałam. — Alice! Więc to ty? Cały czas byłaś tutaj, w domu?

Oczywiście nie odpowiedziała. Jej usta milczały już od ponad roku.

Zasłoniłam twarz dłońmi. Nie mogłam na to patrzeć. Wszędzie unosił się trupi zapach. — Jak długo żyła Alice od chwili, gdy tu weszła? Chciałam wiedzieć, bo ja zapewne będę konała równie długo.

Chyba zemdlalam i na długo straciłam przytomność, a nawet kiedy się ocknęłam, nie do końca wróciła mi świadomość. Słyszałam czyjś bełkot.

To musiał być mój głos, bo na pewno nie należał do Alice.

Dzięki Bogu tylko częściowo odzyskałam zmysły. Unosiłam się na granicy jawy i snu. Siedząc tak w tej ciemnej, strasznej celi sama już nie wiedziałam, kim jestem. Martha? A może Alice? Jednocześnie pewne sprawy nagle stały się dla mnie jasne.

Nasze historie były tak podobne. W obu wypadkach obowiązywał identyczny schemat. Mówili, że uciekła z Geoffrym. Teraz powiedzą, że uciekłam z Peterem. Czas naszego zniknięcia precyzyjnie obliczono.

— Ale dlaczego? — pytałam. — Dlaczego?

Wiedziałam już, czyj cień widziałam wtedy na rolecie. Jej... tej podstępnej, zdradzieckiej istoty. Wiedziała o istnieniu dzienniczka, który znalazłam w kieszeni żakietu Alice i szukała go, bo wiedziała, że tamte notatki mogą skierować na właściwy trop tego, kto je znajdzie.

Zrozumiałam, że nie kochała Alvean, a wszystkich nas oszukała swoją udawaną słodyczą. Celestine nikogo nie potrafiła kochać. Wykorzystała Alvean, tak samo jak wykorzystywała innych, jak zamierzała wykorzystać Connana.

Kochała tylko ten dom.

Leżąc półprzytomna w moim więzieniu, wyobrażałam ją sobie, jak stoi w oknie Mount Widden i miłośnie wpatruje się w Mount Mellyn.

Żaden kochanek nigdy nie spoglądał na swą wybrankę z takim żarem i pożądaniem, z jakim ona patrzyła na ten dom.

— Alice — mówiłam. — Alice, padłyśmy jej ofiarą... Ty i ja.

I wydawało mi się, że słyszę głos Alice... Opowiadała mi o dniu, w którym Geoffry wyruszył pociągiem do Londynu, a Celestine przyszła do Mount Mellyn i pochwaliła jej się swoim odkryciem.

Widziałam Alice... Szczupła, śliczna, delikatna Alice z okrzykiem zachwytu schodzi w dół po dwóch stopniach wprost w objęcia śmierci.

Lecz to nie głos Alice słyszałam, tylko swój.

A jednak wydawało mi się, że jest tam ze mną. Myślałam: w końcu ją znalazłam. Wzajemnie podtrzymywałyśmy się na duchu, gdy czekałam, aż dołączę do niej w świecie mroku, do którego weszła w dniu, gdy Celestine zaprowadziła ją do Okienka Łazarza.

Oślepiający blask raził mnie w oczy. Ktoś mnie niósł.

— Umarłam, Alice? — spytałam.

— Najdroższa — odezwał się czyjś głos. — Moja najmilsza... już nic ci nie grozi.

To mówił Connan, to on trzymał mnie w ramionach.

— To znaczy, że po śmierci nadal śnimy, Alice?

Usłyszałam szept:

— Moja najdroższa... o, moja ukochana...

Ktoś ułożył mnie na łóżku, wokół mnie tłoczyli się ludzie. Nagle ujrzałam nad sobą świetliste, niemal białe włosy.

— Alice, widzę anioła.

— To Gilly — odrzekł anioł. — Gilly ich do ciebie przyprowadziła. Gilly patrzyła i Gilly widziała...

Zdumiewające, ale to właśnie za sprawą Gilly odzyskałam pełnię świadomości. Wreszcie zrozumiałam, że nie umarłam; że stał się cud; że ramiona, które mnie otaczają, to rzeczywiście ramiona Connana; że to jego głos słyszę.

Leżałam w swojej sypialni, przez okno widziałam trawnik, palmy i okno dawnego pokoju Alice. To samo okno, na którego rolecie pewne go dnia dostrzegłam cień jej morderczyni; morderczyni, która próbowała także zabić mnie.

Krzyknęłam przerażona. Ale był przy mnie Connan. Usłyszałam jego czuły, pełen miłości, uspokajający głos.

— Już dobrze, moja ukochana... moja jedyna miłości. Jestem przy tobie...

I nigdy cię nie opuszczę.

Zakończenie /ę historię opowiadałam moim prawnukom. Słyszały ją wielokrotnie, ale zawsze znajdzie się jakiś maluch, który jeszcze jej nie zna.

Ciągle się o nią dopraszają. Bawią się w parku i w lesie, przynoszą mi kwiaty z południowego ogrodu — w hołdzie dla staruszki, która zawsze potrafi ich zauroczyć opowieścią o tym, jak poślubiła ich pradziadka.

A ja widzę wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Pamiętam przyjazd do Mount Mellyn i to, co się wydarzyło potem, aż do owych potwornych godzin w mrocznym więzieniu, gdzie moim jedynym towarzystwem stał się trup Alice.

Lata spędzone z Connanem były burzliwe. Mieliśmy zbyt silne charaktery, by żyć w wiecznej sielance i harmonii. Wiem jednak, że żytam pełnią, a czegoś więcej można żądać?

Teraz i on się zestarzał, i ja. Od dnia naszego ślubu w kościółku w Mellyn ochrzczono jeszcze trzech Connanów: naszego syna, wnuka i prawnuka. Cieszę się, że mogłam dać mojemu mężowi dzieci. Doczekaliśmy się pięciu synów i pięciu córek, oni wszyscy zaś też dochowali się własnych potomków.

Kiedy dzieci słuchają opowieści, lubią sprawdzać każdy szczegół, chcą, by wyjaśnić im każdy drobiazg. Dlaczego sądzono, że kobieta, która zginęła w pociągu, to Alice? Stało się tak za sprawą medalionu. Celestine oświadczyła, że rozpoznaje wisiorek, który rzekomo podarowała Alice, a który oczywiście widziała pierwszy raz w życiu.

Dlaczego jej też zależało, abym przyjęła Hiacyntę, gdy Peter mi ją ofiarował? Zapewne obawiała się, by Connan się mną nie zainteresował.

Starła się więc usilnie połączyć mnie z Peterem w nadziei, że wtedy Connan nie zwróci na mnie uwagi. To również Celestine zepchnęła obłuzowany głąz, by mnie zabić, a przynajmniej okaleczyć.

To ona wysyłała anonimowe listy do lady Treslyn i prokuratora, zwracając uwagę na podejrzaną okoliczność zgonu sir Thomasa. Uczyla, że jeśli wybuchnie skandal, Connan i lady Treslyn przez długie lata nie odważą się na ślub. Nie wzięła jednak pod uwagę sytuacji, że Connan może wybrać mnie, a nie lady Treslyn. Kiedy dowiedziała się o zaręczynach, natychmiast postanowiła usunąć mnie z drogi. Nie udało jej się na ścieżce, więc miałam podzielić los Alice. Przyczynił się zapewne do tego wyjazd Petera — właśnie w tym dniu — do Australii. Wszyscy w Mount Mellyn wiedzieli, że pan Nan — Sellock ze mną flirtował, więc uznaliby, że z nim uciekłam.

To Celestine podrzuciła do szuflady panny Jansen bransoletkę, bo guwernantka za dużo wiedziała o Mount Mellyn, i zapewne kiedyś znalazłaby kryjówkę w ścianie Okienka Łazarza i Alice. Celestine wykorzystwała zazdrość lady Treslyn o dziewczynę. Wiedziała, że kochanka Connana przy byle okazji postara się zniszczyć pannę Jansen.

Celestine była /ukochana — do szaleństwa zakochana — w Mount Mellyn i chciała wyjść za Connana, by stać się panią tego domu. Znalazłszy Księżą Celę, nikomu nie pochwaliła się odkryciem, tylko postanowiła wykorzystać ją do usunięcia z drogi Alice. Wiedziała o romansie Alice z Geoffym, wiedziała, że Alvean była jego córką. Jej plan się powiódł, ponieważ Umiała cierpliwie czekać na okazję. Gdyby nie udało się upozorować ucieczki Alice z kochankiem, znalazłaby inny sposób pozbycia się pani TreMellyn — tak samo jak zamierzała się posłużyć Hiacynta, aby usunąć mnie.

Nie doceniła jednak Gilly. Kto by pomyślał, że to biedactwo niespełna rozumu odegra najważniejszą rolę w ujawnieniu jej diabolicznego planu?

Gilly kochała Alice, a później pokochała mnie. Gilly wiedziała, że Alice nie opuściła domu, bo ilekroć przed wyjściem całowała na dobranoc Alvean, zaglądała i do niej. Także wtedy, gdy wybierała się na przyjęcie.

Ponieważ Alice nigdy nie zapomniała o buziaku na dobranoc, Gilly nie dopuszczała, by tym razem mogła wyjść bez pożegnania. Dlatego biedne dziecko wierzyło, że Alice jest w domu, i wciąż jej szukało. To Gilly widziałam w zerkadełku. Dziewczynka знаła wszystkie zerkadełka w domu i często z nich korzystała, gdyż nieustannie szukała Alice.

Tamtego wieczoru zobaczyła z ogrodu zimowego, jak wchodzę z Celestine do holu. Wyobraziłam sobie, jak — widząc, że wchodzimy do kaplicy — przebiega przez pomieszczenie do drugiego otworu. Zbliżyłyśmy się do Okienka Łazarza, ale tej części kaplicy Gilly nie mogła stamtąd dobrze zobaczyć, więc co sił w nogach popędziła do zerkadełka w pokoju panny Jansen, skąd miała doskonały widok. Zdażyła w chwili, gdy obie zniknęłyśmy w środku, czekała więc, aż wrócimy. A choć długo czekała, nie doczekała się, bo Celestine oczywiście wyszła przez wewnętrzny dziedziniec i pobiegła do Mount Widden. przekonana, że nikt prócz mnie nie wie o jej wieczornej wizycie w Mount Mellyn.

Tak więc gdy ja przeżywałam koszmar w celi śmierci Alice, Gilly stała przy zerkadełku w pokoju panny Jansen, czekając na mój powrót.

Connan zjawił się o jedenastej, spodziewając się gorącego przyjęcia.

Tymczasem powitała go pani Polgrey.

— Niech pani zawiadomi pannę Leigh, że wróciłem.

Musiał czuć się dotknięty, bo zawsze oczekiwał — i to się nie zmieniło — nieustannej adoracji i skupienia na nim uwagi. Nie mieściło mu się w głowie, że oto wrócił, a ja sobie spokojnie śpię.

Wyobrażałam sobie tę scenę: pani Polgrey mówi, że nie ma mnie w pokoju; następują bezowocne poszukiwania i wreszcie przychodzi ten straszny moment, gdy Connan musi uwierzyć w to, w co zgodnie z planem Celestine miał uwierzyć.

— Pan Nansellock przyjechał po południu, by się pożegnać. Wyruszał o dziesiątej pociągiem z St. Germans...

Często zastanawiałam się, po jakim czasie dowiedzieliby się, że nie uciekłam z Peterem. Wyobrażam sobie, jak by to się skończyło. Connan straciłby nadzieję, że może zacząć życie od nowa, i wróciłby do dawnych obyczajów, może nawet kontynuował romans z lady Treslyn. Ale romans nie zakończyłby się małżeństwem. Już Celestine by tego dopilnowała.

Z czasem może osiągnęłaby cel i została panią Mount Mellyn; przekonałaby Connana, że on i Alvean bez niej sobie nie poradzą.

Jakież to dziwne, myślałam, że wszystko to mogłoby się wydarzyć, a cały czas za ścianą, w ukrytej celi, leżałyby szkielety dwóch kobiet -jedynych istot, które poznały prawdę. Niewiarygodne, lecz nikt dziś nie słuchałby historii Alice i Marthy, gdyby nie pewna milcząca dziewczynka, zrodzona we łzach i żyjąca w cieniu, która doprowadziła wszystkich do prawdy.

Connan często opowiadał mi o szaleństwie, jakie rozpętało się w Mount Mellyn, gdy mnie szukali. Opowiadał o dziecku, które podeszło do niego i cierpliwie czekało, aż je dostrzeże i go wysłucha; o tym, jak Gilly ciągnęła go za surdut i próbowała mu wyjaśnić.

— Niech Bóg nam wybaczy, ale dopiero po dłuższym czasie zwróciliśmy na nią uwagę, w ten sposób przedłużając twoje męki.

Wreszcie posłuchali dziewczynki, a Gilly poprowadziła ich do kaplicy...

i do Okienka Łazarza. Powiedziała, że widziała, jak zniknęliśmy w środku.

Przez moment Connan sądził, że opuściłam dom razem z Peterem, wymykając się tamtędy, by nikt nas nie zauważył.

Ściany izdebki były pokryte kurzem, bo od czasu, gdy Alice weszła tam ze swoją morderczynią, nikt tam nie zaglądał. I właśnie na tej zakurzonej ścianie Connan zobaczył odcisk dłoni, a wtedy zaczął traktować słowa Gilly poważnie.

Niełatwo było znaleźć mechanizm odsłaniający ukryte drzwi, nawet jeśli się wiedziało, że tam jest. Przez długie jak wieczność dziesięć minut Connan szukał, chwilami mając ochotę gołymi rękami rozbić mur.

Wreszcie jednak odkryli mechanizm i znaleźli mnie. Alice też.

Celestine Nansellock zabrano do Bodmin, gdzie miała zostać osądzona i skazana za zabójstwo Alice. Zanim jednak doszło do procesu, całkowicie postradała zmysły. Początkowo sądziłam, że udaje wariatkę, próbując znowu wystrychnąć nas na dudka. I może nawet tak było, ale potem choroba opanowała ją na dobre. Następne dwadzieścia lat — czyli aż do śmierci — Celestine spędziła odizolowana od świata.

Szczałki Alice złożono w rodzinnym grobowcu obok ciała nieznannej kobiety z pociągu. Connan i ja pobraliśmy się trzy miesiące po tym, jak wyprowadził mnie z ciemności. Tamto

doświadczenie naznaczyło mnie głębiej, niż sądziłam. Jeszcze przez rok dręczyły mnie koszmary. To potworne, gdy człowiek zostaje pogrzebany żywcem, nawet jeśli wyjdzie na wolność, jeszcze nim zgaśnie w nim iskra życia.

Phyllida z Williamem i dziećmi przyjechali na ślub. Była w siódmym niebie.

Podobnie jak ciotka Adelajda, która uparła się, by wesele odbyło się w jej rezydencji w Londynie. Tak więc Connan i ja mieliśmy elegancki londyński ślub. Nie zależało nam na tym, ale wystawna ceremonia ucieszyła ciotkę Adelajdę, która, nie wiedząc czemu, ubzduriała sobie, że to ona nas wyswatała.

Później, zgodnie z planem, spędziliśmy miodowy miesiąc we Włoszech i wreszcie wróciliśmy do Mount Mellyn.

Na tym kończę opowieść dla prawnucząt, ale potem jeszcze długo w myślach wędruję po swojej przeszłości. Myślę o Alvean, szczęśliwej żonie ziemianina z Devonu. A Gilly? Gilly nigdy mnie nie opuściła. Teraz też jest ze mną. Dochodzi jedenasta, więc lada moment powinna zjawić się z kawą, którą w ciepłe dni pijemy w tej samej altance, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam Connana z lady Treslyn.

Przyznam, że lady Treslyn była przekleństwem pierwszych lat mego małżeństwa. Przekonałam się, że potrafię być zazdrosna — i impulsywna.

Czasem myślę, że Connan specjalnie robił do niej słodkie oczy, rewanzując się w ten sposób za męki zazdrości o Petera Nanselloeka.

Na szczęście po paru latach lady Treslyn przeprowadziła się do Londynu.

Podobno wyszła tam za męża.

Peter wrócił po piętnastu latach z pustymi kieszeniami, za to bogatszy o żonę i dwójkę dzieci. Choć nie zdobył fortuny, nadal tryskał radością i energią. Mount Widden sprzedano. Jedna z moich córek wyszła za nowego właściciela, więc stało się ono moim domem tak samo jak Mount Meilyn.

Connan ucieszył się, gdy Peter na dobre się wyprowadził, a mnie śmiać się chciało na samą myśl, że w ogóle mógł być zazdrosny o tego lekkoducha. Lecz kiedy mu to powiedziałam, odrzekł:

— A jakie sceny ty mi robiłaś o lady Treslyn?

To była jedna z tych chwil, gdy oboje wiedzieliśmy, że nikt inny się nie liczy, bo dla mnie istnieje tylko on, a dla niego tylko ja.

I tak niepostrzeżenie mijał czas. Siedzę teraz, wspominając dawne lata, i wiem, że za chwilę z ogrodu przyjdzie do mnie Connan. Kiedy będziemy sami, powie do ranie: „Witam, moja droga panno Leigh”. Nadal często tak się do mnie zwraca, aby pokazać, że nie zapomniał, od czego wszystko się zaczęło. A kiedy tak powie, na jego ustach pojawi się uśmiech i będę wiedziała, że nie widzi pomarszczonej staruszki, lecz nieco sztywną i surową guwernantkę, rozpaczliwie broniącą swojej dumy i godności; guwernantkę, która wbrew sobie w nim się zakochała; jego drogą pannę Leigh.

A potem będziemy siedzieć razem w promieniach słońca, dziękując opatrności za dobro, jakie nas w życiu spotkało.

Właśnie idzie. A za nim Gilly... nadal nieco inna niż wszyscy. Nadal niechętnie się odzywa, tylko często przy pracy śpiewa po swojemu, jakby była istotą nie z tego świata. Patrząc na nią, wciąż widzę tamtą malutką Gilly i myślę o pięknej Jennifer, która pewnego dnia poszła szukać śmierci w morzu; o tym, że jej dzieje stanowią część moich; i wreszcie o tym, jak delikatnie i misternie życie splótło nasze losy.

Nic nie jest wieczne prócz ziemi i morza. Tylko one trwają odwieczne i niezmiennie; takie same jak wtedy, gdy poczęła się Gilly; jak w dniu, gdy ufna Alice weszła do swego grobu; jak wówczas, gdy Connan chwycił mnie w ramiona i przywrócił do życia.

Albowiem rodzimy się, cierpimy, Kochamy i umieramy, a fale nadal rozbijają się o skały.
Zmieniają się pory roku, przychodzi czas siewu i czas zbiorów, lecz ziemia pozostaje.

Koniec.